



Seryjny zabójca.
Martwe kobiety.
WYŚCIG Z CZASEM.



F U R I A



**MICHAŁ
LAREK**

FURIA

M CZWARTA STRONA



Ritce, mojej ukochanej Żonie

*Seksualność jest jedną z tych sił, które igrają z człowiekiem z taką łatwością
– tym bardziej, im bardziej człowiekowi wydaje się, że igra z nimi.*

R. Girard

CZĘŚĆ

PIERWSZA

poniedziałek, 5 października 1992

I

Czarnowłosy komisarz zgniótł peta w nakrętce po keczupie i rozwiął ręką gęste kłęby dymu. Otworzył szufladę podniszczonego biurka, wyjął pistolet, załadował go i spojrzał surowo na sierżanta Ostrowskiego.

– Przyrowadź mi tego chuja – warknął.

– Harry, ale dlaczego ja? – oburzył się policjant – Niech Kowal idzie, on jest młodszy!

– Dobra, pójdę – wymamrotał pulchny sierżant, z niepokojem wpatrując się w broń oficera. Przez głowę przeszła mu nieśmiała myśl, że od trzech lat była już demokracja i w związku z tym powinien obowiązywać teraz inny styl pracy.

– Ty siedź na dupie, on ma iść i przyrowadzić Bilarda!

Ostrowski prychnął i opuścił pokój, trzaskając drzwiami. Po paru minutach wrócił, trzymając za ramię dwudziestoparoletniego łysego dryblasa w niebieskim dresie. Wprowadzony mężczyzna kiwnął głową, uśmiechnął się głupkowato i usiadł na krześle naprzeciwko biurka.

Komisarz zmarszczył brwi i podrapał się po bliźnie na policzku, która wykreślała efektowną linię łączącą ucho z nosem.

– Kto ci pozwolił usiąść? – zapytał jadownicie i natychmiast podniósł głos: – Wypierdalaj! I wejdz jeszcze raz.

Bilard spurpurowiał momentalnie, wstał i wyszedł na korytarz.

Sierżanci wbili wzrok w Harry’ego, który chwycił ściskacz leżący na stercie dokumentów i parę razy sprawnie zamknął go w dłoni.

– Jebaniec – mruknął.

Młodzi mężczyźni wymienili się spojrzeniami.

Po chwili drzwi się otworzyły, a w progu ponownie stanął Bilard. Krople potu lśniły na jego skrzętnie wygolonej czaszce. Zatrząsał się i niespokojnym wzrokiem omiótł pomieszczenie. Wypuścił głośno powietrze. Chciał zrobić parę kroków do przodu, ale zatrzymał go nieprzyjemny głos operacyjniaka:

– Czy ty nie wiesz, że jak się wchodzi, to się puka do drzwi, debilu? Wypierdalaj!

Przestępca ścisnął pięści, obrócił się i zniknął policjantom z oczu, zamykając za sobą drzwi. Zaraz potem rozległo się pukanie.

– Wejść – rzucił komisarz.

W progu po raz kolejny pojawił się Bilard. Wyglądał jak ktoś, kto za chwilę stanie przed plutonem egzekucyjnym.

– Można, panie komisarzu? – zapytał nieśmiało, garbiąc się lekko.

– A gdzie „dzień dobry”, chuju zamazany?!

– Przepraszam.

– Spróbuj jeszcze raz.

Zapadła złowroga cisza, którą po chwili przerwało westchnienie. Delikatne zamknięcie drzwi, pukanie.

– Proszę!

– Dzień dobry, panie komisarzu, dzień dobry panom sierżantom – odezwał się przymilnie Bilard, z trudem hamując łzy. – Czy można wejść?

– Po jakiego chuja?

– Celem przesłuchania

– Wejdz.

Mężczyzna w dresie odetchnął z ulgą i usiadł na krześle, które wyglądało teraz jak jakaś pułapka zastawiona na zaszczutą zwierzynę.

Sierżanci spojrzeli wyczekująco na oficera.

To już koniec tego czołgania? – pomyśleli jednocześnie.

– Pozwolił ci ktoś usiąść? – zapytał ostro Harry, wyciągając z szuflady swoje doskonale wypucowane P-64.

Bilard zerwał się jak oparzony i wbił wzrok w pistolet policjanta. Zaczął mrugać nerwowo lewą powieką.

– Przepraszam! – jęknął, pobladłszy.

– Chcesz usiąść?

– Tak.

– W taki razie wypowiedz magiczne słowo.

– Panie komisarzu, bardzo proszę o pozwolenie na usiąście!

– Na co, kurwa?

– Na usiąście!

– Nie znam takiego słowa – mruknął operacyjniak, przygryzając usta. – Ale niech ci będzie, siadaj.

Kowalski zakaszłał, a Ostrowski zakrył ręką oczy. Pierwszy raz byli świadkami takiej sceny na komendzie. Legendarne sposoby Harry’ego na trudnych klientów znali do tej pory tylko z opowieści, które krążyły po korytarzach Firmy, kreując go na Clinta Eastwooda poznańskiej policji.

Bilard usiadł, a Harry odłożył broń na bok, sięgnął po paczkę klubowych, zapalił papierosa, wypuścił dym i odezwał się:

– Słyszałem, że jaja sobie robisz. Milczysz i milczysz. Nieładnie. Bardzo nieładnie, a właściwie to zajebiście nieładnie. Sam komendant się wkurwił. „Przestańcie się już jebać z tym smerfem”, tak powiedział. Rozumiesz, co to oznacza, prawda? Powiem ci, jak wygląda sytuacja. Zabawa się skończyła. Napiszesz mi teraz adres, pod którym ukryłeś łupy z napadu na jubilera, a ja w ramach podziękowania nie zastrzelę cię w czasie ucieczki. Zgoda?

Operacyjniak położył papierosa na przybrudzonej zakrętce, podniósł pistolet, potarł nieistniejące zabrudzenie i spojrzał na rozedrganego dwudziestolatka.

Po paru sekundach wymownego milczenia podsunął mu długopis i kartkę papieru.

– Pisz – warknął.

Bilard wypełnił polecenie.

Harry zerknął na zapissek.

– Kłamiesz mnie, chuju?

– Nie, nie!

– To prawdziwy adres?

– Jak Boga kocham, panie komisarzu!

W tym momencie otworzyły się drzwi i w progu stanął wysoki mężczyzna w czarnej marynarce i nonszalancko rozpiętej białej koszuli. Podinspektor Jerzy Rambert, zastępca naczelnika Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego, pseudonim Dżery.

– Harry, dobra robota. Teraz spadaj. – Podeszedł do oficera, poklepał go po ramieniu, potem odwrócił się w stronę Bilarda, pogroził mu po ojcowski palcem i na koniec skinął głową na sierżantów.

– Chłopaki, zrobicie protokół – mruknął, po czym dodał przyjaznym, choć lekko napominającym głosem: – Tylko pamiętajcie: Harry’ego tu nie było.

– Tak jest, panie naczelniku – zameldował Kowalski, ciesząc się w duchu, że brutalne przedstawienie zostało zakończone. Nie lubił Harry’ego, tak jak zresztą całego Wydziału Kryminalnego. W głębi ducha uważał, że to niepiśmienna dzicz psująca reputację policji.

Pasikowski mógłby zrobić z tego fajną scenę – pomyślał Ostrowski, który wczorajszy wieczór spędził, oglądając na wideo „Krolla”, filmowy debiut

obiecującego reżysera.

Trzeba przyznać, że chłopaki z Kryminalnego mają power – skonkludował w duchu i uśmiechnął się do policjanta ze szramą.



Katia z ulgą wyskoczyła z zatłoczonego tramwaju, który zawiózł ją na Most Teatralny, wyznaczający granicę między Jeźycami a Dzielnicą Łacińską. Od dzisiaj ten charakterystyczny punkt na mapie Poznania będzie mijać codziennie. Przeszła energicznym krokiem kawałek Dąbrowskiego, mijając po drodze Teatr Nowy, do którego często chodziła w czasie studiów, a potem, z szybciej bijącym sercem, skręciła w Kochanowskiego, w ulicę policyjną. Po lewej stronie komenda, po prawej komisariat.

Zwolniła. Zaczęła przyglądać się okazałym kamienicom, które o tej porze wszyscy mijali obojętnie, spiesząc się do pracy i szkoły.

– Jeźcjada – mruknęła, przypominając sobie tytuł słynnej serii powieści dla młodzieży. Matka uwielbiała ją, ona nie, ona wołała mocne, krwawe opowieści bez happy endu.

Zrobiła jakieś dwieście metrów, przystanęła i omiotła wzrokiem komendę, dyskretnie wkomponowaną w miejską scenografię. Szary, brudny budynek, który zupełnie nieoczekiwanie przywołał obraz obskurnej bursy z licealnych czasów. Wzdrygnęła się, próbując zepchnąć gdzieś na dno pamięci niemiłe wspomnienia.

Spojrzała na zegarek. Siódma pięćdziesiąt trzy.

Napiła się wody, schowała butelkę do plecaka, w którym pobrzękiwały kajdanki, zagryzła usta. Za parę minut zacznie nowy rozdział swojego życia, ale zamiast cieszyć się tym faktem, czuła narastające rozdrażnienie.

Nie, nie jestem rozdrażniona – pomyślała. Jestem wkurwiona. I do tego

wszystkiego bolą mnie cycki.

Rozejrzała się po okolicy, która przypominała cypel: z trzech stron rzędy kamienic. Efekt był całkiem przyjemny. Przechodzień mógł odnieść wrażenie, że znalazł się w jakimś spokojniejszym zakątku miasta.

Wiele lat temu po raz pierwszy przyprowadził ją tu ojciec i tym swoim ironicznym tonem, którego nie cierpiała, zaczął snuć krwawe opowieści o „zbiarach z SB”.

– *Jeden z nich mieszka w naszych bloku – dodał na koniec, uśmiechając się złośliwie. – I pobiera smaczną emeryturkę.*

– Mam to w dupie – mruknęła, czując, że znowu podnosi się jej ciśnienie.

Zeszła na bok, ustępując miejsca policyjnemu polonezowi, który wjechał na chodnik.

Raz jeszcze sprawdziła godzinę. Prawie ósma.

Poprawiła gumkę, która zbierała jej długie brązowe włosy w kitkę, wbiegła po schodach, otworzyła energicznie drzwi i weszła do środka. Podobno podinspektor Buryła, jej nowy szef, nie lubił spóźnialskich, a ona chciała zaprezentować się z jak najlepszej strony.



Jest całkiem przystojny – stwierdziła, przyglądając się uważnie mężczyźnie, który siedział przy barze, popijał jakiegoś drinka i z uśmiechem na twarzy zagadywał wąsatego barmana.

Nie, nie przystojny, raczej słodki.

Wino zaczęło powolutku rozlewać się po jej efektownie ubranym ciele i budzić coraz natarczywsze pożądanie. Przymknęła oczy, wyobrażając sobie, że elegancki nieznajomy podchodzi do niej od tyłu i delikatnie muska szyję, szepcząc

czułe i zarazem niegrzeczne słówka.

Dokładnie tak, jak uwielbiała. Dokładnie tak, jak tego nie robił jej mąż, nudny, zaniedbany pracoholik, którego myśli skupione były tylko i wyłącznie na pacjentach. Dokładnie tak, jak robił to jeszcze miesiąc temu pewien student medycyny o elfim wyglądzie.

Miesiąc temu – czyli jej samotność trwa już miesiąc. To stanowczo za długo. Czowała, że jest tykającą bombą, która zaraz wybuchnie. Poprawka – która chce wybuchnąć i rozpaść się na milion kawałków.

Podniosła do ust lampkę wina, z rozkoszą wciągając aromat, który od zawsze kojarzył jej się przede wszystkim z cielesnymi uciechami.

Poczuła gęsią skórę i znowu zerknęła na mężczyznę, który w tym samym momencie odwrócił się i przyłapał ją na łapczywym spojrzeniu.

Na atrakcyjnej twarzy o śniadej cerze błyskawicznie pojawił się szeroki uśmiech.

Przystojniak wstał, zapiął guzik białej marynarki, spod której wystawała błękitna koszula, i zwinnym krokiem podszedł do niej.

Cudownie pachniał!

– Można się przysiąść? – zapytał zmysłowym głosem.

Miał piękne, brązowe oczy, do których od zawsze czuła wielką słabość.

– Proszę – szepnęła, wskazując puste krzesło i czując, że jej smukła, ozdobiona kilkoma bransoletkami dłoń skutecznie przyciągnęła uwagę mężczyzny.

– Ela – dodała z uśmiechem.

Podniósł jej dłoń i ucałował.

– Grzegorz – oznajmił, odpiął guzik, usiadł i spojrzał jej głęboko w oczy.



Harry sięgnął po butelkę i napełnił ciepłą wódką pięćdziesiątkę.

Wyjął z ust papierosa, oparł go o szklaną popielniczkę, po czym wziął haust. Skrzywił się i oparł o ścianę. Przez chwilę trwał w bezruchu, czując jak alkohol rozlewa się po jego ciele. Sięgnął po dymiącego papierosa, zaciągnął się mocno i znowu przywołał wspomnienie Nataszy, cudownej dwudziestolatki o bezwstydnym uśmiechu, którą poznał miesiąc temu w jakiejś studenckiej knajpie.

To była piątkowa noc. Dla niego cholernie męcząca – krążył po mieście, rozpaczliwie rozpytując swoich informatorów w sprawie okrutnych gwałtów, nad którymi pracował ostro, niemal obsesyjnie, od paru dni.

Tuż po drugiej wstąpił do knajpy wypełnionej roześmianymi studentkami i rozochocionymi studentami. Po krótkiej wymianie zdań z ucholem, zamówił sobie piwo i usiadł przy stoliku tuż przy parkiecie. Opróżnił duszkiem kufel, wytarł usta, przymknął oczy i po paru minutach poczuł, że stres z niego uchodzi.

Poszedł po kolejne piwo i zaczął błędzić wzrokiem po parkiecie. Szybko zorientował się, że scenę zdominowała długowłosa dziewczyna w seksownej kamelowej czapeczce. Nic dziwnego, wyglądała jak fantazja erotyczna wymyślona przez stylistów z MTV, która całkowicie zatraciła się w ekstatycznym tańcu.

Komisarz z narastającym pożądaniem rejestrował szczegóły jej wyglądu: pełne usta, bluzka na ramiączkach odsłaniająca brzuch i obcisłe skórzane spodnie. Rytmiczne ruchy szczupłych rąk i ponętnych nóg zahipnotyzowały go zupełnie i rozbudziły wyobraźnię.

Kiedy zorientował się, że większość chłopców i mężczyzn obłapia ją wzrokiem z taką samą natarczywością jak on, poczuł zażenowanie. I bezsilność.

Właśnie bezsilność – im był starszy, tym ostrzej uświadamiał sobie własną słabość w obliczu pięknego ciała. Kiedyś z dumą ją akceptował, rujnując jednocześnie kolejne związki ze stałymi partnerkami, teraz coraz częściej popadał z jej powodu w melancholię. „My, mężczyźni, jesteśmy seksualnymi nieszczęśnikami” – mówił do siebie, kiedy wracał do domu po pijaku z rozpustnej randki z przygodnie poznaną kobietą. „Jesteśmy niewolnikami cycków” – dodawał, padając półprzytomny na łóżko. Wystarczy, że cycki migną nam przed oczami, a my zrobimy wszystko, żeby się w nie wtulić”. Przed seksem czuł więc bezsilność pomieszana z pożądaniem, w trakcie seksu zwierzęcą rozkosz, a po seksie dojmujące przygnębienie. „Kto dał cyckom taką władzę nad nami?” – pytał histerycznie, staczając się w niespokojny sen.

Jego rozterki wzmagaly ostatnio opowieści zgwałconych kobiet, z których wylaniał się obraz mężczyzny jako zwierzęcia pozbawionego kontroli nad własnym instynktem. Nie mógł przejść nad ich nieszczęściem do porządku dziennego. Co więcej, coraz częściej wracał pamięcią do swojego małżeństwa, które ostatecznie zniszczył, ulegając swojemu niepohamowanemu libido.

W tamtą piątkową noc, która powoli zamieniała się w sobotni poranek,

podszedł do roztańczonej dziewczyny, kiedy przy barze kupowała piwo, i zaczął z nią rozmawiać.

Po paru minutach byli już dobrymi kompanami. Żartowali swobodnie, opowiadali sobie pikantne scenki z własnego życia, zamawiali kolejne „wściekle psy”. Jej imponował zawód policjanta, jemu rozerotyzowana młodość. Gdy didżej puścił „Joe Le Taxi” Vanessy Paradis, wyszli na parkiet, zaczęli się całować, a potem wybiegli z knajpy i po parunastu minutach wylądowali u niego w łóżku.

Ostatni obraz, jaki zapamiętał, przedstawiał nagą Nataszę, która rytmicznie podskakiwała nad nim, zagryzając swoje błyszczące wargi.

Kiedy się obudził, już jej nie było. Na stole w kuchni znalazł karteczkę: „Dzięki. Powtórki nie będzie. Natasza”.

Słowo „Natasza” odczytał na głos, czując jednocześnie, że na karku zjeżyły mu się wszystkie włoski. Przeszył go dreszcz pożądania. „Jeszcze. Chcę jeszcze” – usłyszał dziewczęce westchnienie, które parę godzin temu doprowadzało go do ekstazy.

Harry się wzdrygnął. To nagły dźwięk telefonu przerwał bezceremonialnie wspomnienie.

Sięgnął po słuchawkę.

– Tak? – mruknął.

– Harry, jesteś?

– Jak słyszysz.

– Pod twój blok podjedzie samochód. Mamy trupa w Stramnicy. Młoda dziewczyna.

– Czekam.

– Za dziesięć minut.

Oficer odłożył słuchawkę. Rozejrzał się po zaniedbanej kuchni, wstał z krzesła, zamknął butelkę, odstawił ją do lodówki i poszedł do przedpokoju.

Zerknął w lustro i przytrzymał przez kilka sekund spojrzenie na samym sobie.

Skrzywił się i odwrócił.



Ostrowski usiadł w swoim starym, niezwykle wygodnym fotelu, otworzył puszkę piwa, rozsiewając aromat ulubionego trunku po pokoju zagraconym dziesiątkami kaset, i wycelował pilotem w odtwarzacz.

W końcu mógł zrobić coś, co chodziło za nim od tygodnia.

Upił solidnego łyka i wbił wzrok w ekran telewizora, na którym pojawiło się żółte logo Warner Bros. Pictures, a zaraz potem na czarnym tle czerwone litery układające się w nazwisko reżysera: George P. Cosmatos.

– W roli głównej Sylwester Stallone – oznajmił Tomasz Knapik, przyprawiając policjanta o gęsią skórkę.

– W Ameryce co jedenaście sekund następuje włamanie – zamruczał zmysłowo amerykański aktor, kiedy kamera pokazała wystylizowaną główkę kobry. – Napad z bronią w rękę co sześćdziesiąt sekund, brutalne przestępstwo co dwadzieścia pięć sekund, morderstwo co dwadzieścia cztery minuty i dwieście pięćdziesiąt gwałtów dziennie”.

Sierżant zmrużył oczy.

W kadrze ujrzał pistolet, który został wycelowany wprost w widza. Rozległ się strzał. Pocisk ruszył przed siebie z wielkim impetem. Nagle ekran zrobił się czerwony.

– Kobra – przeczytał kultowy lektor.

– *Oh yeah, men!* – krzyknął Ostrowski i przejechał dłonią po swoich długich włosach.

W tym momencie rozległ się telefon.

Sierżant zamarł.

– Tylko nie teraz! – warknął, ale nacisnąwszy stopklatkę, karnie zwlókł się z fotela i podszedł do telefonu przytwierdzonego do wytapetowanej ściany w korytarzu.

– Mamy trupa. – Usłyszał w słuchawce zaaferowany głos Kowalskiego. –

Trupa kobiety. Dawaj na komendę, ale już!

Westchnął, przerwał połączenie, zerknął na ekran, na którym widniała czarna sylwetka motocyklisty i mruknął:

– *Damn it!*



Katia przymknęła oczy.

Dlaczego teraz? – jęknęła w myślach i złapała się za brzuch. *Dlaczego teraz?*

Oparła głowę o biurko, próbując jakoś przeczekać ból. Kiedy ucisk zelżał, spojrzała na zegar. Dochodziła osiemnasta.

Mam nadzieję, że zaraz mnie stąd wypuszczą – pomyślała, marząc jednocześnie o tym, żeby położyć się ostrożnie na łóżku, zwinąć w kłębek i w tej pozycji dotrwać do rana, nie będąc przez nikogo niepokojoną.

Przez chwilę bała się, że nastąpi powtórka sprzed paru miesięcy, kiedy z powodu okropnego bólu wylądowała w szpitalu, ale tym razem – na szczęście – obyło się bez takich sensacyjnych zwrotów akcji.

Westchnęła, machinalnie przypominając sobie skrzywione twarze babci i matki: wszystkie trzy przechodziły okres równie okropnie. „To chyba jedna z niewielu rzeczy, które nas do siebie upodabniają” – oświadczyła kiedyś sarkastycznie babcia Bogusia podczas rodzinnej uroczystości. „Co dowodzi, że wbrew pozorom jesteśmy jednak spokrewnione”.

To było dobre – stwierdziła w duchu Katia, uprzytamniając sobie, jak bardzo wszystkie trzy się różniły. Ogień, woda i... ziemia? Ale która była którą?

Nie знаła odpowiedzi, bo tak naprawdę nie wiedziała, co oznaczają poszczególne symbole, ale przypomniała sobie scenę z jakiejś rodzinnej

uroczystości, pewnie stypy. Babcia, bardzo energiczna i strasznie gadatliwa kobieta, położyła ręce na białym obrusie, przechyliła głowę w charakterystyczny dla siebie sposób i oznajmiła kaznodziejskim tonem: „Katieńko, zapamiętaj sobie, jeśli coś się złego dzieje, chowamy się pod kołdrę i czekamy, aż minie zagrożenie”.

Akurat z tą dewizą Katia nigdy się nie zgadzała. Tak jak i jej ojciec zresztą.

Znowu westchnęła, uprzytamniając sobie, że ojciec zawsze ją wkurzał, ale i fascynował. Był, jaki był, ale miał swoje zdanie, które pewnym głosem wypowiadał, niezależnie od konsekwencji.

– Wypieprzać z mojej głowy – mruknęła zirytowana, z trudem się podniosła i oparła o krzesło.

W tym momencie trzasnęły drzwi. Do pokoju wparował podkomisarz Miszczu, niewysoki brzuchaty wąsacz po czterdziestce.

Wyszczrzył zęby, spoglądając na posterunkową, która niezdarnie próbowała odwzajemnić uśmiech.

– Pakuj się, Miszczyni – rzucił energicznie. – Jedziemy na trupa.

To ja jestem trupem – pomyślała Katia i wyobraziła sobie, że jej dusza opuszcza obolałe, nieprzyjazne, martwe ciało i natychmiast wynosi się z komendy. Tam, gdzie jest cicho i bezludnie. Gdzie nikt niczego nie wymaga. Gdzie nie dzieje się nic.

II

Było już całkiem ciemno, kiedy wjechali do Gaju Wielkiego, niewielkiej wioski położonej przy szosie prowadzącej na zachód.

Kiedy Ostrowski dostrzegł po lewej stronie posępny budynek, włączył kierunkowskaz, po czym skręcił w wąską uliczkę pogrążoną w intensywnym mroku.

– Byłeś tu kiedyś? – zagadnął kolegę i zdjął nogę z gazu.

Kowalski przełknął ostatni kęs lukrowanego pączka i pokręcił przecząco głową.

– Ale zimno – burknął w odpowiedzi. – Włącz lepiej ogrzewanie.

– Nie działa.

Policjanci zamilkli, wyężając wzrok i próbując zorientować się w obcym terenie porośniętym krzewami i drzewami.

– To chyba tutaj – rzucił Ostrowski. – Musimy minąć ten PGR, potem jechać cały czas przed siebie, aż do małego ronda. Wiocha nazywa się Stramnica. Paręset metrów dalej zaczyna się las. Gdzieś tam znaleziono trupa.

Samochód zakołysał się pod wpływem jakichś nierówności.

– „*This is the road to hell*” – zanucił basem długowłosego mężczyzna.

Po paru minutach niepewnej jazdy dostrzegli migające w oddali niebieskie światła.

– Są nasi – rzucił Kowalski i chwilę później ujrzeli miejsce zbrodni, po którym energicznie krzatali się ich dobrzy znajomi.

Pole, wielka rozłożysta grusza, stos drewna i majająca linia lasu w tle. No i deszcz, który filmowo rozmazywał scenerię.

Kiedy otworzyli drzwi, usłyszeli psy ujadające w pobliskich gospodarstwach.

– Psy dupami szczekają – skwitował Ostrowski i założył kaptur. – A pan niebios leje na wszystko i na wszystkich.

Kowalski wzruszył ramionami, przełknął ostatni kęs pączka i zaczął wypatrywać któregoś ze zwierzchników.

Policjanci ruszyli w stronę krzającącej się grupy.



Nagle zrobiło się poruszenie. Coś brzęknęło nieprzyjemnie.

– Co się dzieje?

Sierzanci gwałtownie odwrócili głowy i zobaczyli upadającego na ziemię mężczyznę.

To był komisarz Kalupa, najstarszy wiekiem i stażem dochodzeniowiec z Komendy Wojewódzkiej. Upadając, jęknął głucho.

– Heniu, co się dzieje?

Harry wyrzucił papierosa, podbiegł do kolegi i nachylił się nad nim z troską.

– Heniu, żyjesz?

Przewrócił go na plecy, przytrzymując głowę, i sprawdził mu puls.

Odetchnął z ulgą.

– Żyjesz – mruknął, po czym spróbował go ułożyć w pozycji siedzącej.

– Pomóżcie mi, chłopcy! – zawołał.

Po chwili podniesiono bezwładne ciało oficera i ułożono w jednym z samochodów.

– Pewnie kolejny zawał – rzucił ktoś.

– Nie kracz.

Zaraz potem nadjechał warczący mercedes medyka sądowego.

– W samą porę – dodał ktoś inny. Ale takim złowrogim tonem, że wystraszeni sierżanci spojrzeli po sobie, a potem wbili wzrok w czarne warczące kombi.

Wygląda jak karawan – pomyślał Ostrowski i niespodziewanie przypomniał sobie tytuł piosenki, której słuchali w samochodzie: „Road to Hell”.

Obok nich stanął podinspektor Rambert. Zdjął rękawiczki, wyjął z kieszeni paczkę gum, odwinął jedną i włożył do ust.

Rozejrzał się po miejscu zbrodni, pomyślał chwilę i zerknął na Kowalskiego.

– Kowal obejmuje dowodzenie – oznajmił stanowczo.



Katia połknęła tabletkę przeciwbólową, popiła wodą i podeszła do grupki, która w milczeniu przyglądała się zwłokom kobiety o niezidentyfikowanej jeszcze tożsamości i paskudnie uszkodzonej głowie.

To była brunetka, mniej więcej czterdziestoletnia, ubrana w czerwony płaszcz.

Leżała na lewym boku. Prawa noga wyprostowana, lewa podkurczona. Prawa ręka odwiedzioną od osi ciała i zgiętą w łokciu.

Wstępne ustalenia mówiły, że ktoś zamordował ją dzisiaj pomiędzy dwunastą a czternastą. Ciało odnalazł rolnik, który przechodził tędy z psem około piętnastej.

– Uszkodzenie w okolicy prawego oczodołu – powiedział medyk, szczupły niewysoki mężczyzna po sześćdziesiątce, który nagle wyłonił się z cienia,

przerywając milczenie oraz bezgłośnie monologi policjantów. – Co jeszcze? Złamanie kości potylicznej. Na całej głowie ubytki tkanki i włosów.

– Narzędzie zbrodni? – zapytał Harry, nie wyciągając papierosa z ust.

Posterunkowa spojrzała na jego surową twarz.

– Najpewniej coś w rodzaju klucza francuskiego.

– Podręczne narzędzie każdego zmotoryzowanego świra – prychnął Ostrowski.

– Zmotoryzowanego? – zapytał Kowalski.

– Podobno jakiś rolnik widział parkujący w pobliżu samochod na poznańskich blachach, z którego wysiadła nieznana mu para. Niebieski żuk.

Medyk pokiwał głową i wyjął z kieszeni kurtki foliową torebkę, do której żona zapakowała mu bułkę serem. Ugryzł solidny kawałek.

– I jeszcze takie coś, mała obserwacja – dodał z pełnymi ustami. – Dziewczyna ubrała się bardzo seksownie. Mała czarna, figi, kabaretki, buty na obcasach. Tak jakby wybierała się na randkę. Czerwone paznokcie na dłoniach, u nóg. No i ten płaszczyk. Jednym słowem, jest ślicznie zapakowana.

– Myślisz, że to kurwa? – zapytał Mischu, dłuźbiąc w zębach.

Katia zmarszczyła brwi.

Doktor Kulej zaśmiał się.

– Niekoniecznie, chłopie – odpowiedział.

– To wszystko, Bronku? – zapytał Kowalski, który na polecenie zastępcy naczelnika miał przeprowadzić oględziny.

– Na teraz tak. Zabieram ciało do zakładu. Jutro będzie raport.

Medyk wytarł ręce o spodnie i ponownie zniknął w cieniu.

Posterunkowa spojrzała na Ostrowskiego, który w tym samym momencie odwrócił się w jej stronę. Skinęli sobie głowami, lustrując się dokładnie. Harry wyciągnął notes i zaczął coś notować.

Kowalski jak zaczarowany przyglądał się zabitej, próbując wyobrazić sobie najbardziej prawdopodobny scenariusz wydarzeń.

Las, randka, zabójstwo?

Dlaczego tutaj?

Premedytacja czy afekt? A może po prostu jakiś bezsensowny przypadek?

Czy doszło do seksu? Gwałtu?

Funkcjonariusze operacyjni nie znaleźli nigdzie ani dokumentów, ani torebki. Trzeba będzie jutro rano dokładnie przeszukać teren.

– Hej. – Usłyszał głos kolegi. – Jestem Ostrowski. A ty?

– Katia Domagała.

– Pierwszy raz cię widzę.

– Nic dziwnego. Dzisiaj zaczęłam pracę w Wojewódzkiej.

– To ci powiem, że zabójczo debiutujesz.

– Można tak powiedzieć.

Katia mimowolnie skrzywiła się, czując, że dół brzucha wypełnia się pulsującym bólem.



– Słyszałeś? Wczoraj w Amsterdamie rozjechał się samolot. Zginęło ponad czterdzieści osób.

Harry spojrział zniecierpliwiony na policjanta, który pracował na pobliskim komisariacie, i pokręcił przecząco głową.

– Na pokładzie podobno był uran!

– Nie słyszałem, stary.

– I ja się pytam, o co chodzi?!

– Nie mam pojęcia. Wróćmy do tematu. Jesteś stąd, więc wiesz więcej od nas. Masz jakieś podejrzenia? Kogo byś wytypował? Pomyśl chwilę.

Pięćdziesięcioletni wąsacz prychnął.

– Czy ja bym kogoś wytypował? – Podrapał się po zarośniętym policzku. Chwilę pomyślał, po czym uśmiechnął się, wysuwając do przodu język. – Pewnie, że tak! – oznajmił i zamachał rękoma. – Co drugiego pijaka bym wytypował, kurwa. Łażą luje po okolicy ze swędzącymi chujami i marzą o jakiejś fajnej i łatwej dupie. – Splunął z niechęcią. – Jebane obiboki.

– A kogoś konkretnego?

Sierżant podrapał się po głowie.

– Prawdę mówiąc, tak. Jak mnie teraz pytasz, to sobie przypominam, że przecież Marian Konieczko siedział za gwałt. Wyszedł z pierdla parę miesięcy temu. Mieszka tu niedaleko z matką. I kurami. Nieprzyjemny typek, kobiety omijają go szerokim łukiem.

Milczenie.

– A może to on? Nie zdziwiłbym się. Jakiś miesiąc temu zaczepiał na przystanku w Mieściskach młode dziewczyny. Nasi interweniowali. Straszna menda.

Komisarz pokiwał głową. *To już coś* – pomyślał i wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów. Przysunął ją w stronę rozmówcy. Zapalili, zaciągnęli się i powoli wypuścili dym.

– Zaraz do niego pojedziemy – odezwał się oficer. – A z kim warto pogadać? Kto tutaj dużo wie o okolicy?

– Poza ciekawskim proboszczem, który wszystkich spowiada i przy okazji wyciąga z nich ostre historyjki?

Rechtot.

– Poza.

– Z leśniczym z Bytnia. Zna mnóstwo ludzi, cały czas objeżdża las, uwielbia plotkować. Może coś widział?

W oddali znowu rozległo się ujadanie psów.



– Co się stało?

Katia wyprostowała się momentalnie i wbiła ręce w kieszenie.

– Nic.

Harry rzucił niedopałek na ziemię i przygniótł go ubrudzonym butem. Uśmiechnął się.

To on się uśmiecha? – zdziwiła się posterunkowa, czując coraz większy ból w dole brzucha.

– Nabór chrześcijański jesteś – powiedział wesoło.

- Co to znaczy?
- Tak nazywamy wszystkich, którzy zostali przyjęci do firmy po osiemdziesiątym dziewiątym. – Komisarz wyszczerzył zęby.
- Zabawnie – mruknęła Katia, zaciskając jednocześnie pięści w kieszeniach.
Jeszcze chwila, a wybuchnę – zawyła w myślach. *Kto tak cudownie zjebał kobiece ciało?*
- Pojedziesz ze mną – oznajmił. – Musimy sprawdzić jednego gwałciciela.



Żeby mi się tak chciało, jak mi się nie chce – pomyślał Mischu, kiedy siedział w zagraconej kuchni i przyglądał się krzątaniu lekko wstawionego gospodarza.

- Za chwilę będzie herbata.
- Świetnie – odpowiedział machinalnie podkomisarz, układając w myślach pytania.

- Zje pan coś? W garnku gotuje się kielbasa. Wczoraj sąsiad miał świniobicie.

Policjant spojrział na piec kaflowy, na którym gotowała się armia różnej wielkości garnków. Uwagę zwracał przede wszystkim wielki kocioł wypełniony jakąś ohydą mazią.

- Nie, dziękuję.
- Jak pan uważa, ale mięcho pierwsza klasa. Z chrzanem i chlebkiem jest zajebiste. Za coś takiego w zajeździe dałby pan majątek.

Pochwałę naturalnego i taniego jedzenia przerwał gwizdek czajnika. Leśniczy zalał wrzątkiem szklanki, do których wcześniej wrzucił herbaciane torebki. Przysunął w stronę podkomisarza cukierniczkę oraz talerzyk z połówką

cytryny.

– A może coś mocniejszego, panie władzo? – zapytał usłużnie. – Czym chata bogata!

– Może innym razem. Dzisiaj mam mało czasu.

– No tak. Morderstwo. Musicie się sprężyć.

– No właśnie! – Mischu posłodził herbatę i ukroił kawałek cytryny – Widział pan coś dzisiaj, słyszał? Interesuje nas szczególnie czas pomiędzy dwunastą a piętnastą.

Leśniczy nabrał nożem trochę chrzanu i posmarował nim parującą kiełbasę.

– No słyszałem.

– Ale co?

– No przed drugą jakiś facet przyszedł do Heńków po pomoc.

– Jaką pomoc?

– Samochód mu zgasł, jak przejeżdżał przez kałużę. Świeca mu się zalała.

– Sam był?

– Samiuteńki.

– Jaki samochód?

– Niebieski żuk.

– No dobra. Przyszedł i poprosił o pomoc. Co dalej?

– Heniek pojechał tam swoim tarpanem, odholowali go na podwórko.

Doprowadzili samochód do porządku. No i gościu odjechał. A potem znaleziono w krzakach kobitę.

– Jak wyglądał?

– Kto?

– No ten gościu.

– Panie kochany, Heńka zapytajcie. Podobno był ciemny na ryju.

– Ciemny?

– Coś jak Cygan albo Bułgar. Albo Rumun. Wie pan, co mam na myśli.

Leśniczy nadział duży kawał kiełbasy na widelec i włożył go do ust. Tłuszcz pociekł mu po brodzie. Oblizął się.

Co za wieprz – pomyślał policjant.

– Ale kiełbacha. Może jednak się pan skusi?

Mischu pokręcił odmownie głową. Rozejrzał się po kuchni. Jego wzrok znowu zatrzymał się na kotle z dziwną, bulgoczącą zawartością.

Co to, kurwa, jest? Pewnie żarcie dla psów – domyślił się i poczuł, że kolacja podchodzi mu do gardła.



Ela zaśmiała się głośno.

– To była udana randka, moja droga – oznajmiła radośnie, wpatrując się w czerwone paznokcie lewej ręki. – Bardzo udana.

Zamilkła na chwilę.

– Chcesz znać szczegóły? No dobrze. To zadzwoń za pięć minut, odbiorę w sypialni. Pa, słonko.

Odłożyła słuchawkę i wyszła z salonu. Gdy znalazła się w przytulnie urządzonej sypialni, zrzuciła z siebie szmizjerkę, zerknęła w lustro i uśmiechnęła się do kobiety w czarnej bieliźnie.

Dzwonek telefonu. Odebrała.

– To słuchaj – szepnęła, kładąc się na łóżku. – Siedziałam sobie w Merkurym, usychając z tęsknoty za jakimś przystojniakiem. Wyobraź sobie: miesiąc bez seksu. W pewnym momencie przysiadł się do mnie młody mężczyzna, jeszcze przed trzydziestką. Ładny, uśmiechnięty, w stylowej marynarce. Grzegorz. Mówił, że jest trenerem trampkarzy w jakimś wielkopolskim klubie piłkarskim. Cudownie pachniał. Zaczęliśmy rozmawiać. Miał bardzo przyjemny głos. Był zabawny, wesoły. Wypiliśmy kilka lampek wina, zaczął mnie całować. Kiedy położyłam mu rękę na rozporku, wychrypiał, żebyśmy poszli do niego do pokoju. Nie mogłam odmówić. Kochanie, to było boskie. Już dawno nikt mnie tak nie...

Śmiech.

– Słonko, nie bądź wulgarna. To nie przystoi pani doktor. Jaki był? Czuły, cierpliwy. No i niestrudzony.

Ela dotknęła ręką brzucha i przygryzła wargi. Na myśl o poprzednim wieczorze przeszedł ją prąd.

– Doszłam parę razy – szepnęła. – Gdy kończył, momentalnie zaczynał od nowa. Jest szybki, ale też łatwo regeneruje swoje samcze siły. Prawdziwy szturmowiec. Polecam.

Zamilkła.

– Czuję, że żyję – dodała. Potaknęła głową. – Kolejna randka jutro. Ma mnie zabrać do Tarnowa Podgórnego, a potem do lasu na spacer. Powiedział, że zna urocze miejsce. Zabawnie się przy tym zarumienił. No cóż, moja droga. Nie mam nic przeciwko przechadzce po lesie, tym bardziej że zapowiadają słoneczną pogodę.

Westchnęła i przymknęła oczy, przypominając sobie delikatne pieszczoty Grzegorza.

– Zdzwońmy się jutro – mruknęła. – Późnym wieczorem. Opowiem ze szczegółami. Pa.

Odłożyła słuchawkę.

Położyła się na brzuchu, włożyła rękę w majtki i oddała się swojej ulubionej fantazji. Opera, damska toaleta. Stoi przed lustrem i poprawia szminką usta. Nagle drzwi się otwierają, do środka wchodzi przystojny nieznajomy z parodniowym zarostem, ubrany w niebieski garnitur, koniecznie z ekstrawagancką poszetką. Do jej nozdrzy dociera orzeźwiająca woń, w której wyczuwa nutę ukochanego cynamonu. Całe jej ciało pokrywa gęsia skórka.

Mężczyzna zatrzaskuje drzwi i rusza w jej kierunku.

Staje, nachyla się nad nią.

W lustrze widzą swoje lekko zaróżowione twarze.

Całuje jej szyję, a potem zniemacka odwraca ją do siebie, zsuwa ramiączka, obnaża piersi i przygląda im się długo z rosnącą fascynacją. Jego coraz szybszy oddech sprawia, że jej ciało zaczyna drżeć. Chwyta go za sprzączkę od pasa, który pospiesznie rozpina. Czuje, jak policzki jej płoną. Gdy spodnie opadają, bierze głęboki wdech, przygryza usta i powoli kładzie rękę na wybrzuszeniu w błękitnych bokserkach. Zaczyna je gładzić. Mężczyzna jęczy cicho. Ela uśmiecha się do siebie i powolutku zsuwa bokserki, wyobrażając sobie kształt nabrzmiałego penisa, którego zaraz weźmie do ust.



Ujadanie psów nie ustawało.

Kowalski omiótł wzrokiem miejsce zbrodni, po którym kręciło się kilku jego kolegów i koleżanka z Wydziału Kryminalistyki.

W oddali majaczyła linia lasu. Gdzieś migotały światełka emitowane przez pobliskie domostwa. Nad gruszą wisiał błyszczący księżyc, który przypomniiał sierżantowi „Dzienniki Gwiazdowe” Lema, traktujące o groteskowych podróżach w kosmosie. Nocne niebo od czasów licealnych kojarzyło mu się nieodmiennie z tamtymi opowieściami.

– Ciemno tu jak w dupie – oznajmił Ostrowski, przerywając koledze literackie wspominki.

– Można tak to ująć.

– Moja ulubiona książka tak się właśnie zaczyna.

– Jak?

– „Noc czarna jak tyłek sudańskiego palacza”.

– Jestem pod wrażeniem twoich lektur.

– Też bym był na twoim miejscu.

Kowalski zapisał coś w notesie.

– Ostry, sprawdźmy jeszcze najbliższy fragment rowu.

– Po co?

Pulchny sierżant nie odpowiedział, tylko zapalił latarkę i ruszył przed siebie. Długowłosego sierżanta poszedł za nim. *Służbista* – pomyślał.

Stanąwszy nad rowem porośniętym krzewami, zaczęli go oświetlać i przez kilka minut intensywnie przeszukiwali wzrokiem teren. Każdy detal mógł zaważyć na losach śledztwa. Dżery, ich bezpośredni przełożony i zarazem pilny czytelnik protokołów, od zawsze wbijał im to do głów.

„Podnieście najmniejszy paperek z ziemi” – mawiał na naradach. „Zabezpieczcie najdrobniejszy włosek. Im więcej szczegółów, tym lepiej”.

- Widzisz coś?
 - Nie. Nie, widzę.
 - Nie widzisz? – dopytał Ostrowski, marszcząc brwi.
 - No mówię, że widzę! – warknął zniecierpliwiony Kowalski. – Nie rozumiesz po polsku?
 - Najwyraźniej nie w twojej wersji!
- Zapadła cisza.
- No to co widzisz, chłopie?
- Kowalski zrobił krok do przodu i podniósł coś z ziemi.
- Co to?
 - Rękawice.
 - Dobra. Zabezpieczamy.

III

Harry załomotał w drzwi. – Dzień dobry! – krzyknął. – Halo!

Cisza. Po chwili gdzieś w środku domu rozległ się jakiś brzęk, potem usłyszeli człapanie i pokasływanie.

– Czego tam? – Starczy głos, chyba kobiecy.

– Policja, proszę otworzyć!

Szczęk zamka. Skrzypnięcie drzwi. W progu stanęła sędziwa staruszka ubrana w niebieski stylonowy fartuch.

– Czego? – zapytała opryskliwie.

– Jest Marian? – Harry uśmiechnął się przyjaźnie, obnażając filmowo białe zęby. – Chcieliśmy pogadać.

Katia stwierdziła w myślach, że starszy kolega ma dwa oblicza. Posepnego gbura i magnetycznego czarusa.

– Nie ma.

– Gdzie jest?

– Nie wiem. Wbiegł do szopy zdyszany, wyciągnął rower i gdzieś pojechał.

– O której?

– Nie pamiętam dokładnie. Przed drugą było.

Katia spojrzała na Harry'ego, który podniósł brwi i odwzajemnił spojrzenie.

– Nie wrócił dotąd?

– No przecież mówię, że nie.

W tym momencie policjantka znowu poczuła silny pulsujący ból w dole

brzucha.

Oficer pokiwał głową i zapytał niezwykle uprzejmie:

– Pozwoli pani, że wejdziemy i rozejrzemy się?



– Co robimy? – zapytała Katia, gdy wrócili do samochodu.

Harry spojrział na zegarek. Dwadziesta z minutami.

– Spróbujemy poszukać tego chujka – oznajmił. Pomyślał chwilę, chwycił za nadajnik radiowy i podał rysopis. Sześćdziesiąt lat, wzrost metr siedemdziesiąt pięć, krępa budowa ciała, długie siwe włosy, parodniowy zarost.

– Gość jest ubrany w kufajkę – dodał. – I ogólnie flejtuchowaty.

– I jeździ rowerem – dodała posterunkowa.

Policjant powtórzył ostatnią informację.

– Pojedziemy do tej meliny, o której wspomniała jego matka – zwrócił się do Katii. – Kierunek się zgadza.

Posterunkowa pokiwała głową.

Harry zapalił silnik i kątem oka spojrział na nią. Przymknęła oczy i położyła rękę na brzuchu.

Zmarszczył brwi.

– Nie chcę być wścibski – odezwał się – ale chyba... Chyba jesteś dziś... niedysponowana?

Spojrzała na niego groźnie.

– O co ci chodzi? – zapytała, czując, że jeszcze chwila i się rozplacze.

Podniósł ręce do góry.

– Nie jestem ślepy i widzę, że co chwilę łapiesz się za brzuch. Masz bladą twarz. Co jakiś czas zapadasz się w sobie. Może cię to zdziwi, ale...

Katia pokiwała bezradnie głową.
– ...wiem coś o tym – rzucił oficer.
– Co niby wiesz? – Zaśmiała się.
– Moja była żona boleśnie przeżywała okres. Parę razy musiałem ją zawozić na pogotowie.
– Po co teraz o tym mówisz?
– Wiem, że to twój pierwszy dzień w robocie, ale nie powinnaś się wygłupiać. Ktoś może cię zastąpić.
Policjantka powoli wypuściła powietrze i wbiła wzrok w kolegę.
– Harry – wycedziła. – Wbij jedynekę i jedźmy. – Zamilkła. Po chwili dodała, próbując się uśmiechnąć: – Dam sobie radę.
Harry pokiwał głową, wbił jedynekę, puścił sprzęgło i nadepnął pedał gazu. Niebieski polonez, kupiony parę tygodni temu w podpoznańskim salonie, ruszył energicznie z miejsca.



Kiedy samochód zniknął w leśnych ciemnościach, starszka narzuciła na siebie kurtkę, wsunęła nogi w kalosze i wyszła z domu. Powolnym starym krokiem przecięła podwórko i podeszła pod drzwi ziemianki.
Zamknięte w kojcu psy zapiszczały.
– Zaraz wam coś przyniosę, cicho – powiedziała. – Poczekajcie chwilę, łobuzy.
Otworzyła drzwi.
– Marian! – krzyknęła. – Już pojechali. Wyłaż.
Żadnego odzewu.
– No wyłażże – zirytowała się.

Zrobiła krok do przodu. Wyciągnęła z kieszeni latarkę i skierowała strumień światła w ciemność.

– Marian?

Poczuła niepokój. *Dlaczego się nie odzywa?* – pomyślała. Przecież powinien tu być i czekać, aż przyjdzie i powie mu, że już jest dobrze. Jej synek. Matołek, ale jedyny. Ukochany. I dobry, choć wiele osób w to wątpi.

Ludzie są głupi, nic nie rozumieją – stwierdziła w duchu, wchodząc do ziemianki. Tylko się gapią, jakby chcieli opluć. Nawet w kościele patrzą jak wilki. Przecież każdy może zgrzeszyć, a potem może zmazać swoje winy. A Marian zmazał. No i się zmienił. Pomaga jej w obejściu, do kościoła chodzi, wraca zawsze na noc.

Gdy zeszła na sam dół, gdy dotknęła twardej ziemi, na której leżały worki z ziemniakami, zamarła z przerażenia.

Na grubym sznurze przywiązanym do stropu wisiało bezwładnie ciało jej syna.

Wytrzeszczyła oczy, czując, że żołądek podchodzi jej do gardła.

Zaczęła się trząść.

– Nie! – jęknęła i pokuśtykała niezdarnie do martwego Marianka. – Nie! – zawyła, tuląc się do śmierdzącego wódką ciała. – Nie!



– Co tak śmierdzi? – mruknęła Katia, kiedy weszli do jednoizbowej chałupy, ledwo przypominającej ludzką siedzibę.

– Denaturat, jabole i spirytus – pospieszył z odpowiedzią Harry.

– Bombowy koktajl.

Nie było prądu, więc musieli posłużyć się latarkami, żeby przeszukać ten

niemiłosiernie zagracony dom.

Opony, jakieś zardzewiałe narzędzia, brudne naczynia, szmaty, gazety, połamane krzesła. Na stole stał czarno-biały telewizor marki Saturn – z rozbitym ekranem. Wszędzie walały się butelki. I niedopałki.

Poza tym cisza i bezruch. Niemal jak w grobie. Czyżby nikogo nie było?

Gdy wrócili na korytarz, usłyszeli chrapanie.

– To z kibla – stwierdził operacyjny i otworzył drzwi.

Poświecił. Na betonowej podłodze, obejmując klozet, leżał obrzygany mężczyzna. Przyjrzeni się mu dokładnie. Jakies trzydzieści lat, krótkie czarne włosy. Ubrany w jeans, na nogach białe adidas.

Harry trącił go nogą.

Żadnej reakcji.

– Facet!

Nic.

– Obudź się!

Pierdnięcie.

– Najebany jak messerschmitt – podsumował oficer. Katia się wzdrygnęła. Gdzieś z głębi pamięci wyłonił się obraz ojca, który w czasie stanu wojennego niemal codziennie upijał się do nieprzytomności.

Poczuła lęk. Na plecach pojawiły się krople potu. Wypuściła głośno powietrze. Musiała stąd wyjść. Jak najszybciej. Na świeże powietrze. Na zimno.

– Nic tu po nas – odezwał się Harry. – Nie dogadamy się z nim dzisiaj. Najwyżej jutro wrócimy, jak będzie trzeba.

Katia odetchnęła z ulgą.

– Wychodzimy.

Gdy wrócili do samochodu, usłyszeli w radiostacji komunikat.

– Pod Grzebieniskiem zgłoszono trupa mężczyzny.

Wsluchali się w treść komunikatu o samobójstwie przez powieszenie. Posterunkowa spojrzała na kolegę.

– Ej, myśmy tam byli jakieś dwadzieścia minut temu. To jest przecież dom Mariana, którego szukamy!



– Pani Janko. – Harry zniżył głos, żeby ton współczucia należycie wybrzmiał. – Bardzo pani współczuję, naprawdę. Ale teraz musi nam pani powiedzieć prawdę. Życia synowi nie zwrócimy, ale możemy zawalczyć o jego dobre imię. Chodzi o to, żeby oczyścić go z podejrzenia o zabójstwo. Rozumie pani, o co mi chodzi?

Matka samobójcy tkwiła nieruchomo przy stole. Oczy miała zaczerwienione. W rękach ścisnęła bawełnianą chusteczkę do nosa.

Katia dotknęła jej dłoni.

Kobieta podniosła wzrok. Załkała.

– Pani Janko – odezwała się posterunkowa, starając się, żeby jej głos brzmiał jak najbardziej przyjaźnie. – Niech pani powie, jak było.

Spojrzała na matkę Mariana, która zagryzła drżące usta.

– W południe syn poszedł do lasu na grzyby, na maślaki – powiedziała płaczącym tonem starsza pani. – Kręcił się tu i tam. Po pierwszej łąził po okolicach Stramnicy. Tam usłyszał dziwne odgłosy, jakieś krzyki. Wystraszył się... – Kobieta zamilkła. Spojrzała na Harry'ego, potem na Katię. Pokręciła głową. – Nie wiedział, co robić – powiedziała gwałtownie. – Od wyjścia z więzienia unikał kłopotów...

Pani Janka zamilkła. Wysmarkała nos. Wzięła oddech, wypuściła powietrze i ciągnęła dalej:

– Strasznie bał się więzienia. Od wyjścia na wolność miał koszmary, nie mógł spać.

Szloch.

– Gdy zrobił parę kroków, zobaczył leżącą pod gruszą kobietę. Rzęziła. Przy samochodzie stał jakiś mężczyzna. Marianek przywarł do drzewa i obserwował. No bo co miał robić? Facet otworzył bagażnik, wyjął z niego rękawice, potem chwycił jakieś żelastwo, podszedł do tej kobiety i uderzył ją parę razy. Potem zaciągnął

w krzaki i poszedł sobie. Gdy zniknął, synek przybiegł do domu. Opowiedział mi wszystko i zaczął krzyczeć, że policja zrzuci to na niego i wróci do więzienia, na całe życie. Na koniec się rozplakał. Jęczał, że przyjdą po niego, że przyjdą jeszcze dzisiaj. A potem, gdy się uspokoił, wziął ze spiżarki pół litra i poszedł do ziemianki. Bez słowa. Nie wchodziłam tam, dopiero po waszym odjeździe postanowiłam sprawdzić, co u niego. Nie chciałam go denerwować. Myślałam, że się upije, zaśnie i tak dotrwa do rana.

Cisza.

Harry wyrozumiale pokiwał głową. W połowie opowieści przyszło mu na myśl, że Marian to przede wszystkim ofiara. Biedne zwierzę, którym rządzi instynkt. Lunatyk, który nagle się budzi i widzi, że pod swoją nieświadomą nieobecność zrobił coś złego.

Policjant poczuł dojmujący smutek, a chwilę później alkoholowy głód. I tęsknotę za Nataszą, za jej młodym, ekscytującym ciałem. Chciał upić się, rozebrać i wejść w nią.

Też jestem zwierzęciem – stwierdził w duchu. *Wszyscy jesteśmy zwierzętami.*

– Jaki to był samochód? – zagađnęła neutralnie Katia.

Chciała doprecyzować informacje, które będzie musiała zawrzeć w notatce służbowej. Później stwierdzi, że zadając to pytanie, obudziła w sobie psa myśliwskiego, że właśnie wtedy poczuła, że jest prawdziwym operacyjniakiem.

Znajdziemy cię – pogroziła w myślach zabójcy.

– Marianek mówił, że niebieski żuk.

– Uhm. A jak wyglądał ten facet?

– Był śniady. Jak cygan.



Harry skończył palić papierosa, zdusił resztkę w popielniczce i wyjął kluczyki z kieszeni.

– Żal mi go – powiedział.

– Kogo? – zapytała Katia, zapinając kurtkę.

– Marianka.

– Marianka? Przecież to skurwiel!

Harry wzruszył ramionami, uruchomił przyjemnie warczący silnik, po czym włączył światła.

– Marianek. – Posterunkowa się zaśmiała. – Gwałciciel. To jest odpowiednie słowo. Gwałciciel, który słusznie zakończył swój obrzydliwy żywot. O jedną mendę mniej na świecie.

Samochód ruszył z miejsca, rozpryskując kałuże.



Pani Janka pozamykała wszystkie drzwi, połknęła swoje tabletki, wypila rumianek i położyła się na tapczanie.

Wszyscy odjechali. Zniknęli policjanci, zniknęły zwłoki Marianka. Znowu zapadła cisza. Została sama – z bolesnymi wspomnieniami, spośród których najżywsze dotyczyło zatrzymania jej syna.

Pamięta ten dzień doskonale. To była środa. Południe. Wyszła na ogród, żeby narwać sałaty. Nagle pod dom zajechały dwa samochody, jeden od frontu, drugi od tyłu. Na podwórko wbiegła grupa uzbrojonych milicjantów i wtargnęła do domu. Po chwili zobaczyła, jak prowadzą Marianka – skutego kajdankami. Stała jak wryta.

Otworzyła oczy. Zaczęła się trząść. Wstała z tapczanu. Podeszła do okna, odsłoniła firanę. Księżyc rzucał poświatę na podwórko. *To już koniec* – pomyślała.

Nie mam po co żyć.

Zaczęła płakać.

A głęboko w nocy, w śnie, zobaczyła swojego syna, z obłędem w oczach, rozchyltanego, dyszącego głośno, który podchodzi do młodej przerażonej dziewczynki.

„Złapali bestię” – tak brzmiał nagłówek lokalnej gazety, która ukazała się dzień po zatrzymaniu Marianka.

„Matka bestii odmawia rozmowy” – takie było ostatnie zdanie artykułu.



– Panie Henryku – odezwał się Miszczu. – Podobno poratował dziś pan jakiegoś faceta?

– Zgadza się – odpowiedział świeżo ogolony pięćdziesięciolatek, obierając pomarańczę.

– Jak to było?

Mężczyzna zaczął dzielić owoc na kawałki.

– Jak to było? – powtórzył pytanie. – Niech pomyślę. O jakiejś drugiej na podwórku pojawił się nieznajomy gość. Psy głośno szczekały. Wyszedłem z garażu, akurat odpowietrzałem hamulce przy polonezie. Przywitał się grzecznie, powiedział, że samochód mu stanął. Poprosił o pomoc. Wydawał się w porządku, więc stwierdziłem, że nie ma sprawy, pomogę mu. Odpaliłem tarpana i pojechaliśmy na miejsce.

Policjant pokiwał głową.

– Co się stało z jego samochodem?

– Wjechał w kałużę i zalał sobie świecę. Znam ten ból, przy dużym fiacie bardzo często tak miałem. Badziewie, nie samochód! Kurwa, panie! Spadnie

deszcz, zrobią się kałuże i strach wyjeżdżać na ulicę. W każdej chwili silnik może zgasnąć. A idź pan w chuj! Spieszyłem się kiedyś na ważną uroczystość. Przysięga wojskowa syna. Odpalam wóz, jadę sobie spokojnie, czując radość w sercu, że syn zamienia mi się w prawdziwego chłopca, a tu nagle jebut! Ulewa! Panie, jak nie pizgnie z nieba... Gdy dojeżdżałem do celu, wjechałem w bajoro, no i mi kutas stanął. W sensie samochód, hehe! Jakies dwadzieścia kilometrów od celu.

– Okej, okej – przerwał mu Mischu, po czym zapytał: – Podjechaliście tam?

Pan Henryk wyciągnął z szafki talerzyk, na którym ułożył cząstki pomarańczy.

– Proszę się częstować.

Mischu chętnie sięgnął po owoc. Zaszło mu w gardle, a gospodarz z niejasnych przyczyn nie zaproponował niczego do picia. *Co za skąpy chujek, owocem mnie częstuje zamiast kawą* – pomyślał podkomisarz.

– Podjechaliśmy. To niedaleko, jakieś pięćset metrów stąd.

– I co dalej?

– Nic. Odholowaliśmy go. Potem zadzwoniłem po kolegę, który zna się na samochodach. Wiesiu wymienił świecę i gościu odjechał.

– O której?

– Będzie parę minut po trzeciej.

– Jak wyglądał?

– Średni wzrost. Całkiem dobrze ubrany, ale nie pamiętam dokładnie jak.

– Coś jeszcze?

– Ale co?

Mischu wzruszył ramionami.

– Coś charakterystycznego? Gdyby musiał pan opisać za pomocą paru słów, jakich sformułowań by pan użył?

Milczenie. Na zewnątrz poszczekiwały psy. Policjant z trudem ukrywał zniecierpliwienie. To było jego ostatnie zadanie na dzisiaj. Potem w samochód i do domu.

– Cygan.

– Dlaczego?

– Miał ciemną cerę. W ogóle był dziwny. Niby przystojny, ale coś mi w nim zgrzytało... Jak dłużej popatrzyło mu się w oczy.

– Coś jeszcze?

Rolnik podrapał się po głowie i po chwili na jego twarzy zakwitł promienny uśmiech.

– W środku miał stertę „Catsów”. Wie pan, pisemko z gołymi panienkami, ale mocno rozkraczonymi.

Mischu wiedział. Był wiernym czytelnikiem skandynawskiego magazynu. Jak jedna trzecia komendy zresztą. Przypomniał sobie Penny, blondynkę

z naoliwionymi dużymi piersiami, która cudownie wypinała się przed obiektywem aparatu. Na rękach miała przezroczyste rękawiczki, a na stopach białe skarpetki i buty na obcasie.

– *Kobitki – powiedział, gdy zorientował się, że widzę jego pornograficzną kolekcję. – To moja słabość.*

– *A kogo nie? – odpowiedziałem mu. – No bo taka jest prawda, nie ma co ukrywać.*

Podkomisarz przytaknął.

– Kiedy Wiesiu gmerał pod maską, myśmy zaczęli rozmawiać o tym i owym. Zeszło na baby. „A wie pan”, powiedział do mnie. „Muszę mieć pięć dziennie”. Tak powiedział! Swoją drogą, ciekawe, czy się przechwalał, czy rzeczywiście taki z niego szczęśliwy ruchacz.

– Pięć dziennie – powtórzył policjant, myślami odpływając do dnia, w którym po raz pierwszy zobaczył egzemplarz „Cats”. To był 1991 rok, chyba zima, może styczeń, może luty. Odwiedził norę jednego ze swoich uholi. W czasie rozmowy zerknął na stół, na którym leżał stos świerszczyków. Podniósł od niechcienia jednego. Przekartkował parę stron i zadrżał. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widział. *O taką demokrację walczyłem – pomyślał wtedy, czując, że krew zaczyna szybciej krążyć w żyłach. Piękną bezwstydną dziwkę, która się łąsi do kamery.* Tego dnia świat stał się bardziej przyjaznym. Mischu uśmiechnął się do swojego rozmówcy.

Zanotował kilka zdań w notesie i wstał, żeby wreszcie pożegnać się i skończyć na dzisiaj robotę. Był wykończony, marzył o kąpieli i zimnym piwie.

wtorek, 6 października 1992

IV

Z głośników sączyły się słowa „Tears in Heaven” Erica Claptona, kiedy Ostrowski zawadiacko wkroczył do pokoju.

Zmarszczywszy czoło, spojrzął na zarumienionego kolegę, który siedział przy stole i wpatrywał się w piramidkę ułożoną z pięciu tłustych pączków.

Zeżreć czy nie zeżreć, oto jest pytanie – pomyślał rozbawiony.

Przystanął, oparł się o ścianę i nie bez pewnej złośliwości odczekał, aż Kowalski po długim mocowaniu się ze swoim słodkim nałogiem ulegnie i wyciągnie rękę po zakazany wypiek.

– Zbieraj się, chłopie! – krzyknął zniecierpliwiony, gdy tak właśnie się stało.

Pulchny policjant podskoczył na krześle.

– Co jest? – mruknął przestraszony, odwracając się niechętnie od rozkosznej konstrukcji i wbijając wzrok w dziwny napis na bluzie Ostrowskiego. Z trudem odcyfrował: „Obituary”.

Bardzo á propos naszego zawodu – pomyślał.

– Jedziemy! – padła odpowiedź.

– Gdzie?

– Do Ceradza.

– A co to jest?

– Wiocha.

Kowalski pokiwał głową, przygryzł wargi i szybkim ruchem chwycił pączka.

– Jaka wiocha? – zapytał, zanim wziął łapczywego kęsa.

– W pobliżu miejsca odnalezienia zwłok kobiety. Dzisiaj rano zgłoszono zniknięcie jakiejś babki stamtąd. Mamy sprawdzić.

W odpowiedzi wybrzmiał odgłos pospiesznego przełknięcia. Sierżanci nałożyli kurtki, energicznie wyszli z pomieszczenia i szybko zbiegli po schodach komendy, mijając kryminalnych idących gęsiego na rytualnego papierosa w kiblu.



– Kim jest dziewczyna, którą wczoraj zagadywałeś? – zapytał Kowalski, kiedy policjanci opuszczali granicę Poznania.

Ostrowski skręcił lekko w lewo, wbił czwórkę i dodał gazu. Na liczniku dzielnego malucha prędkościomierz wskazywał osiemdziesiątkę.

– Posterunkowa Katia Domagała. Przenieśli ją z Komisariatu Grunwald... Fajna, co?

– No nie wiem. Boję się jej.

– Dlaczego?

– Miała tak ponurą minę, że wolałem ją omijać szerokim łukiem.

– Trzeba było ją zagadać.

– Następnym razem to zrobię... Ładna.

– Bardzo ładna. Ostra, ale też sympatyczna... dopóki jej nie wkurwisz.

– Jak Nikita.

– Nikita?

– Ta z filmu Bessona. Złodziejka i narkomanka, która po zabójstwie policjanta dostała propozycję pracy dla francuskich tajnych służb.

– Nie oglądam francuskich filmów – mruknął Ostrowski i po chwili milczenia dodał: – Chociaż ten akurat widziałem. Katia jest o wiele ładniejsza. No i te włosy: długie, proste, zebrane w kitkę. Pachnące. Magia.

Śmiech.

– Masz rację – podjął Kowalski. – W kobiecych włosach zamieszkuje jakieś bóstwo. Patrzysz i czujesz gęsią skórę. Nie wiadomo, skąd to się bierze. Patrzysz i chciałbyś składać pokłony. Patrzysz i...

Policjanci zamilkli.

– Gdzie ją przyjęli? Do kryminalnych?

– No.

– Będzie miała przejebane.

– Dlaczego?

– Przecież to są buraki.

– Przesadzasz... – Ostrowski pokręcił głową. – Poza tym... Katia sobie poradzi. Wczoraj widziałem niezłą scenkę. Ktoś rzucił do niej „Cześć, maleńka”, a ona w odpowiedzi nastroszyła się, a potem ostentacyjnie wbiła wzrok w jego rozporek i odpowiedziała: „No, cześć, maleńki”. Gdybyś zobaczył ten jadowity uśmiech, automatycznie podniósłbyś ręce do góry.

– Tam polecą wióry – szepnął Kowalski.

– Po prostu jej nie wkurwiał – oznajmił Ostrowski, sięgnął po kasetę Metalliki z napisem „Kill'em all” i włożył ją do kieszonki magnetofonu. Dwie sekundy potem rozległ się charakterystyczny, bardzo melodyjny riff elektrycznej gitary. Gdy odezwała się perkusja, samochód ruszył z miejsca.

– *All right!* – krzyknął wokalista, wywołując szeroki uśmiech na twarzy Ostrowskiego, który zaczął bębnić palcami o kierownicę.



– Uprzedzam, że twarz jest... zdeformowana.

Mężczyzna zbladł. Drżącą ręką wziął od długowłosego policjanta zdjęcie

zabitej kobiety, potrzaskał głową i przyjrzał się uważnie.

Trwało to kilkanaście sekund.

– To nie jest moja żona – stwierdził i usiadł na krześle przy stole.

Przez chwilę oddychał głośno, a potem wytarł ręką spocone czoło.

– To nie ona – powtórzył. – Malwina miała ciemniejsze włosy, była też zupełnie inaczej ubrana.

Nie wie, czy się ucieszyć, czy jeszcze bardziej zmartwić – pomyślał Kowalski, próbując jak zawsze wczuć się w przesłuchiwanego.

– To na pewno nie jest ona.

Cisza.

– Ale poznaje ją pan w ogóle? – zapytał Ostrowski. – Może to jakaś sąsiadka, znajoma?

– Nie. Pierwszy raz ją widzę.

– Jeśli dobrze zrozumiałem – wtrącił się Kowalski – pani Malwina wyszła w niedzielę z domu i dotychczas nie wróciła?

– Zgadza się.

– Zaginięcie zgłosił pan dzisiaj rano.

– Myślałem, że pojechała do którejś ze swoich przyjaciółek z Poznania. Czasami tak robiła, kiedy się pokłóciliśmy. Zostawała u niej na jedną noc. Czasami dwie.

– Ale dlaczego akurat wcześniej rano?

– Przestraszyłem się. Możecie to nazwać przeczuciem.

– Przeczuciem?

– Obudziłem się przed piątą zlany potem. Miałem koszmary. Z jednej strony zacząłem wyobrażać sobie różne mroczne scenariusze, z drugiej wkurwiłem się, bo to jednak przesada nie wracać na noc, kiedy ma się męża i małe dziecko. Miałem straszny mętlik w głowie.

Mężczyzna westchnął bezradnie.

– Pojebane z popierdolonym. Raz się martwiłem, raz wściekałem. O szóstej dostałem ataku paniki i zadzwoniłem na policję. Musiałem to jakoś przerwać.

Ostrowski spojrział na kolegę, który coś notował w swoim zeszycie, i zapytał:

– O co się pokłóciliście?

Milczenie.

Zegar zawieszony nad telewizorem wskazywał dziewiątą.

– Panie Arku, rozumiem, że panu może być głupio mówić o tak prywatnych sprawach, ale muszę pana uprzejmie poprosić o odpowiedź. Lepiej niczego nie ukrywać. Naprawdę.

Cisza.

– O co się pokłóciliście?

Trzydziestolatek oblał się rumieńcem. Wyciągnął z kieszeni polara

pogniecionego papierosa i włożył go od ust.

– Macie ognia?

Kowalski sięgnął po zapalniczkę i przypalił papierosa. Mężczyzna zaciągnął się.

– Podejrzewam, że żona mnie zdradza. Później wraca z pracy, jest ciągle nieobecna myślami... Od miesiąca odmawia mi seksu, a jednocześnie kupuje sobie seksowną bieliznę... Parę dni temu znalazłem w szafce jakieś pierścionki, pewnie prezent od kochasia. Ostatnio kumpel z pracy mówił mi, że widział Malwinę, jak wychodziła z jakiegoś poznańskiego hotelu. Zapytałem ją o to. Wściekła się. Powiedziała, że ją szpieguję. Od tego się zaczęło. Ta cała kłótnia.

– A jak się skończyło?

– Tym, że chwyciła swoją torbę, trzasnęła drzwiami, wsiadła w samochód i pojechała. Zostawiając, kurwa, dziecko i mnie.

– O której?

– Siedemnasta, osiemnasta.

– Co pan zrobił po jej wyjściu?

– Krzyknąłem, żeby spierdalała. A potem wziąłem Anulkę, naszą córeczkę, i pojechałem z nią do matki, która mieszka w Podrzewiu. Po „Dzienniku” wróciłem do domu. Malwiny nie było. Nie znam numerów tych jej zaprzyjaźnionych dziwek, więc nawet nie wiedziałem, gdzie zadzwonić. Koniec końców upiłem się i poszedłem spać. Budziłem się co jakiś czas, a jej ciągle nie było. W poniedziałek musiałem iść do pracy, więc jakoś się trzymałem. No, ale w nocy...

Policjanci spojrzeli na rozgorączkowanego rozmówcę, który sprawdził godzinę na swoim elektronicznym zegarku.

– Powinna już być. O tej porze zawsze wracała. Myślałem, że i tym razem tak będzie. Zniknie, ale potem wróci bladym świtem. Taki mieliśmy rytuał.

Uśmiechnął się nerwowo.

– Doszło do rękoczynów?

– Kurwa, oczywiście, że nie.

– Ma pan jej zdjęcie? – zapytał Ostrowski.

Mężczyzna wyszedł z pokoju i po chwili wrócił z niewielką białą kopertą. Wyciągnął z niej fotografię i położył na stole. Sierżanci zerknęli na portret trzydziestoparoletniej kobiety o długich brązowych włosach, wydatnych kościach policzkowych i zmysłowych ustach podkreślonych ostrą czerwoną szminką. Malwina Bojarska odważnie spoglądała w obiektyw, jakby chciała zmanifestować swoją niezależność i bezkompromisowość.

Piękna – pomyślał Kowalski. Ostrowski pokiwał z uznaniem głową, zatrzymując dla siebie przeświadczenie, że „żonka na pewno poszła w długą z jakimś dzianym absztyfikantem”.

Gdy mężczyzna zorientował się, że policjanci nie mogą oderwać wzroku od

jego zjawiskowej żony, wykrzywił ironicznie usta. Chwilę później z jego oczu popłynęły łzy.



– I co myślisz? – zapytał Ostrowski, kiedy wrócili do samochodu zaparkowanego pod płotem ustawionym przed linią lasu. – Ma to związek z naszą sprawą?

– Nie wiem – odpowiedział Kowalski. – Napiszemy notatkę i tyle. Na razie nie widzę żadnego związku. Poza zbieżnością miejsca.

– Może to on ją zjebał? A teraz ściemnia?

– Może. Ale póki co to nie nasza sprawa.

Długowłose sierżant otworzył drzwi.

– Przypomniała mi się wykurwista rodzinna historyjka – mruknął, siadając za kierownicą. Przypomnij mi później, żebym ci opowiedział. Rzecz dzieje się w lesie, no i jest trup.



– Czołem, chłopaki!

Sierżanci podnieśli głowy znad protokołów, które pracownicy wystukiwali na swoich wysłużonych maszynach do pisania.

W progu stanęła Katia, ubrana w obcisłe dżinsowe spodnie, glany i flanelową koszulę. Policyjny pas podkreślał jej szczupłą sylwetkę oraz zadziorny charakter.

– Cześć!

– Mam ważnego newsa od Wydziału Kryminalnego. – Posterunkowa zrobiła krok w stronę kolegów, którzy na jej widok znacznie się ożywili.

– Słuchamy cię uważnie – powiedział Kowalski, mimowolnie spoglądając na zegarek. Zbliżała się dwudziesta. Gdzieś w głębi komendy rozległ się sygnał wiadomości sportowych. Może to Bury kończył dzień pracy, zerkając na ekran swojego ukochanego telewizora?

– Kobieta zabita w Stramnicy nazywa się Honorata Miller, w skrócie Honia. Mieszka w Poznaniu, na Osiedlu Kosmonautów. Czterdzieści lat, mężatka, jedno dziecko, córka. Nasi mówią, że warto powęszyć przy jej mężu. Facet od paru lat próbował się jej pozbyć.

– Co to znaczy „pozbyć”?

Katia skrzywiła się i podrapała za uchem.

– Sorry, ale nie znam szczegółów – odparła, zirytowawszy się, że nie potrafi odpowiedzieć na to bardzo sensowne pytanie.

V

Katia owinęła głowę ręcznikiem i spojrzała w lustro. Na lśniącej twarzy dostrzegła kilka pryszczki.

Co za jęłop wymyślił okres – pomyślała. Poprawiła turban i wyszła z łazienki. Gdy znalazła się w dużym pokoju, zerknęła na zegar z kukułką, spadek po zmarłej prababci, która z pasją kolekcjonowała tego rodzaju przedmioty.

Dochodziła jedenasta w nocy.

Włączyła telewizor, ustawiła drugi program i usiadła w fotelu. Na ekranie pojawił się Steven Seagal ubrany w czarną marynarkę i błękitne dżinsy.

– Dlaczego nie chodzisz do kościoła? – zagadnęła go czarnoskóra kobieta. – Dobrze ci to zrobi. Ocalisz swoją duszę.

Po tych słowach nastąpiło łagodne przejście do kolejnego ujęcia.

Msza. Seagal stał obok Sharon Stone w kapeluszu, trzymającą na rękach niemowlę. Po chwili wszyscy usiedli. Zaczęło się kazanie. Kamera powoli kadrowała kolejne twarze.

– Naszym obowiązkiem jest poznanie prawdy – oznajmił duchowny. – Musimy uczyć się stawiać pytania, musimy czytać, by wiedzieć, co władze robią w naszym imieniu. Musimy wspierać te dzielne dusze, które poszukują prawdy. Niech bóg nas błogosławi. Amen.

– Amen – odpowiedzieli wierni, w tym Seagal i jego żona.

Ksiądz ruszył przed siebie, za nim ministranci. Na ekranie po raz kolejny pojawiła się kobieta o ciemnej cerze ubrana na czarno. Przeżegnała się, wstała,

postawiła na podłodze papierową torbę i szybkim krokiem zaczęła zmierzać w stronę wyjścia. Seagal spojrzął na jej znikającą postać, zmrużył oczy i nagle krzyknął:

– Padnij!!!

Wtedy nastąpił wybuch.

Rozległy się krzyki. Wierni zaczęli wybiegać z kościoła.

Katia przewróciła oczami, podeszła do telewizora, wyłączyła go i ponownie usiadła w fotelu. Odetchnęła głęboko, uświadamiając sobie, że nie czuje bólu brzucha. Że nic jej nie skręca. Nic nie pulsuje w jej wnętrzu. Nic nie cieknie.

Cisza przed burzą?

Zamknęła oczy.

Była zmęczona, nie miała siły pójść do łóżka. Wyciągnęła nogi. Po chwili zalało ją ciepło. Przez jej głowę zaczęły przepływać obrazy z poniedziałku.

Zwłoki zamordowanej kobiety otoczone przez zdezorientowanych mężczyzn. Szczekające psy, biegające wzdłuż płotów pokrytych mchem. Kryminalni przeczesujący w milczeniu okolicę.

Szefowie, którzy coś szeptali między sobą, ustalając skład grupy operacyjnej.

Szlochająca matka Marianka.

Harry, który próbował ją wesprzeć. Co on powiedział? Że jego żona boleśnie przeżywała okres? No okej, to sympatyczny facet...

No i ci sierżanci, Flip i Flap.

Katia na dłużej zatrzymała się przy Ostrowskim, długowłosym wielkoludzie. Był całkiem zabawny. Ten drugi, pulchniejszy, miał dziwną minę, jakby nabzdyczoną...

Gdy zaczęła przysypiać, usłyszała dźwięk telefonu. Westchnęła i zwlekła się z fotela. Stała w progu przedpokoju i podniosła słuchawkę.

– Dzień dobry, córeczko.

Tylko tego brakowało! Mama!

Błagam, tylko nie dzisiaj!

Nie miała najmniejszej ochoty na pogaduszki z tą bogobojną katechetką, która każdą rozmowę z córką nieodmiennie zwracała w stronę jednej kwestii: „Czy byłaś w niedzielę na mszy świętej, córeczko?”.

– Cześć, mamuś – odpowiedziała, siląc się na przyjazny ton.

– Dobry wieczór. Możemy porozmawiać? Wczoraj próbowałam się dodzwonić, ale nie odbierałaś.

– Byłam w robocie.

– O tej porze?

– No tak. Trupa mieliśmy, trzeba było zapieprzać do świtu.

– Zapieprzać? Jak ty się wyrażasz? Jesteś młodą kobietą z dobrego,

pobożnego domu, powinnaś używać odpowiedniego języka!

Policjantka przewróciła oczami.

– *Boże!* – zawyła w myślach.

– Jestem policjantką, używam normalnego języka – wycedziła. – Dzwonisz po to, żeby mi prawić morały? Bardzo ci dziękuję za wsparcie.

– Według mnie nie powinnaś pracować w policji.

Katia ścisnęła mocniej słuchawkę.

Ból brzucha powrócił. Pulsowanie zaczęło narastać. Dziewczyna usiadła na podłodze.

– Po co dzwonisz? – sapnęła.

– Jak to po co? Żeby porozmawiać z córką!

– Porozmawiać, czy żeby ją po raz kolejny opierdolić?

– Jak ty się wyrażasz?!

– Odpowiednio do sytuacji. Słuchaj, nie mogę dłużej rozmawiać, jestem zmęczona, mam okres, wszystko mnie boli, a rano muszę wstąpić.

– Byłaś w niedzielę na mszy świętej, córeczko?

– Nie! – ryknęła Katia i z hukiem odłożyła słuchawkę.

Przez parę minut siedziała nieruchomo, ze zgiętym brzuchem, wyobrażając sobie tortury, jakim chętnie poddałaby swoją matkę. Zaczęłyby od wyrwania języka jakimś przerażającym żelaznym narzędziem. Potem zakneblowałyby usta, chcąc uzyskać pewność, że ukochana rodzicielka już nigdy nie wypowie żadnej pobożnej myśli. Dalej przeszłaby do podduszania, i to gołymi rękami, a następnie do przypiekania stóp...

Tu Katia urwała wątek, czując, że robi się śmieszna.

Westchnęła, wstała, pogasiła w mieszkaniu światła i położyła się na łóżku.

Po godzinie przewracania się z boku na bok w końcu zasnęła. Śniło się jej, że jest trupem, że leży pod gruszą i że gapią się na nią mężczyźni o prostaczkowatych twarzach. Któryś z nich pierdnął na koniec oględzin. Ona wtedy otworzyła oczy i ku zdumieniu wszystkich obecnych warknęła: „Wypierdalać”.

VI

Dlaczego nie odbiera? – pomyślała. Powinna już dawno wrócić z leśnej randki. Po raz kolejny wykręciła numer do najlepszej przyjaciółki.

Nic.

Jednostajny, przerywany dźwięk. Nikogo nie ma w domu. Mąż w pracy, żona na randce.

Odłożyła słuchawkę i zerknęła na zegar: dochodziła północ. *Czyżby pieprzenie ciągle trwało? No bez przesady, Elka, koniec tego dobrego, wracaj do domu, odbierz telefon i opowiedz, jak było. Mam dość czytania o seksie, chcę posłuchać jakiejś prawdziwej historii.*

Kamila spojrzała na nocny stolik, na którym piętrzył się stos książek Philipa Rotha, cudownie rozpustnego pisarza. Uśmiechnęła się na wspomnienie sceny, w której bohater „Kompleksu Portnoya” opowiadał o tym, jak matka uczyła go odlewać się na stojąco.

Jak to szło?

„Zrób ładne psi psi, bubele, zrób ładne siusiu dla mamusi”.

Gdy jednak przypomniała sobie, że dzisiejszej nocy będzie musiała dokończyć referat na temat „nauki o pożądaniu” w prozie Rotha, mina jej zrzedła.

– Za jakie grzechy? – mruknęła. – Dlaczego zostałam badaczką, dlaczego postanowiłam napisać habilitację? Dlaczego nie wyszłam bogato za męża jak Elka i nie korzystam z życia jak ona?

Pokazała język Rothowi, dźwignęła się z łóżka i poszła do kuchni, żeby

zaparzyć sobie kawę. Wstawiła wodę, wyciągnęła z szafki kubek, sięgnęła po kawę i usiadła na krześle.

Chwyciła numer „Przekroju”, na którego okładce widniała fotografia młodej kobiety w koronie. „Kto to... STR.12” – odczytała.

Odnalazła wskazaną stronę – był tam artykuł o miss Polonii, Ewie Wachowskiej. Nie mogła się jednak skupić na lekturze.

A jeśli coś się stało Eli? – pomyślała nagle zaniepokojona. *Może to jakiś wariat? Dorosły facet proponuje dorosłej kobiecie seks w lesie?*

Zagryzła usta, czując, że serce zaczyna szybciej bić.

Parę tygodni temu oglądała „Magazyn Kryminalny 997”, w którym Michał Fajbusiewicz rekonstruował śledztwo w sprawie gwałtów powiązanych z zabójstwami. Całkiem przystojny bandzior uwodził kobiety, zapraszał na romantyczne spacerunki do parków i podmiejskich lasków. Większość tych randek kończyła się tragicznie.

– Boże – szepnęła Kamila, słysząc w tyle głowy charakterystyczny dźwięk zapowiadający ów program. – Przecież to naprawdę może być jakiś zbir!

Zaczęła się nerwowo drapać po policzku. Gdy jej pobudzona wyobraźnia podsunęła obraz martwej, roznegliżowanej przyjaciółki, poczuła łzy w oczach.

Nagle rozległ się dźwięk gwizdka od czajnika.

Wstała pospiesznie, zalała kawę, obmyła twarz zimną wodą i poszła do pokoju, w którym czekała na nią maszyna do pisania i urwany w połowie tekst.

Usiadła przy biurku. Spojrzała na kartkę papieru wkręconą w wałek i odczytała podkreślone zdanie: „Niektórzy widzą w niej egoistkę w najostrzejszym, najbardziej dosadnym znaczeniu tego słowa i wyrachowaną poszukiwaczkę rozkoszy”.

– Ble, ble, ble. – Przewróciła oczami i powiedziała: – Na dziś koniec z tym bełkotem.

Poszła do kuchni, wylała kawę do zlewu i udała się do sypialni. Wykręciła numer Elki. Znowu to samo. Nikt nie odbierał.

Poczuła niepokój. *Coś się stało* – pomyślała.

Położyła się na łóżku.

Obraz martwej Eli powrócił.

Usiadła i objęła nogi ramionami.

– Zadzwoń na policję – powiedziała głośno, po czym wstała i podbiegła do telefonu. Podniosła słuchawkę i przyłożyła ją do ucha. Wykręciła pierwszą dziewiątkę, drugą, potem siódmą i – odłożyła słuchawkę.

– A może lepiej podjechać do niej i sprawdzić osobiście? – mruknęła i spojrzała na swoje nagie stopy.

Wróciła do sypialni. Gdy usiadła na łóżku, usłyszała zza ściany kobiecy przeciągły jęk.

To była Madzia, śliczna studentka, która parę tygodni temu wynajęła sąsiednie mieszkanie.

Kamila uśmiechnęła się, słysząc kolejną falę miłosnych okrzyków.

Histeryzuję – skarciła się w duchu, zgasiła światło i położyła się do łóżka.

Ela po prostu zatraciła się w seksie, tak jak Madzia – pomyślała. Pewnie pojechali do hotelu, żeby kontynuować zabawę. Pewnie teraz się drze wniebogłosy, przeżywając kolejny orgazm. Szczęściara. Ja też tak chcę.

Albo i nie. Faceci są przereklamowani, a orgazmy tak naprawdę w przyrodzie występują niezwykle rzadko. Policzmy. Ile miałam orgazmów? No dobra, nie chce mi się liczyć, ale na pewno o wiele mniej niż moi partnerzy. Ułamek tego. Promil.

Kamila zamknęła oczy i wtuliła się w poduszkę.

Jak myśmy się poznały? No właśnie, jak?

To była jakaś ostro zakrapiana impreza studencka. W pewnym momencie Ela, mocno już wstawiona, wskoczyła na stół i zaczęła tańczyć ku uciesze kolegów. Gdy zrzuciła z siebie bluzkę, ktoś chwycił butelkę taniego szampana, wstrząsnął i polał jej cycki ledwo mieszczące się w staniku. Była wniebowzięta. Wariatka.

Ona sama stała wtedy z boku i przyglądała się facetom, którzy łąpczywie obmacywali wzrokiem jej mokry, rozkołysany biust. Młode, podniecone, przepełnione spermą wilczki. Zabawny widok. A może niebezpieczny?

Mam nadzieję, że nic złego jej się nie stało – pomyślała Kamila, zanim pograżyła się we śnie.

środa, 7 października 1992

Ktoś krzyknął, potem rozległy się strzały. Był bez szans.

Zaraz mnie dopadną – pomyślał z rozpaczą.

Stanął nad krawędzią przepaści. Przeżegnał się i skoczył, czując, że strach rozsadza mu czaszkę. Ciemność.

Oficer dyżurny jęknął i otworzył szeroko oczy.

– O kuźwa – szepnął. – Ale sen.

Po chwili uprzytomnił sobie, że dzwoni telefon. Spojrzał na zegarek. Druga w nocy.

Chwycił słuchawkę.

– Komisariat policji, Tarnowo Podgórne, słucham.

Po drugiej stronie usłyszał rozdygotany głos jakiejś kobiety. Mówiła nieskładnie, chaotycznie, co chwilę wybuchając płaczem. Z jej monologu wyłapał słowo „gwałt”.

Gdy zamilkła, zapytał:

– Została pani zgwałcona?

Cisza.

– Nie, moja córka. – Szloch.

– Kiedy?

– W zeszłym tygodniu, w piątek.

Policjant zmarszczył brwi.

– W piątek?

– Tak.

– Ale dzisiaj mamy środę. Jest druga rano. Przepraszam, ale dlaczego pani teraz dzwoni?

– Bo dopiero przed chwilą się o tym dowiedziałam. – Znowu płacz. – Córka ukrywała to przed nami. Dopiero dzisiaj w nocy wszystko się wydało. Mąż podsłuchał, jak wypłakiwała się przez telefon koleżance.

– Rozumiem. Proszę podać adres, po ósmej ktoś przyjedzie i spisze protokół.

VIII

Harry wrzucił peta do klozetu i spojrzał na sierżantów. Miał przekrwione oczy, nieświeży oddech i tłuste włosy.

– Świadkowie twierdzą, że Honia codziennie nosiła pierścionki. W dniu zabójstwa też. Podobno założyła ich kilka.

– Strojnisia – mruknął Ostrowski.

– Przy zwłokach nic takiego nie znaleziono – stwierdził Kowalski.

Operacyjniak pokiwał głową.

– Trzeba więc przyjąć, że sprawca je ukradł.

Na korytarzu zrobił się hałas. Ktoś gwałtownie otworzył drzwi. To był Miszczu, za plecami którego grupka kryminalnych zawzięcie o czymś dyskutowała. Kowalski wyłapał nazwisko dziennikarza, który zniknął bez wieści na początku września.

– No cześć, miszczowie! – Podkomisarz wyszczerzył zęby i przywitał się z młodszymi kolegami. Miał mocny uścisk.

– Idę się przespać – powiedział Harry. – Czołem.

Po chwili łazienka wypełniła się kłębami gryzącego dymu i męskim rechotem.



Podinspektor Andrzej Buryła był w bardzo dobrym humorze. Wczoraj wieczorem udzielił rozgłośni radiowej wywiadu na temat przestępczości po 1989 roku, a dzisiaj znalazł w jednej z lokalnych gazet swoje uśmiechnięte zdjęcie. Co więcej, po południu miał umówione spotkanie ze znanym wydawcą literatury sensacyjnej, który chciał się skonsultować w sprawie planowanej serii kryminalnej.

Spojrzał na swój efektowny zegarek – dziesiąta trzydzieści. Poprawił spinki od mankietów i sięgnął po parujący kubek z kawą. Do jego świeżo odmalowanego gabinetu weszła Katia.

– Naczelnik mnie wzywał? – zapytała niepewnie.

– Tak, siadaj.

Posterunkowa usiadła na krześle ustawionym naprzeciwko biurka, które skojarzyło się jej z Titanikiem ze względu na imponujące rozmiary, i spojrzała na szefa.

Czterdziestotrzyletni wąsacz ubrany w niebieski garnitur. Z lekkim brzuszkim i przyjaznym wyrazem twarzy. Pachniał przyjemnie i emanował pewnością siebie.

Ktoś jej mówił, że kiedyś cieszył się opinią dobrego oficera operacyjnego. Po awansie na zastępcę naczelnika, a zaraz potem na naczelnika, skupił się na papierkowej robocie i z dużym zacięciem pracował nad medialnym wizerunkiem komendy.

„Nowe czasy” – mawiał. „Nowe priorytety. Dzisiaj liczy się *soft power*”.

Czasami podnosił wtedy palec i przestrzegał: „Szanować mi dziennikarzy, to już nie jest, kurwa, PRL. Zaczynjcie ich wreszcie traktować jak ludzi”.

Był świetnym gawędziarzem, dlatego media uwielbiały z nim rozmawiać.

– Jak ci minęły pierwsze dni w pracy? – zagadnął.

– Całkiem okej.

– Całkiem okej czy bardzo dobrze?

Naczelnik uśmiechnął się czarująco. Podobno żona, specjalistka do spraw reklamy, zrobiła mu kiedyś intensywny kurs w zakresie prezentacji – dzięki temu z ponurego gliniarza przeobraził się w mistrza pijaru.

– Bardzo dobrze.

– No, od razu lepiej. A jak się sprawuje Harry?

– To znaczy?

– No tak ogólnie pytam. To świetny gliniarz, ale trochę za bardzo kowboj, więc... troszcę się o niego w sposób szczególny. Wiesz, o co mi chodzi. Dbam, by kłopoty nie stały się jego specjalnością.

Śmiech. Katia pokiwała głową.

– Rozumiem. Pełna profeska, wprowadził mnie w robotę, świetny partner. Robiliśmy razem rozpytanie. Umie rozmawiać z ludźmi. Jest empatyczny.

Buryła pokiwał głową. To prawda, Harry był świetnym kolegą. Wrażliwym, pomocnym, cierpliwym.

Szef upił łyk kawy i podrapał się po perfekcyjnie przyciętych wąsach.

– Dobrze. Przejdźmy teraz do konkretów. Chciałbym, żebyś pojechała do Tarnowa Podgórnego. Chłopaki z tamtejszego komisariatu przesłuchali dziewczynę, ofiarę gwałtu. Rzecz w tym, że jej oprawca, facet o śniadej cerze, poruszał się niebieskim samochodem dostawczym, prawdopodobnie żukiem. Dyskutowaliśmy o tym z Dżerym i te dwa fakty skojarzyły się nam z zabójcą Honi. Przesłuchaj ją dokładnie i wyciągnij jak najwięcej szczegółów na temat tego gościa, okej?



Magda, szesnastoletnia córka Honoraty Miller, spojrzała na policjantów z nieufnością.

– Co chcecie wiedzieć? – burknęła.

– Jaka była twoja mama? – zapytał sierżant Kowalski. – Od tego zacznijmy.

Dziewczyna wzruszyła ramionami i zaczęła nawijać na palec kosmyk włosów. Miała naburmuszoną minę.

– Wszyscy wiedzą, jaka była – odparła zaczepnie, wydymając usta.

Przestała bawić się włosami. Rozłożyła ręce i pokiwała głową, jakby chciała dać do zrozumienia, że nie warto strzepić sobie języka dla takich oczywistości.

– A jaka była?

– Niezrównoważona. – Po chwili pauzy dodała: – Delikatnie mówiąc.

– Co masz na myśli? – zapytał Ostrowski, lustrując uważnie dziewczynę, która wyglądała jak fanka muzyki grunge. Martensy, kolczyk w nosie, długie czarne włosy, czarna bluzka i czarne obcisłe spodnie.

– Szybko się wkurwiała. Ciągłe się wszystkiego czepiała. Była przewrażliwiona na swoim punkcie. Często szlochała po kątach, że nikt jej nie kocha i nikt się o nią nie troszczy. – Magda zaczęła nerwowo nawijać kosmyk włosów na palec.

– Jak się wam układało?

– Jak się nam układało? Miała mnie w dupie. Dom, moją szkołę, rodzinę. Była zajęta sobą. Tylko sobą. Od dwóch lat była na rencie, więc czasu miała w bród, a poświęcała go na zakupy, wylegiwanie się w łóżku do południa, rozmowy telefoniczne i spacerowanie po mieście.

– Jaką była żoną?

– Też chujową.

– Aż tak?

– Krzyczała na ojca, że chodzi na kurwy, a sama cały czas flirtowała z facetami. Moje koleżanki z klasy twierdziły, że się puszcza na prawo i lewo. Nie wiem, czy to prawda, ale wcale bym się nie zdziwiła. Czasami wracała bardzo późno, niekiedy nad ranem. Miała uśmiech dziwki, która cały czas zabiega o uwagę innych.

Sierżanci jak na komendę zagryźli wargi. Spodziewali się załamanej córeczki, tymczasem poznali wściekłą młodą kobietę.

– Nienawidziłam tych jej min.

– Dochodziło do rękoczynów? – zapytał Ostrowski.

– Czasami.

– Ojciec był brutalny?

– Ojciec? – Magda zdziwiła się.

– No ojciec, przecież pytamy o twoich rodziców.

– Rozumiem, o co pytacie. Ale to nie ojciec był agresywny, tylko matka. To ona się rzucała z pięściami na niego i spuszczała mu łomot. Była bardzo silna. – Policjanci zrobili wielkie oczy, a dziewczyna w odpowiedzi uśmiechnęła się

ironicznie. Sięgnęła po paczkę podłużnych gum. Wyciągnęła jedną ze sreberka i włożyła do ust. Przez chwilę żuła. Potem zrobiła poważną minę i powiedziała:

– Nic dziwnego, że ojciec w końcu znalazł sobie jakąś kobietę.

– Miał kochankę? – zagadnął Ostrowski.

– Tak. Ale szczegółów nie znam. Nie wnikałam w to. Nie mój interes.

Sierżant pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Ojciec miał matki serdecznie dosyć. Babcia mi powiedziała, że kiedyś chciał ją ubezwłasnowolnić.



Ta kawa jest naprawdę dobra – zdziwił się w duchu Kowalski, sięgając po jedno z ciasteczek, które Joanna Kubica, siostra zamordowanej, rozłożyła na talerzyku.

Ciasteczka i kawa, oto jest los policjanta! – pomyślał Ostrowski. *Ktoś powinien zrobić kiedyś film na ten temat. Słuchanie, picie, żarcie słodkiego i notowanie.*

Sierżanci rozejrzeli się po eleganckim salonie, którego wystrój nawiązywał do designu znanego z zachodnich filmów. To było przestronne pomieszczenie, w którym dominowała biel. Białe były ściany, meble, biała była sofa, na której siedzieli i biały był fotel, na którym spoczęła gospodyni, zakładając nogę na nogę.

Ciekawe, kim jest jej mąż? – pomyślał długowłosej policjant, prześlizgując się wzrokiem po salonie, jakby zabierał się do protokołowania oględzin miejsca.

Podłoga wyłożona lśniącym parkietem. W rogach duże donice z intensywnie zielonymi roślinami. Wielkie okna wychodzące na ogród.

– Magda nie przepadała za swoją matką – odezwał się Kowalski.

Pani Joanna, długowłosa szczupła blondynka, przypominająca do złudzenia

Sharon Stone, westchnęła.

– Odpowiedziała na pytania?

– Tak.

– Jest zamknięta w sobie. Nieufna. Cały czas ma na uszach słuchawki od walkmena. Umówiliśmy się, że będzie mieszkała u nas. Właśnie szykujemy jej pokój.

– Jaka była pani Honorata?

– Kochałam ją, ale... ale była trudna. I chyba jednak zawiodła jako matka.

Jako żona zresztą też.

– A jakie były wasze relacje?

– Całkiem znośne, od kiedy założyliśmy własne rodziny.

– Spotykałyście się?

– Tak, tak. Byliśmy w kontakcie, wspierałyśmy się. Siostra raz w miesiącu wpadała do mnie, żeby się wygadać, pożalić. No cóż, miała bujny temperament, więc jej opowieści zawsze były ciekawe. Lubiła opowiadać o swoich przygodach z mężczyznami. Czasami zastanawiałam się, czy nie jest seksoholiczką.

– A jaki był mąż?

– Marek? Normalny. Przeciętny. Miły. Żal mi go było.

– Dlaczego?

– Honia go nie szanowała. Wyrzucała mu, że mało zarabia, że jest niedojdą, że niczego nie potrafi załatwić. Jako przykład wskazywała w takich sytuacjach mężów swoich bogatszych koleżanek.

– Jak to znosił?

– Przez kilka lat cierpliwie. Ale gdy przyłapał ją któregoś razu w łóżku z sąsiadem, złożył papiery rozwodowe.

– I co?

– Honia wpadła w panikę. Nie zgodziła się. Koniec końców, sąd nie udzielił rozwodu. Wtedy na jakiś czas pomiędzy nimi się uspokoiło. Zawarli – kobieta zakreśliła cudzysłów w powietrzu – rozejm. Ale potem zrobiło się jeszcze gorzej. Honia zaczęła pić, romansować na potęgę. Całkowicie zaniedbała dom, Magdę. W końcu ruszyła w tango, nie wracała do domu przez parę dni. Marek się wściekł i wymienił zamki. Nie chciał jej wpuścić. Zrobił to, gdy przyjechała w asyście milicji; milicja, bo to było jeszcze przed osiemdziesiątym dziewiątym. Potem przeżyła ostre załamanie, odwieziono ją do psychiatryka na Szpitalnej. Parę miesięcy po wyjściu znowu stało się z nią coś złego, w nocy łyknęła jakieś tabletki i w efekcie znalazła się w gnieźnieńskim psychiatryku. Była tam parę miesięcy. Pamiętam, że Marek nie chciał jej odebrać i to ja musiałam po nią pojechać. Gdy wróciła, żyli jak obcy ludzie. Ona romansowała, on znalazł sobie jakąś kobietę. Byłam ciekawa, jak to się skończy. – Milczenie. – No i się skończyło. Jej śmiercią.

Kowalski przyjrzał się jej uważnie.

- Coś pani sugeruje?
- Nie.
- Nie? – zagadnął Ostrowski.
- Nie – odpowiedziała. – Ale gdybym była na miejscu Marka, chyba bym ją tysiąc razy udusiła. To musiało być dla niego straszne.



– Nasza Honia miała charakterek – stwierdził Ostrowski, kiedy policjanci wrócili do samochodu.

– Albo raczej zaburzenia osobowości. – Kowalski się zamyślił, przypominając sobie najbardziej pikantne sceny z życia Honoraty Miller.

Owszem, jej apetyt na seks przemawiał do wyobraźni, ale sierżanta o wiele bardziej intrygowało zupełnie co innego. Przyczyny takiego spektakularnego przejawiania się libido, tej tajemnej energii rządzącej ludzkim i nieludzkim światem.

Dlaczego taka była? Czy zawsze taka była?

Gdybym był pisarzem, to skupiłbym się na niej. Stworzyłbym kryminał, który opowiada o ofierze, a nie o sprawcy. Rzecz zaczęłaby się od śmierci, a skończyła na scenie z dzieciństwa, kiedy bohaterce przydarzyło się coś strasznego.

Chociaż nie – stwierdził w myślach. *To byłaby tania psychologia.*

– Myślisz, że to on? – zapytał Ostrowski, przerywając mu rozmyślenia.

– O co ci chodzi?

– Czy to ten bidulek, pan Mareczek, zajebał swoją żonę?

– Ale kiedy? Przecież ona w Stramnicy była z jakimś śniadym gościem. Kryminalni ustalili, że jego samochód mógł się pojawić pod gruszą około trzynastej. Po czternastej facet pojawił się w pobliskim gospodarstwie z prośbą

o pomoc. Sam. W tym czasie doszło do zabójstwa; wcześniej pewnie do stosunku. Może też kłótni, z jakiegoś powodu musiało dojść do tragedii. Gdzie tu widzisz miejsce dla męża?

– Tu akurat nie. Ale przecież mógł kogoś poprosić, wynająć. Rozumiesz, o co mi chodzi? Z tego, co mówiła siostra, mąż miał jej serdecznie dosyć, chciał sobie na nowo ułożyć fajne życie, a ten nabuzowany babsztyl uniemożliwiał mu to. Więc w końcu stwierdził, że trzeba ją zaciukać cudzymi rękoma.

– E tam.

Kowalski sięgnął po butelkę mirindy.

– Chociaż może? Kto wie? Wszystko jest możliwe.

Ostrowski zerknął na kolegę, który energicznym ruchem odkręcił zakrętkę. Ku swojemu rozbawieniu zobaczył, jak strużka gazowanego napoju wystrzeliwuje z wielkim impetem z pomarańczowo-zielonej butelki.

– O żeż kurwa! – syknął Kowalski i zaczął nerwowo wycierać kurtkę dłonią.

– Zawsze coś się musi stać! – syknął, wpatrując się w plamy. – Zawsze coś.

– Imponujący wytrysk! – Ostrowski parsknął śmiechem.

– Zamknij się, głąbie, i zapalaj gruchota.

– Tylko nie gruchota!

– Mam nadzieję, że to kurewstwo zejdzie – wymamrotał Kowalski.



– Stałam na przystanku w Podrzewiu i czekałam na autobus. Około trzynastej. To był ładny dzień, słońce przyjemnie świeciło. Pomyślałam sobie, że czas się cofnąć i znowu mamy wiosnę. Zamknęłam oczy, wystawiłam twarz, żeby się troszkę opalić i nagle usłyszałam, że obok mnie zatrzymał się samochód.

Katia pstryknęła długopisem i zapytała dwudziestoparoletnią, krótko

ostrzyżoną, nieco pulchną dziewczynę:

- Co to był za samochód?
- Nie pamiętam marki. Jakiś dostawczy.
- Uhm. Coś więcej mogłabyś o nim powiedzieć?
- Coś więcej?
- Na przykład kolor?
- Niebieski.

Posterunkowa wzięła głęboki oddech i pytała dalej. *Może to on?* – pomyślała i poczuła gęsią skórę.

– W porządku, Agnieszko. Kontynuuj.

– Z samochodu wyszedł młody mężczyzna. Brunet, średni wzrost. Całkiem przystojny, nawet fajnie ubrany.

– Jaką miał cerę?

– Ciemną, cygańską.

– Dobra. Gość wyszedł z samochodu...

– ...podszedł do mnie i zagadnął. Nie pamiętam dokładnie jak. Ale zabawnie, dowcipnie. Miał bardzo miły głos. Ciepły, budził zaufanie. Zaproponował podwiezienie. Powiedział, że za ładna jestem, by jeździć autobusami. – Dziewczyna zamilkła. Z jej zapuchniętych oczu popłynęły łzy. Wytarła twarz rękawem bluzki. Katia cierpliwie czekała na ciąg dalszy. Podniecenie policyjnego psa zaczęło mieszać się ze wściekłością kobiety, która nie może pogodzić się z przemocą wymierzoną w jej płeć. Ścisnęła mocniej długopis.

– Więc wsiadłam. I pojechaliśmy w stronę Poznania. Na wysokości Bytnia nagle skręcił w prawo.

– *Gdzie pan jedzie?* – zapytałam troszkę zaniepokojona.

– *Jaki pan?* – odpowiedział. – *Grzesiek jestem. Wjedziemy na chwilę do lasu, muszę podrzucić jednemu gospodarzowi skrzyneczkę. Jego córka wychodzi za mąż, będzie weselicho, potrzebują pepsi na popitkę. Piętnaście minut i wracamy na trasę, okej?*

– Uśmiechnął się bardzo sympatycznie, więc wzruszyłam ramionami i nie protestowałam.

Katia pokiwała głową. Na plecach poczuła zimny pot.

– Wjechaliśmy w polną drogę, potem na rozwidleniu skręciliśmy w prawo i po chwili wjechaliśmy do lasu. Gdy minęliśmy jakieś gospodarstwa, skręcił w dróżkę i zatrzasnął drzwi. Zdębiałam. – Dziewczyna zadrżała, wzięła głęboki oddech i wróciła do opowieści: – Położył ręką na moim kolanie i znowu się uśmiechnął.

– *Śliczna dziewczyna jesteś, wiesz? Chciałbym cię wyruchać.*

– Kiedy doszło do mnie, co on powiedział, zaczęłam krzyczeć i ciągnąć za klamkę, ale drzwi się nie otwierały. Wpadłam w panikę. On zatrzymał samochód.

Posterunkowa przełknęła ślinę.

– *Nie bój się – powiedział, przybierając nagle surową minę. – Chciałbym cię po prostu wyruchać.*

Dziewczyna zamknęła oczy i zaczęła mówić jak automat:

– Rozpiął szybko pas, a potem pociągnął mnie za spódniczkę i zaczął ją agresywnie zdzierać. Zrobił się cały czerwony. Jego brązowe oczy zaszyły mgłą. Rozpiął rozporek i zsunął trochę spodnie. Zobaczyłam wielkie wybrzuszenie w majtkach.

– *Jesteś taka piękna – wycharczał. – Trzeba cię...*

W tym momencie Agnieszka zadrżała, głos uwiązł jej w gardle.

Zapadła cisza. Katia przymknęła oczy i po chwili usłyszała:

– *...trzeba cię wyruchać, małeńka.*



Marek Miller pokręcił głową.

– Nie wiem, kto mógł to zrobić. Honia nie miała wrogów, raczej samych przyjaciół, a konkretniej to kochanków. To był jej sposób na życie: uwodzić innych. Łasić się do innych. – Pauza. – Dawać dupy, kiedy tylko można. – W tych słowach wybrzmiała nie tyle złość, co bezsilność. Prawdę mówiąc, ja byłem jej największym wrogiem.

Nerwowy śmiech..

Wąsaty pięćdziesięciolatek ubrany w szary wyciągnięty dres spojrzał na sierżantów, którzy jednocześnie zmarszczyli brwi.

– No tak... Panowie, jesteście żonaci?

Policjanci struchleli.

Kowalski, całkiem zmieszany, potrząsnął głową, Ostrowski zdołał tylko

wydukać, że „broń Boże”.

– Do całego świata przymilała się jak dziwka, a mnie traktowała jako popychadło i zarazem źródło utrzymania. Tym było według niej małżeństwo: mniejszym, koniecznym złem.

– Podobno próbował się pan z nią rozstać?

– To prawda. Ale się nie dało.

– I teraz jest pan wolny?

– Cieszy się pan?

Mężczyzna wbił wzrok w brązowe laczki.

Wzruszył ramionami.

– Przykro mi, że zginęła.

– Nie brzmi pan jak mąż.

– Myślę, że brzmię jak ktoś, kto był zbyt długo mężem.



Agnieszka przestała płakać, po czym spojrzała błagalnie na Katię.

– Możemy już skończyć? Rozboliła mnie głowa, chciałabym się położyć.

Policjantka pokiwała głową. Ją też bolą głowa i brzuch. Sięgnęła do kieszeni spodni po tabletki, wyciągnęła jedną, połknęła i popiła wodą.

Omiotła wzrokiem niewielki pokój.

Biurko, jednoosobowe łóżko, nad którym wisi wielki plakat grupy „New Kids on the Block”, na parapecie magnetofon marki Kasprzak, stosy kaset, kolorowy dywan w pluszowe misie. Na komodzie stało zdjęcie z uśmiechniętą Agnieszką w niebieskiej sukience.

– Za chwilę, naprawdę.

– Co jeszcze chcesz wiedzieć? – wymamrotała dziewczyna, kiwając się jak

w transie i jednocześnie wpatrując w swoje dłonie położone na kolanach.

– Długo to trwało?

Cisza.

– Długo?

– Nie pamiętam – szepnęła Agnieszka, nie przestając się kiwać. – Dwie, trzy minuty.

Pierdolony sprinter – pomyślała Katia.

– Co było potem?

– Płakałam przez jakiś czas.

– W samochodzie?

– Tak, nie miałam siły się ruszyć.

– A on co robił?

– Otworzył drzwi, dotknął mojego ramienia i powiedział, żebym się nie wygłupiała. Bo przecież to było zwyczajne, miłe ruchanie.

Znowu zapadła cisza.

– Powiedział coś jeszcze?

Agnieszka znieruchomiała i wbiła wzrok w policjantkę.

– *Nie bądź dzieciok. Przecież lubisz na ostro. Wszystkie lubicie.*

– Potem zamilkł. W którymś momencie podniosłam na niego wzrok i zobaczyłam... – dziewczyna urwała, z jej oczu znowu popłynęły łzy.

– Co zobaczyłaś?

– Zobaczyłam, że on sobie wali konia.

– Co?

– Kiedy się spuścił, westchnął głęboko i powiedział, że „dosyć tego dobrego, trzeba wracać”.



Kamila przewróciła kartkę francuskiej powieści z dziewiętnastego wieku. Odczytała parę zdań, a potem sięgnęła po lampkę wina. Poczowała przyjemne ciepło na języku.

„Wszystkie instynkty Jozjany skłaniały ją do tego, być oddać się rozwiąźle, nielegalnie”.

No raczej. Stosunek rozwiąźly ma coś w sobie z literatury... – antropolożka zerknęła na telefon, nagle przypominając sobie o Eli. *Zaraz do niej zadzwonię* – postanowiła i wzięła kolejnego łyka. Wino zaczęło krążyć po ciele.

Czytała dalej, próbując skupić się na lekturze. Kiepsko jej to szło. Cały czas słyszała radosny głos przyjaciółki, która z wielką swadą opowiadała o swoich romansach z młodszymi mężczyźnami.

Kamila podniosła głowę znad książki, spojrzała na zegarek, niemal wpół do dwudziestej trzeciej. Westchnęła.

Dziwnie się dzisiaj czuła, choć nie potrafiła sprecyzować, co było problemem. *Pustka* – przyszło jej naraz do głowy. *To jest pustka. Jestem pusta, sama.*

„W małżeństwie nikomu nie jest do twarzy, kolorowe wstążki więdną, małżeństwo postarza. Ślub – to rozwiązanie rozpaczliwie jasne i proste. Kobieta przekazana w ręce męża przez notariusza – jakież to płaskie!”[1]

Jest mi źle. Jestem nieszczęśliwa.

Odrzuciła książkę, usiadła na łóżku, podniosła słuchawkę i wykręciła numer Eli.

Nikt nie odbierał. Jeszcze raz. To samo. Jednostajny, przerywany, obojętny na wszystko dźwięk

Nikogo nie ma w domu? Kolejnego wieczoru? To niemożliwe. Ela lubi wczesnie chodzić spać.

Coś się stało.

– Coś się stało – powtórzyła na głos i uświadomiła sobie, że drżą jej ręce.

[1] Wiktor Hugo, „Człowiek uśmiechu”, tom I, przeł. H. Szumańska-Grossowa, P.I.W., Warszawa 1953.

IX

Harry stał przed lodówką i wsłuchiwał się w jej monotonne brzęczenie, gdy nagle usłyszał przenikliwy dźwięk dzwonka.

Odwrócił się gwałtownie i poszedł do przedpokoju. Otworzył drzwi.

Najpierw poczuł intensywny zapach Chanel No. 5, a potem zobaczył wściekłą kobietę.

Jęknął w duchu i natychmiast przybrał surową minę.

– Co tu robisz? – zapytał, wpatrując się w platynową blondynkę, ubraną w czarny płaszcz i długie skórzane kozaki.

– Wpuścisz mnie? – Usłyszał w odpowiedzi.

Zrobił miejsce, żeby nie zostać staranowanym, a potem poszedł za nią do dużego pokoju. W milczeniu czekał na ciąg dalszy.

Rozejrzała się wokół, wydymając usta, odstawiła na stół torebkę Diora, po czym ściągnęła z siebie płaszcz i rzuciła go niedbale na sofę. Była ubrana w czerwoną, krótką sukienkę z lycry.

– Pamiętasz mnie jeszcze? – Odwróciła się gwałtownie w jego kierunku, a on próbował rozszyfrować jej spojrzenie.

– Pamiętam, Patrycjusz – odpowiedział niepewnie, przyglądając się falującym piersiom skrytym pod obcisłym ubraniem.

Ona jednak jest piękna – pomyślał i przypomniał sobie ich ostatnią wspólną noc. Zrobiło mu się gorąco.

– To dlaczego się nie odzywasz?

- Byłem zajęty.
- Czym? Ścigałeś złodziei?
- Też.
- Parę razy mnie zerznąłeś, a potem zniknąłeś, skurwysynu!
- To nie tak.
- A jak?

Harry chciał coś wydukać, ale blondynka zrobiła niecierpliwy ruch ręką i powiedziała szorstko:

- Zrób mi jakiegoś drinka. Może być wódka z colą.

Usiadła w fotelu, sięgnęła po jakiś kolorowy magazyn i zaczęła go demonstracyjnie przeglądać.

– Z lodem – zawołała, gdy on już był w kuchni i wypełniał rozkaz. Sobie nalał Jacka Danielsa, podarunek od naczelniczki Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego, z którą kiedyś spotykał się przez parę tygodni.

– Nie mam lodu – burknął pod nosem, wziął dwie szklanki i wrócił do Patrycji.

- Więc jak jest? – zapytała, trzymając drinka w dłoniach.

Czarnowłosa operacyjniak wychylił wódkę, skrzywił się i zerknął na przyjaciółkę, która niecierpliwie czekała na odpowiedź.

– Tak jest – odezwał się po krótkim namyśle – że ty jesteś dziewczyną gangusa, ja jestem policjantem, w związku z tym powinniśmy zakończyć nasz...

Cisza.

Harry nie wiedział, jakiego użyć słowa. Każde mogło wywołać złość. Miał wrażenie, że właśnie znalazł się na linii strzału. Zagryzł usta, czekając na atak. Tym razem mogło być naprawdę niebezpiecznie.

- Nasz, kurwa, co?

Policjant zrobił dzióbek i szepnął trwożliwie:

- Romans?
- Jak mnie pieprzyłeś, nie myślałeś o tym?
- Wtedy akurat nie.

Zaśmiała się i podniosła w jego kierunku szklankę.

- Nalej mi jeszcze.

Wyszedł ponownie do kuchni, żeby za chwilę pojawić się z dwiema butelkami.

- Też chcę whisky! – rzuciła nadąsana.

Harry rozlał alkohol. Wychylili jednym haustem, odstawili szklanki na stół i spojrzeli na siebie.

– Masz papierosa? – Patrycja po dłuższej chwili przerwała coraz intensywniejszą ciszę.

Policjant sięgnął po paczkę marlboro i wyjął zapalniczkę ze środka. Zapalili.

Uwielbiał ten widok. Piękna kobieta o czerwonych ustach, która w sposób podejrzany na amerykańskich filmach wypuszcza dym. I te szczupłe, długie palce trzymające elegancko papierosa. Zagryzła wargi.

Suka! – pomyślał bezsilnie i natychmiast poczuł wzwód, uprzytamniając sobie, jaki będzie finał niespodziewanych odwiedzin.

– Wymknęłaś się z pałacu? – zapytał zaczepnie. – Ochroniarze Kowboja pozwolili ci wyjść na zewnątrz?

– Nie ma żadnych ochroniarzy. Chciałam się z tobą spotkać.

– Nie powinnaś tego robić. On się o tym dowie, to tylko kwestia czasu. A wtedy... Wtedy wszystko może się wydarzyć.

– Boisz się?

– Pewnie.

– O mnie czy o siebie?

Harry rozlał whisky, stuknęli się szklankami, wypili, znowu jednym haustem.

Przymknął na sekundę oczy i znowu przypomniał sobie ich ostatnią wspólną noc. Pili, palili i pieprzyli się. A w przerwach rozmawiali o swoich młodzieńczych miłościach.

– Strach to normalny stan policjanta operacyjnego – powiedział, zdając sobie sprawę, że zabrzmiało to dość pretensjonalnie. – Poznań zrobił się niebezpieczny. Gangi próbują przejąć władzę nad miastem. Strzelaniny, egzekucje, rozboje. Będzie coraz brutalniej. Też powinnaś się bać. Zdradzasz kogoś, kto jest bezwzględny facetem. Kto jest zabójcą.

– Upijmy się, Harry – szepnęła i ściągnęła z siebie sukienkę. Harry przełknął głośno ślinę, widząc jej bujny biust, który prezentował się fenomenalnie w czarnym koronkowym staniku. Przez głowę przeleciały mu te wszystkie rozkoszne chwile, w czasie których zabawiał się piersiami Patrycji.

– Kowboja nie ma. Gdzieś wyjechał, a ja się stęskniłam za tobą.

– Stęskniłaś czy znudziłaś?

– Stęskniłam.

Kobieta wyglądała jak modelka z magazynów erotycznych. Czarny biustonosz, czarne figi i czarne pończochy.

Włożyła papierosa do ust, zaciągnęła się i wypuściła dym, spoglądając mu beczelnie w oczy.

– A ty?

Harry wyszczerzył zęby. *Czyżbym był taki prosty w obsłudze?* – pomyślał i spojrzał na butelkę Daniela. Rozlał bursztynowy napój do szklanek.

– Zerznij mnie, Harry.

Wziął hausta i stanął przed Patrycją.

Tak, jestem taki prosty w obsłudze – odpowiedział w duchu. Odepchnął

z łatwością wspomnienie Nataszy, odpiął pas, rozpiął rozporek i zrobił krok do przodu.

– Zerżnij mnie, Harry! – Usłyszał ponownie i zrozumiał, że nie może tego nie zrobić, że to silniejsze od niego, że to zawsze będzie silniejsze od niego.

czwartek, 8 października 1992

X

Ostrowski nagle otworzył oczy.

Ktoś chyba krzyknął?

Policjant wypuścił oddech, przejechał dłonią po świeżo umytych włosach. Po chwili wrócił do rzeczywistości. Był w swoim mieszkaniu. Najwyraźniej przysnęło mu się po zbyt obfitym śniadaniu. Spojrzał na zegarek. Za dwadzieścia ósma.

Z głośników wieży wydobywały się ostre riffy, którym stanowczy, szybki rytm nadawała perkusja. Po chwili policjant usłyszał swojego ulubionego wokalistę:

Rodny skurcz. / Już wtedy miałem zgnić. / Pierwsza usłyszana baśń brzmiała jak pośmiertny dzwon. / Ropa lała mi się z ucha.[2]

Gdy skończyła się strofka, dopił letnią kawę i wyszedł pospiesznie do przedpokoju.



– Mati!

– Co jest?

– Wracajmy już! – powiedział niski, czarnowłosy dwunastolatek z tornistrem na plecach.

Spojrzał za siebie, jakby chciał skontrolować odległość, którą pokonali w czasie spaceru. Za nimi widniały plamki domów i miedziana, smukła wieża kościoła, przed nimi zaś rozpościerał się duży, pachnący żywicą liściasty las.

Piegowaty rudy chudzielec zmarszczył brwi i zapytał:

– Gdzie ci się tak spieszy?

– Chciałbym pograć na komputerze.

– Na komputerze?

– Tata wczoraj kupił nowy sprzęt.

– Ale czad – mruknął Mati i podrapał się po głowie. – Jaki?

– Zgadnij!

– No gadaj, nie pierdol!

– Amiga 500! Wersja plus! – wykrzyknął podniecony Erni.

Chudzielec przystanął, splunął i spojrzał na kolegę.

– Serio? – zapytał z niedowierzaniem

– Serio! Tata ostatnio zakładał z jakimś kumplem domofony w Poznaniu, zarobił dużo siana, więc pojechaliśmy całą rodziną na wielkie zakupy.

– Grałem parę razy na Amidze. Cudo!

– No. No i zamiast głupich kaset masz dyskietki!

Na policzkach chłopców pojawiły się rumieńce, a w oczach żywe ogniki. Przyspieszyli kroku, energicznie gestykułując.

– Wczoraj siedziałem do pierwszej w nocy i napieprzałem w odjazdowe strzelanki – odezwał się Erni.

– Nie dziwię się. Jakie masz gierki?

– „Street Fighter”, „Mortal Kombat”, „Północ, południe”, „Canon Fodder”, „Syndicate”...

– Ale czad!

Chłopcy przystanęli. Mati rozejrzył się dookoła.

– Dobra – powiedział, po czym uklęknął i zawiązał sznurówkę. – Pokażę ci tylko to miejsce i wracamy – dodał.

Skręcili w prawo, schodząc z gruntowej drogi.

Zaczęli maszerować wzdłuż linii lasu. Nad zaoranim polem unosiły się czarne ptaki. Gdzieś w oddali widać było grupkę nieruchomych saren.

– To był żuk – odezwał się Mati. – Jechał tędy, minął ambonę myśliwską, w której paliliśmy papierosy z Pixim, i po chwili się zatrzymał. Wysiadł z niego jakiś typ z kobietą. Coś do niej gadał i próbował ją obmacywać.

– Dawała się?

– Trochę się wzbraniała.

– I co było dalej? Weszli do lasu?

– Pewnie poszli się walić. – Mati wyduł wargi.

– Na sto procent. Była ładna pogoda.

– A wy co?

– Jak oni weszli do lasu, to myśmy szybko zeszli z ambony i pobiegliśmy na wieś.

– Przestraszyliście się ich?

– W ogóle – oznajmił z wyższością chudzielec. – Ale facet mógłby się zdenerwować, gdyby nas zobaczył.

Spojrzał na Erniego i upewnił się:

– Rozumiesz, co mi chodzi, stary?

– No jacha, że tak.

Mati wyciągnął rękę przed siebie.

– O, tutaj się zatrzymali – powiedział. – A tutaj weszli w głąb lasu.

Chłopcy omietli wzrokiem okolice. Ścianę lasu stanowiły iglaste drzewa i gęste krzaki, wśród których wypatrzyli krzewy jeżyn.

Zrobili parę kroków do przodu, pod butami trzasnęły im suche gałęzie. Zerwał się wiatr, więc nałożyli na głowy kaptury. Erni zerknął na kolegę i zapytał nieśmiało:

– Macałeś kiedyś dziewczynę?

– Tak – odpowiedział błyskawicznie Mati.

Podrapał się po policzku, wykrzywiając usta.

– A ty? – zagadnął ciekawie.

– Nie. Ale bardzo bym chciał.

Znowu się zatrzymali.

– To super sprawa – odezwał się po chwili milczenia chudzielec. – One są

takie... takie ciepłe, miłe, trochę spocone.

Erni pokiwał głową i spuścił wzrok na swoje przybrudzone buty.

– Którą macałeś? – zapytał, przydeptując kępkę pokrzyw.

– Aśkę z ósmej be.

– Wysoką chudą z warkoczami, co się tak dziwnie śmieje?

– No.

– Po cyckach czy po dupie?

– Po dupie.

– Ja bym wolał po cyckach.

Mati zachnął się.

– Wiadomiks – potwierdził, wzdychając. – Ale nie pozwoliła.

Zapadła cisza.

Chudzielec zmrużył oczy, jakby nagle dostrzegł coś dziwnego.

– Tam coś leży – szepnął. – Tam coś leży!

– Co, gdzie?

– Pod tamtymi krzakami. – Chłopiec podbiegł trzy metry i wbił wzrok w jakiś metalowy przedmiot.

– To jest klucz francuski – stwierdził, a potem dodał niespokojnie: – Umazany krwią.

– Nie rób sobie jaj.

– Nie robię.

– Czujesz?

– No. Ale capi.

– Jebie raczej.

Chłopcy odruchowo zatkali palcami nosy, a potem pochyłili się razem nad kluczem, a potem spojrzeli w stronę porośniętego wysoką trawą rowu.

Ich uwagę zwróciła sterta siana, którą ktoś zgromadził w jednym miejscu. Przy krzakach, na brzegu rowu.

Spod tej sterty coś wystawało. Coś brązowego.

– To jest but?

– Kozak. A właściwie... noga, ludzka noga – szepnął Erni, kiedy odgarnął kijem wiązkę słomy.

– Prawdziwa?

– No raczej.

– A może to ta babka, którą widziałeś? – zapytał piskliwym głosem brunet.

– Nie wiem – odpowiedział Mati. – I nie chcę wiedzieć! Spierdalamy!

Koledzy spojrzeli na siebie przerażeni i jak na komendę gwałtownie zerwali się do biegu.



Podinspektor Rambert spojrział na sierżantów, którzy właśnie weszli do jego gabinetu.

- Mamy nowego trupa – oznajmił.
 - Nowego? – zapytał Ostrowski
 - A właściwie starego.
 - Jak to?
 - Kobieta została zamordowana mniej więcej tydzień temu, trwają dokładne ustalenia. Dzisiaj znaleźli ją jacyś smarkacze, którzy spacerowali po lesie.
 - Kolejne zabójstwo w lesie? – zainteresował się Kowalski.
 - No właśnie! Zdaje się, że dzieło naszego śniadego zbója.
 - Skąd te przypuszczenia?
 - Jeden z chłopców widział faceta, który w zeszłym tygodniu przyjechał do lasu z młodą kobietą. Żukiem. Miał ciemną cerę.
 - Gdzie znaleziono ciało?
 - W Tomicach.
 - Gdzie to jest?
 - To wioska pomiędzy Bukiem a Stęszewem.
 - Zaraz, zaraz – odezwał się nagle Kowalski i podszedł do wielkiej mapy Wielkopolski, która wisiała na ścianie naprzeciwko biurka szefa.
- Dżery i Ostrowski spojrzeli zaintrygowani na pulchnego policjanta, który dotknął palcem mapy.
- Tu są Tomice – powiedział i powiódł palcem w górę. – A tu jest... tu jest... Stramnica, wiocha, gdzie znaleziono zwłoki Honi. A tu – zrobił nieznaczny ruch w bok – jest las obok Bytynia, gdzie facet zgwałcił Agnieszkę.
 - Sprawcą jest gajowy Marucha – prychnął Ostrowski.
- Dżery pokiwał głową i strzepnął niewidoczny pyłek z kłapy swojej

marynarki.

– Co sugerujesz?

– Że on jest stąd.

– Skąd?

Kowalski nakreślił na mapie okrąg, którego średnica zawierała się pomiędzy Pniewami a Poznaniem.

– Przypominam, że Agnieszkę zabrał z przystanku w Podrzewiu. A potem pojechał z nią do bytyńskiego lasu, gdzie zatrzymał się w jakimś ustronnym miejscu. To jest jego teren, który doskonale zna, w którym czuje się jak ryba w wodzie.

Chwila namysłu.

– Może gdzieś tu się urodził i mieszkał przez wiele lat. Kto wie, może dalej gdzieś tu mieszka?

Kowalski, mówiąc to, zaczerwienił się bardzo. Jego oczy błyszczały.

– Ostry, a ty co myślisz?

Zastępca naczelnika zerknął na długowłosego sierżanta, który miał dzisiaj na sobie bluzę z napisem „Kat”.

– Jeśli Kowal ma rację, to zabójca musi być prostym ludkiem, który działa impulsywnie, nie dbając za bardzo o konsekwencję swoich czynów. Jest w miarę charakterystyczny z wyglądu, porusza się żukiem... To prosty, choć niebezpieczny zwierzak.

– Zgadam się – potwierdził Kowalski. – Gość kojarzy mi się z Edmundem Kolanowskim i Tadeuszem Kwaśniakiem. To charakteropata, koleś o ograniczonej inteligencji.

– Nie za daleko idziecie w rozumowaniu?

Sierżanci wzruszyli ramionami.

– No dobrze – powiedział Dżery. – Jakie wnioski?

– Według mnie – powiedział Kowalski – na początek trzeba przeprowadzić solidne rozpoznanie wśród mieszkańców miejscowości, o których mówiliśmy przed chwilą. Pniewy, Podrzewie, Bytyń, Stramnica, Tomice, no i może Stęszew. W tym pasie. Gdzieś tam znajdziemy kogoś, kto wskaże nam właściwy trop.

– I dobrze by było – dodał Ostrowski, któremu zaczęło udzielać się podniecenie partnera – sprawdzić, czy na tym terenie nie doszło wcześniej do gwałtów, napadów czy zabójstw. Facet musiał kiedyś zacząć. Może te przypadki wcale nie są pierwsze? Może już wcześniej coś takiego zrobił?

– No właśnie. Jeśli tak, to jest duże prawdopodobieństwo, że stało się to w pobliżu jego miejsca zamieszkania.

Podinspektor Rambert zerknął ponownie na mapę, a potem przerzucił spojrzenie na swoich podwładnych.

– O dwudziestej robimy odprawę – zarządził.



Sierżant zapalił malucha, ruszył z policyjnego parkingu i sięgnął po kasetę.

Kowalski nerwowo zerknął na opakowanie. Białe, efektownie wykreślone trzy litery układały się w słowo „Kat”. Pod nimi widniał napis: „Bastard”.

– Nowy nabytek. – Uśmiechnął się długowłosy dochodzeniowiec i umieścił album polskiej metalowej kapeli w kieszeni magnetofonu.

Ze skromnych głośników popłynęły energiczne dźwięki. Perkusja, przesterowane gitary, bas.

– Brzmia trochę jak Metallica, ale uwielbiam ich – dodał.

Kowalski skrzywił się i spojrzał na drogę. Właśnie mijali placyk, na którym stały krasnale ogrodowe.

Perkusja zwolniła tempa. Do głosu doszła gitara solowa. Potem wybrzmiał riff i w końcu odezwał się wokalista:

Moja moc karmi się żarem / Palących mnie ciał. / Zawsze byłem czarnym kozłem. // – Chodźcie! / – Chodźcie, przekłete! / Ja nie eunuchów żak! / Moje samcze narzędzie... / Stać – jako tron. // Czy wam nie szkoda lat na pieprzeniu o złu? / Aby w ten sposób móc ukryć własną bezpłciowość? Jakże smutna jest cała wasza rasa. / Jakże smutne jest obcinanie jaj.[3]



Sierzanci szli wąskim korytarzem Zakładu Medycyny Sądowej. Po obu stronach rozmieszczone były gabloty z najprzeróżniejszymi eksponatami anatomicznymi. Największe wrażenie robił zawsze na nich ogromny penis, którego historię opowiedział im kiedyś Broniek Madej, charyzmatyczny medyk sądowy o przydomku „Mefistofeles”. W skrócie szło to tak: pewien mężczyzna zakochał się w innym. Niestety jego kochanek parę tygodni po pierwszej wspólnej nocy ożenił się z piękną, młodą dziewczyną. Na wieść o tym zdradzony mężczyzna wpadł w furję i zabił świeżo upieczzonego żonkosia. Zrobił to po amatorsku, więc szybko został namierzony i zatrzymany. W areszcie wpadł w depresję i popełnił samobójstwo, własnoręcznie się kastrując.

Ostrowski spojrzał na penisa zanurzonego w formalinie, zaszalutował mu i mrugnął do Kowalskiego.

– Cały czas stoi – mruknął. – Na posterunku.

Policjanci skręcili w prawo, zapukali i weszli do gabinetu wypełnionego kłębami gryzącego dymu.

Madej stał przy oknie i z lubością zaciągał się „popularnymi”.

– Serwus, chłopaki – przywitał ich, zgniatając peta w popielniczce.

Wskazał głową stół, na którym piętrzyły się stosy papierzysek.

– Pewnie po protokół? Leży tam. Właśnie go skończyłem.

Kowalski sięgnął po trzystronicowy dokument i przebiegł pobieżnie wzrokiem.

– Co słysząc, Bronku? – zagadnął Ostrowski.

– Kiepsko. Zięcia mi zwolnili z roboty, córka od roku na bezrobociu, a wnuki siedzą przed telewizorem, oglądają reklamy i ciągle wołają o kolejne fanty. Pieprzony kapitalizm.

– Kup im to – powiedział sierżant i wyciągnął z plecaka Game Boya, od paru dni swoją ulubioną elektroniczną zabawkę.

- Spadaj mi z tym – warknął medyk. – Nienawidzę tego szajsu.
- Sierżant schował sprzęt, podniósł ręce do góry i uśmiechnął się promiennie.
- Nie było tematu, stary.
- Chłopaki, nie mam czasu. Bierzcie papier i spadajcie. Trzy trupy czekają w kolejce.
- Okej, szepnij tylko słowo o mechanizmie śmierci.
- Pewnie najprościej jak się da?
- Sam rozumiesz. – Ostrowski parsknął śmiechem.
- Facet jebnął panią parę razy ciężkim, metalowym narzędziem. Mocno, bardzo agresywnie, jakby wpadł we wściekłość.



Rambert spojrział na zegarek, dochodziła dwudziesta. Uwielbiał pracować o tej porze. Na komendzie panowała cudowna cisza, nikt mu nie zawracał głowy, można było się solidnie skupić, przeczytać dokładnie dokumenty, zaplanować działania, przedyskutować najważniejsze kwestie.

W salce konferencyjnej zebrali się już wszyscy. Buryła, Harry, Mischu, Kowalski i Ostrowski oraz Katia.

Naczelnik Kryminalnego, ubrany w szeroką kraciatą marynarkę, potarł świeżo ogolony policzek.

– Krótko i zwięźle, poproszę – odezwał się, częstując zgromadzonych swoim markowym uśmiechem. – O dziewiętej muszę być w Merkurym, mam dyskusję o wzroście przestępczości w Poznaniu.

– Co racja, to racja – stwierdził Rambert i udał, że nie widzi ironicznych uśmieszków podwładnych. – Podsumujmy zatem szybko nasze sprawy i rozejdźmy się. Zaczynamy od chronologii zdarzeń. Kowal?

Sierżant zerknął do notesu.

– Trzydziestego września zabójstwo w Tomicach, drugiego października gwałt w Bytyniu, piątego października zabójstwo w Stramnicy. Podejrzewamy, że sprawcą jest ten sam mężczyzna. Śniada cera, zmotoryzowany, niebieski żuk. Niestety nie znamy rejestracji, wiemy tylko, że numery są wielkopolskie.

– Wywozi kobiety do lasu – dodał Ostrowski. – To chyba jego rytuał.

– Albo raczej prosta konsekwencja faktu, że mieszka gdzieś pod Poznaniem, na wsi, może w lesie – rzucił Kowalski.

Ostrowski poczerwieniał.

– A to się gryzie według ciebie?

– Nie.

– To dlaczego mówisz „albo raczej”?

– Nie powiedziałem tak.

– Powiedziałeś!

– Panowie, nie kłóćcie się, do chuja! – zagrział Buryła. – Nie mamy teraz czasu na pojedynki kogucików.

Cisza.

Katia zerknęła zaciekawiona na młodych śledczych, którzy spoglądali na siebie zaczepnie. *Może mają okres* – zaśmiała się w duchu.

Kowalski odchrząknął.

– Co ciekawe – odezwał się ponownie, wracając do notatek – Honia na krótko przed śmiercią uprawiała seks ze swoim zabójcą. I nie był to wcale gwałt.

– To po chuj on ją zabił? – zapytał Miszczu, który od pewnego czasu przyglądał się uważnie posterunkowej, próbując oszacować wielkość jej biustu.

– Dobre pytanie.

– Coś jeszcze byś dodał? – zagadnął Rambert.

– Według mnie to typ, który przypomina trochę czatownika.

– To znaczy?

– Czatownik to typ, który sprowadza swoją ofiarę do znanego sobie miejsca.

– Według ciebie on wywozi kobiety do lasu, żeby je zabić?

– Nie mam zielonego pojęcia.

– Według mnie nie – wtrącił się Ostrowski. – To impulsywny klient. Zabija, gdy się wkurwi. Wywozi je do lasu, żeby je przelecieć. Normalnie albo siłą. Jak któraś się stawia do końca, zabija ją. Tak to widzę.

– No dobra, to raz jeszcze pytam – odezwał się Miszczu, rozkładając ręce. – Dlaczego zabił Honię? Przecież dała mu się wydupczyć.

Rambert spojrzał na Katię.

Była dzisiaj ubrana w marmurkowe dzinsy, żółty T-shirt, jakąś niechlujną bluzę i martensy. Na twarzy wyskoczyło jej kilka pryszczu.

– Pewnie wkurwiła go czymś – powiedziała.

– Musiała się postarać, żeby po seksie tak mocno wkurzyć faceta.

Katia zagryzła wargi.

– Może go wyśmiała? – rzuciła nagle. – Może powiedziała, że nie doszła? Może chciała jeszcze, a on już nie mógł? Albo zbyt szybko skończył?

Cisza.

– Dlaczego tak mówisz? – zapytał Miszczu, marszcząc brwi.

– No bo tak mogło być.

Rambert pomyślał chwilę, zajrzał do dokumentów, wybrał jeden, przekartkował i oznajmił:

– Chyba coś jest na rzeczy. Katia przesłuchała Agnieszkę, tę zgwałconą dziewczynę. Z protokołu wynika, że sam gwałt trwał bardzo krótko, raptem dwie, trzy minuty. Co więcej, po wszystkim nasz klient onanizował się.

Cisza.

– Szybka, nienasycona bestyjka – skwitował Ostrowski.

– Harry? Co masz dla nas?

– Powęszyłem dzisiaj wśród poznańskich dziwek. Jedna z nich opowiedziała mi o śniadym facecie, który przysiadł się do niej w hotelu Polonez. Postawił jej drinka, a potem zaprosił do swojego pokoju. Po seksie oznajmił, że jest oficerem policji i żeby spierdalała, jeśli nie chce mieć kłopotów. Inna z kolei wspomniała o Bułgarze, mówiącym dobrze po polsku, który zapłacił jej pierścieniem za usługę. Może to nasz leśny zbój? Jutro będę rozpytywał dalej.

– Miszczu?

Brzuchaty operacyjnyk oderwał wzrok od Katii, otworzył usta, ale nie zdążył odpowiedzieć na pytanie szefa dochodzeniowców, ponieważ nagle otworzyły się drzwi. W progu stanął umundurowany, młody funkcjonariusz. Spojrzał na Buryłę.

– Panie naczelniku, mam przekazać ważną informację – zameldował.

– Jaką?

– Zabita dziewczyna została zidentyfikowana. To Marzena Matysiak, lat dwadzieścia dwa, mieszkanka Poznania. Jej rodzice mówią, że tego dnia wyszła z domu, mając na dłoniach kilka pierścionków.

Sierżanci spojrzeli po sobie.

– W czasie oględzin nie znaleziono na jej palcach żadnej biżuterii – powiedział Kowalski.

– Mamy więc kolejny ważny punkt zaczepienia – stwierdził Rambert, ciesząc się w duchu, że w razie czego będzie można ten wątek zamienić w piękny dowód procesowy.



– Co się właściwie stało z twoim samochodem? – zapytał Ostrowski, kiedy po wypaleniu rytualnego papierosa wsiedli do jego malucha.

– Chuj go strzelił – padła szybka odpowiedź.

– Aha.

Długowłosy sierżant uruchomił silnik, włożył kasetę do magnetofonu, wcisnął delikatnie gaz i opuścił policyjny parking.

Jechali przez nocne miasto, wsłuchując się w histeryczny głos wokalisty „Kata” i przyglądając się starym prostytutkom, które spacerowały wokół placu Cyryla Ratajskiego, nazywanego „poznańskim Pigalakiem”.

Kiedyś jedną z nich musieli zatrzymać, bo poprzedniej nocy zabiła swojego konkubenta, zapijaczonego sadystę.

Ostrowski uśmiechnął się. Zrobiło się wtedy niezłe widowisko, bo kobieta zaczęła stawiać opór, wykrzykiwać, wołać na pomoc przechodniów. Dziennikarze, którzy błyskawicznie się pojawili, mieli używanie. Taki materiał! Kurwa, zbiegowisko, policja...

Kowalski podgłośnił odtwarzacz.

Kto mnie wplótł w kwiatostan żądz?! / Na dnie grobu cierpiącego boga / Jak niewiele miałem / Przejęty światem, pojmany przez świat.[4]

Kto mnie wplótł w kwiatostan żądz?

Tym razem zignorował wątpliwą jakość metafor Kostrzewskiego, bo kiedy je usłyszał, coś go tknęło. Coś mu się skojarzyło.

Zdrętwiał.

Spojrzał na kolegę, który parę dni temu podsumował twórczość liryczną Kata krótką frazą: „kawałki o diabelskiej potędze kutasa”.

– On to znowu zrobi.

– Kto, co?

– Nasz sprawca. Jemu puściły hamulce, coś w nim zaszło, coś go

zaktywizowało. Prędzej czy później znowu zabije.



Rambert zaciągnął się papierosem, ale po chwili zdusił go w popielnicze i wyjął z szuflady nowiutkie, czarne etui, a z niego okulary, swoje pierwsze w życiu. Westchnął, wytarł poszetką szkła, założył, podszedł do lustra i przyjrzał się sobie uważnie.

Wyglądam jak amerykański szpieg z lat sześćdziesiątych – pomyślał.

Szczupła pociągła twarz, zakola, cienie pod oczami, duże okulary, papieros, biała koszula...

Wrócił na miejsce i zaczął wczytywać się raz jeszcze w protokół z oględzin zwłok.

Zwłoki zasłaniała słoma. Widoczna jest lewa ręka wystająca spod słomy, zgięta w łokciu. Po odgarnięciu słomy zwłoki są ułożone na plecach, biodra częściowo skrzyśnięte w prawo, kolana ugięte, głowa zwrócona do góry, lekko w prawo. Prawa ręka odwiedzioną prostopadle do osi ciała, lewa ręka zgięta w łokciu i oparta na brzuchu.

Podniósł głowę znad dokumentów, sięgnął po zapalniczkę i zapalił kolejnego papierosa. Bardzo lubił dźwięk pocieranego łebka o draskę. Kojarzył mu się ze starymi dobrymi czasami, kiedy świat nie wariował jeszcze na punkcie plastikowej tandety. Oparł się o krzesło. Wypuścił powoli dym, próbując uformować w powietrzu kółko.

I wtedy przypomniał sobie słowa Ostrowskiego: „Może te przypadki wcale nie są pierwsze? Może już wcześniej coś takiego zrobił?”.

Otóż to. Pierwszy czyn. Debiut, który zawiera najwięcej błędów.

„Znajdźcie pierwszy czyn, on może zaprowadzić was do sprawcy” – tak

często mówił młodym policjantom na szkoleniach.

Strzepnął popiół do popielniczki i zamyślił się. Nagle zastygł w bezruchu.

Zaraz, zaraz! – Zmarszczył czoło. Skoro był pierwszy czyn, potem kolejny, to przecież klient może uderzyć znowu. To seryjniak.

Wyprostował się i dopalił pospiesznie papierosa.

– Będzie kolejny trup – mruknął, po czym zdjął okulary, przetarł oczy i zupełnie niespodziewanie przypomniał sobie jowialnego proboszcza z Bytynia. Grubego, gadatliwego, znającego wszystkie okoliczne plotki – jegomościa, który w swoje długie monologi lubił wplatać archaiczny przerywnik „panie dziejku”.

W wolnej chwili podjadę do niego i pociągnę za język – pomyślał podinspektor. Może podrzuci jakiś ślad.

[2] Fragment utworu „Zawieszony sznur” zespołu Kat.

[3] Fragment utworu „Odmieńcy”.

[4] Fragment utworu „W bezkształtnej bryle uwięziony” zespołu Kat.

XI

Kamila zagryzła wargi.

„Ale co z dzisiejszą nocą? Dlaczego nie chcesz mnie teraz pieprzyć? Dlaczego mnie zostawiasz, jeśli ci się podobam? Nie rozumiem tych amerykańskich pisarzy”.

Wtedy zadzwonił telefon. Odłożyła „Praskę orgię”, cieniutką, pikantną książeczkę, której akcja działa się w Czechosłowacji, i sięgnęła po słuchawkę.

– Cześć, kochana! – Usłyszała zmęczony głos Eli.

– Wreszcie! – ucieszyła się i opadła na poduszkę.

– Nie przeszkadzam, nie śpisz?

– Przerwałeś mi scenę pieprzenia.

– Pieprzysz się?

– Nie. Czytam o pieprzeniu.

Śmiech.

– Przestań czytać, zacznij się w końcu naprawdę pieprzyć. Nabierzesz optymizmu, poczujesz się...

Kamila przewróciła oczami.

– Myszko – przerwała przyjaciółce. – Przestań i wytłumacz się. Nie mogłam się do ciebie dodzwonić! Wczoraj i przedwczoraj. Myślałam, że coś się stało!

– Przepraszam. We wtorek byłam wykończona po randce z Grzesiem, a w środę wieczorem poszliśmy z małżonkiem na przyjęcie do jego znajomych z kliniki.

– No dobrze, rozgrzeszam cię. A teraz opowiadaj o wtorkowej randce!

– Poczekaj chwilkę, naleję sobie wina.

Kamila spojrzała na paznokcie u stóp – gdzieś tam odchodził już lakier – a potem wsunęła nogi pod kołdrę.

– Jestem już. W południe spotkaliśmy się w kawiarni na Starym Rynku. Było bardzo miło. On jest taki zabawny! Po godzinie pocałował mnie i szepnął, żebyśmy pojechali na przejażdżkę. Przeszły mnie ciarki. Świeciło słońce, było ciepło, więc powiedziałam, że chętnie. Seks na świeżym powietrzu to fajny pomysł. Poszliśmy do jego samochodu.

– Czym jeździ?

– To było jakieś dostawcze auto z napisem „Pepsi”. Mówił, że pożyczył od kolegi, bo jego mercedes stoi w warsztacie.

– Gdzie pojechaliście?

– W stronę Pniew. Za Podrzewiem skręciliśmy w prawo. Potem wjechaliśmy do lasu, miał tam upatrzoną łączkę. Gdy wysiedliśmy, wyciągnął kocyk z auta i zaczęliśmy się pieprzyć jak opętane króliki.

– Jaki był? – zapytała antropolożka, czując, że opowieść przyjaciółki rozpała jej policzki.

– Czują, namiętny. No i szybki – padła odpowiedź.

Zaśmiała się.

– Jest szybki, może trochę za szybki – dodała Ela. – Z drugiej jednak strony... Cały czas może! – W jej głosie zabrzmiał szczery podziw dla seksualnych możliwości niez mordowanego kochanka. – Niesłychane, nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałam.

– Długo się pieprzyliście?

– Jakąś godzinę.

– Doszłaś?

– Ze dwa razy.

– Jak miło – skomentowała ironicznie Kamila.

– Ale pojawił się problem.

– Jaki?

– Bardzo osobliwy.

– Nadstawiam uszu, moja droga.

Ela zamilkła na chwilę, po czym kichnęła.

– Przepraszam, ale chyba mnie przewiało na tej łączce.

Zachichotały jednocześnie.

– Na czym to ja skończyłam?

– Na problemie, który się pojawił. Bardzo osobliwym.

– Aha, no tak. Słuchaj. Kiedy już się porządnie zmęczeliśmy, sięgnął do kieszeni spodni i wyciągnął pierścionek.

– Pierścionek?
– Tak. Wręczył mi go i powiedział, że chciałby się ze mną ożenić.
– Co?! – zawołała Kamila, podnosząc się gwałtownie na łóżku.
– No tak powiedział.
– To był pierścionek zaręczynowy?
– Nie. Normalny, przeciętny. Srebrny z trzema matowymi, turkusowymi kamieniami.
– I co ty na to?
– Osłupiałam.
– Ale co mu powiedziałaś?
– Najpierw przyjrzałam mu się uważnie, żeby się zorientować, czy on mówi serio. Znasz facetów. Z nimi trzeba ostrożnie, nigdy nie wiesz, kiedy strzelą fochem. To histerycy.
Kamila wyduła wargi i pokiwała głową.
– Święta racja – przytaknęła przyjaciółce.
– No więc przyjrzałam mu się uważnie, ale nie potrafiłam rozstrzygnąć. Powiedziałam mu, że bardzo chętnie, ale ja mam przecież męża i jednocześnie zaczęłam go gładzić po fiutku.
– Te twoje zdrobnienia! – Kamila się zaśmiała i zaczęła sobie wyobrażać scenę, w której jej serdeczna przyjaciółka „gładzi po fiutku” mężczyznę.
– No co chcesz? – zachnęła się Ela. – Zdrobnienia oddają mój czuły stosunek do atrakcyjnych mężczyzn.
– Rozumiem. Kontynuuj, skarbie.
– Powiedział, że najwyżej się rozwiodę. Wyczułam w nim jakieś napięcie, które mnie troszkę zaniepokoiło. Kutasek mu stanął, jakżeby inaczej! Tylko minę miał odrobinę rozczarowaną.
– A jak skończyłaś rozmowę?
Ela upiła łyk wina.
– Najlepiej jak potrafię. Po francusku.
– I po problemie – skwitowała Kamila.
– Nie do końca.
– Dlaczego?
– Nie wiem, co o tym myśleć. Taka propozycja na drugiej randce? Myślałam, że chodzi tylko i wyłącznie o seks. Prawdę mówiąc, nie podoba mi się to. Coś tu nie gra. Dlaczego on to zaproponował? I to po orgazmie, nie przed... Co o tym myślisz?

Antropolożka usiadła na łóżku i spojrzała na okładkę powieści Rotha, na której kłębiły się nagie ciała.

– Rzeczywiście, powinno nam się włączyć teraz światełko alarmowe. Końcówka dwudziestego wieku, a facet po seksie proponuje mężatce małżeństwo?

Coś tu zgrzyta. Masz rację.

– Właśnie. W jakim celu?

– A może tak mu się tylko powiedziało?

– Nie. Przecież wręczył mi pierścioneł, mówił całkiem poważnie.

Kamila zamysłiła się.

– A może on ma jakieś zaburzenia? – odezwała się niepewnie. – No wiesz, osobowości.

– Że niby świr? – Ela zaśmiała się głośno, po czym nagle zamilkła.

Hm – pomyślała, mrużąc oczy. *A może ona ma rację? Może...*

– Nie chciałam tak tego ująć!

– Mam nadzieję, że nie! – zawołała Ela, po czym wzięła parę łyków wina. –

On jest taki słodki, taki ruchliwy, taki nieutrudzony.

– Pijesz?

– Na sen. Drugą lampkę.

– Musimy się umówić i w końcu urznąć.

– Świetny pomysł, moja droga. Jestem za!

– A wracając do tematu... Nie umiem ci doradzić. Ale gdybym była na twoim miejscu, zaczęłabym się rozglądać za innym szturmowcem. Facet ewidentnie dał plamę. Takich rzeczy się nie robi.

– Już zaczęłam się rozglądać. Na tej imprezie poznałam bardzo ciekawego przystojnego kardiologa.

Przyjaciółki jednocześnie wybuchły śmiechem.

– A co z Grzesiem?

– Chciał się spotkać w piątek, ale musiałam odmówić. Jutro jadę do Katowic.

Moja mama ma operację.

Pauza.

– Powiedziałam mu, żeby zadzwonił po weekendzie.

– I co on na to?

– Spojrzał na mnie niepocieszony, ale focha nie strzelił. Podwiózł mnie do domu, ucałował i odjechał. Ze wzwodem.

– Miał wzwód, jak się rozstawaliście?

Śmiech.

– No jasne!

– Jezus Maria, to jakaś bestia.

– Wiesz, co sobie pomyślałam?

– Co?

– Żebyśmy spotkali się we trójkę.

– Z Grzesiem?

– Uhm.

– Po co? Trójkącik?

Śmiech.

– Głodnemu chleb na myśli... Zobaczysz go, posłuchasz, zagadasz. A potem opowiesz mi o swoich wrażeniach. Potrzebuję twojej fachowej opinii.

– No dobrze... Może być zabawnie – szepnęła Kamila, mimowolnie wyobrażając sobie Elę, która całuje się tajemniczym przystojniakiem, a potem siebie, która do nich dołącza. – Myślisz, że on spotyka się równocześnie z inną kobietą?

Cisza.

– Hm, nie pomyślałam o tym. I chyba nie chcę myśleć. Kurczę, poczułam zazdrość.

– Okej, zostawmy to. W przyszły czwartek? Piątki mam wolne, moglibyśmy wtedy się upić.

– W takim razie jesteśmy umówione.

– Cudownie.

– Zadzwońię w środę, żeby potwierdzić.

Kamila odłożyła słuchawkę i poszła do łazienki.

Siedząc na muszli, przypomniała sobie pewien epizod, który wydarzył się wiele lat temu na jakiejś konferencji doktoranckiej. Temat był bardzo à propos: „Fantazja, erotyka, literatura”. Ona sama wygłosiła odczyt o motywie nagiej kobiety we francuskiej powieści romantycznej. Po zażartej dyskusji młode badaczki i młodzi badacze spuścili z tonu, wyciągnęli z plecaków wino i zaczęli wielką popijawę, uatrakcyjnioną grą w butelkę. Finał pikantnej zabawy był taki, że dwóch chłopaków dopingowanych przez roześmiane towarzystwo pozbyło się majtek. Podchmielona Kamila zaczęła z nimi tańczyć, rozkoszując się bezpruderyjną atmosferą nasiadówki. Potem poszli we trójkę pod prysznic, ale ona ostatecznie wycofała się z tego pomysłu. Skończyło się na namiętnych pocałunkach i wstępnych pieszczotach dłońmi.

Dlaczego wtedy uciekłam? – pomyślała Kamila, wracając do rzeczywistości. *Przecież mogłoby być fantastycznie.*

Spuściła wodę i umyła ręce, przypominając sobie widok ich szczupłych brzuchów i nabrzmiiałych penisów.

Spojrzała w lustro, miała zarumienione policzki.

A kiedy położyła się na łóżku, próbowała wyobrazić sobie, co by było, gdy wtedy wystarczyło jej odwagi na ten seksualny eksperyment.

piątek, 9 października 1992

XII

Harry ściągnął dzinsową kurtkę i powiesił ją na poręczy krzesła. Spojrzał na siedzące przy stoliku prostytutki. Uśmiechnął się, zagryzł usta i wyciągnął z kieszonki pudełko papierosów.

– Zapalicie? – zapytał uprzejmie.

– A z chęcią – odpowiedziała pulchna, na oko czterdziestoletnia kobieta. Miała długie, kręcone rude włosy. Była ubrana w skórzaną miniówkę i mocno wydekoltowaną bluzkę. Gdy założyła nogę na nogę, zobaczył fragment silikonowej czarnej koronki. Całości dopełniał mocny makijaż.

Stara szkoła – pomyślał oficer.

– Ja też – dodała druga prostytutka, która prezentowała zupełnie inny typ.

Młodziutka, szczupła, blada, o długich kruczoczarnych włosach. Miała na sobie czerwoną krótką sukienkę, dobrze uwypuklającą średniej wielkości biust. *Miseczka be* – stwierdził w duchu.

Poczęstował je papierosem. Po zapaleniu wymienili się badawczymi spojrzeniami.

W tle leciał hit Scorpionsów – „Wind of Change”.

– To było parę tygodni temu – odezwała się starsza. – Środek tygodnia. Tutaj, w Polonezie.

– Godzina? – zapytał.

– Nie było późno, szesnasta, siedemnasta. Prawda?

– Mniej więcej – potwierdziła młodsza.

– No właśnie. Podszedł do nas. Tak jak mówiłam, ciemna cera, fajnie ubrany, tak nowocześnie. Szeroka marynarka, szerokie spodnie, trochę jak policjant z Miami. Zaczął nas zagadywać. Co on mówił, Anulka?

– Jakieś głupoty, nie pamiętam. Że jesteśmy fajne, że powinniśmy z nim trzymać, bo on robi różne interesy, handluje samochodami.

– No właśnie. Postawił po lampce wina i potem przeszedł do konkretów.

– To znaczy? – zapytał Harry, który poczuł wielką ochotę na piwo i kieliszek wódki.

– Powiedział, że chce się z nami dwiema zabawić.

– *Dobrze zapłacę, jak się dobrze postaracie – oznajmił. – Mam cholerną chciwą!*

– I co wy na to?

– Postawisz mi pepsi? – zapytała nagle brunetka, oblizując delikatnie błyszczące usta i jednocześnie spoglądając mu prosto w twarz. Miała piękne brązowe oczy.

Zjechał wzrokiem niżej, na uda, smukłe, długie, ozdobione czerwonymi pończochami.

– Jasne – odpowiedział i poczuł, że robi mu się gorąco. Zirytował się swoim podnieceniem.

Wyszczerzył zęby w obronnym geście i zerknął na pulchną czterdziestolatkę.

– Ty też coś chcesz?

– Piwo może być.

– Już się robi, dziewczyny.

Wstał i podszedł do baru. Zamówił pepsi, dwa piwa i kieliszek wódki. Gdy kelner przyniósł napoje, zaczęli pić.

– I co? – Harry wrócił do tematu. – Zaproponował trójkącik. A wy jak na to zareagowałyście?

– Anulka była chętna – oznajmiła. – Co nie?

– No pewnie. Normalna robota. Czasami klient chce jedną, czasami trzy.

– A ty?

– Odmówiłam.

– *Sorry, kochanieńki, ale za dziesięć minut muszę odwiedzić klienta. Pewnie czeka już na mnie goły i wesoly.*

– Jak na to zareagował?

– Zmarszczył brwi i skupił się już na Anulce.

– Dlaczego się nie zgodziłaś?

– Coś mnie od niego odpychało. Jak się pochylił nade mną zarumieniony, z czerwonymi plamami na szyi, to aż mnie jakiś dreszcz przeszedł.

– Wkurzył się?

– Nie. Ale spojrzał jakoś... dziwnie.

Chwila namysłu.

– Dziwnie?

– No przestraszyłam się, kurwa mać. Nie wiem dlaczego. Po prostu.

Komisarz spojrział na Anulkę, która odsunęła od ust butelkę pepsi. Parę kropel popłynęło jej po brodzie. Starła je palcem, który starannie oblizła.

– Poszłaś z nim? – zapytał dziewczynę, z trudem panując nad sobą. W myślach rozпинаł właśnie rozporek i podniecał się na widok jej na wpół nagiego ciała.

Jestem chory – stwierdził bezgłośnie.

– Pewnie.

– Jak było?

– Szybko. Parę szybkich numerów. Niecała godzinka mu zeszła.

– Był agresywny?

– Nie, odwrotnie. Miły, czuły, zabawny. Nawet mi się podobało. Mogłabym mieć tylko takich klientów.

– Jak to się skończyło?

Anulka przygryzła wargi i zmrużyła oczy.

– Niech no sobie przypomnę. Wstał, zapłacił, zażartował. Miał już wyjść, ale odwrócił się i poprosił, żebym mu jeszcze raz na koniec obciągnęła.

– Zrobiłaś to?

– Tak, ale najpierw mi zapłacił. Gdy się spuścił, wytarł fujarę, pogłaskał mnie, życzył dobrego dnia i wyszedł.

Harry pokiwał głową, dopił piwo i zapatrzył się w biust brunetki, który coraz bardziej go nęcił.

Starsza prostytutka przyłapała jego łapczywe spojrzenie.

– Wydupczyłbyś Anulkę, kowboju? – Zarechotała obleśnie.

Policjant zarumienił się i potrząsnął głową. Ubodło go mocno, że tak łatwo może zostać rozszyfrowany przez pierwszą z brzegu, prostą, podstarzałą kurwę. Próbował zrobić surową minę, ale mu nie wyszło. Już chciał wstać, odburknąć coś i wyjść z hotelowego baru, ale Anulka dotknęła jego kolana i uśmiechnęła się zalotnie.

– Chodź – szepnęła, chwyciła go za rękę i znowu spojrzała mu prosto w oczy. – Przecież wiem, że chcesz.

Poczuł dreszcz, który przeszedł przez całe ciało. Harry westchnął i posłusznie poszedł z prostytutką do pokoju.

Nie miał sił odmówić.

XIII

– Gdzie ty jedziesz? – Katia spojrzała na Miszcza. – Dlaczego skręciłeś?

Policjant podrapał się po wąsie i ponownie włączył kierunkowskaz. Posterunkowa omiotła wzrokiem okolicę. Właśnie zjechali z głównej trasy na jakąś brukowaną ulicę. Nie znała tych terenów.

– Możesz mi odpowiedzieć, chłopie?

– Nie bój nic. Musimy zboczyć na chwilę w interesach, a potem wracamy i jedziemy grzecznie przesłuchać świadka.

Po chwili czarny, stary opel znalazł się na gruntowej drodze.

– Las? – zapytała. – Zabierasz mnie do lasu?

– Tak, jestem zabójcą, którego ścigamy. – Śmiech.

Znowu zakręt, samochód zwolnił i zatrzymał się na skraju lasu, obok stosu równo przyciętych pni.

Na tle zaoranego pola stało gospodarstwo otoczone zmurszałym, pozieleniałym płotem.

Wysiedli.

Katia zapięła kurtkę – było zimno i pochmurnie, zapowiadało się na deszcz. Wciągnęła powietrze nosem i poczuła zapach świerków.

– Dostałem wczoraj cynk od gospodarza, że miał świniobicie – odezwał się brzuchaty operacyjnyiak, wskazując mężczyznę, który szedł w ich kierunku w towarzystwie czarnego kundla. Był to siwy, nieogolony sześćdziesięciolatek, ubrany w kufajkę, znoszone spodnie i za duże kalosze. Łapczywie wgryzał się

wielkie zielone jabłko. W pewnym momencie zatrzymał się i wyrzucił ogryzek za siebie.

- Uszanowanie, panie władzo! – powiedział, mlasnąwszy.
- Dobry. Co tam masz dla nas, Zeniu?
- Dużo mięcha.
- Cudownie.
- Boczek wyszedł galantny w tym roku. Jak nigdy.
- Zjemy, ocenimy.

Miszczu uśmiechnął się od ucha do ucha, mimowolnie oblizał i zerknął na Katię.

- To koleżanka z roboty, też by coś chciała.

Gospodarz pokiwał głową.

– Kłaniam się. Oczywiście, czym chata bogata. To chodźmy do mojego królestwa.



Gdy stanęli przed dymiącą wędzarnią, Katia nachyliła się do Miszcza i szepnęła mu do ucha:

- Nie chcę żadnego mięsa.
- Nie wydziwiał, dziewczyno. Mamy fajny układ, trzeba korzystać.

Wzruszyła ramionami. Gospodarz otworzył drewniane drzwi nieotynkowanego pomieszczenia i zniknął w środku. Policjanci rozejrzeli się wokoło.

Po pokrytym kałużami podwórku chodziły kury, w kojcach podszczekiwały psy, a na parapetach parterowego domu siedziały czarno-białe koty i leniwie wpatrywały się w intruzów.

Posterunkowa podniosła wzrok. Wokół pobrudzonej anteny satelitarnej krążyły szczebiocące jaskółki.

Nagle jeden z kotów zeskoczył gwałtownie na ziemię i podbiegł do wiadra, które stało przy studni. Syknął i trącił ją łapką.

– Czujecie? – odezwał się gospodarz, stając w progu. W rękach trzymał dwie pełne reklamówki. – Biała kiełbacha, kaszanka, szynka i trochę pasztetowej. Najlepsze w całym Układzie Warszawskim!

– Zeniu, nie ma już Układu Warszawskiego. Teraz przyjaźnimy się z Amerykanami, zapomniałeś?

Zeniu machnął ręką.

– Wcześniej czy później wrócimy w ramiona ZSRR.

– Nie ma ZSRR, teraz jest Federacja Rosyjska.

– Zobaczymy, kurwa, jak długo. To chwilowe. KGB za chwilę posprząta cały syf i wszystko wróci do normy.

Miszczu odebrał reklamówki, jedną przekazał koleżance, a drugą podniósł w górę i powąchał.

– A bimberek masz? Chociaż buteleczkę.

– Niestety nie. Źródło wyschło.

– Jak to? – zmartwił się operacyjniak.

– Facet, który pędził bimber, niedawno się powiesił.

– Ożeż w mordę. Dlaczego?

– To stara sprawa, sprzed jakichś siedmiu lat.

– Opowiedz.

Gospodarz wyciągnął z kieszonki paczkę papierosów i przybliżył ją w stronę policjantów. Pokręcili odmownie głowami.

– Muszę przeczyścić płuca – powiedział, po czym zapalił i zaciągnął się z lubością. – Gość, który robił bimber, miał córkę. Krysię. Piękna dziewczyna. Piętnaście lat miała, gdy została zgwałcona.

Katia zmarszczyła brwi.

– Złapano go? – zapytała.

– Nie. Nie zgłosili tego nigdzie.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Ze strachu, wstydu, z jakiegoś innego powodu? Krótco potem dziewczyna ześwirowała i powiesiła się. To go strasznie podłamało, zmienił się, stracił ochotę do życia, zamknął się w sobie. Owszem, udawało mu się jakoś utrzymywać na powierzchni, ale każdy przeczuwał, że prędzej czy później zrobi sobie samobójca. No i tak się stało. W zeszłym tygodniu. Podobno w rocznicę gwałtu.

– Gdzie Krysia została zgwałcona?

– Gdzieś w lesie. W okolicach Młynkowa.

- Młynkowa? – powtórzył Miszczu. – Gdzie leży Młynkowo?
- Pomiędzy Bytyniem, Kunowem a Gajem Wielkim.
- Katia spojrzała na partnera.
- I Stramnicy – dodała ostrożnie.
- No właśnie – podchwycił Zenek. – Tam, gdzie zajebali kobitkę ostatnio.
- Miszczu podrapał się po wąsie.
- Wiadomo, kto ją zgwałcił?
- Nie. To był podobno jakiś młody facet. Jechał motorem polną drogą, zatrzymał się i zaatakował.
- Jak wyglądał?
- Nie wiem. Zaskoczył ją zniecka. Podobno trwało to bardzo krótko. Minuta, dwie. To był Szybki Bill. Włożył, wyłożył i spierdolił.
- Dziewczyna domyślała się, kto to?
- Niewiele można było z niej wyciągnąć. Zamknęła się w sobie i tyle.



- Widzisz – odezwał się Miszczu, kiedy wsiedli do samochodu. – Zboczyliśmy z drogi i od razu natknęliśmy się na cenne informacje.
- To on?
- Nie wiem. Ale trzeba to sprawdzić.
- Może to jego pierwszy czyn? – rzuciła Katia, przypominając sobie słowa Ostrowskiego wypowiedziane na naradzie.
- Zapięła pasy i spojrzała w lusterko umieszczone w klapce przeciwsłonecznej. Westchnęła, dostrzegając nowe wypryski na twarzy.
- Okres masz? – zapytał zniecka Miszczu.
- Że co?

- Tak tylko pytam. Moja żona w czasie okresu zawsze dostaje pryszczki.
- Ale jesteś spostrzegawczy – zadrwiła Katia i spiorunowała go wzrokiem. – Powinieneś zostać pisarzem obyczajówek.
- Mogłabyś być miłsza, wiesz. – Komisarz przekręcił silnik i nacisnął gaz. Samochód ruszył przed siebie. – Moja żona też jest agresywna w tych dniach – mruknął i sięgnął po radiostację.
- Biedny misio z ciebie – burknęła policjantka.



- Musimy ostro się wziąć za przeszukanie terenu – mruknął Mischu, skupiając się na prowadzeniu samochodu po dziurawej drodze. – Nasz zbój jest stąd. Czuję to. On gdzieś tu się czai.
- Chłopaki z dochodzeniówki to samo mówili na naradzie – przypomniała Katia.
- Nie przeceniaj ich.
- O co ci chodzi?
- Dochodzeniowcy to łajzy, które się nie znają na rzetelnej robocie. Potrafią tylko produkować papiery. Prawdziwa policja to robota operacyjna, którą my wykonujemy. Jeździmy, łazimy, węszymy, gadamy, podglądamy, czyli zbieramy informacje. Prawdziwe, unikalne, autentyczne informacje. Oni mają tylko je potwierdzić. Tymczasem co robią?! – Policjant rozemocjonował się na dobre. Zerknął na partnerkę i podniósł palec w górę. – Partolą. My przynosimy towar, on mają go tylko opakować, podpisać i zanieść prokuratorowi. I co? I jajco.
- Katia pokiwała głową, nie wiedząc, jak zareagować na ten nagły wybuch emocji.
- Dlatego sukces śledztwa zależy od nas. Rozumiesz? My musimy złapać

tego chuja. My!

Samochód przyspieszył.

Miszczu łypnął na koleżankę.

– Uważasz, że przesadzam? – zapytał podejrzliwie.

– Nic nie uważam – odburknęła Katia, wpatrując się w zakurzony pulpit.

– No to ci coś opowiem. – Podkomisarz podrapał się po wąsie. – Taka sytuacja. Przesłuchuję kiedyś pewnego króliczka.

– Króliczka?

– No, drobnego przestępcę. Zdobywam jego zaufanie, nawet sympatię.

W końcu zaczyna mówić. Wtedy wchodzi pewien wielki pan komisarz z Dochodzeniówki i mówi, że wzywa mnie naczelnik. „Dokończę za ciebie” – dodaje. Wzdycham, ale idę, nie mam przecież wyjścia. Wchodzę do szefa, a on, kurwa, zdziwiony.

– *Nie wołałem cię, spierdalaj, zajęty jestem!*

– Wracam podkurwiony do pokoju, a tam mój klient cały w rumieńcach, a do tego milczy jak zaklęty.

– *Co jest? – pytam.*

– *Nic – odpowiada pan komisarz. – Zamknął ryj, nie chce gadać.*

Cmoknął, powiedział, że nic tu po nim i wyszedł.

– *Co się stało? – zagaduję uprzejmie.*

– *Zaczął na mnie krzyczeć – odpowiada klient – że mi zaraz wpierdoli, że mi nogi z dupy powyrywa, więc się zamknąłem. Nie będę przecież z chujem rozmawiał.*

Podkomisarz zerknął na Katię, pokiwał głową i oznajmił, wydymając usta:

– Tacy to są miszczowie. Rozumiesz już, o co mi chodzi?

– Rozumiem – mruknęła Katia.

Miszczu uśmiechnął się, uderzył prawą ręką w kierownicę, a potem pstryknął palcami.

– W takim razie zaczynamy wielkie węszenie – rzucił.

– Coś konkretnego masz na myśli?

– Przeczесzemy dokładnie okolice. Popytamy na komisariatach, odwiedzimy szkoły, parafie, leśniczówki, sprawdzimy, kto z mieszkańców notowany był za gwałty, rozboje, molestowania. W końcu coś znajdziemy. Po powrocie na komendę pogadam z Burym, żeby jak najszybciej wysłał ludzi lokalnych jednostek w teren.

Ciekawe, czy nasz klient ma żonę? – pomyślała nagle Katia, przypominając sobie rodziców. *Dzisiaj jest piątek, tatuś pewnie pociąga kolejne piwko i wścieka się, wertując swoje ukochane gazetki. A w niedzielę na sto procent zadzwoni mamusia i zapyta mnie, czy byłam w kościele.*

XIV

Ojciec zamordowanej Marzeny siedział ze wzrokiem wbitym w stół. Podczas rozmowy trzymał za rękę żonę, która w skupieniu odpowiadała na pytania. Kowalski patrzył na niego i miał wrażenie, że mężczyzna zaraz się rozplacze, a potem rozsypie na kawałki.

- Córka mówiła, że wybiera się na spotkanie z jakimś mężczyzną.
- Powiedziała o nim coś więcej?
- Nie.
- O jego wyglądzie?
- Nie. Poza tym, że był całkiem przystojny i ładnie ubrany.
- A może jakiś inny szczegół?
- Nic mi nie przychodzi do głowy.
- Przedstawił się z zawodu?
- Chyba powiedział, że jest inżynierem.
- Kiedy go poznała?
- We wtorek. To był chyba...
- Dwudziesty dziewiąty września?
- No właśnie. Dzień przed... – Pani Danucie zadrżał głos. Zamilkła na chwilę. Wzięła głęboki oddech i powoli wpuściła powietrze. Kowalski dostrzegł, że mężczyzna mocno ścisnął rękę żony. – ...przed tym nieszczęściem.

Ostrowski pokiwał głową. Przed oczami stanął mu obraz nagiej młodej kobiety leżącej na prosektoryjnym stole.

– Gdzie go spotkała? – zapytał.

– W jakiejś kawiarni. Podszedł do niej i podał jej upuszczony notesik, w którym coś zapisywała. To była bardzo uporządkowana dziewczyna. Bez przerwy robiła jakieś listy, podsumowania, plany na kolejne dni. Mistrzyni logistyki. Prawdziwa ekonomistka. Zaczęli rozmawiać. A kiedy powiedziała mu, że buduje dom w Swarzędzu i potrzebuje drutu zbrojeniowego, zaoferował pomoc.

– W jaki sposób?

– Powiedział, że ma spory zapas takiego drutu u siebie w domu i chętnie jej odstąpi. Umówili się na następny dzień. Mieli razem pojechać do jego gospodarstwa.

Policjanci spojrzeli po sobie.

– Gospodarstwa?

– Tak powiedział.

– A gdzie to gospodarstwo leży?

– Nie wiem.

– W okolicy?

– Pewnie gdzieś tu, pod Poznaniem.

– Na którą się z nim umówiła?

– Chyba po południu. Nie powiedziała. Tego dnia wróciła późno do domu. Pogadaliśmy z dziesięć, piętnaście minut. Potem poszła spać, była wykończona. Od paru tygodniu biegała wokół tej budowy.

Milczenie.

– Nie dopytywałam. Marzenka była ładną dziewczyną, ciągle wokół niej kręcili się jacyś mężczyźni.

– Rozumiem.

– Wtedy nic przecież nie wiedziałam, że potem będzie się liczyła każda drobna informacja na ten temat. Że ona wyjdzie z domu i już nigdy...

Pan Henryk zerwał się z krzesła i wyszedł pospiesznie z pokoju. Wkrótce usłyszeli zduszony szloch.

– Myślicie, że to on?

– Trudno powiedzieć. Badamy wszystkie tropy.

Rozmowa znowu się urwała. Kobieta otarła dłonią zaczerwienione oczy.

– Marzenka strasznie się zaangażowała w budowę – załkała. – To było jej marzenie – dodała, uspokajając się. – Postawić własny dom, uwić sobie swoje własne gniazdko. Była oszczędna, dobrze zarabiała, myśmy trochę jej dołożyli... Nic dziwnego, że była o krok od spełnienia tego marzenia.

W mieszkaniu obok rozległy się jakieś krzyki.

– Gdyby nie...

Płacz.

Do pokoju wrócił pan Henryk, podszedł do żony, objął ją i spojrzał na

policjantów.

– Wystarczy na dzisiaj – powiedział cichym, zrezygnowanym głosem. – Dajcie nam już spokój.

– Jasne – odezwał się Ostrowski. – Zadamy jeszcze tylko kilka pytań i już nas nie ma.

Mężczyzna podał żonie chusteczkę i usiadł na krześle.

– Podobno Marzena tamtego dnia miała na sobie pierścionki?

– Tak. Dwa.

– Może je pani opisać?

– Tak. Lubiłyśmy rozmawiać o biżuterii. To było nasze wspólne hobby.

– Rozumiem.

– Obydwa były srebrne. Jeden miał duży zielony kamień, drugi trzy małe kamyki, matowe turkusy.

– A czy córka miała chłopaka?

– Nie. Od paru miesięcy była sama. Jej narzeczony zerwał zaręczyny.

Pani Danuta wydmuchała nos.

– To był przełomowy punkt w jej życiu – odezwała się. – Przez miesiąc chodziła jak struta, popłakiwała po kątach, a potem nagle wzięła się w garść, usiadła przez kalendarzem i zaplanowała sobie na nowo życie. Punktem wyjścia miał być dom w Swarzędzu. Poczula wiatr w żaglach. Zawsze ją za to podziwiałam. Po każdej porażce stawała się silniejsza. Któregoś razu stwierdziłam, że ta dziewczyna jest w stanie przenosić góry i że każdy z nas powinien brać z niej przykład.

Długowłosy sierżant znowu myślą zawędrował do Zakładu Medycyny Sądowej. Wzmianka o przedsiębiorczej dziewczynie nieoczekiwanie przywołała obraz kobiety z paskudnie zdeformowaną głową.

„Nieźle ją poharatał” – mruknął wtedy Broniek Kulej, który zaszedł go od tyłu.

Policjant wyobraził sobie sylwetkę mężczyzny masakrującego w przyływie szału sympatyczną dwudziestolatkę. *Życie to jest jednak syf* – stwierdził w duchu i spojrzał wyczekująco na Kowalskiego. Skończyły mu się pytania, ale też skończyła mu się ochota na dalsze męczenie biednej matki. Zapragnął wyjść z mieszkania, zaczerpnąć świeżego powietrza i ruszyć w stronę jakiegś sympatycznej knajpy.

Muszę się zresetować, muszę zapomnieć o tym leśnym pojebie.

Zasłonił ręką usta i ziewnął.

– Chciałbym na koniec zapytać o znajomych córki – odezwał się Kowalski. – Czy miała jakąś przyjaciółkę od serca, kogoś, komu często się zwierzała?

– Nie. Nikt taki nie przychodzi mi do głowy.

– No dobrze – westchnął dochodzeniowiec. – Dziękuję bardzo za

wyrozumiałość.

Policjanci podnieśli się i powolnym krokiem ruszyli w stronę przedpokoju. Gdy stanęli przy drzwiach wyjściowych, Kowalski podrapał się po policzku i zagadnął:

– Jakim samochodem jeździł tamten mężczyzna?

– To był jakiś samochód dostawczy z napisem „Pepsi cola”. Proszę nie pytać o markę, córka nie mówiła.

– Panowie, dosyć już tego, to ponad nasze siły – rzucił oschle pan Henryk, otwierając drzwi. – Do widzenia.

XV

– Harry, przestańcie się pierdolić z tą sprawą! – Buryła przerwał układanie kostki Rubika i spojrzał na podwładnego, który siedział rozwalony na skórzanej kanapie. – My jesteśmy policja, chłopie. Nie mamy czasu na ganieanie za jakimś leśnym ludkiem, któremu odjechało.

Komisarz rozłożył ręce

– Rozumiesz to chyba? Władzę nad miastem próbują przejąć gangi. Po całym tym jebanym przełomie zrobił się wielki burdel. Na powierzchnię powyłaziło uzbrojone robactwo, które chce zaprowadzić swój własny porządek. Wyczuwasz to? To jest western, a nie dziesięciominutowa wieczorynka. Jeśli nie opanujemy sytuacji, będzie kiepsko. Panimajesz?

– Da, panimaju.

– Więc spręźcie się, złapcie mi tego chujka i zamknijcie temat.

– Robimy, co możemy.

– Taa, robicie, co możecie... Będą jaja, jak dochodzeniowcy go złapią.

– Czy to ważne, kto go złapie?

– Ważne! Bardzo ważne... Nie będę ci teraz tłumaczył oczywistości.

– Jakoś to przeżyję.

– Snujecie się po mieście jak smród po gaciach... A ty...

– Co ja?

– Czy ja cię nie znam? Pijesz i pieprzysz laski po kątach, zamiast przynieść mi głowę zboczeńca.

Harry zmarszczył brwi.

– Co marszczysz brwi? Niewiniątko! Zobacz, jak wyglądasz! Oczy przekrwione, trupia cera, włosy jak słoma. I ten oddech. Czasy się zmieniły, mamy demokrację, prawa człowieka, wolne media, czwartą władzę, *savoir vivre*! Przyjmij to w końcu do wiadomości i zrób coś ze sobą.

– Czy ty mnie teraz opierdalasz, Bury?

– Dokładnie to właśnie robię.

– Nie ściemniaj. Po co mnie wezwałeś?

Cisza.

– Głuchy jesteś?

Podinspektor odłożył kostkę, poprawił przekrzywioną poszetkę i zagryzł wargi.

– Chłopcy złapali dzisiaj jednego z żołnierzy Kowboja. Męczą go od paru godzin, ale bezskutecznie.

Harry zaśmiał się i wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów. Zapalił i spojrzał ironicznie na szefa.

– I? – zapytał.

– I... chodzi o to, żebyś pogadał z tym króliczkiem. – Pauza. – Po swojemu.

– Nikogo innego nie masz? Jestem wykończony, cały czas prowadzimy poszukiwania. Mało śpię.

– Jesteś najbardziej skuteczny w pogaduszkach z takimi zbrojnymi.

– Przed chwilą mnie opierdoliłeś, wspomniałeś coś o prawach człowieka i kazałeś się zmienić.

– Jaki delikatny!

– Mam wrażliwą duszę!

Policjanci zarechotali. Podinspektor Buryła znowu zagryzł wargi, a potem zrobił bardzo poważną minę.

– Pośmialiśmy się – powiedział. – Pogadaliśmy. A teraz idź do tamtego pokoiku, wyproś kolegów, co to się męczą bezskutecznie z klientem i wyciągnij z niego informacje.

– Co z prawami człowieka?

– Prawa człowieka?

Komisarz wyszczerzył zęby.

– Mogę pizgnąć go w miękkie? – zapytał prowokacyjnie, wypuszczając z ust beładne kłębowisko dymu. – W razie czego będziesz mnie bronił?

– Nie wkurwiał mnie, Harry.

– Co chcecie z niego wyciągnąć?

– Gdzie się ukrywa siostrzeniec Kowboja, Pistolet.

– Co zrobił?

– W czasie włamu postrzelił dziewczynę, która okazała się córką kogoś

ważnego. Wczoraj zadzwonił minister i prosił... Prosił, póki co prosił, o szybkie i sprawne poprowadzenie sprawy.

Operacyjny westchnął, potarł zaczerwienione oczy, zgasił papierosa i wyszedł z gabinetu wolnym krokiem. Zastępca naczelnika pokręcił głową, sięgnął po „Przekrój”, wyłożył nogi na biurku i zaczął wertować magazyn. Zatrzymał się na stronach dwadzieścia cztery i dwadzieścia pięć. Jego uwagę przykuł wytłuszczony tytuł: „Zbrodnia niejedno ma imię”.

Spojrzał na lead: „Wielkim zabójcą jest ten, kto pozostawił ślad w pamięci czasu bądź z powodu okrucieństwa, tajemniczości, wyrafinowanych i użytych po raz pierwszy metod i narzędzi, idealizmu, bądź też z powodu dodatkowych skutków zbrodni”.

Humanisci – pomyślał zde gustowany policjant.



Harry wszedł do małego, dusznego pomieszczenia. Rozejrzał się, wziął z parapetu popielniczkę, usiadł na krześle, zapalił papierosa i przyjrzał się uważnie zaczerwienionemu mężczyźnie.

Co za stylizacja – pomyślał, lustrując konfekcję przestępcy, na którą składały się adidasy Nike, spodnie dresowe z podwójnym paskiem, jakaś syntetyczna niebieska koszulka i złoty zegarek.

Książę, kurwa, ulicy – stwierdził w duchu, po czym zapytał:

- Jak na ciebie mówią, mały?
- Tylko nie mały, chuju – warknął w odpowiedzi dwudziestolatek.
- Tylko nie chuju, mały.
- Pierdol się.
- Twoja ksywka?

– Karny.

– Niezła.

Prychnięcie.

– Lubisz strzelać karne? Okej, ja też.

Harry oparł żarzącego się papierosa o szklaną popielniczkę, wyciągnął z wewnętrznej kieszeni dżinsowej kurtki małą gorzką żołądkową, wziął hausta, syknął i spojrzał prosto w oczy dwudziestolatki.

– Słuchaj, mały... Przepraszam, Karny. Jestem zmęczony, wkurwiony i gdybym mógł, to bym rozjechał dzisiaj cały świat. Dlatego nie będę z tobą wchodził w grzeczne dyskusje. Przykuję cię teraz do tej metalowej szafki, w której trzymamy różne duperele, i zacznę napierdalać w twoje brzusio. Ważna informacja jest taka: nikt tu nie wejdzie, nikt nam nie przerwie. Chłopaki po prostu chcą, żebym zakończył już ten gówniany temat. No bo sam powiedz, ile można się brandzlować?

Policjant kiwnął wyczekująco głową.

– Pierdol się, Harry. – Usłyszał. Westchnął i znowu się zaciągnął.

– Harry... – powtórzył swoją ksywę i cmoknął ustami. – To my koledzy z podwórka jesteśmy – stwierdził po wypuszczeniu dymu. – Fajnie. A gdzie się bawiliśmy razem, w jakiej piaskownicy?

– W żadnej.

– To dlaczego się spoufalasz?

– Masz szramę na ryju.

– Mój znak rozpoznawczy, rozumiem.

– Nie, ty chyba niczego nie rozumiesz, koleś. Jeszcze.

Komisarz podniósł ręce w górę, przytrzymując papierosa ustami.

– To mnie oświeć.

– Masz przejebane na mieście. Wszyscy są na ciebie wkurwieni. Znalazł się szeryf z dziadowskiego westernu. Doigrałeś się, wuja, tyle ci powiem. Za chudy jesteś w uszach, żeby nas ustawiać. Zaraz skończy się twoja kariera.

– Chcesz kawy?

– Nie.

– Herbaty?

– Nie.

– Koniaku?

– Spierdalaj!

Operacyjny pokiwał głową, zdusił papierosa i podniósł się z krzesła. Włączył radio, mocno pogłośnił, potem podszedł do szafki i wyjął z niej kajdanki.

Spojrzał na zegarek.

– Wstawaj, kurwa – warknął nagle. – Szybko.

Przestępca drgnął i spojrzał zdezorientowany na policjanta, który

nieoczekiwanie zmienił się rozjuszona bestię.

– Gleba, chuju zamazany!

– Co?

– Gleba, mówię. Już. Już!!!

Karny upadł na podłogę.

Harry przykucnął nad nim, wygiął mu ręce na plecach i bardzo sprawnie zakuł w kajdanki.

– No dobra, zaczynamy prawdziwą męską rozmowę – wysapał komisarz, po czym stanął na tyłku przestępcy, z trudem utrzymując równowagę.

Po paru sekundach zszedł. Przeczesał włosy i zerknął na Karnego.

– Sorry, ujechałem ci dupę.

Cisza.

– Pewnie powiesz, że masz to gdzieś. Że to... błahostka. Będziesz miał rację, zważywszy na to, że już za momencik doznasz większych zniszczeń.

Usiadł przy twarzy leżącego, upił parę łyków gorzały.

– Założymy się? – sapnął. – Cztery pozycje i powiesz mi, chuju zamazany, drżącym głosem wyruchanego ministranta, gdzie ukrywa się Pistolet.

Jeszcze jeden łyk.

Harry poczuł, że w jego żyłach zaczyna krążyć ostra, nieprzyjemna substancja. Zakreśliło mu się w głowie.

– Jak bardzo jesteś twardy? – zapytał, kładąc się na plecach. – W którym momencie pęknie? Na samym początku, kiedy przykuję cię kajdankami do szafki i będę pizgał w miękkie? Czy na końcu, kiedy zawlekę cię do piwnicy i poćwiczę strzelanie?

Policjant zamilkł. Zamknął oczy. Miał wrażenie, że stoi nad przepaścią. Chciało mu się wymiotować.

– Jesteś pojebany, chłopie! – Usłyszał zduszone słowa Karnego. – Nie wiesz, co ty robisz!

Komisarz otworzył oczy i ujrzał brudny sufit.

Nie wiem, co ja robię? – pomyślał. *Być może.*

– Za to ty zaraz poczujesz, co ja robię z takimi śmieciami jak ty – odpowiedział lodowatym głosem.

Wyciągnął buteleczkę i przyłożył do ust. Był pusta.

Usiadł, rzucił ją do kosza, wstał i wbił wzrok w leżącego. Trwało to kilkanaście sekund. W końcu warknął:

– Zaczynamy, penerze. – Nabrał powietrza i ryknął: – Wstawaj!

Karny podniósł swoje cielsko i natychmiast upadł, uderzony pięścią w brzuch.



– Jest! – krzyknął. – Mamy go!

Naczelnik Kryminalnego przekręcił kostkę i podskoczył na krześle. Uśmiechnął się promiennie i wyciągnął przed siebie swoją ulubioną od tygodnia zabawkę, której każda ścianka była pokryta jednolitym kolorem. Pokiwał z uznaniem głową.

– Główka pracuje – mruknął i rozsiadł się wygodnie na swoim naczelnikowskim fotelu.

Zerknął na biurko i odnalazł wzrokiem maszynopis, który parę dni temu podrzucił mu zaprzyjaźniony wydawca literatury sensacyjnej. Była to powieść kryminalna jakiegoś młodego polskiego autora. Buryła miał ją przekartkować, żeby sprawdzić wiarygodność realiów pracy policji. Przeczytał parę stron i przerwał lekturę – nie potrafił się zanurzyć w opisanym tam świecie. Miał wrażenie, że obcuje z kiepską podróbką amerykańskich kryminałów, które od transformacji politycznej zalewają polski rynek.

Pokręcił głową.

Tu trzeba mięsa, polskiego mięsa. Naszego kolorytu. Same zwroty akcji nie wystarczą.

Przed oczami stanął mu Henio Kalupa, który ostatnio na czyichś imieninach opowiadał o tym, jak w latach siedemdziesiątych ówczesne szefostwo walczyło z alkoholizmem wśród milicjantów.

– Organizowano wtedy odprawy dla funkcjonariuszy, którzy byli nadmiernie trunkowi. Kierownicy jednostek mieli duże kłopoty z wytypowaniem uczestników, bo wszyscy się migali jak tylko mogli. Koniec końców na tych smutnych mityngach pojawiali się prawdziwi pijacy i przypadkowe ofiary desperackich łapanek. Na jedną z takich odpraw poszedł Józek, jeden z nielicznych abstynentów wielkopolskich. Kiedy zorientował się, co jest tematem spotkania, strasznie się

wkurwił.

– *To jest skandal – krzyknął. – Dlaczego ja tu jestem? Zabiję naczelnika!*

I trzaskając drzwiami, wyszedł z sali. Przestraszony zastępca komendanta wybiegł za nim, żeby go uspokoić. W ramach przeprosin zaprosił na obiad do milicyjnego kasyna. Traf chciał, że po pół godzinie zeszli się tam pozostali uczestnicy antyalkoholowej konferencji i zaczęli ostro pić. Atmosfera była bardzo serdeczna. Każdy z każdym ścisnął się wylewnie i zapewniał o dozgonnej przyjaźni, niektórzy zaczęli płąsać w rytm tanecznej muzyki. W którymś momencie ktoś wzniósł toast za Józka i wygłosił płomienną pochwałę jego niezłomności abstynenckiej. Chłopina tak się wzruszył, że poprosił o kielicha, wypił i stwierdził, że wódka jest jednak dobra. I tak się zaczęła jego pijacka kariera, zakończona całkiem niedawno w psychiatryku. Mówią o nim „kapitan Piwko”.

Buryła uśmiechnął się, przypomniawszy sobie pointę branżowej historyjki.

Warto to spisać – pomyślał. To są przecież prawdziwe, poruszające opowieści, które dotyczyły istoty rzeczy, nie tylko tej policyjnej.

Wypił łyk herbaty. Nagle otwarły się drzwi i z trzaskiem uderzyły o ścianę.

Do gabinetu wszedł Harry. Spocony, pomięty, śmierdzący.

Naczelnik zmierzył wzrokiem podwładnego, który usiadł na krześle i niezgrabnymi ruchami zapalił papierosa. *On już długo nie pociągnie – stwierdził w duchu naczelnik. Trzeba będzie coś z nim zrobić.*

– Pistolet zaszył się w Gostyniu – oznajmił komisarz, wypuszczając dym. – Tu masz kartkę z dokładnym adresem – dodał. Wyciągnął z kieszonki kartkę i położył ją na ławie. Buryła pokiwał głową.

– Świetnie. Dziękuję.

Po krótkim milczeniu dopytał:

– Karny żyje?

– Tak.

Cisza.

– I będzie żył?

– Myślę, że tak. – Harry wyszczerzył zęby.

– To dobrze.

Naczelnik raz jeszcze wbił wzrok w zmęczonego komisarza, pomyślał o czymś przez chwilę i odezwał się stanowczo:

– A teraz wypierdalaj do chaty, Harry, i wyśpij się.

Strzepnął niewidzialny pyłek z marynarki.

– Tylko nie pij i nie ruchaj. Masz odpocząć. Solidnie odpocząć. Wróc do roboty w poniedziałek. Odświeżony. Przynajmniej trochę. Zrozumiałeś?

– Zrozumiałem.

Harry trzasnął drzwiami i zniknął.

Buryła westchnął i podrapał się pod szyją. Przez chwilę wsłuchiwał się

w energiczne kroki komisarza, zastanawiając się, czy rzeczywiście pójdzie prosto do domu. To nie było przecież w jego stylu.

Oparł się o zagłówek fotela.

Gdy złapiemy klienta, załatwię mu jakieś długie chorobowe.

Skrzywił się, bo natychmiast uzmysłowił sobie, że Harry to nie jest ktoś, kto – jak każdy normalny człowiek – idzie z radością na zasłużony odpoczynek.



Schował resztę do kieszeni, zapakował butelki do reklamówki i wyszedł ze sklepiku. Postawił zakupy na ławce, zapiał kurtkę i wciągnął głęboko powietrze.

Zmierzchało. *Zaraz włączą latarnie* – pomyślał i podrapał się po szramie na policzku.

– *Hello darkness, my old friend* – zanucił cicho i ruszył w stronę swojego bloku. – *I've come to talk with you again.*

W oddali było słychać jednostajny szum samochodów, który czasami zakłócało gniewne trąbienie klaksonów.

Minął budkę telefoniczną. Stał w niej jakiś mężczyzna i żywo gestykułował, wykrzywiając przy tym gniewnie twarz.

– Nie zostawię tak tego! Rozumiesz? Ty głupia pizdo! – Doszło do uszu Harry'ego, który nagle drgnął i gwałtownie się odwrócił.

Z wielkiego rozłożystego drzewa zerwała się chmara gawronów i zaczęła agresywnie krakać. Spojrzał w górę, na granatowo-czarne niebo, na tle którego kołowały ruchliwe ptaki.

Harry zagwizdał kilka taktów „Sound of Silence” i wyciągnął z kieszeni klucze.

Zbliżył się do klatki i poczuł, że ma mokre oczy.

sobota, 10 października 1992

XVI

Aldona otworzyła oczy i sięgnęła po papierosa.

Musiła koniecznie zapalić. Musiała jakoś utemperować rozochoczone myśli i rozgrzane ciało. Była wściekła, ale wiedziała, że nie może tego okazać. Ba, wiedziała, że nie może nawet wyrazić rozczarowania jego szybkim wytryskiem. Oni są przecież tacy wrażliwi na swoim punkcie. Biedne misie. Powiesz coś i momentalnie zamykają się w sobie. A potem z obrażonymi minami wychodzą. I jeszcze na dodatek trzaskają drzwiami.

Przypomniał się jej „Kroll”, ten głupi szowinistyczny film, który zrabowała ostatnio na konferencji.

Kobieta, która lubi seks, jest kurwą, ale mężczyzna, która ślini się na widok każdej kobiety, jest ucieleśnieniem normalności.

Szkoda, że nie jestem lesbijką. Wszystko wyglądałoby o wiele prościej.

Westchnęła i zaciągnęła się mocno. Zapowiadało się intensywny, upojny seks, a tymczasem...

Owszem, gra wstępna przebiegła mistrzowsko. Facet wiedział, jak zacząć, jak rozpalić, jak uczynić kobietę wilgotną... ale potem – potem doznała wielkiego rozczarowania.

Ten szarmancki, brązowooki samiec wszedł w nią, poszalał chwilę, jęknął przeciągle i wyszedł.

Dopiero po chwili uprzytomniła sobie, że już skończył.

Kurwa, ile to trwało? Pięć minut? Na pewno nie więcej.

Tak to właśnie wygląda. Myślisz, że idziesz do łóżka z prawdziwym kowbojem, a tak naprawdę masz do czynienia z marnym przebierańcem. Przerost formy nad treścią.

– Ale zajebicie – mruknął zadowolony, ściągając z siebie prezerwatywę i zarazem tracąc zainteresowanie jej osobą.

Zajebicie? Czy ja się przesłyszałam?

Kiedy podniosła się, żeby to złośliwie skomentować, on zerwał się z łóżka, wytarł swojego ciemnego fiuta i poszedł do łazienki.

Nućąc! Nućąc jakąś głupawą piosenkę. *Chamstwo!* – skomentowała w myślach jego raptowne zniknięcie.

Zamknęła na chwilę oczy, próbując się oswoić z zaistniałą sytuacją. Położyła rękę między udami. Była mokra. Strasznie mokra. Znowu westchnęła, a potem odszukała dłonią papierosy leżące na nocnym stoliku, zapaliła, wypuściła aromatyczny dym i przyjrzała się swoim smukłym palcom, którymi kilka minut temu pieściła penisa Grzegorza.

Mam nadzieję, że za chwilę wróci i dokończy to, co dopiero zaczął – pomyślała, nasłuchując odgłosów z łazienki.

Potrzebowała seksu. Potrzebowała twardego kutasa, na którego mogłaby się nadziać, a potem całkowicie oddać się rozkoszy, zapominając na długo i skutecznie o zewnętrznym świecie, będącym jedną wielką pomyłką.

Zaraz, zaraz! Czy on bierze kąpiel? Teraz, kiedy ja czekam na swoje orgazmy? To jest beczelność!

– Szaba da, szaba da, / Ty i ja, / Mydełko Fa...

Co on śpiewa? Położyła się na brzuchu i zagryzła wargi.

– Grzegorz! – krzyknęła. Cisza, brak reakcji. – Grzegorz!!! – powtórzyła, ale znacznie głośniej.

Szum wody ustał. Po chwili usłyszała kroki na podłodze.

– Wołałaś mnie? – Usłyszała miękki, ciepły głos.

– Weź mnie.

– Słucham?

Poczuła złość, że nie załapał. Przecież prawdziwy facet powinien wyczuć, o co jej chodzi. *Weź mnie, ty samolubny gnojku!* Podniosła lekko nagie pośladki.

– Powiedziałaś, żebyś mnie zerznął.

Cisza. Dlaczego ten głupek milczy?

– Muszę już iść – warknął.

– Co?

– Muszę już iść.

– Coś ty powiedział?! – wrzasnęła. – Masz mnie zerznąć! Natychmiast! – Obróciła się gwałtownie. – Spuściłeś się po dwóch minutach i chcesz na tym zakończyć? Czy ty jesteś poważny? – Wbiła w niego wzrok. Grzegorz

spurpurowiał.

– Masz mnie zerznąć! Inaczej spadaj stąd i nie wracaj. Spodziewałam się czegoś więcej po tobie.

Mężczyzna zacisnął pięści i rozejrzał się po pokoju.

– Ty głupia pizdo – syknął i szybkim ruchem sięgnął po raketę tenisową, którą dostrzegł na szafie. Zrobił zamach i z całej siły uderzył w głowę zdumionej kobiety.

Zagryzł usta i zadał drugi cios. Potem kolejny. W końcu stracił kontrolę nad sobą i zaczął uderzać na ślepo, warcząc przy tym jak wściekłe zwierzę. Gdy poczuł ból w nadgarstkach, przestał. Odrzucił zakrwawioną raketę. Ciężko dysząc, wytarł spocone czoło.

– Głupia kurwa – mruknął, przyglądając się zmasakrowanym zwłokom.

Jak ja nie lubię rozpustnych kobiet – pomyślał i wolnym krokiem wrócił do łazienki. Tam przystanął przed lustrem i spojrzał w swoje brązowe oczy. Uśmiechnął się. A potem podszedł do wanny i odkręcił kurek z gorącą wodą. Miał wielką ochotę na porządną kąpiel. Przestało mu się spieszyć.

XVII

Zagryzł wargi. Tego się nie spodziewał. Takiego wybuchu agresji!

Kowalski pokręcił z niedowierzaniem głową. Wstał z tapczanu, podszedł do okna i wyjrzał na podwórko.

Omiótł nieuważnym wzrokiem dobrze znaną przestrzeń i wrócił myślami do tragedii, o której przed chwilą przeczytał. Spróbował sobie to wyobrazić. Chłopak wpada w szal i uderza swoją pijaną żonę, która właśnie mu powiedziała, że go nie kocha. Ona się w końcu wyrywa i ucieka „w głąb pustej ulicy”.

Tak mogłoby się to zakończyć, to byłoby jeszcze w normie. Powiedzmy, że w normie.

Ale nie. Scenarzysta poszedł dalej. Kazał chłopakowi wskoczyć na siodło lambretty i pojechać za dziewczyną.

I uderzyć w nią rozpędzonym motorem.

No dobrze. Upadają na jezdnię. Ona się podnosi, jest przerażona – dalej: „na czworakach, podpierając się rękami, zaczęła się toczyć ku najbliższej bramie”. On też wstaje, ale noga go boli, zatacza się. Zbiera się w sobie, rusza, utyka. Zbliża się do niej. Zaczyna kopać. Ona upada, płacze, krzyczy, ogarnia ją panika. On dalej kopie. Przystaje, gdy noga odmawia posłuszeństwa.

Sierżant Kowalski oparł się o parapet, na którym położył „Opowiadania filmowe” Ścibora-Rylskiego.

Dlaczego ludzie wpadają nagle w szal i zamieniają się w bestie? – pomyślał. Normalny zwyczajny chłopak, który pod wpływem niespodziewanego, brutalnego

bodźca rusza do ataku na niewinną osobę. Czy mamy w sobie jakiś przycisk, który ktoś bez naszej wiedzy i woli nadusza i uruchamia zły program?

Czy każdy z nas może stać się zabójcą?

Zadzwonił telefon. Odruchowo spojrzął na zegarek. Dwadzieścia po osiemnastej.

Wyszedł do przedpokoju, gdzie dobiegły go odgłosy telewizora oglądanego namiętnie przez babcię. Właśnie trójka aktorów „Czterdziestolatka” zachwalała proszek do prania „Pollena 2000”. „Duży efekt małym kosztem” – dowodził narrator.

– Słucham – odezwał się sierżant, mając nadzieję, że to ktoś spoza firmy. Marzył o tym, żeby sobotni wieczór spędzić w domu na lekturze książek i sporządzaniu notatek. Ostatnio przyszło mu do głowy, żeby zacząć studiować antropologię. Może dałoby radę połączyć kolejne studia z robotą psa?

– Cześć, stary! – zadudnił głos Ostrowskiego.

Tylko nie on! – jęknął w duchu Kowalski.

– Co się stało? – zapytał

– Co robisz?

– Czytam.

– Czyli nic.

– Dzwonisz służbowo?

– Nie.

– Żadnych trupów?

Śmiech.

– Dzisiaj wyjątkowo żadnych trupów. Poza trzema.

– Co ty gadasz? – zirytował się Kowalski. – Są trupy czy ich nie ma?

– Proponuję, żebyśmy się dzisiaj zalali we trójkę w trupa.

– We trójkę?

– Namówiłem Katię na wyjście do knajpy. Musimy poznać koleżankę. Trzeba wiedzieć, z kimś się pracuje.

– Hm... – mruknął sierżant i pogładził się po policzku. Przed oczami stanęła mu chuda, ładna i pyskata posterunkowa.

– Jesteś tam?

– No jestem.

– Reflektujesz?

– Gdzie?

– W Czarnym Kocie na Nowowiejskiego.

– O której?

– Dwudziesta.

Kowalski westchnął.

– Będę.

– Świetnie! Spotkajmy się przed knajpą. Zanim wejdziemy, wypijemy małąkę, na rozgrzewkę.



Proboszcz otworzył barek i zlustrował jego wnętrze uważnym spojrzeniem.

– Kapkę nalewki wypijesz? – zapytał i zaraz dodał, głaszcząc się po swoim dorodnym brzuchu: – Podarek od jednej z parafianek. Bardzo dobra. Krzepi duszę.

Dżery uśmiechnął się.

– Poproszę.

Tego potrzebował. Spontanicznego wyjazdu z miasta i zaszcucia się na parę godzin na peryferiach. Musiał w końcu odsapnąć, wyciszyć się, usiąść na czymś wygodnym i pozwolić przeciekać czasowi przez palce. Sobotni wieczór nadawał się do tego całkiem nieźle. A bytyńskiego duchownego, miłośnika nowinek technicznych, znał od dawna. Od kiedy? Od jakichś pięciu, może sześciu lat. Jak przez mgłę pamiętał okoliczności poznania. To było chyba rodzinne zabójstwo gdzieś w okolicach, jedna z tych wielu banalnych spraw, które błyskawicznie zacierają się w pamięci. Owszem, szczegóły uleciały, ale znajomość z księdzem pozostała. Od czasu do czasu wpadał do niego, żeby pogadać przy kawie i koniaku i posłuchać, co się dzieje w terenie. Faceci w sutannach, którzy regularnie sondują ludzkie sumienia w konfesjonałach, to ciekawi rozmówcy, przypominają trochę oficerów operacyjnych. Cały czas zbierają informacje, dużo wiedzą o poszczególnych członkach swojej małej społeczności, ale ta wiedza jest nieoficjalna, niezapisana w żadnym protokole. Archiwisci grzeszków i grzechów. Służby specjalne, które cały czas współpracują z aparatem władzy.

Proboszcz chwycił butelkę, dwa kieliszki i podszedł do stołu. Rozlał trunki.

– Bóg zapłać. – Uśmiechnął się do podinspektora i uniósł swój kieliszek.

A podinspektor, stary ateusz, odczuwający fascynację funkcjonariuszem kościoła, odwzajemnił gest i równocześnie skinął głową.

Wypili, po czym równocześnie syknęli i powoli wypuścili powietrze.

– Dobrze.

– Jak zawsze u księdza proboszcza.

– Bóg zapłać za dobre słowo, kochanieńki. Ale wracając do naszych baranków... Grzebię teraz w pamięci, żeby odpowiedzieć na pytanie – odezwał się ksiądz. – Ludzie mówią różne rzeczy, nawet za dużo. Ale rzeczywiście, coś kiedyś było. Jakieś plotki, dość szokujące.

Dżery nadstawił uszu.

– Wsadziłem je między bajki i od razu o nich zapomniałem.

Gdy zapadła pauza, rozległo się pukanie, chwilę potem ktoś nieśmiało otworzył drzwi. To była gospodyni.

– Kochana, ugotuj nam po golonce, dobrze? Panie podinspektorze? Prosto ze świniobicia. Lepszej pan nigdzie nie dostaniesz.

– Chętnie – odpowiedział jednak, uśmiechając się szeroko. – Zaczyna burczeć mi w brzuchu.

– W takim razie koniecznie trzeba naszykować do stołu! Słyszysz, Haniu?

– Słyszę, księżo proboszczu. Zaraz wszystko przyniosę.

– Kawki? – Duchowny spojrział pytająco na policjanta.

– Przydałaby się.

– Już się robi. Ach, przynieś, bardzo cię proszę, chrzan, ten ostrzejszy.

Dziękuję.

Gdy drzwi zamknęły się z powrotem, proboszcz ponownie napełnił kieliszki.

– Pod kolacyjkę z wielkim podziękowaniem dla Wszechmogącego.

Wypili.

– Co z tymi plotkami? – podjął policjant.

– Ano właśnie! Jakieś dziesięć lat temu ludziska rozsiewali straszliwe plotki o pewnym młodzieńcu.

– Straszliwe?

Zapadła cisza.

Proboszcz zmarszczył brwi, ściągnął usta i przygryzł wargi.

– Prawdę mówiąc... – szepnął, po czym napełnił swój kieliszek, wypił jednym haustem i dopowiedział niechętnie. – Wstrząsające.

– Brzmi ciekawie.

Duchowny westchnął, pokręcił głową i zrobił znak krzyża.

– Dla policjanta pewnie tak, ale dla przedstawicieli mojego fachu brzmi tragicznie.

Zamilkł i podrapał się po głowie.

– Przyznaję, nie dałem wiary – podjął niechętnie. – Wyparłem to z pamięci,

uznając, że opowieść jest wytworem plebejskiej fantazji, która lubuje się w tego rodzaju obscenie. Kiedy jednak teraz patrzę na ciebie, mój drogi, zacynam odczuwać wyrzuty sumienia. Czyżbym popełnił grzech zaniedbania?

Milczenie.

Rambert spojrzął na swojego rozmówcę, zręcznie ukrywając zniecierpliwienie.

– Proszę powiedzieć. Wszystko może okazać się ważne.

Ksiądz chrząknął i nachylił się w stronę podinspektora.



Sierzanci wychyli po pięćdziesiątce, popili ciemnym piwem i rozejrzeli się po sali wypełnionej ludźmi.

Było tak, jak lubili: gwar, ścisk, zaduch.

Z głośników sączą się najnowsze hity, ktoś do kogoś krzyczy, ktoś się z kimś całuje, co chwilę do środka wchodzi kolejne grupki imprezowiczów.

– Miałeś mi opowiedzieć jakąś historię – odezwał się Kowalski, lustrując uważnie dziewczęta siedzące przy sąsiednim stoliku. Policjanta zaintrygowały ich poważne miny.

– Jaką historię? – zapytał Ostrowski, który zaszuchał się w „Nothing Else Matters” Metalliki.

– Las, trup, jakaś rodzinna historyjka.

– A, już pamiętam. – Długowłosego policjanta uderzył się w czoło. Upił parę łyków piwa i zapalił papierosa. – Było tak – zaczął. – Chrzestny mojego chrzestnego był myśliwym. Uwielbiał się przechwalać, że jest genialnym strzelcem.

– *Jestem w stanie trafić w komara z kilometra – mawiał po kilku głębszych.*

Wszystkich denerwował tym swoim trajkotaniem, szczególnie młodszych członków koła łowieckiego, którzy jakiś czas temu zorientowali się, że gość ma coraz gorszy wzrok.

– Czy ktoś potrafi zamknąć jadaczkę Zbyniowi? – któregoś razu rzucił ktoś mocno podkurwiony.

– Ja mam pomysł – oznajmił w odpowiedzi jeden kozak.

– Jaki?

– A taki! – Wszyscy nachylili się w jego stronę, a on im opowiedział, co wymyślił.

– Dobrze. Spróbujmy! – orzekli i wysłali delegację do starego chwalipięty.

– Panie Zbyniu, jest temat!

– Jaki temat, chłopaki?

– Znaleźliśmy miejsce, gdzie pojawia się piękna sarna.

– To na co czekacie? Trzeba ją strzelić!

– Za duża odległość jak dla nas. Tu trzeba lepszego fachowca.

Pan Zbynio spojrział na nich uważnie, poskubał się po swoim sumiastym wąsie i zapytał:

– A gdzie ona wychodzi?

Powiedzieli gdzie. Mistrz strzelby zadumał się.

– Zawieźcie mnie tam jutro, chłopaki. Pokażę wam, jak strzelają starzy mistrzowie. Tak jest?

– Tak jest.

– No więc zawieźli go nazajutrz jakimś tarpanem na miejsce – powiedział Ostrowski, wziął solidny haust piwa i ciągnął dalej: – Las, wielkie pole, nieopodal gospodarstwo. Stanęli pod sosną i zaczęli lustrować okolicę.

– Jest, wyszła! – krzyknęli nagle chłopaki i podali panu Zbyniowi lornetkę. – Proszę spojrzeć. Jaka piękna, jaka dorodna!

– Rzeczywiście – mruknął stary, wpatrując się w jasny kontur zwierzęcia. – Jest piękna.

Oddał lornetkę, wziął sztucer, załadował i wymierzył. Mężczyźni spojrzeli po sobie i uśmiechnęli się ironicznie.



– Seks ze zwierzętami? – szepnął Rambert, otwierając jednocześnie szeroko oczy.

Proboszcz zamachał nerwowo ręką, jakby chciał rozrzedzić papierosowy dym.

– No takie świństwa słyszałem! – mruknął, kładąc rękę na sercu.

Podinspektor wypuścił głośno powietrze.

– To mi ksiądz proboszcz zabił ćwieka.

– A czego się spodziewałeś?

– Gwałtów.

– Gwałtów?

– Szukam debiutującego gwałciciela, który stał się zabójcą.

Duchowny zrobił wielkie oczy.

– Boże Wszchemogący! – krzyknął – Tutaj? – Rozłożył szeroko ręce i zapytał głucho: – Wśród moich owieczek?

– Gdzieś w okolicy.

– No bardzo przepraszam, że cię zawiodłem – odezwał się z duchowny i chwycił butelkę z nalewką. – Musimy to zalać – dodał, a potem podniósł głowę i pociągnął swoim dużym, czerwonym nosem.

– Oho, zaraz przyjdzie mięso.

Rozlał napitek i zakręcił butelkę.

– Co to za zapach! To dowód na istnienie Pana Boga! Może mało wyrafinowany, ale jednak. Nasz stwórca przejawia się przecież także i w taki sposób.... Napijmy się!

– Czy to jest w ogóle możliwe? – zapytał, gdy wypili następną kolejkę.

– Ale co?

– Zoofilia?

– Pewnie, że jest. Wszystko jest możliwe.

– Wiem przecież, ale tutaj, pod ręką, w pobliżu?
– A gdzie to było?
– Nie znam szczegółów. Gdzieś tu w okolicy.
– A konkretniej?
– Kochany, nie pamiętam, naprawdę.
– Proszę się skupić, to naprawdę ważne. Może coś jednak przyjdzie na myśl, jakaś nazwa zamajaczy w tle?
– Majaczy to mi golonka.
Mężczyźni wybuchnęli śmiechem.
– Zdaje się, że ten, kto mi to opowiadał, wspominał o lesie.
– Którym?
– Chyba pomiędzy Bytyniem a Kunowem. Gdzieś tam było jakieś zaniedbane gospodarstwo podobno. Ale nie rękę za to, co mówię, kochany.
– Pomędzy Bytyniem a Kunowem? Jest ksiądz pewien?
– No przecież mówię, że nie jestem.
– A kto o tym wspominał?
– Nie pamiętam. I nie prosz mnie, żebym się skupił, bo już nie dam rady. Wyczerpałem swoje możliwości na dzisiaj. Jak sobie coś przypomnę, to się odezwę. Mam twoją wizytówkę.

Dżery posłusznie pokiwał głową i odwrócił się w stronę drzwi, które otworzyły się z rozmachem.

Do salonu wkroczyła gospodyni z wielką tacą, na której królował półmisek z czterema dymiącymi golonkami.

– Cudownie. Panie podinspektorze – przemówił uroczyście duchowny – proszę przyjąć ten skromny podarek od prostego wiejskiego proboszcza!

Policjant uśmiechnął się. *Co za aktor* – pomyślał i chwycił za sztucce, bo głód coraz mocniej dawał mu się we znaki.



– Załadował, wymierzył i strzelił – powiedział sierżant, kiedy Katia zdjęła kurtkę, przyniosła sobie kawę i usiadła przy stoliku.

Kowalski zmarszczył brwi, wbijając wzrok w filiżankę. *Kawa w sobotni wieczór spędzany w studenckiej knajpie?* – zdziwił się.

– Słuchasz mnie? – warknął Ostrowski.

– Tak.

– To skup się, chłopie...

Łyk piwa.

– No więc strzelił. Zwierzę padło.

– *Panie Zbyniu, jest pan prawdziwym mistrzem. Czapki z głów!* – pogratulowali młodzi.

Myśliwy uśmiechnął się triumfalnie. Nagle od strony gospodarstwa ktoś zaczął biec i kurwować strasznie. Mężczyźni wytężyli wzrok i słuch.

– *Chuje zajebali mi konia! Stać, kurwa, wzywam milicję!!! Mordercy!!!*

Kowalski zarechotał.

– Historia nie zakończyła się jednak wesoło – oznajmił Ostrowski. – Pan Zbyniu musiał oddać pieniądze za zabitego konia. Nie przelewało mu się, więc miał poważny problem. Popadł w depresję. Po paru dniach wstał z łóżka i oznajmił żonie, że zarobi potrzebną forszę na dzikach. Mimo protestów żony wziął broń i ruszył do lasu. Biegał po nim ze dwa tygodnie, aż w końcu dostał zawału i umarł.

– No i przestał się przechwalać – skwitował Kowalski, po czym sięgnął po butelkę wódki.

– Ty nie pijesz? – zagadnął Ostrowski Katię.

– Piję, ale kawę – burknęła posterunkowa i spojrzała na nich zaczepnie. A gdy sierżanci zamilkli przestraszeni i zaczęli błędzić wzrokiem po sali, próbując uciec przed jej surowym wzrokiem, zagryzła usta.

– Zaraz przyjdę – mruknęła, po czym wstała i po chwili zniknęła w tłumie.

Kowalski spojrział na kolegę.

– Rozumiesz ją? – zapytał, marszcząc brwi.

– Lubię ją – odpowiedział Ostrowski. – Coraz bardziej.



Cała trójka wybuchnęła śmiechem. Katia odgarnęła kosmyk włosów z czoła.

– Zadzwoń do mnie jutro i zapytaj, czy byłam w kościele na mszy świętej – dodała po krótkiej pauzie. – Ja odpowiem, że nie. Ona mnie ofuknie, ja ją jeszcze bardziej. Pokłócimy się, rzucę słuchawką. Za tydzień scenka powtórzy się po raz tysięczny. Matka Polka, wierna męczennica.

Ostrowski pokiwał głową.

– Rodzice są przereklamowani – stwierdził. – Mój stary, trep z zawodu, pod koniec lat osiemdziesiątych na jakiejś branżowej konferencji wygłosił referat, na którym stwierdził, że video jest złe.

– Dlaczego? – zapytał Kowalski.

– Bo to rodzaj komunikacji, który bardzo trudno jest kontrolować i przez to może niekorzystnie wpłynąć na świadomość polityczną Polaków! – wyrecytował Ostrowski, machając prawą dłoń, jakby parodiował mówców wiecowych.

– Wow! – zawołała posterunkowa. – Twój tatuś nie polubiłby się z moim!

– To na pewno! – Sierżant zachichotał.

– Kowal, a twój tatuś? Powiedz coś o swoim tatusiu!

Dziewczyna spojrzała figlarnie na kolegę, który pod wpływem alkoholu robił się coraz bardziej czerwony na twarzy.

Sierżant wzruszył ramionami.

– Spójrzcie na tamtą laskę – odezwał się, zmieniając temat. Wskazał głową trzydziestolatkę, która stała przy barze, szukając czegoś w portfelu.

– Co z nią?

– Nie przypomina wam kogoś?

Zamilkli i całkowicie skupili się na obserwacji wysokiej kobiety o długich brązowych włosach. Była ubrana w czarną bluzkę, miniówkę w fałdy i czarne kozaczki.

– Wiem, kto to jest – oznajmiła Katia.

– Kto?

– Malwina.

– Kto?

– Babka, która nie wróciła na noc. Pamiętacie? Rozmawialiście z jej mężem parę dni temu.

– Rzeczywiście – szepnął Kowalski. – To Malwina Bojarska.

– Znalazła się w końcu?

– Nie mam pojęcia.

– Zagadam ją – powiedziała Katia, wstając z krzesła. Z głośników sączył się zmysłowy głos Tanity Tikaram.



Sierżanci odprowadzili wzrokiem koleżankę, która podeszła do baru i zagadnęła Bojarską, uśmiechając się.

Piękny uśmiech – pomyślał Ostrowski, uświadamiając sobie przy okazji, że czuje do niej coraz większą sympatię.

Bojarska momentalnie spoważniała. Zagryzła usta i spojrzała niechętnie na policjantkę, która uspokajająco dotknęła jej ramienia.

Katia usiadła na wysokim stołku. Jej rozmówczyni pokiwała głową. Również usiadła, wzięła głęboki oddech, powiedziała parę słów, po czym napiła się piwa.

Obie kobiety zamilkły.

Nagle w rogu sali grupka pijanych studentów zawtórowała brytyjskiej piosenkarce:

– *More than twist in my sobriety / More than twist in my sobriety / More than twist in my sobriety.*

Ktoś zaklaskał.

Piękna jest ta Bojarska – stwierdził w duchu Kowalski i wyobraził sobie, że wtula się w jej długie błyszczące włosy.

Kobieta otworzyła torebkę i wyjęła z niej paczkę papierosów. Zmarszczyła brwi i spojrzała pytająco na posterunkową. Ta sięgnęła do kieszeni swoich czarnych rurek, żeby wydobyć z nich zapalniczkę. Bojarska nachyliła się w kierunku Katii. Po chwili zaciągnęła się, wypuściła dym i zaczęła mówić.

Wyśpiewałbym jej wszystko – pomyślał Ostrowski i sięgnął po kufel.

Po kilkunastu minutach Katia wróciła do stolika.

– I co?

– Mały dramacik rodzinny z zabójcą w tle.

Sierżanci wbili w nią wzrok.

– Bojarska poznała naszego sprawcę w restauracji w Podrzewiu. Parę tygodni temu. Jadła obiad. Podszedł do niej przystojny facet o brązowych oczach, bardzo przyjaznym głosem i ciemnej cerze. Zagadał ją zabawnie, poprosił, żeby się przysiadł. Po paru minutach oczarował ją całkowicie. Drugie spotkanie odbyło się w Merkurym. Po lampce wina poszli do pokoju. Podobno było cudownie. Dał jej dwa pierścionki, zaproponował ślub.

– Struś pędziwiatr – skwitował Ostrowski.

– Potem było jeszcze trzecie spotkanie i znajomość się urwała.

– Dlaczego? – zainteresował się Kowalski.

– Koleś po prostu zniknął.

– No dobrze, a co z nią? Wróciła do domu?

– Tego samego dnia. Ale tylko po to, żeby powiedzieć mężowi...

Katia przerwała i spojrzała na przechodzącą obok ich stolika kobietę ubraną w modny szary płaszczyk. To była Bojarska. Szła szybkim krokiem w stronę wyjścia. Miała załzawione oczy.

– ...żeby powiedzieć mężowi, że chce rozwodu.

– No ale gość wyparował?

– Jej miłość do męża też, już jakiś czas temu. Mieszka teraz u przyjaciółki w Poznaniu. Gdzieś na Winogradach. Mam adres.

– A co z dzieckiem? – zapytał Kowalski. – Wzięła ze sobą?

– Nie wiem. To nie ma przecież związku ze sprawą. Wzięła ze sobą albo zostawiła mężowi. Facet też jest dorosły i samodzielny, może więc się zaopiekować dzieckiem, prawda? – Katia zmarszczyła brwi, widząc, że koleddy

zupełnie zignorowali jej słowa.

– Nie sądzicie? – dopytała, podnosząc nieco głos.

Kowalski wzruszył ramionami. Posterunkowa wbiła w nich wzrok.

– Czy według was musi odgrywać rolę matki Polki męczennicy? – syknęła.

Mężczyźni skurczyli się w sobie.

– Tylko nie mówcie, że mam okres, bo wam jebnę – rzuciła ostrzegawczo.

– Co ty się tak rzucasz? – zdziwił się Kowalski. Ostrowski podniósł rękę.

– *Take it easy* – rzucił, a potem uśmiechnął się promiennie. – *Slow down...*

Wróćmy do Bojarskiej, a potem zanurzymy się na powrót cudownym klimacie tej kapitalistycznej knajpki... Powiedziałaś dziewczynie, kim przypuszczalnie jest jej kochaś?

– Tak.

– Jak zareagowała?

– Zamurowało ją.

– Też by mnie zamurowało – oznajmił Kowalski i upił solidny łyk piwa.

poniedziałek, 12 października 1992

XVIII

Maluch Ostrowskiego gwałtownie zatrzymał się na parkingu, ale Jacek Kaczmarski śpiewał coraz szybciej i energiczniej o obławie „na młode wilczki”. Sierżant oczami wyobraźni ujrzał ślinę pryskającą z ust barda.

Wypadłem na otwartą przestrzeń pianę z pyska tocząc / Lecz tutaj też ze wszystkich stron zła mnie otacza woń / A myśliwemu co mnie dojrzał już się śmieją oczy / i ręka pewna niezawodna w górę podnosi broń.

Wyciągnął kluczyki, a radio zgasło, Kaczmarski urwał w pół zdania.

– Mój ojciec nienawidził tej piosenki – oznajmił Ostrowski.

– Dlatego ty jej tak chętnie słuchasz?

– *Exactly.*

– Po co ciągle wplatasz angielskie słówka do swoich wypowiedzi?

– A dlaczego pytasz?

– Bo mnie to wkurwia!

– Wiesz co ci powiem, stary?

– Co?

– Że mi czasami przypominasz mojego starego. Jak się czegoś uczepisz, to będziesz mędził, aż zepsujesz człowiekowi humor. Co cię to, kurwa, obchodzi, że używam angielskich słówek? Ćwiczę angielski! Jestem fanem angielskiego! Chciałbym być Amerykaninem. Chciałbym być amerykańskim gliną. Chciałbym nie mieszkać w tej jebanej wsi, którą nazywamy dumnie Polską.

– Masz okres, jełopie? – warknął Kowalski.

Sierżanci zmierzili się wzrokiem. Po paru sekundach wybuchnęli śmiechem.

– *Let's go* – powiedział Kowalski.

– *All right* – zawtórował Ostrowski.

Mężczyźni wyszli z samochodu i ruszyli w stronę bloku, wokół którego zrobiło się małe zbiegowisko.



– Nie pamiętam wszystkich sobotnich wydarzeń.

– Ja też nie.

– Zdaje się, że Katia szybko poszła do domu. Zaraz po północy jakoś.

– Ascetka. Piła kawę i wodę.

– Ascetka, ale bardzo fajna.

Gdy weszli na drugie piętro, zamilkli. Przed drzwiami stał młody umundurowany funkcjonariusz. Przywitali się z nim i weszli do środka,

W mieszkaniu trwały już czynności. Sierżanci stanęli w progu dużego pokoju. Rozejrzeli się wokół, zaintrygowani nowoczesnym designem. Jasnobrązowe panele, biało-szary narożnik w kształcie litery L, przy nim smukła stojąca lampa i stolik z jakimiś kolorowymi gazetami. Na tle nagiej białej ściany telewizor ustawiony na podłużnym czarnym stoliku.

A gdzie dywan? – pomyślał z przekąsem Ostrowski. *A gdzie meblościanka? Obraz Najświętszej Pani?*

W pomieszczeniu panowały cisza i nabożne skupienie. Czasami tylko ktoś coś szepnął albo niechcący zgrzytnął jakimś przedmiotem.

Pięknie ogarnięte miejsce zbrodni – stwierdził w duchu Kowalski i zerknął na zegarek. Właśnie minęła dziesiąta. Gdzieś w sąsiednim mieszkaniu rozległ się patetyczny opening „Dynastii”. *Ciekawe, który to odcinek?* – pomyślał Ostrowski,

przypatrując się technikom, którzy w milczeniu zabezpieczali ślady.

Wyciągnął z kieszeni paczkę gum, a następnie uklonił się prokuratorowi, rozmawiającemu szeptem z komisarzem Kuperskim, ich bezpośrednim przełożonym, kierownikiem sekcji kryminalnej Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego.

Odwrócił głowę i dojrzał Bronka Kuleja. Medyk przycupnął na brązowej pufie i wypełniał dokumentację, zabawnie zagryzając przy tym usta i mrużąc coś pod nosem.

W progu stanął Miszczu. Miał bardzo zboląłą minę.

– Cześć, miszczowie – rzucił i podszedł do sierżantów.

– Co ci jest? – zapytał długowłose dochodzeniowiec.

– Ząb.

– No chyba że.

– Dlaczego nas tu wezwali? – zapytał Kowalski. – Mamy przecież inną sprawę na głowie.

– To jest ta sama sprawa – oznajmił podkomisarz. – Kuper wam wszystko wyjaśni.

– Dlaczego?

– Kilku świadków zeznało, że widziało biały samochód dostawczy z napisem „Pepsi-cola”.

– Jakiej marki?

– Fiat Ducato.

– Coś jeszcze?

– Siostra zamordowanej mówi, że zniknęła biżuteria.

– Coś jeszcze?

– Ktoś widział zabiłą w sobotę, przed południem. Szła wzdłuż bloku w towarzystwie jakiego przystojniaka o ciemnej cerze.

– Aha.

Podkomisarz pogładził się po policzku. Był coraz bledszy.

– Co jeszcze? Jest trochę spermy na kołdrze.

– To już coś. – Ostrowski mrugnął do Kowalskiego.

– No nie wiem. Ci z laboratorium zawsze narzekają, że za mało.

– Oni by od razu wiadro chcieli.

– Ciało leży w drugim pokoju – poinformował Miszczu. – Idźcie, pooglądajcie sobie. Ja spadam. Muszę iść do zębologa.

– A gdzie jest ta siostra? – zapytał Ostrowski.

– W mieszkaniu naprzeciwko. Katia z nią rozmawia. Muszę wam powiedzieć, że jest w tym dobra.

– W czym?

– W kontaktach za świadkami. Gdy zaczyna pytać, zmienia się o trzysta

sześćdziesiąt stopni. Z nastroszonej cipki w bystrą, czujną gliniarę.

– Chyba o sto osiemdziesiąt, stary? – rzucił rozbawiony Ostrowski.

Podkomisarz spojrział na niego i zaczął dłużyć w uchu.

– Nie wiedziałem, że ty miszczem matematyki jesteś – burknął, po czym dodał: – Może i sto osiemdziesiąt, ale to przecież jeden chuj. Wiadomo, o co chodzi.

Podał im dłoń.

– Trzymajcie się, kutafony – mruknął.

Sierzanci skinęli podkomisarzowi i weszli do mniejszego pomieszczenia, czując uderzenie bardzo przykrego, dławiącego smrodu.

– Żeż kurwa.

– Nigdy się do tego nie przyzwyczaję.

Obok łóżka na puszystym czerwonym dywanie w białe wzorki leżało nagie ciało kobiety. Skrzywili się na widok zmasakrowanej głowy.

– Musiał wpaść w furję. – Kulej zaszedł ich z tyłu. – Podobny sposób działania. Facet chwyta coś, co ma pod ręką i zaczyna uderzać. Nakręca się. Kiedy gniew mija, odchodzi. Co ciekawe, nie przejmuje się śladami.

– Czym zabił teraz?

– Rakietą tenisową. Leżała w kącie pokoju, nadłamana.

– Są odciski palców?

– No pewnie!

– Co za koleś! – skwitował Ostrowski. – Czy on zdaje sobie sprawę, że policja go ściga? Że po śladach można go wytropić?

– Myślę, że on w ogóle nie zaprzęta sobie tym głowy – odezwał się Kowalski. – On po prostu sobie jest, działa, ulega własnym popędom.

– Beztroska lekkość bytu, czy jak to szło.

– Psychopatyczna osobowość.

– Bronek, kiedy ją zamordowano?

– Te wasze pytania są przedwczesne.

– Do usług.

– Chyba w sobotę. Ale mówię to nieoficjalnie.

Kulej ukucnął i zawiązał sznurówki. Kowalski zerknął na jego eleganckie czarne buty. Były doskonale wypastowane i wypucowane. Przeniósł wzrok na prawą rękę. Spod rękawa białego kitla wystawał zegarek.

Co jest? – zdziwił się sierżant. Czy ja widzę na jego ręce Rolexa?



Sierzanci stali w milczeniu nieopodal klatki schodowej i kończyli palić papierosy. Wokół nich zaczęły pojawiać się grupki gapiów.

Kowalski próbował sobie wyobrazić zabójcę. Brunet, brązowe oczy, wzrost około metr siedemdziesiąt pięć. Przystojny. Miły, uwodzicielski głos.

Dlaczego zabija? – zastanawiał się. Ile kobiet zabił? O co mu chodzi?

Zerwał się wiatr, zaczęło kropić. Nagle podeszła do nich starsza pani obładowana siatkami.

– Panowie kochani, co tam się stało? – zapytała, otwierając przy tym szeroko oczy.

– Jeszcze nic nie wiemy – odpowiedział Ostrowski. – Na pewno niebawem pojawi się informacja.

– Podobno to morderca kobiet! – szepnęła. – Ludzie mówią, że w Wielkopolsce grasuje wampir!

Wbiła w nich wzrok, czekając na potwierdzenie.

– Nic nam o tym nie wiadomo – rzucił Kowalski, gasząc papierosa o metalowy śmietnik.

– W tamtym roku Kwaśniak, teraz ten. Co za czasy, ludzie wariują. Za komuny to był spokój. Teraz się zrobiło rozpasanie. Hulaj dusza, piekła nie ma.

Policjanci zignorowali wyczekujące spojrzenie wąsatej kobiety i ruszyli w stronę malucha.

Gdy wsiedli do wychłodzonego auta, Ostrowski włączył radio. Właśnie nadawano lokalne wiadomości.

– Informacja z ostatniej chwili – rozległ się kobiecy, lekko zaaferowany głos.
– Na Osiedlu Zwycięstwa znaleziono zwłoki zamordowanej kobiety. Z nieoficjalnych źródeł wnioskujemy, że na terenie naszego województwa grasuje „Krwawy Playboy”. Ma na swoim koncie kilka ofiar. Dwie z nich znaleziono w podpoznańskich lasach.

– „Krwawy Playboy”? – powtórzył długowłosy policjant. – Ale mu ksywę wymyślili!

– Ciekawe, co napiszą jutro gazety – mruknął Kowalski.

– Zabójczy leśnik.

– Gajowy o zabójczym wdzięku.

Śmiech.

– À propos gazet. Zobacz tam. – Sierżant wskazał palcem korpulentnego wysokiego mężczyznę, który pędził w stronę klatki schodowej otoczonej przez kilku umundurowanych funkcjonariuszy.

– Kto to jest?

– No jak to kto? Miś z „Expressu Poznańskiego”. Ten dziennikarz od kryminałów.

– Ale się zdyszał!

– Za to jest pierwszy.

– Zaraz się tu zbiegną wszystkie poznańskie pismaki.

– Poczuli krew.

– Poczuli wenę.

– Zobaczmy, co wymyślą. Gryzipiórki.



Dżery zerknął na zebranych i podrapał się nerwowo po policzku. Otworzył okno, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza, poprawił poszetkę i westchnął, czując na sobie wyczekujące spojrzenia dochodzeniowców i kryminalnych, którzy wchodzili w skład grupy operacyjnej.

Niedawno minęła dwudziesta druga i wszyscy byli już potwornie zmęczeni.

– Robi się syf – powiedział. – Media szaleją, zaniepokojeni mieszkańcy

zaczynają do nas wydzwaniać. Jeszcze chwila, a wybuchnie panika. Na dodatek do bossa zadzwonił sam komendant główny, wyrażając, cytuję, „delikatne zaniepokojenie zastojem śledztwa”.

– Zastojem śledztwa? – powtórzył Miszczu, trzymając się za opuchnięty policzek. – Przecież od pierwszego zabójstwa minął dopiero tydzień! Czy oni tam w tej Warszawie ocipieli?

Paru kryminalnych przytaknęło mu ochoczo.

– Warszawskie piździelce – mruknął jeden z nich. – Legioniści jebani.

Ostrowski spojrział na Katię rozbawionym wzrokiem. W odpowiedzi uniosła ramiona i uśmiechnęła się ironicznie.

– Nie będziemy teraz się święcie oburzać – stwierdził podinspektor. – Fakty są takie, że ta sprawa przyciągnęła uwagę społeczeństwa. Przyjmujemy to na klątę i zarazem mamy w tyle głowy, że znaleźliśmy się na świeczniku. Od dzisiaj wszyscy będą śledzili i komentowali każdy nasz ruch.

– Pierdolone media – warknął Miszczu. – Kiedyś tego nie było. Pismaki pisały to, co żeśmy im podyktowali. I było dobrze.

– Zamknij się, chłopie! – Buryła wycelował palcem w podwładnego.

– Taka jest prawda, no co?

– Czasy się zmieniły, trzeba się dostosować. Wiem, że niektórym z was trudno się jest przestawić, ale to nieuniknione. A jak mnie będziecie wkurwiać takimi niepolitycznymi gadkami – dodał naczelnik Wydziału Kryminalnego – to was wyślę na jakieś szkolenia medialne. Tak więc mordy w kubek.

Zamilkł, a potem spojrział na Ramberta.

– Z Fajbusiewiczem już rozmawiałeś? – zapytał.

– Jeszcze nie. Mamy też na głowie prokuratora, który się dzisiaj bardzo ożywił i nawet wystąpił z własnymi pomysłami.

– He, he – zarechotał Buryła. – Ten to jest geniusz.

– Tak czy owak – oznajmił szef dochodzeniowców – musimy wbić piąty bieg. Musimy przyspieszyć. Twierdzę, że da się to szybko skończyć. Nasz sprawca to typowy psychol, który zostawia po sobie mnóstwo śladów. Zgadza się, Kowalski?

– Zgadza się.

– Jest lekkomyślny, ale też bardzo niebezpieczny.

– Skrzyżowanie tygrysa z wieprzem – rzucił Ostrowski ku uciesze zgromadzonych.

– Zwierzęce metafory są na miejscu – skrzywił się Rambert. – Jutro wam opowiem, czego się dowiedziałem o naszym zbójcu.

Chwila milczenia.

– Zwołałem was na kilka minut, żeby ogłosić podstawową strategię, którą ustaliliśmy dzisiaj z podinspektorem Buryłą. Polowanie po śladach.

– Tak jest. Zaczynamy polowanie po śladach – potwierdził oficer.

Uśmiechnął się od ucha do ucha i spojrzał na swoją ekipę.

– To lubimy najbardziej, prawda?

Rambert pokiwał głową, po czym zmarszczył brwi i rozejrzał się po salce konferencyjnej.

– Andrzej, a gdzie jest Harry? – zapytał.

– No właśnie nie ma go. – Buryła podrapał się po przyszczyżonym wąsiku. – Nie przyszedł dzisiaj do roboty.

– Dlaczego?

– Chuj wie. Jak się jutro nie pojawi, ktoś do niego podjedzie. Ostatnio był w złym stanie. Niech odpoczywa.

– A odpoczywa?

– Mam nadzieję, że tak.

– Okej. – Rambert usiadł przy stole i zamieszał łyżeczką w szklance. – Ktoś coś chce powiedzieć, zaproponować?

Katia podniosła rękę. Sierzanci spojrzeli na nią z zainteresowaniem.

– Mam rodzinę w Buku, nieopodal miejsc, w których działa sprawca. Pomyślałam, żeby tam pomieszkać przez parę dni. Mogłabym intensywnie rozpytać mieszkańców, dokładniej rozejrzeć się po tamtejszych lasach.

– Popieram – odezwał się Buryła

– Coś jeszcze?

Cisza.

– W takim razie – zastępca naczelnika wstał, zapiął niebieską marynarkę i rozejrzał się po ziewających policjantach – idźcie się porządnie wyspać. Przed nam trudny tydzień. Jutro o ósmej narada, a potem ruszamy na polowanie. Pełna mobilizacja. Uruchomiliśmy kilkanaście komisariatów i komend. Musimy jak najszybciej namierzyć zwierza i upolować go.

– Howgh – spointował Ostrowski.

– Zanim zgwałci albo zabije kolejną kobietę.

Ostatnie zdanie Ramberta odpowiednio podziało na podwładnych. Słyszając je, wyprostowali się jak na komendę i pospiesznie wyszli z sali.

wtorek, 13 października 1992

XIX

– Jak ty właściwie masz na imię, Ostry? – zagadnęła Katia, gdy sierżant zatrzymał samochód przy marmurowym murku okalającym jednorodzinny dom.

– Jakieś typy?

– Żadnych.

– Strzelaj.

– Nie zdziwiłabym się, gdybyś w ogóle nie nosił nazwiska. – Dziewczyna uśmiechnęła się do starszego kolegi. – No chyba że nazywasz się Ostry Ostrowski.

– Mam na imię Sierżant, a na nazwisko Ostrowski.

– Też dobrze – stwierdziła Katia.

– Damian.

– Toś mnie zaskoczył.

Zaśmiali się, a potem zamilkli i spojrzeli na siebie nieśmiało.

– No cóż... – odezwał się po paru sekundach dochodzeniowiec, szukając pośpiesznie jakichś sensownych tematów do pogawędki. Niestety, żaden z tych, które przychodziły mu do głowy, nie nadawał się teraz do wykorzystania: pogoda, muzyka, wyniki ekstraklasy, najnowsze wydarzenia polityczne.

Odgarnął włosy i wypuścił powietrze, mając wrażenie, że na kilka sekund przeniósł się do czasów licealnych, kiedy rozpoczął swoją walkę z nieśmiałością.

Co się ze mną dzieje? – jęknął w myślach.

– Będę się zbierała... – oznajmiła Katia.

– A kim jest twoje wujostwo? – wypalił sierżant, zażenowany swoim

niezgrabnym pytaniem.

– Co porabiają? – dopytywał rozpaczliwie, zachowując jednak pokerową twarz.

Co go obchodzi moje wujostwo? – pomyślała Katia, czując, że wcale nie ma ochoty wysiadać z samochodu. *Czyżby język stanął mu kolkiem? Temu mistrzowi ironicznych odzywek?*

Uśmiechnęła się i odpowiedziała grzecznie:

– Ciocia uczy rosyjskiego w wiejskiej szkole, a wujek jest redaktorem w jakimś wydawnictwie i zapalonym myśliwym.

– Aha.

Znowu zapadła cisza. Spojrzeli na siebie i pokiwali głowami. Katia położyła głośno ręce na udach. Ostrowski zagryzł usta i mruknął posępnie:

– No dobrze. W takim razie życzę ci powodzenia i wracam do Poznania.

– Do zobaczenia. Dzięki za podwózkę.

Ostrowski odgarnął włosy i podał Katii rękę. Miała bardzo ciepłą dłoń.

– Do usług. A jak złapiemy zbója, to musimy pójść na dobry obiad – powiedział, próbując uśmiechnąć się uwodzicielsko.

– Koniecznie – odpowiedziała takim zachęcającym tonem, że sierżant poczuł nagły przyływ mocy i zagadnął odważnie:

– Chociaż możemy to zrobić także przed złapaniem.

Zaśmiała się, chwyciła plecak i wysiadła z auta.

Sierżant wypuścił powietrze, sięgnął po kasetę, włożył ją do kieszeni odtwarzacza, zapalił silnik i ruszył.



Katia drgnęła, gdy zegar wybił godzinę, a właściwie jej połowę. Odwróciła

się i spojrzała na dużą, elegancką tarczę.

Był ósma trzydzieści.

Zaraz wsiądzie na rower i rozpocznie objazd po okolicy w poszukiwaniu informacji o zabójcy kobiet. Myśl o powadze zadania coraz bardziej ją stresowała. A fakt, że się stresowała, mocno ją wkurzał. Nie cierpiała tego aspektu swojej osobowości, odziedziczonej po matce, gadatliwej histeryczce.

– Pieprzony stres. Dlaczego ja się wszystkim tak przejmuję? – mruknęła pod nosem. – Jestem przecież policjantką.

Wzięła kubek z kawą i opuściła jadalnię, w której jeszcze dziesięć minut temu przy obfitym śniadaniu rozmawiała z ciocią i wujkiem, sympatycznym małżeństwem po czterdziestce.

Przeszła parę metrów korytarzem. Stała w progu gabinetu wujka. Upiła łyk lavazzy i weszła do środka. Rozejrzała się z ciekawością. Nie była tu już parę lat, a zawsze lubiła atmosferę tego zacisznego i dobrze ogrzanego pomieszczenia.

Regały z książkami, stary, wygodny fotel. Pod oknem biurko, na którym zawsze rosły sterty papierzyk. Teraz pojawił się nowy element: komputer, Amiga.

Spojrzała na ściany ozdobione porożami. Specyficznymi porożami – każdy egzemplarz cechował się jakąś skazą, jakąś aberracją. Jeden róg większy, drugi mniejszy; jeden normalny, drugi przekrzywiony i skierowany do przodu; jeden okazały, drugi mikry. Intrygujący zbiór wynaturzeń przyrody.

„Mnie nie interesują normalne osobniki” – przypomniała sobie wyjaśnienie chrzestnego. „Standard mnie nudzi. Szukam tylko oryginałów, strzelam tylko do dziwaków. One i tak prędzej czy później zginą. Skracam ich męki, osłabiam siłę nieszczęścia”.

Podeszła do biurka. Postawiła na nim kawę i zerknęła na rozłożoną gazetę. To był numer „Przekroju”.

– „Zbrodnia niejedno ma imię” – przeczytała tytuł rekomendacji „Słownika zabójców” René Reouvena.

Muszę sobie kupić – pomyślała. *Będę miała o czym gadać z Kowalskim, który chyba jest miłośnikiem seryjniaków.*

Dopiła kawę i zerknęła raz jeszcze na zegar, który cały czas wydawał ciche, rytmiczne dźwięki. Dochodziła dziewiąta.

Czas na polowanie – pomyślała, czując, że jej serce znowu zaczyna szybciej bić.

– Tylko się nie stresuj – mruknęła.



Katia zatrzymała rower na skrzyżowaniu polnych dróg.

Za jakąś godzinę zajdzie słońce – oszacowała w myślach. *Dzisiaj już niczego nie zwojuję.*

W tle zamajaczyło jej kilka domów z dymiącymi kominami. Nieco dalej widać było asfaltową drogę. *Sprawdzę najbliższe zabudowania i wracam do domu* – postanowiła. *Jestem wykończona* – dodała w duchu, czując pulsowanie pod czaszką.

Odbyte rozmowy, czasami bardzo dziwne, ludzie, niekiedy nader oryginalni, obrazy domostw, mieszkań, podwórek, ujadania psów – to wszystko cały czas rezonowało gdzieś w zakamarkach jej pamięci.

Zrobiła głęboki wdech, żeby nabrać trochę świeżego, pachnącego żywicą powietrza. Najchętniej usiadłaby teraz na jakimś pniu i trwała bez ruchu przez kilka ładnych kwadransów.

Oparła rower o drzewo, ściągnęła prawego martensa i potrząsnęła, aż wypadł z niego kamyczek. Gdy założyła z powrotem ubłocony but, dostrzegła sylwetkę zbliżającej się postaci – chyba kobiety.

– Dzień dobry – powiedziała, gdy nieznajoma zrównała się z nią. – Nazywam się Katia Domagała, jestem policjantką z Komendy Wojewódzkiej w Poznaniu.

Młoda kobieta, na oko przed trzydziestką, ubrana w stary, zielonkawy dres, zatrzymała się i otworzyła oczy ze zdumienia.

– Dzień dobry – szepnęła. – Policja?

– Tak – mruknęła Katia, wyciągając z wewnętrznej kieszeni służbową legitymację. Pokazała ją spacerowiczce, ta kiwnęła głową.

– Coś się stało, kogoś pani szuka?

– Prawdę mówiąc, tak. Szukam.

Posterunkowa schowała legitymację, po czym z tylnej kieszeni swoich

nowych dzinsów wyjęła portret pamięciowy zabójcy.

– Tego gościa. Kojarzy pani?

Kobieta przyjrzała się zaciekawiona rysunkowi i zmarszczyła brwi.

– Chyba nie kojarzę... Chociaż...

Katia spojrzała czujnie na rozmówczynię – kobieta miała sympatyczną twarz i dość zaniedbaną cerę.

– Chociaż? – powtórzyła.

– A dlaczego go pani szuka? Zrobił coś złego?

W jej głosie wybrzmiał nerwowy ton.

– Tego na rysunku nie widać, ale mężczyzna ma ciemną cerę, brązowe oczy, podoba się kobietom. Taki trochę bawidamek, modnie się ubiera. – Posterunkowa odkręciła butelkę pepsa i wzięła solidnego łyka. Zaszło jej w gardle od wielogodzinnego rozpytywania mieszkańców. – Musimy go znaleźć – dodała. – Jest niebezpieczny.

Zapadło milczenie. Katia odniosła wrażenie, że kobieta zdrętwiała.

– Jak pani ma na imię? – zapytała przyjaźnie.

– Basia.

– Pani Basiu, jeśli pani kogoś skojarzyła, proszę powiedzieć. To bardzo ważne. Jeśli nie znajdziemy tego człowieka, może dojść do kolejnej tragedii.

– Tragedii?

– Tak.

– Kogoś pobił?

Katia pokręciła przecząco głową.

– Zgwałcił, zabił. To bardzo brutalny przestępca. Podejrzewamy, że gdzieś tu mieszka albo mieszkał.

Dziewczyna spojrzała na butelkę, którą policjantka trzymała w dłoniach, zagryzła usta i machnęła ręką w stronę gospodarstwa, które leżało trzysta metrów dalej.

– Chodźmy do domu. Powiem, co wiem.

Posterunkowa poczuła, że serce zabiło jej szybciej. *Czyżbym trafiła na ślad?*

– pomyślała podniecona. Rozejrzała się po okolicy, chwyciła kierownicę roweru i poszła za milczącą i nagle posmutniałą kobietą.



– Mężczyzna z portretu przypomina mi mojego byłego męża – oznajmiła pani Asia, kiedy usiadły przy stole nakrytym kolorową ceratą – A właściwie aktualnego męża, bo przecież ostatecznie nie wzięliśmy rozwodu. W sumie to jednak byłego. Nie jesteśmy ze sobą od sześciu lat...

Katia zamarła.

– Jest pani pewna? – zapytała po chwili milczenia, z trudem opanowując ekscytację. Wyjęła z kieszeni raz jeszcze rysopis i rozłożyła go przed oczami kobiety.

– Tak, jestem pewna. – Usłyszała po kilkunastu sekundach.

Katia pokiwała głową. Rozpięła kurtkę i powiesiła ją na oparciu krzesła. Nagle poczuła lęk. Lęk przed odpowiedzialnością. Jeśli rzeczywiście znalazła żonę zbrojną, nie może niczego spierdolić.

Wyciągnęła z plecaka notes i uśmiechnęła się, choć wolałaby wrzasnąć i w ten sposób rozładować napięcie.

– Jak się pani nazywa?

– Barbara Kramerska.

– Ile ma pani lat?

– Dwadzieścia sześć.

– I jest pani żoną mężczyzny z portretu pamięciowego?

– Tak.

– A kim on jest?

– No mówię, że moim mężem.

– Rozumiem. Jak się nazywa?

– Grzegorz Kramerski.

– Gdzie on teraz jest?

– Nie mam zielonego pojęcia. Porzucił mnie. Praktycznie rzecz biorąc, już od dawna nie żyjemy ze sobą. Nie mamy kontaktu. Wiem, że w Poznaniu ma jakąś

babę.

– Dlaczego się nie rozwiedliście?

– Nie złożyło się jakoś. Nie bardzo wiedziałam, jak to się robi. Nie wiem.

Mamy dużo pracy w polu, nie było czasu, żeby się za to w końcu wziąć.

Zapadła cisza. Katia milczała. Nie chciała popędzać.

– Któregoś razu Grzesiek zrobił potworną awanturę w domu, pobił mnie, trzasnął drzwiami i sobie poszedł. Jak się potem okazało, na zawsze. Jakies sześć lat temu. I to był prawdziwy rozwód. Widuję go raz na ruski rok, przypadkowo. W okolicach ma rodzinę, więc trudno czasami nie napatoczyć się na siebie.

– Gdzie ma rodzinę?

– W Gaju Wielkim. Chyba siostrę.

– Skąd pochodzi?

– Z Hańczy.

– Gdzie to jest?

– To wioska niedaleko Niegolewa.

– Gdy byliście małżeństwem, gdzie mieszkaliście?

– Tutaj, w Persku. Z moimi rodzicami.

Policjantka zapisała kilka słów. Zastanowiła się przez chwilę i zadała kolejne pytanie:

– Pani Basiu, a gdzie on teraz może być?

– Nie mam pojęcia.

– A gdzie pracuje?

– Też trudno wyczuć. Często zmieniał zakłady. Nie potrafił zagrzać miejsca.

Nosiło go zawsze. Czasami też wyrzucono go z roboty.

– Za co?

– Nie wiem. Pewnie za charakter. Był niezdyscyplinowany. Ciągłe kozaczył.

– Może jednak coś potrafi pani wskazać?

– Kiedyś pracował w Zakładach Cegielskiego, potem w Zakładach Meblarskich, potem na jakiejś budowie... Teraz podobno robi w Pepsi-Coli.

– W Pepsi-Coli?

– Tak. Poczulałam ciarki, gdy zobaczyłam butelkę w pani rękach. Grzesiek przecież jeździ samochodem dostawczym z napisem „Pepsi”.

– Rozumiem. Jaki to samochód?

– Biały fiat. Chyba Ducato.

– Ma pani zdjęcie męża?

– Tak, ale sprzed paru lat.

– Mogę zobaczyć?

– Pewnie, zaraz przyniosę. Napije się pani kawy?

– Jeśli to nie problem, bardzo chętnie.

Pani Basia wstała od stołu i wyszła z salonu. Katia rozejrzała się po

pomieszczeniu, w którym panował z lekka myśliwski klimat. *Tu też polują?* – zdziwiła się posterunkowa, prześlizgując się wzrokiem po wiszących na ścianach porożach.

Obok starego zegara ściennego z kukułką dostrzegła kalendarz: „Zwierzęta polskich lasów”. Październikowi przypisany był piękny, majestatyczny łoś.

Podeszła do półki z książkami, wśród których dominowały albumy Włodzimierza Puchalskiego. „Bezkrwawe łowy” – przypomniała sobie Katia znaną formułkę z dzieciństwa.

Pani Basia wróciła po kilku minutach z kawą i plikiem zdjęć. Policjantka ponownie usiadła, napiła się gorącej, niezbyt smacznej kawy i zaczęła przeglądać zdjęcia.

Grzegorz Kramerski prezentował się na każdym z nich jako uśmiechnięty, ładnie ubrany, młodziutki facet. Dwadzieścia, może dwadzieścia dwa lata. Na zdjęciu dowodowym wyglądał szczególnie imponująco. Trochę jak playboy z lat siedemdziesiątych. Dobra marynarka, biały golf, fryzura z przedziałką i filmowy uśmiech.

Odłożyła zdjęcia i spojrzała na rozmówczynię.

– Jaki on był? – zapytała.

– Jaki on był? – powtórzyła kobieta.

– Jak by go pani scharakteryzowała? – zagadnęła Katia.

– Kłótlivy, arogancki. Damski bokser.

Kramerska zastanowiła się.

– Mruk. Zastanawiał się nad każdym zdaniem. Kłamczuch – dodała podniesionym głosem. – Straszliwy kłamczuch. – Gdy to mówiła, zadrgała jej krtań. Na szyi pojawiły się czerwone plamy. – Ciągłe wymyślał jakieś niestworzone historie. No i zdradzał mnie, ale o tym dowiedziałam się bardzo późno, jak mu się znudziło ukrywanie prawdy.

Zapadła cisza. Katia cierpliwie czekała na ciąg dalszy.

– Ta ostatnia awantura wybuchła dlatego, że o tym wspomniałam, o tych zdradach. Wściekł się.

Znowu cisza.

– Coś jeszcze?

– Raczej nie.

– Dużo pił?

– Nie. Ale jak już się napił, to robił się agresywny. Małpiego rozumu normalnie dostawał.

Posterunkowa odłożyła notes na stół.

– Mogę zadzwonić? Muszę skontaktować się z szefem.

– Jasne. Telefon jest w korytarzu. Stoi na parapecie. Zrobić jeszcze kawy?

– Poproszę.



Gdy szef Kryminalnego podniósł słuchawkę telefonu, usłyszał jakieś męskie krzyki, którym wtórował szum padającego wściekle deszczu.

– Wstawaj, kocie jebany!

– Kurwa!

– Postawa, Chudziński!

– Bo cię zajebię!

Hałas nagle się urwał.

– Buryła – rozległ się charakterystyczny, dźwięczny głos.

– Panie naczelniku, tu Katia Domagała – powiedziała, po czym wyjaśniła mu sytuację w kilku krótkich, żołnierskich zdaniach.

– Jesteś genialna! – wykrzyknął zachwycony szef. – Zaraz podeślemy kogoś z dochodzeniówki, żeby spisali protokół.



– Kiedy się poznaliście? – zapytała posterunkowa, wróciwszy do salonu.

– W czerwcu osiemdziesiątego piątego – odparła Kramerska po krótkim namyśle. – Na zabawie w Tomicach – dodała. – Grzegorz przyjechał z jakimś kolegą na motorze. Zagadnął, zażartował, zaprosił do tańca. Zrobił na mnie całkiem dobre wrażenie, chociaż nie byłam do końca do niego przekonana. Nie wiem dlaczego. Trudno mi powiedzieć. Bawiliśmy się razem przez parę godzin. Po imprezie odprowadził mnie do domu. – Machnęła ręką w powietrze. – Pożegnaliśmy się przed drzwiami. Umówiliśmy się na następny tydzień. Przyjechał motorem, chyba Junakiem. Ale nie wyszłam do niego. Kazałam matce powiedzieć, że mnie nie ma. Powiedział, że szkoda, uklonił się i odjechał. Kilka tygodni później spotkałam go przypadkowo nad Jeziorem Bytyńskim. Opalałam się z koleżankami na plaży. Gdy mnie zobaczył, uśmiechnął się, podszedł, usiadł obok. Zaczął opowiadać różne historyjki, całkiem zabawne. Od tego czasu zaczęliśmy się spotykać regularnie, zazwyczaj w soboty i niedziele. Spacerujemy, sporadycznie zabawy w okolicznych wsiach, parę razy pojechaliśmy do restauracji w Podrzewiu.

Katia zmarszczyła brwi.

– Pod koniec wakacji Grzegorz zaproponował wizytę u jego rodziców, w Hańczy Zgodziłam się. Było bardzo miło. Nawet się polubiłam z jego mamą.

– Kim są jego rodzice?

– Ojciec chyba murarzem, a matka pielęgniarką. Któregoś razu wyznał mi, że nienawidzi ojca.

– Dlaczego?

– Bo jest pijakiem, który często wywołuje awantury.

Katia ściągnęła usta, jakby zdziwiona.

– No więc właśnie. – Kramerska pokiwała głową. – Pewnie odziedziczył po tatusiu skłonność do przemocy. Ale dla mnie teść zawsze był miły, opiekuńczy. W trakcie pierwszej wizyty zachowywał się przyzwoicie, choć popijał sobie

zdrowo. W Hańczy były wtedy dożynki, więc poszliśmy na zabawę. Było całkiem przyjemnie. Wieczorem Grzesiek odwiózł mnie motocyklem do domu. Można powiedzieć, że po tych dożynkach staliśmy się parą.

– A co z seksem?

– Co pani ma na myśli?

– Kiedy zaczęliście współżyć?

– Po dożynkach zaczął mnie namawiać coraz mocniej i częściej. Wcześniej ograniczał się do pocałunków.

– Zgodziła się pani?

– Nie. Nie traktowałam go jak poważnego kandydata na męża. Myśmy wtedy mieli po dwadzieścia lat. Dzieciaki.

– Jak reagował na odmowy?

Kramerska zamilkła...

– Któregoś razu poważnym głosem powiedział, że muszę mu dać „dowód miłości”. Zagroził, że odejdzie, jeśli się nie zgodzę.

– I co?

– I odszedł. – Roześmiała się nerwowo.

No i dobrze – pomyślała Katia, przypominając sobie chłopaka z liceum. Postawił jej takie same ultimatum. Mężczyźni to jednak gnojki.

– Ale po paru dniach napisał do mnie list, w którym przeproszał za swoje zachowanie – dodała Kramerska. – Potem zadzwonił i zaproponował spotkanie.

– Spotkaliście się?

– Tak. I na nowo zostaliśmy parą. Po tygodniu doszło do... do tego, o co pani pytała. Ja początkowo nie chciałam, ale on mnie namawiał, prosił, więc w końcu uległam.

Cisza.

– Gdzie?

– Tutaj. W moim pokoju. Rodzice pracowali wtedy w obejściu.

– Jak było?

Kramerska zaczerwieniła się i spojrzała zniesmaczona na policjantkę.

– Dlaczego pani pyta o takie rzeczy? – zapytała. – Czy ja muszę odpowiadać na takie pytania?

Posterunkowa spojrzała na nią współczująco.

– Rozumiem panią. Naprawdę – odpowiedziała ciepłym, niemal matczynym głosem. – Sama byłaby wkurzona takimi pytaniami, ale to są dla nas bardzo ważne informacje. Im więcej szczegółów poznamy, tym skuteczniej poprowadzimy to śledztwo. Czasami jakiś detal może okazać się rozstrzygający.

Kramerska westchnęła.

– No dobrze. Pyta pani, jak było? Bardzo krótko. Boleśnie. Nic przyjemnego.

– To był pani pierwszy raz?
– Tak.
– A jego?
– Chyba nie. Ale mistrzem to nie był. – Roześmiała się nerwowo. Katia również.

– Potem uprawialiśmy seks w miarę regularnie.
– Sprawiał pani przyjemność?
– Niespecjalnie. Ale chciał, to się zgadzałam. W końcu byliśmy parą. W październiku zorientowałam się, że jestem w ciąży. Przeraziłam się.

– Dlaczego?
– Nie wiem, ale poczułam strach.
– Co na to... – Posterunkowa urwała i dopiero do krótkim wahaniu dokończyła: – Grzesiek?

Ledwo przeszło jej przez gardło to swojskie, sympatyczne słówko.
– Ja... Ja mu o tym opowiedziałam dopiero po trzech miesiącach.
– Dlaczego?
– Nie wiem. Ale gdy już go poinformowałam o ciąży, nie przejął się tym za bardzo. Po paru dniach stwierdził, że muszę usunąć.

– Co pani na to odpowiedziała?
– Że nie usunę, że nie ma mowy. Gdy moi rodzice dowiedzieli się o wszystkim, zdecydowali, że weźmiemy ślub i zamieszkamy tutaj, już jako małżeństwo. Powiedzieli, że jest dosyć miejsca, że pomogą w wychowaniu dzieciaka.

Katia drgnęła.
– Oni zdecydowali?
– Tak.
– A pani też chciała tego ślubu?
Kramerska wzruszyła ramionami.
– Stwierdziłam, że mają rację – odpowiedziała i natychmiast zapytała: – Miałam wydziwiać? Jest dziecko, musi być ślub, i tyle.

– A Grzesiek?
– Też nie wydziwiał. Po miesiącu był ślub, przyjęcie weselne. Po wszystkim wprowadził się do mnie i znalazł pracę. Mówił, że chciałby córkę. No i spełniło się. Bardzo był z tego powodu zadowolony.

– Coś się zmieniło po ślubie?
– Wszystko.
Katia spojrzała pytająco. Wtedy zadzwonił telefon. Głośno i nieprzyjemnie. Kramerska przeprosiła i wyszła z salonu.



– Powiedziała pani, że po ślubie wszystko się zmieniło – przypomniała policjantka, gdy jej rozmówczyni wróciła do salonu.

Kramerska westchnęła.

– Tak. Niby był dobrym mężem. Wracał po pracy do domu, nigdzie się nie szlajał, oddawał pensję, nie pił, nie palił.

Zapadła cisza.

– To w czym tkwił problem?

– Zaczął domagać się seksu. Właściwie zmuszał mnie do tego.

Katia przygryzła usta. Czowała, że podnosi się jej ciśnienie.

– Przychodził po pracy do domu i chciał się... Chciał się pieprzyć. Podchodził do mnie i dobierał się, chociaż ja nie miałam najmniejszej ochoty. W pewnym momencie uprzytomniłam sobie, że jego to rajcuje.

Kramerska wypuściła głośno powietrze.

– Co rajcuje?

– Że jest silniejszy ode mnie, że może mnie łać po mordzie.

– Rozumiem. Powiedziała pani, że sobie to uprzytomniła.

– Uhm.

– No i co w związku z tym?

– Poczulałam strach. Pomyślałam sobie też, że on jest po prostu niebezpiecznym człowiekiem.

– Coś pani zrobiła w związku z tym strachem?

– A co miałam niby zrobić?

Posterunkowa rozłożyła ręce. *Rozwieść się, głupia* – pomyślała.

– Pogadać z nim, z rodzicami. Pójść do jakiejś poradni. Przecież on panią po prostu... – zamilkła, uświadamiając sobie, że ulega emocjom. Wzięła oddech i zapytała: – Czy może mi pani jeszcze coś o powiedzieć o waszych stosunkach

seksualnych? Czy lubił coś specjalnego? Wymagał czegoś... specjalnego?

– Nie. Był ostry, beznamiętny. Szybko dochodził.

– Rozumiem. Idźmy dalej.

– Jakies cztery miesiące po ślubie Grzesiek wywołał wielką awanturę. Krzyczał, że nie może ze mną wytrzymać, że mu się nie podobam, że takich jak ja to on może mieć na pęczki. Zaczął mnie bić. Przede wszystkim po twarzy. Upadłam. Nazwał mnie kurwą, jebaną suką. W ogóle się nie przejął tym, że coś mogło stać się dziecku. Miał to gdzieś. – Kramerska podniosła głos. – Trzasnął drzwiami, spakował swoje rzeczy, wsiadł na motor i odjechał. Ale po kilkudziesięciu metrach zawrócił.

– I?

– I nic. Uspokoił się. Przez pewien czas był normalny. A potem znowu wpadł w furję. Pobił mnie i odjechał gdzieś motorem. Tym razem nie wrócił. Nie było go kilka dni. To się zdarzało coraz częściej. Któregoś razu zniknął na miesiąc. A potem już w ogóle nie wrócił. To był chyba styczeń.

Znowu zapadła cisza. Katia spojrzała na kobietę pocierającą lekko zwilgotniałe oczy.

– W styczniu mnie porzucił. Rok później wrócił. Chciał pogadać, napić się kawy. Jak gdyby nigdy nic. Zapytał, jak mi się układa, powiedział, że ma kobietę, że pracuje.

– A córeczka?

– Nie wykazywał żadnego zainteresowania. Najmniejszego. Owszem, zerknął na Anulke, ale obojętnie – powiedziała i zaczęła krzyczeć: – Bydlak! Zwierzę! Drań pozbawiony uczuć!

Posterunkowa ścisnęła pięści. Spojrzała na zdjęcia uśmiechniętego zabójcy. *Zajebię cię, skurwysynu* – pomyślała.

– Gdyby już to odchorowałam, doszłam do wniosku, że dobrze się stało – odezwała się Kramerska spokojniejszym tonem. – Przecież życie z nim byłoby piekłem. W końcu założyłam sprawę o alimenty. No bo jak to? W końcu jest ojcem, a ja nie mam pracy. Utrzymują mnie rodzice.

– Płaci?

– Płaci, ale niezbyt regularnie, często za mało. Jest dość mocno zadłużony.

– Kiedy widziała go pani ostatnio?

– Nie pamiętam. W wakacje. Na targu w Buku. Spotkaliśmy się przypadkowo. Zamieniliśmy parę słów. Zapytał o rodziców, córkę. Był bardzo miły, uśmiechnięty. Dobrze ubrany. Gdyby nie przeszłość, chętnie bym się z nim umówiła.

Kramerska zaśmiała się nerwowo.

– Przystojniak był z niego. Podobno zbałamucił kiedyś policjantkę z Buku. Na zabawie w Dusznikach. Ktoś ich podejrzwał w kiblu. Po naszym rozstaniu co

jakiś czas dochodziły do mnie plotki o jego różnych wyczynach. Wie pani, jak to jest na wsi. Głuchy telefon, tylko na poważnie.



Katia przejechała dłonią po twarzy. Wypuściła powietrze i sięgnęła po pepsi, ale zorientowała się, że zdążyła już wszystko wypić.

Potrzebowała cukru.

– Zrobić jeszcze kawy? – zagadnęła Kramerska, przyglądając się policjantce.

– Nie. Dziękuję. Padłabym na zawał.

– Ja tam po naszej rozmowie zawał mam gwarantowany.

Kobiety spojrzały na siebie przyjaźnie.

– Bardzo mi przykro, że przyniosłam pani złe wieści.

– Nie ma pani za co przepraszać.

Katia pokiwała głową.

– Chciałabym jeszcze na koniec dopytać o Grzegorza. Jaki był, co lubił?

Poza tym wszystkim, co już pani powiedziała. Może coś jeszcze przyszłoby pani do głowy? Proszę spokojnie pomyśleć. Nic na siłę.

– Lubił motory, samochody. Czasami pożyczał auto od swojego wujka z Niegolewa.

– Co to za auto?

– Niebieski żuk.

Katia drgnęła.

– Jak się nazywa ten wujek?

– Cieplucha chyba.

– Zna pani adres?

– Nie.

Posterunkowa zapisała kilka słów w notesie i zerknęła na zegarek – była osiemnasta dwadzieścia.

W tym momencie na podwórko zajechał samochód. Natychmiast rozpoznała charakterystyczny warkot malucha, który należał do Damiana Ostrowskiego.

Uśmiechnęła się.

XX

Bogusław Linda, ubrany w żołnierski mundur, poklepał po policzku przystojnego bruneta, który zapytał:

– Od kiedy wiedziałeś, poruczniku?

– Stulcie pysk, Kroll – odpowiedział porucznik, rozpiął kajdanki i ruszył wzdłuż słabo oświetlonego korytarza.

– Tak jest!

Kamera zrobiła zbliżenie na twarz przystojniaka – nagle posmutniałego czy może raczej przestraszonego.

– Jak tu jest?

Linda zatrzymał się, odwrócił i zaczął się śmiać. Długo, ironicznie, bardzo filmowo. Po paru sekundach nastąpiło cięcie.

Podinspektor Bury ściągnął wtedy nogi z biurka i chwycił pilot od odtwarzacza. W następnych ujęciach kamera pokazała dwie młode kobiety, który wysiadły z autobusu. Jedna z nich była seksowną blondynką ubraną w dżinsowe szorty i czarną koszulkę na ramiączkach, druga miała na sobie czarny sweter i długie, szerokie szare spodnie.

– Wiesz, już nigdy nie zdradzę Marcina i nie spotkam się z Kubą – powiedziała pierwsza.

Kobiety szły w stronę jednostki wojskowej, trzymając wspólnie jakiś duży czarny worek.

– Ale się Marcin zdziwi, jak nas zobaczy!

Podeszły do budki strażniczej. Po chwili uniósł się szlaban. Gdy kobiety zrobiły parę kroków do przodu, rozległy się charakterystyczne, rytmiczne dźwięki melodii skomponowanej przez Michała Lorenca. Równocześnie na ekranie pojawiły się napisy końcowe.

Podinspektor poczuł gęsią skórkę. Uwielbiał ten motyw muzyczny. Mógłby go słuchać w kółko. *Pierwszy polski amerykański film* – pomyślał z dumą. *Pierwsza klasa. Trzeba dać na eksport.*

Spojrzał na telefon i wyłączył pilotem odtwarzacz. Zaśnieżony ekran zatrzęszczał. Buryła wstał, podszedł do telewizora, ściszył go, przysiadł na biurku, podniósł słuchawkę i wykręcił numer.

– Cześć, Misio – powiedział serdecznym głosem. – Służbowo dzwonię, ale jak do starego przyjaciela, z którym wiele koni ukradłem.

Uśmiechnął się i oblizał usta.

– No właśnie, otóż to! – zawołał. – Poza tym dodałbym, że jesteś jedynym w Poznaniu dziennikarzem, który czuje naszą robotę. Te młode chłopaki i te wszystkie siksy mają tylko jeden cel: jak największa sprzedaż ze swoim nazwiskiem na pierwszej stronie. To są kapitalistyczne rekiny, dla których liczy się tylko świeża krew. Mają w dupie interes miasta, mieszkańców, policji. Są bezczelni, ciekawscy ponad miarę. Zero poczucia odpowiedzialności. A laski to już w ogóle! Jakby się wściekły. Każda z nich to, kurwa, Nikita. Owszem, ładne dupy, ale całkowicie nieusłuchane. Najważniejsza jest dla nich kariera. Idą po trupach. Dlatego ja im nie ufam. Ufam tylko tobie. Ty wiesz, że trzeba pisać, owszem, sugestywnie, elektryzująco, ale też akuratnie, w porozumieniu z nami. Tak jak kiedyś, prawda?

Policjant zamilkł i przysłuchiwał się przez kilkanaście sekund wypowiedzi swojego rozmówcy.

– Dokładnie, tak jak mówisz – odparł w końcu. – Misio, słuchaj. Wytropiliśmy naszego seryjnego zabójcę. Nie, nie schwytaliśmy go, ale znamy tożsamość. Moi ludzie namierzili jego miejsce zamieszkania. Nie, jeszcze nic nie możesz napisać. Dam ci znać niebawem. Oczywiście, będziesz miał dostęp jako pierwszy do najgorętszy newsów. Dam ci też fajne wypowiedzi, podkrecone przez moją żonę.

Znowu zamilkł.

– Uhm – mruknął. – Mam pomysł. Jaki? Żebyś napisał, bracie, powieść. Powieść dokumentalną. Trochę w stylu „Z zimną krwią” Capotego. O naszej sprawie. Świetny pomysł? No ja myślę, kurwa!

Zarechotał.

– Seryjny zabójca, ruchacz, gwałciciel, zapierdala po lasach, jeździ różnymi samochodami, piękny temat! Że co? No tak, byłoby mi miło, gdybyś głównego bohatera wzorował na mojej skromnej osobie. – Buryła oblizał wargi. – Spotkamy

się pod koniec miesiąca na wódeczce, to pogadamy o szczegółach. Do tego czasu powinniśmy mieć klienta w areszcie. A później umówię nas na spotkanie ze znajomym wydawcą, który szuka nowych autorów. Wymyślimy ci amerykański pseudonim i zarobimy mnóstwo forsy. Może Pasikowski zrobi film? No bo czemu nie? – Pokiwał głową. – Zauważ jeszcze jedno – to jest najszybsze na świecie śledztwo w sprawie seryjnego zabójcy. Tydzień, kurwa. Siedem dni. Słyszałeś o czymś takim? Zajebiste hasło na okładkę, co nie?

Zarechotał. Chwilę posłuchał i mruknął:

– Okej, Misio. Póki co morda w kubeł. Nic nie pisz. Na razie nic nie sprzedajemy mediom, żadnych konkretów, żadnego rysopisu. Niech klient czuje się bezpieczny. – Znowu pokiwał głową. – Odezwę się. Dobrej nocy.

Odłożył słuchawkę i rozparł się wygodnie w fotelu.

Przymknął oczy i zaczął wspominać szkolenie zorganizowane przez FBI dla polskiej policji, na którym był rok temu. Piękne chwile! Wspaniałe emocje. Potężna dawka praktycznej wiedzy. W czasie tych dwóch tygodni nie mógł pozbyć się wrażenia, że jest aktorem, który przygotowuje się do kolejnej części poświęconej przygodom Hannibala Lectera.

Jednak Stany to są Stany – pomyślał markotnie.

– Speszial ejdżynt – szepnął.

W tym momencie zadzwonił telefon. Skrzywił się.

– Buryła – mruknął do słuchawki. – Co tam?

– Szefie! – Usłyszał podekscytowany głos swojego podwładnego. – Mamy adres Kramerskiego! Wiemy, gdzie mieszka!!!

środa, 14 października 1992

XXI

Mężczyzna ścisnął w dłoniach szarą czapkę i spojrzał nieufnie na sierżantów.

– Czy Grzegorz zrobił coś złego? – zapytał cichym głosem.

Kowalski się skrzywił i spojrzał na Ostrowskiego, który właśnie ściągał czarną bluzę ozdobioną czerwonym i bardzo fantazyjnym napisem „Tankard”.

– A zna go pan dobrze, panie Cieplucha? – odpowiedział pytaniem na pytanie pulchny policjant.

Zajebiste nazwisko – pomyślał Ostrowski, przeczesując dłonią swoje długie włosy.

– No wie pan, to mój siostrzeniec. Wpada do mnie dość często.

– W jakim celu?

– Pogadać. Czasem pożyczyć trochę pieniędzy. Albo samochód.

– Jaki to samochód?

– Niebieski żuk.

– Kiedy ostatni raz go pożyczył?

Kowalski spojrzał na rozmówcę, który zmarszczył brwi. Był to pięćdziesięcioparoletni mężczyzna ubrany w granatową kurtkę, szare spodnie na kant i jakieś ciemne adidasy. Miał wąsa, szpakowate, dość przerzedzone włosy i łysinkę na czubku głowy. Rencista, dorabiał sobie w zakładzie wulkanizacyjnym.

– Chyba w zeszły poniedziałek.

– Chyba?

– No raczej na pewno.

- Raczej?
- No kurwa, na pewno.
- Czyli piątego października?

Chwila zastanowienia.

- Tak.
 - A kiedy oddał?
 - We wtorek.
 - Na pewno?
 - Tak.
 - A skąd ta pewność?
 - A bo mnie wkurzył.
 - Czym?
 - Zgubił mi rękawice. Bardzo je lubiłem, prawie codziennie ich używałem.
- Kowalski zrobił dziubek.
- Jakie rękawice? – zapytał.

Cieplucha podrapał się po nosie i odpowiedział:

– Były wyłożone z zewnątrz i wewnątrz porowatym materiałem, chyba gumą, bardzo przyczepne. Stare, dziurawe, ale niezastąpione. No więc warknąłem na niego, że ma mi je natychmiast odkupić.

Policjanci spojrzeli na siebie. *Czyżby kolejny dowodzik przeciwko Kramerskiemu?* – ucieszył się Kowalski.

Ostrowski sięgnął do szuflady i wyciągnął z nich rękawice umieszczone w foliowym worku. Popielate, sfatygowane; lewa miała dwa dziurawe palce.

- Takie? – zagadnął.

Cieplucha wbił wzrok w rękawice i po chwili pokiwał głową.

– Tak, to te. Mają dwie dziury, które sam zrobiłem, przenosząc badziewne pręty. A gdzie je panowie znaleźliście?

- W Stramnicy pod lasem.

– W Stramnicy pod lasem? A co one tam... – Mężczyzna nagle urwał w połowie zdania i spurpurowiał na twarzy. – Tam, gdzie zajebali ostatnio kobitkę?

– Dokładnie tam – mruknął Ostrowski, przyglądając się z narastającą ciekawością wujkowi Kramerskiego. – Na miejscu zbrodni...

Cieplucha spuścił głowę, podrapał się po łysinie i westchnął głęboko.

– Ale to niemożliwe – szepnął. – Przecież to dobry chłopak. Czasami tylko raptus.

- Raptus? – podjął Kowalski.

– Czasami potrafi się ostro wkurwić.

- Jak bardzo?

– No... Bardzo... Jakieś dwa, może trzy lata temu zdemolował piwnicę swojemu niedoszłemu teściowi, u którego pomieszkiwał przez pół roku. Ale

przecież...

– Dlaczego?

– Bo go wyrzucił z domu. Za chłanie chyba.

– Bezczelność – skwitował Ostrowski, wkładając rękawice z powrotem do worka foliowego.

– Jak się nazywa córka tego niedoszłego teścia? – zapytał Kowalski.

XXII

Alina Rozwadowska, dwudziestosiedmioletnia szatynka o bardzo obfitym biuście, od kilku miesięcy mężatka, gdy usłyszała nazwisko byłego partnera skrzywiła się, zaczerwieniła i pokręciła odmownie głową.

– Nie będę rozmawiała o tym skurwysynie – warknęła. – Proszę wyjść. Natychmiast!

Uległa dopiero po tym, jak Kowalski błagalnym głosem wyjaśnił, że jej zeznanie może uratować życie wielu kobiet, i zrobił przy tym minę autentycznego cierpiętnika.

– No dobrze – szepnęła. – Wejdźcie, panowie – powiedziała i poprowadziła ich do obszernej kuchni. Usadziła na taboretach, zaparzyła kawę, sama usiadła w wiklinowym fotelu i spojrzała wyczekująco na policjantów.

– Kiedy poznała pani Grzegorza Kramerskiego? – zapytał Ostrowski.

– Jakies trzy lata temu – odpowiedziała, zapalając papierosa. – Przez koleżankę. Któregoś razu stała na przystanku, chyba w Bytyniu. W pewnym momencie zatrzymał się przy niej duży czerwony fiat. Za kierownicą siedział przystojny facet, dwudziestoparolatek. Wysiadł, zagadał, zaproponował podwózkę, a potem, w trakcie jazdy, kawę. Basia kawy odmówiła, ale zaprosiła go do nas, bo to do nas wybierała się wtedy z wizytą.

– Do nas?

– Mieszkałam tu wtedy z ojcem. Zmarł na zawał w zeszłym roku.

– Bardzo mi przykro.

– Mnie też...

Po krótkiej, niezręcznej ciszy, Kowalski ponownie zapytał:

– Jakie wrażenie wywarł na pani Kramerski?

– No, bardzo pozytywne... Co tu kryć? Spodobał mi się. Bardzo.

Pokiwała głową, uśmiechając się ironicznie do siebie.

– Miły, wesoły, dowcipny. Wypiliśmy kawę, potem ojciec otworzył nalewkę własnej roboty, siedzieliśmy do drugiej w nocy. Grzegorz tego dnia był mocno zmęczony, więc ojciec stwierdził, że może przenocować na kanapie w pokoju, który często wynajmowaliśmy studentom. Nazajutrz, po śniadaniu, pojechał do pracy, ale wieczorem wpadł na kolację. I odtąd odwiedzał mnie codziennie. Po tygodniu przespaliliśmy się, a po dwóch tygodniach zamieszkał u nas.

Zamilkła i zaciągnęła się mocno papierosem.

– Jaki był w łóżku? – zapytał Ostrowski.

– Normalny. Całkiem normalny... Choć trochę męczący z tą ciągłą ochotą na seks. W nocy nie dawał mi spokoju. Był nienasycony...

– Rozumiem. Zamieszkał u was i co dalej?

– Co dalej? – powtórzyła pytanie. – Przez trzy miesiące było cudownie. Któregoś razu zaproponował nawet ślub. Wyznał mi miłość i poprosił o rękę, gdy wybraliśmy się na lampkę winę do restauracji.

– Zgodziła się pani?

– Miałam wątpliwości.

– Dlaczego?

– Nie ufałam mu do końca. Byłam przekonana, że coś ukrywa. Na przykład nigdy nie pokazał mi swojego dowodu osobistego.

– Rozumiem. No i?

– Odpowiedziałam wymijająco. Odpuścił temat. Ale zrobił się strasznie zazdrosny. Chorobliwie zazdrosny. Zaczął się posuwać do tego, że...

Kobieta urwała. Policjanci zmarszczyli brwi.

– Do czego?

– Gdy wracałam do domu, sprawdzał mi... – przełknęła ślinę i dodała ściszym głosem: – ...majtki.

– Majtki? – Ostrowski otworzył szeroko oczy. – Dlaczego?

Kramerska zaciągnęła się mocno.

Wypuściwszy dym, odezwała się zniecierpliwiona:

– No... Żeby sprawdzić, czy nie pieprzyłam się z innymi...

Zapadła cisza.

– Zdradzała go pani? – zapytał Kowalski, przerywając niezręczną ciszę.

– Nie. Ale on, nie wiedzieć czemu, ubzdurał sobie, że to ja zdradzam go na lewo i prawo.

– Dochodziło do przemocy?

– Nie. Tylko wrzeszczał na mnie. Obrzucał wulgarnymi wyzwiskami. W sumie... Myślę, że jednak dochodziło do przemocy, tyle że psychicznej. Teraz to jest dla mnie jasne. Dzisiaj, gdy ktoś podnosi głos, kulę się w sobie i myślę tylko o tym, żeby zniknąć z powierzchni ziemi. Nie mogę tego zapomnieć. Wyrzucić z siebie. Tego jego wrzasku. Tego upokorzenia, gdy sięgał mi do majtek i warczał, że czuje obcą spermę w mojej...

Rozwadowska zadrzała. Zdusiła pęta w popielniczce i zagryzła wargi. Na jej twarzy i szyi pojawiły się wielkie rumieńce.

– W jakich okolicznościach się rozstaliście? – zapytał Kowalski, próbując wydobyć z siebie ciepły, empatyczny głos.

– Bardzo dramatycznych. – Znów uśmiechnęła się ironicznie.

– To znaczy?

– Grzegorz... – chrząknęła. – Kramerski zaczął wracać do domu coraz później i coraz częściej po pijaku. Któregoś razu ojciec się wkurzył i nie chciał go wpuścić do domu. Debil wpadł w furję i zaczął walić w drzwi. Gdy to nic dało, wyłamał wejście od piwnicy, wszedł do środka i zdemolował siekierą pokój. Krzyczał, że nie wyjdzie, póki wszystkiego nie rozpierdoli.

Rozwadowska zerknęła na sierżantów, którzy zrobili wielkie oczy. Najwyraźniej opowieść mocno ich poruszyła.

– Przeżona zadzwoniłam po policję, która na szczęście szybko przyjechała i zabrała go na komisariat. To było nasze ostatnie spotkanie.

Kowalski odczekał chwilę i upewnił się:

– I nigdy więcej go pani nie zobaczyła?

– Nie. Ale widziała go moja siostra na jakimś dancingu. Siedzieli nawet przy jednym stoliku. Ten kutas chwalił się, że parę dni wcześniej wziął sobie do pokoju hotelowego dwie kurwy i nie zapłacił im za, cytuję, zajebiste ruchanie. Podobno postraszył je policją.

XXIII

Podinspektor Rambert spojrzał na podinspektora Buryłę.

– A gdzie Harry?

Wszyscy uczestnicy narady odwrócili głowy w stronę naczelnika Wydziału Kryminalnego, który właśnie zdrapywał coś ze swojego szerokiego krawata. Jakakolwiek informacja czy plotka na temat charyzmatycznego komisarza budziła w pracownikach komendy niezdrową ciekawość.

– Wcięło go – mruknął zagadnięty.

– Andrzej, nie rób sobie jaj! Jutro mamy realizację.

– Nie robię sobie jaj. Mówię jak jest. Wcięło go.

– Zamierzasz coś z tym zrobić?

– Tak.

– Kiedy?

– W piątek. Wtedy zorientuję się, o co chodzi.

– Ale nie można tak sobie nie przychodzić do roboty! – oburzył się szef dochodzeniowców.

– On jest na specjalnych zasadach. Wiesz o tym.

– To już nie te czasy!

– Dżery, odłóżmy ten temat na inną rozmowę, okej? Harry nie jest nam potrzeby do zatrzymania klienta.

– Okej – westchnął Rambert i spojrzał na zegarek. Zbliżała się północ.

Co za tydzień – pomyślał. Gdy złapiemy Grzesia, biorę urlop.

– Dobra – powiedział głośno i prześlizgnął się wzrokiem po twarzach funkcjonariuszy, którzy mieli wziąć jutro udział w zatrzymaniu zabójcy. – Podsumujmy. Jutro, godzina szósta rano. Puszczykowo. Zabezpieczamy wszystkie wejścia do domu. Miszczo i Ostrowski, pukacie do drzwi, mówicie o co chodzi, a potem skuwacie klienta. Z tego co wiemy, nie posiada żadnej giwery, ale wy macie wziąć ze sobą broń. W razie czego, jasne? Katia rozmawia z żoną. Kowalski robi protokół zatrzymania.

Rambert spojrział na Miszcza i Ostrowskiego.

– Nie wchodźcie w żadne pogaduszki z Kramerskim. Pakujecie go do poloneza i przywozicie do firmy. Prowadźcie go do mnie. Będę go słuchał jako pierwszy.

Rambert zamilkł. Sięgnął po butelkę mineralnej i upił parę łyków.

Potem zerknął na trzyosobową grupę, składającą się z młodej drobniutkiej dziewczyny, wąsatego trzydziestolatka i opasłego, szpakowatego właściciela imponujących pekaesów. Reprezentacja Wydziału Kryminalistyki.

– Technika – rzucił. – Szczególnie ważne: biżuteria. Może nas połączyć z różnymi ofiarami.

Znowu zamilkł. Po krótkim namyśle odezwał się:

– To chyba wszystko. Ja zaraz zadzwonię do prokuratora i poinformuję go o naszych planach na jutrzejszy poranek.

Buryła wstał z krzesła. Strzepnął pyłek z białej marynarki i spojrział na swoich operacyjniaków, wśród których Katia była jedyna kobietą.

– Tylko mi nie chłać dzisiaj. Od razu do wyra zapierdalać! Jutro musicie być rześcy jak studenci pierwszego roku awuefu! – Podniósł palec i pomachał nim zamazyście.

XXIV

Ela roześmiała się głośno do słuchawki telefonu i położyła rękę swoim nagim, białym brzuchu.

Rozmawiając z przyjaciółką, przybrała ulubioną pozycję: nogi miała uniesione i oparte o beżową ścianę. „Dobre krążenie to podstawa” – mówiła często tym swoim figlarnym głosem.

Była wykąpana, pachnąca i zrelaksowana.

Na sobie miała czarne figi, które kupiła dzisiaj z myślą o kolejnym upojnym spotkaniu z Grzegorzem. Wszelkie wątpliwości co do jego zachowania zostały całkowicie wyciszone.

Gdy nadszedł wieczór, poczuła, że tęskni za nim. Fizycznie. Przede wszystkim fizycznie.

On był jak narkotyk, którego musiała zażyć.

Wyszedłszy z kąpieli jakieś pół godziny temu, położyła się na łóżku, zamknęła oczy i wróciła pamięcią do ich ostatniej randki. Podnieciła się. Chciała zrobić sobie dobrze, ale wtedy zadzwoniła Kamila.

Zaczęły rozmawiać.

– Kochanie, spotkajmy się w sobotę w Polonezie o dziewiętnastej – powiedziała, zagryzając łobuzersko usta. – W tamtejszym barze. Poplotkujemy sobie o naszym sprawach, a po godzinie dołączy do nas Grzesio.

Zerknęła na prawą stopę ozdobioną czerwonymi paznokciami. Na jednym z nich dostrzegła odprysk. Zmarszczyła brwi.

– Co planuję? – mruknęła. – Nic nie planuję. Będziemy pić wino, rozmawiać, tańczyć, a potem zobaczymy. Jestem gotowa na wszystko. – Zaśmiała się głośno. – Grzesio wyznał, że uprawiał kiedyś seks z dwiema kobietami. Przyznam, że narobił mi apetytu.

Zamilkła i przejechała językiem po ustach.

– A co u ciebie? Cellulit? Nie! Tylko nie takie tematy! Opowiedz mi o czymś pikantnym! Właśnie wyszłam z kąpieli, jestem rozgrzana, potrzebuję mocniejszych bodźców. Byłaś na jakimś spotkaniu, randce? Różnięciu? Co? – Ela podniosła głos. – Przespałaś się z doktorantem?

Zamilkła.

– Tak, tak, pamiętam. Opowiadałaś mi kiedyś o tym. W ostatniej chwili uciekłaś, zostawiając tych biednych chłopców ze sterczącymi kutasikami.

Ela zaśmiała się, po czym oznajmiła:

– Kochanie! Opowiadaj! Chcę znać wszystkie szczegóły! Właśnie jedzie do ciebie? No dobrze, to odkładam słuchawkę. Zadzwoń jutro. Baw się dobrze, serduszko.

Odłożyła słuchawkę i usiadła na łóżku. Zamyśliła się.

Pod blokiem ktoś zaparkował samochód. Po osiedlu zaczęły się roznosić dźwięki znanego rockowego hitu:

„Ty w mojej klasie uczysz języka angielskiego / gdy idziesz korytarzem chłopaki w milczeniu / oni patrzą za tobą lecz nigdy tobie w oczy oprócz mniej najbardziej nagrzanego / Ja spalam się”[5].

Ela zamknęła okno, ściągnęła figi, które rzuciła na fotel, zgasiła światło i położyła się do łóżka.

Wróciła do fantazjowania na temat seksu z Grzesiem.

Najpierw wyobraziła sobie, że podchodzi do niej i zaczyna ją delikatnie całować po szyi. A potem kuca, ściąga z niej majtki, wtula się w brzuch, całuje go, trąca nosem, w ten sposób odwołując moment, na który czeka całym sobą.

Grześ schodzi językiem coraz niżej, aż w końcu łapie go brutalnie za głowę, przyciska do siebie. Upadają na łóżko, ona obejmuje go z całej siły nogami i traci oddech.

[5] Fragment utworu „Spalam się” Kazika Staszewskiego.

czwartek, 15 października 1992

XXV

Ostrowski ściszył magnetofon w momencie, gdy zachrypnięty punkowy wokalista śpiewał o tragicznych konsekwencjach picia jaboli.

– Później dokończysz, bratku – oznajmił i mrugnął do Katii odpinającej pas.

– Muszę ci wyznać, że gustuję w jabolach, od kiedy skończyłem szesnaście lat – dodał, szczerząc zęby.

Dziewczyna odwzajemniła uśmiech, ale nic nie powiedziała. O tej porze zazwyczaj stroniła od rozmów. Wydobywanie z siebie głosu o szóstej czy siódmej rano od zawsze wydawało jej się bezsensowną czynnością.

Odwrociła głowę i omiotła wzrokiem okolice pogrążoną w mętnych szarościach.

Drzewa, podziurawiony asfalt, trochę zaniedbanych domów. *Ale chujoza* – skwitowała w myślach.

Sierżant zdjął nogę z gazu, wrzucił bieg na luz i zatrzymał samochód przy małym sklepiku z okratowanymi oknami.

– Zaparkujemy przy wodopoju. – Uśmiechnął się, dotykając dłonią szyi.

Zgasił silnik i spojrzął na zegarek. Była za dziesięć szósta.

Wyszli z samochodu i od razu poczuli powiew zimnego powietrza.

– Są już technicy. – Wskazał ręką srebrnego poloneza zaparkowanego na chodniku pięćdziesiąt metrów dalej. Katia podniosła wzrok i zobaczyła trzysobową grupę z Wydziału Kryminalistyki, która w milczeniu przechodziła przez ulicę.

– Poratujecie papieroskiem? – zagadnął ich wąsaty facecik o smutnych oczach, który opierał się o ścianę sklepiku i popijał leniwie piwo z butelki.

Pokręcili odmownie głowami i ruszyli przed siebie.

– A pieniążkiem? – Za ich plecami rozległ się desperacki głos. – Małą kwotką?

– To się nazywa determinacja – skwitował Ostrowski i dodał z przekąsem: – Na pewno odniesie dzisiaj sukces. Cierpliwi zostaną wynagrodzeni ostrą banią.

Katia wzruszyła ramionami. *Dlaczego on tak pieprzy z samego rana?* – pomyślała.

Ostrowski spojrzał na nią i mruknął:

– Wspomnisz jeszcze moje słowa, dziewczyno.

Obok przejechał kolejny polonez z policyjną rejestracją. Zatrzymał się. Po chwili wyszli z niego Miszczu i Kowalski.

– Ale piździ! – Usłyszeli głos zaspanego podkomisarza.

Kowalski znowu spojrzał na zegarek. Minęły trzy minuty. Katia zapięła kurtkę i przeniosła wzrok na dom, w którym mieszkał Kramerski. Było to typowe szare, jednopiętrowe pudło z lat osiemdziesiątych.

Cała ekipa z komendy stanęła przed metalową siatką okalającą budynek. Kiwnęli sobie głowami i zaczęli się przyglądać posesji, na środku której stał jakiś szary samochód. Chyba wartburg.

Odczekali chwilę. Kowalski spojrzał na zegarek. Była piąta pięćdziesiąt osiem.

Wysunął lekko język, przygryzł go i już chciał dać znać, że zaczynają akcję, gdy nagle frontowe drzwi domu otworzyły się z impetem.

W progu stanął mężczyzna.

– Ożeż kurwa – mruknął Miszczu i podrapał się po wąsie. Wszyscy zamarli i jak zahipnotyzowani wpatrywali się w mężczyznę, który dziarskim krokiem podszedł do wartburga, otworzył drzwi i usiadł za kierownicą.

– Ostry, Miszczu – szepnął Kowalski – Bierzcie klienta!



– Bierzcie klienta!

Parę sekund później policjanci usłyszeli warkot silnika. Sierżant i podkomisarz zerwali się z miejsca i podbiegli do samochodu. Równocześnie sięgnęli za klamki i z dwóch stron gwałtownie otworzyli drzwi.

– Spieszysz się gdzieś, kurwa? – zapytał groźnie Mischu, siadając na siedzeniu pasażera i wbijając wzrok w kierowcę.

Szybko zlustrował jego twarz, sylwetkę, ubiór.

Mężczyzna osłupiał. Spojrzał na podkomisarza, a potem przez szybę na Ostrowskiego, który odchylił kurtkę, żeby zademonstrować kaburę z bronią.

– Kim jesteście? – wyjąkał.

– Policja. Komenda Wojewódzka. Zatrzymujemy cię.

Mężczyzna zrobił wielkie oczy.

– A z jakiego, kurwa, powodu?!

Mischu sięgnął po kajdanki.

– Zatrzymujemy cię pod zarzutem gwałtów i zabójstw – oznajmił.

– Pojechało was?!

– Grzegorz Kramerski?

– Nie, do chuja!

– A kto ty jesteś?

– Jestem, kurwa, Tomasik.

– Jak to Tomasik?

– Normalnie, kurwa.

Zakłopotany Mischu zerknął na Ostrowskiego, który nagle odwrócił się w stronę budynku.

– Co tu się dzieje? – rozległ się ostry, kobiecy krzyk. Przed wartburgiem stanęła kobieta: rozczochrana, poddenerwowana, w płaszczu pospiesznie narzuconym na koszulę nocną i kosmatych kapciach. – Co tu się dzieje? –

powtórzyła, marszcząc brwi. – Zaraz zadzwonię po policję.

Miszczu wysiadł z samochodu.

– My jesteśmy policja – bąknął.

– Przyjechaliśmy po Grzegorza Kramerskiego – dodał, pąsowiejąc na twarzy. Taki numer jeszcze mu się nigdy nie przydarzył podczas realizacji.

– Mieszka na piętrze – odpowiedziała kobieta. – Z żoną.

– Zośka, oni myślą, że ja to Grzechu. – Mężczyzna się zaśmiał i zrobił palcem kółko wokół głowy.

– No chyba was... – fuknęła.

– Proszę pokazać dowód osobisty – odezwał się Ostrowski.

– Czego chcecie od Kramerskiego? – zapytała zaczepnie żona. – Coś zrobił?

Sierżant Ostrowski spojrzał na dokument, który pokazał mu coraz bardziej rozbawiony mężczyzna.

Zagryzł wargi. Wziął głęboki i oddech i przejechał dłonią po swoich świeżo umytych włosach.

– Przepraszamy – mruknął i kiwnął głową na kolegę.

Policjanci ruszyli w stronę budynku.

– Kurwa – burknął podkomisarz. – Ale wtopa.

Ostrowski zarechotał i machnął ręką do ekipy, która patrzyła na nich lekko zdezorientowana.



Na schodach dołączyła do nich zdyszana Katia. Poprawiła niesforny kosmyk włosów i spojrzała pytająco na kolegów.

– To był sąsiad – wyjaśnił Ostrowski. – Kramerski mieszka nad nim.

– Ups! – syknęła.

Gdy stanęli na półpiętrze, usłyszeli szczeknięcie. Podnieśli głowy. Przed solidnymi, drewnianymi drzwiami stał wilczur – wielki, spasiony owczarek niemiecki.

Warknął i obnażył ostre zęby, z których ściekała ślina. Policjanci cofnęli się o krok.

– Co się dzieje?! – Usłyszeli Kowalskiego, który właśnie wszedł na klatkę schodową. – Co wy odwalacie?

W tym momencie pies głośno zaszczekał i ruszył energicznie na Katię. Ta momentalnie zbladła, cofnęła się o krok i osłoniła twarz rękami.

– Spierdalaj! – wrzasnęła.

Miszczu wyciągnął pistolet, odbezpieczył, zagryzł usta i wycelował w zwierzę.

Tymczasem ono podbiegło do posterunkowej, wspięło się jej na ramiona, przygważdżając ją do ściany, i ku zdumieniu policjantów, zaczęło lizać ją po twarzy.

– Ale jaja. – Miszczu zarechotał i z wielką ulgą opuścił broń. Rzadko kiedy brał ją do rąk, jak większość policjantów.

– To się nazywa poskromienie złośnika – stwierdził Ostrowski.

Katia wypuściła głośno powietrze, uśmiechnęła się i odepchnęła delikatnie wilczura. Gdy stanął ponownie na czterech łapach, zaczęła go głaskać.

– Dobry piesek – szepnęła. – Dobry piesek. A teraz siad.

Wilczur usiadł i podniósł łapę, wywołując ogólny chichot.

– Grzeczna psinka.

Gdy wszyscy skupili się na poskromionym złośniku, otworzyły się drzwi. W progu stanęła kobieta w niebieskim szlafroku. Miała na głowie turban zrobiony z ręcznika. Dostrzegłszy pod drzwiami obcych ludzi, zastygła w bezruchu.

– Kim jesteście? – odezwała się po krótkim wahaniu.

– Policja – oznajmił Ostrowski.

Po czym zapytał:

– Pani Kramerska?

– Tak.

– Mąż w domu?

– Nie.

– Nie?

– No mówię, że nie ma go.

– A gdzie jest?

– Nie mam zielonego pojęcia. Wszedł parę dni temu i do tej pory nie wrócił.

Policjanci spojrzeli na siebie, marszcząc brwi.

– A co się stało? – zapytała zdezorientowana kobieta.

Kowalski stanął przed nią, podrapał się po policzku, wyciągnął legitymację służbową, okazał ją i przedstawił się:

– Sierżant Kowalski z Komendy Wojewódzkiej.

– Co się stało?

– Musimy wejść do mieszkania. Proszę nas wpuścić.

Żona Kramerskiego osłupiała i zrobiła miejsce w przejściu.

Ostrowski spojrział na zegarek. Było kwadrans po szóstej. Kiwnął głową.

XXVI

Irena Kramerska wytarła załzawione oczy.

Wyprostowała się, rozejrzała bezradnie po pokoju sierżantów, spojrzała na nich i pokiwała głową.

– Grzesia poznałam na początku dziewięćdziesiątego pierwszego – szepnęła płacząco.

Gdy druga żona zabójcy zaczęła zeznawać, Kowalski odniósł wrażenie, że znowu znalazł się w jakimś podrzędnym teatrze, na deskach którego od kilku dni wystawiają codziennie kolejne wersje tej samej monodramy. Podobny początek, podobny przełom, w czasie którego miły, zabawny mężczyzna zamienia się w brutalnego prześladowcę, a potem oczywiście kulminacja w formie wielkiej awantury, no i na koniec zniknięcie. Koniec bajki.

– Gdzie go pani poznała? – zapytał Ostrowski.

– W barze Malta. Pracowałam jako bufetowa. Grzesio przywoził nam napoje. Pewnego dnia rozmawiał z koleżanką i powiedział jej, że chce jechać do rodziców do Hańczy koło Niegolewa, ale nie miał czym. Anka powiedziała mu, że ja mam samochód i żeby mnie zagadnąć w tej sprawie.

– Jaki samochód?

– Fiat 125p, biały. Powiedziałam, że jak dobrze zapłaci, to mogę go zawieźć. Dogadaliśmy się. Gdy skończyłam pracę, wsiedliśmy do mojego auta i pojechaliśmy na stację na Górczynie, miał zapłacić za benzynę. Stacja była jednak zamknięta. Dał mi dwieście złotych i powiedział, że dojadę na rezerwie.

Ruszyliśmy. Po drodze zaczął opowiadać o sobie. Że jest technikiem budowlanym, że ma dwadzieścia siedem lat, że dużo podróżuje po Europie, że ma forda, którego dostał od ciotki z Anglii.

– A mówił o swoim stanie cywilnym?

– Tak. Że jest kawalerem.

– Widziała pani kiedyś jego dowód osobisty?

– Tak, przed ślubem.

– I co było napisane w tej rubryce?

Kramerska zmarszczyła brwi.

– No kawaler – odpowiedziała zdziwiona. – A co? Nie był kawalerem?

– No nie. Nie wziął rozwodu z poprzednią żoną.

– Poprzednią żoną? On miał żonę?

– Dalej ma.

Kobieta spurpurowiała.

– Co pan pieprzy?

– Nie pieprzę, niestety.

– Serio? ^P_{SEP}

– Uhm.

– A to kutas – syknęła. – A to skurwysyn! – Zaczęła głośno oddychać. – Musiał sfalszować dowód – szepnęła.

– Najwyraźniej.

– Teraz sobie przypominam, że ten „kawaler” był dziwnie napisany – mruknęła Kramerska. – Papier był w tym miejscu lekko starty...

– Pani Ireno, zostawmy to teraz. Proszę kontynuować... – Kowalski machnął ręką. – Ruszyliście do Hańczy.

– Tak... Całkiem swobodnie sobie rozmawialiśmy w czasie jazdy. Miał przyjemny głos, opowiadał fajnie. W pewnym momencie stwierdził, że musi mnie zabrać na wakacje do Bułgarii i uśmiechnął się promiennie. Potraktowałam to jako puste gadanie, ale przyznaję, zrobiło mi się miło. Ujął mnie. – Kramerska mimowolnie się uśmiechnęła. – W końcu zajechaliśmy do Hańczy – podjęła po chwili. – Wszedł do domu rodziców, ja zostałam w samochodzie. Nie było go jakieś dziesięć minut. W drodze powrotnej, gdy przejeżdżaliśmy obok jakiegoś lasu, zapytał, czy może poprowadzić. Nie zgodziłam się.

– Dlaczego?

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Bo niby dlaczego miałam się zgodzić? To mój samochód, lubię nim jeździć. Wolę być kierowcą niż pasażerką.

– Jasne.

– Gdy znaleźliśmy się w Gaju, powiedział, że mam skrócić w boczną drogę w prawo. Powiedział, że ma tam coś do załatwienia. Zrobiłam to. To była asfaltowa

droga obsadzona z dwóch stron drzewami. Potem znowu skręciłam na jego prośbę. Po kilkuset metrach zorientowałam się, że nie ma żadnych zabudowań. Zirykowałam się trochę i oświadczyłam, że nikt tu nie mieszka i że dalej nie jadę. Zatrzymałam samochód i spojrzałam na niego groźnie.

– Co on wtedy zrobił?

– Jedną ręką objął mnie za ramię, a drugą wyjął kluczyki ze stacyjki. Potem nachylił się ku mnie i próbował mnie pocałować. Odepchnęłam go i zażądałam kluczyków. Powiedziałam ostro, że jeśli mi ich nie odda, to wysiądę z wozu, pójdę do szosy, zatrzymam jakiś samochód i zawiadomię policję. Bardzo się zdenerwowałam. Po prostu cała drżałam. On to spostrzegł. Chyba się trochę przestraszył, bo uspokoił się, zwrócił mi kluczyki. Po chwili uśmiechnął się i stwierdził tym swoim ciepłym, niskim głosem, że czas wracać. Więc nawróciłam i pojechałam w kierunku Poznania.

– Odniósł się jakoś do tej sytuacji?

– Stwierdził, że jestem dzieciakiem.

– *Chciałem cię tylko pocałować, piękna. A ty potraktowałaś mnie jak jakiegoś zbira z kryminalów.*

– Obrócił wszystko w żart. W końcu dojechaliśmy do Poznania. Wysadziłam go na ulicy Ratajczaka. Zapraszał mnie na kawę, ale się nie zgodziłam. Wróciłam do domu.

– Umówiliście się na spotkanie?

– W pewnym sensie. W czasie drogi powrotnej powiedziałam mu, że pilnie potrzebuję krawcowej. Obiecał, że skontaktuje mnie z taką jedną babką, która szyje dobrze, szybko i tanio. Dlatego byliśmy w kontakcie. Parę razy pojechaliśmy razem do niej na ulicę Dąbrowskiego. Przez najbliższe dni przyjeżdżał do baru samochodem. Przynosił mi kwiaty i ciastka. Zagadywał, prawił komplementy. Koleżanki namawiały mnie, żebym dała mu się poderwać. Mówiły, że to fajny chłopak.

– Jakim samochodem przyjeżdżał?

– Służbowym fiatem Ducato.

– Tym z napisem „Pepsi”?

– Tak.

Kramerska objęła dłońmi filiżankę.

Ostrowski bezwiednie zerknął na jej prawą dłoń. Zmrużył oczy i przyjrzał się dokładniej pierścionkowi, który nagle zwrócił jego uwagę: złoty z trzema czerwonymi różyczkami.

Tymczasem żona zabójcy kontynuowała opowieść:

– Podobał mi się, był przystojny, dobrze się ubierał, był miły. Po krótkim czasie poszłam z nim na dancing do Pirackiej. Byliśmy tam tylko we dwoje.

– Jak się zachowywał? – zapytał Kowalski.

– Bardzo kulturalnie, alkoholu wypił niewiele. Prawdziwy dżentelmen. Ja tamtego wieczoru w ogóle nie piłam. Na imprezę przyjechałam samochodem. Gdy wyszliśmy z lokalu, odwiozłam go do domu.

– Gdzie?

– Nie pamiętam – odparła, po czym dodała: – Od tamtego czasu przychodził do mnie do pracy codziennie. Po paru tygodniach zaczął wyznawać, że ma względem mnie poważne zamiary.

Sierzanci spojrzeli po sobie. *Dlaczego on był taki wyrywny z tymi ślubami?* – zastanowił się Ostrowski.

– Jak pani na to reagowała? – zapytał Kowalski, którego też zaciekała skłonność Kramerskiego do częstego oświadczenia się kobietom. *Może to była kwestia dominacji?* – dociekał w duchu. Stan narzeczeństwa, a potem małżeństwo miało mu zapewniać bezkarność? A może po prostu lubił mieć kogoś na stałe w domu?

– Na początku starałam się odwieść go od tej myśli. Mówiłam, że mam dziecko, że nie chcę wychodzić za mąż. On odpowiadał, że to nie jest żadna poważna przeszkoda, że lubi mojego synka. To ostatnie było zresztą prawdą. Widziałam, że był dobry dla Karolka, kupował mu zabawki, grał z nim w piłkę. Kiedy zorientowałam się, że synek też go polubił, podjęłam decyzję, zgodziłam się. Grzesio załatwił wszystkie formalności związane ze ślubem. To wtedy po raz pierwszy pokazał mi swój dowód osobisty. Pobraliśmy się dwunastego kwietnia w tym roku. To była bardzo kameralna uroczystość. Byli tylko świadkowie, moi starzy znajomi i moja matka. Ze strony Grzesia nikogo, nawet rodziców czy sióstr. Po ślubie zamieszkaliśmy u mnie.

– Kiedy doszło po raz pierwszy do zbliżenia pomiędzy wami ?

– Jeszcze przed ślubem.

– Jaki był w łóżku?

– Normalny. Ale kiedy nie chciałam z nim uprawiać seksu, był zły, próbował mnie namawiać, a czasami nawet zmuszać. Gdy się nie zgadzałam, dochodziło do kłótni. Czasami dość ostrych. Pytał, dlaczego jestem taka zimna, czy ma zacząć chodzić na kurwy. Wmawiał mi, że jestem jego żoną, że to mój obowiązek, by się z nim ruchać. Takie kwiatki od niego słyszałam. Ale potem wszystko wracało do normy. I było całkiem dobrze.

– Coś się zmieniło po ślubie? – zapytał Ostrowski.

Kramerska pokiwała głową, wypuszczając powoli powietrze. Potarła nerwowo podbródek.

– Powiedziałałabym, że wszystko – odezwała się smutnym głosem. – Grzesio zmienił się całkowicie. Zdarzało się, że nie wracał na noc. Coraz częściej dochodziło do awantur.

– Do awantur? Na jakim tle?

– Był obsesyjnie, wręcz chorobliwie zazdrosny. Czasami to przybierało jakieś szalone wymiary. Nie chciał, bym pracowała, chował mi buty i fartuszek, bym nie wyszła z domu. Zdarzało się, że zabierał mi klucze albo zamykał w mieszkaniu. Nie pozwalał nawet iść do kiosku. Twierdził, że w pobliżu jest budka telefoniczna, z której mogę zadzwonić do swoich kochanków. Krzyczał, że wystarczy mnie spuścić z oczu na dziesięć minut, bym się skurwiła. Z tego powodu kilka razy nie byłam w pracy.

Ja pierdolę – wzburzył się w myślach Ostrowski. *Dobrze, że Katia tego nie słyszy, bo by chyba eksplodowała na milion kawałków.*

– Mówiła pani o tym komuś? – zapytał cicho Kowalski.

– Jedyna osoba, której mogłabym się zwierzyć, to moja matka. Ale nic jej nie mówiłam, bo jest ciężko chora na serce. Zawsze mocno przeżywała moje sprawy. To by ją zabiło...

– Bił panią?

– Tak. Bił mnie. Bił mnie przede wszystkim pięścią po twarzy, po głowie. Ścisnął mnie przy tym mocno za ramię, do siniaków. Często mnie dusił.

– Jak?

– Ścisnął oburącz za szyję albo poduszką. – Kramerska zamilkła. Jej oczy zrobiły się wilgotne. Westchnęła.

Policjanci patrzyli na nią w milczeniu, czując, że wzbiera w nich wściekłość.

– Najgorsze w tym wszystkim było to, że bicie mnie sprawiało mu zadowolenie. Czułam to, widziałam to. Ale dopiero teraz, kiedy mówię wam o tym, uprzytamniam to sobie. Że on jest sadystą.

Cisza.

– Wezmę z nim rozwód.

Zagryzła usta.

– Nie powinnam zgadzać się na ten głupi ślub. Było mi dobrze samej.

– Nie próbowała pani z nim porozmawiać na temat jego zachowania? – zapytał Ostrowski, zdając sobie jednak sprawę z tego, że to zabrzmiało bardzo naiwnie. Sadysta kontra pedagogiczne argumenty?

Ale odpowiedź zaskoczyła policjantów.

– Któregoś dnia postawiłam mu warunek: jeśli chciał ze mną dalej być, musiał iść do psychiatry. Zgodził się i wkrótce poszliśmy do poradni. Lekarz powiedział, że Grzesio jest normalny, nie wymaga leczenia w zakładzie. Przepisał mu leki, zaznaczając wyraźnie, że picie alkoholu przy tych lekach będzie wywoływać w nim agresję. Przez jakiś czas brał leki, ale potem przestał i na nowo zaczął się awanturować. Co gorsza, zorientowałam się, mnie okrada. Z pieniędzy, biżuterii. Początkowo zaprzeczał, ale kiedy go mocno przycisnęłam, powiedział, że będzie mi to systematycznie zwracał. Ale ostatecznie oddał tylko dziewięćdziesiąt marek...

Kramerska zamilkła. Dopiła kawę, zerknęła na sierżantów i powiedziała:

– To by było na tyle. We wtorek wyszedł z domu i do tej pory nie wrócił.

Zapadła cisza. Ostrowski raz jeszcze spojrzął na pierścionek rozmówczyni.

Wskazał go ręką i zapytał:

– Skąd go pani ma?

Kramerska uniosła dłoń i wyprostowała ją w powietrzu.

– Dostałam od... od męża.

– Kiedy?

– W zeszły poniedziałek.

– Wrócił tego dnia do domu?

– Tak, późnym wieczorem.

– Jak się zachowywał?

– Był bardzo zmęczony, podenerwowany. Dał mi go. Ucałował. Powiedział, że to na nowy początek. Że się zmieni. A następnego dnia zniknął. I do dzisiaj go nie widziałam – powiedziała i uśmiechnęła się ironicznie. Z jej oczu popłynęły łzy.

Kowalski spojrzął na pierścionek, zmarszczył brwi i doznał olśnienia. Przecież właśnie taki sam został skradziony Honi Miller! Spojrzął podniecony na Ostrowskiego, który pokiwał mu głową i mruknął.

– To ten sam.

XXVII

Harry wszedł do mieszkania, zsuł niedbale buty i ruszył do sypialni. Tam uwalił się na łóżku i zamknął oczy.

Był wykończony.

Głód, adrenalina, nerwy, kac – w końcu dały znać o sobie. Ledwie żył. Miał wrażenie, że zaraz się rozsypie na kawałki.

Położył się na brzuchu i schował głowę pod poduszkę, żeby nie raziło go światło z przedpokoju. Po paru sekundach odpłynął.

Sen nie przyniósł upragnionego ukojenia. Przez jego głowę przepływały chaotyczne strumienie obrazów i dźwięków, wywołując w nim pogłębiający się niepokój. Przewracał się z boku na bok, pojękując raz po raz. Czuł się jak zwierzę, które nagle zwiertżyło niebezpieczeństwo i zaczęło pędzić przed siebie przez leśne ostępy. Coś go ścigało, ale nie wiedział co.

W pewnym momencie znalazł się w dziwnym pomieszczeniu, które przypominało czerwony pokój z „Miasteczka Twin Peaks”, które kiedyś tak namiętnie oglądał w telewizji.

Usiadł w fotelu i czekał na ciąg dalszy.

Po paru minutach zza czerwonej kotary wyszedł jego ojciec. Wysoki, potężnej postury mężczyzna, o czerwonej twarzy zwieńczonej sumiastym wąsem. Był ubrany w wojskowy mundur. W prawej ręce trzymał pół litra wódki.

Na widok syna skrzywił się. Odkręcił butelkę, przyłożył gwint do ust i pociągnął. Potem syknął, pokręcił głową i zapytał zaczepnie:

– Gdzie tu jest jakiś burdel?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, splunął i znów zniknął za kotarą.

Wtedy Harry otworzył oczy. Nerwowo wypuszczając powietrze, poczuł, że przepocił całe ubranie.

Zaklął, zerwał się z łóżka i poszedł do łazienki, zaczynając się rozbierać. Gdy dotknął klamki, usłyszał dzwonek do drzwi.

Mruknął gniewnie i spojrzał przez wizjer. Zmarszczył brwi, pomyślał chwilę, a potem przekręcił klucz w zamku. Cofnął się i poczuł zapach dobrze znanych perfum.

CZĘŚĆ

DRUGA

piątek, 16 października 1992

XXVIII

Kiedy obudził się i otworzył oczy, miał ciągle wrażenie, że ona leży obok, w tym wielkim hotelowym łóżku, z głową wtuloną w jego pierś.

Halina, najpiękniejsza i najbardziej seksowna kobieta, jaką kiedykolwiek poznał.

To właśnie z nią stracił dziewictwo.

Kiedy to było? Kupę czasu temu.

Miał wtedy czternaście lat. Właśnie zaczynały się wakacje. Któregoś razu wybrali się razem na spacer do lasu. Miała na sobie białą obcisłą koszulkę na ramiączkach, krótkie szorty i tenisówki. Była cudownie opalona, pachniała truskawkami. Złapała go za rękę i zaprowadziła na łąkę. Gdy doszli na miejsce, stanęła na wprost niego, spojrzała mu głęboko w oczy i zaczęła ściągać koszulkę, pod którą nie miała biustonosza. Oniemiał na widok jej dużych, mlecznobiałych piersi.

– Ściągnij majtki – szepnęła. – Chcę widzieć, jak reagujesz na moje ciało.

Drżącymi rękami wypełnił jej polecenie. Zapamiętał tę scenę bardzo dobrze.

Na leśnej polanie, położonej w cieniu rozłożystych sosen, stał z opuszczonymi spodniami i wpatrywał się w nagą, bezwstydną dwudziestolatkę, czując, że lada chwila eksploduje.

Do tej pory nie przeżył nic cudowniejszego.

Przeciągnął się i postanowił, że dzisiaj pojedzie do Zielonej Góry, gdzie mieszka jego kuzynka, największa miłość.

Oblizwał się. Sięgnął po świerszczyka, który schował poprzedniego wieczoru pod poduszkę, przekartkował, podniecił się, ulżył sobie ręką, westchnął i wstał.

Podszedł do stołu. Zerknął do portfela i ze smutkiem stwierdził, że nie ma pieniędzy na podróż. Syknął ze złością i poszedł do łazienki.

Co robić? – myślał gorączkowo. Nie ma czasu kombinować forsy. Wszystkie pierścionki, które można by sprzedać, zostały w domu. Kurwa!

Zagryzł wargi. Do żony planował wrócić pod koniec tygodnia – musiał sobie ostro poużywać, żeby nie oszaleć, żeby się nie udusić w tych małżeńskich pieleszach.

Wymyśli jakąś bajkę. Może uwierzy, a jak nie, to zrobi straszną awanturę, zagrozi rozwodem, no i znowu wyjdzie na jego.

Gdy siedział na klozecie, przypomniał sobie nagle przechwałki kolegów, którzy uwielbiali sobie umilać czas pracy opowieściami o tym, jak „wychujali” kierowców taksówek.

– Zamawiasz, bracie, kurs i dojeżdżasz na miejsce. Udajesz, że sięgasz po portfel, otwierasz drzwi i spierdalasz w pizdu, aż się za tobą kurzy. Spróbuj. Podróż za darmo plus fajna dawka adrenaliny.

Tak właśnie zrobię – pomyślał Kramerski. Przecież nie będę się telepał pieprzonym autobusem albo pociągiem. Wezmę takse, podam jakiś adres i spierdolę. Powinno się udać.

Podtarł się, spuścił wodę i zaczął wesoło pogwizdywać.

Kiedy dokończył toaletę, spakował się, zszedł do restauracji, zjadł sute śniadanie, które nastroiło go jeszcze pozytywniej, a potem wymeldował się, obdarzając ładną recepcjonistkę łakomym spojrzeniem.

Wyszedł z hotelu i pewnym krokiem ruszył w stronę Starego Rynku, żeby napić się kawy, pogapić na babki, może nawet jakąś poderwać.

Po drodze wszedł do budki telefonicznej i zadzwonił do Mirki, ładnej, tłustej pięćdziesięciolatki, pracującej w banku na kierowniczym stanowisku, z którą czasami się spotykał. Jasnowłosa pani dyrektor miała tę zaletę, że lubiła dziękować pieniędzmi za wspólnie spędzone w łóżku chwile.

– Grzesiu! – Usłyszał radosny głos. – Cudownie, że dzwonicz! Stęskniłam się za tobą. Wpadnij do mnie o trzynastej.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła jedenasta.

– Świetnie – powiedział – Wpadnę na pewno.

Potem obniżył lekko głos i mruknął:

– Ubierz się w ten przezroczystry, czarny szlafroczek, dobrze?

Po drugiej stronie słuchawki usłyszał chichot.

– Dla ciebie wszystko, Grzesiu.

Uśmiechnął się, odłożył słuchawkę i ruszył przed siebie.

A może by tak rzucić Krystynę? – pomyślał nagle. I ożenić się z Mirką? Nie

musiałbym już w ogóle pracować.

Rozejrzał się wokół. Poznaniacy i poznaniarki szybkim krokiem maszerowali przed siebie.

Gdzie oni tak pędzą?

Przez chwilę skupił się na wysokiej brunetce o potężnych udach. Gdy zniknęła za zakrętem, westchnął zauroczony.

Zapowiada się piękny dzień – stwierdził w duchu. A noc jeszcze piękniejsza.

Gdy schodził wybrukowaną ulicą Paderewskiego, zaczął zastanawiać się, czy nie uprzedzić Halinki o swoim przyjeździe, ale ostatecznie stwierdził, że zrobi jej niespodziankę.

Ucieszy się bardziej i dzięki temu będzie jeszcze gorętsza w łóżku – stwierdził w myślach i zagwizdał „Rififi”, ulubioną melodyjkę, którą podłapał we wczesnym dzieciństwie.

XXIX

W zagrożonym dziecięcymi zabawkami pokoju zapadła nieprzyjemna cisza. Nie chciała jej popędzać, więc cierpliwie czekała na ciąg dalszy, wpatrując się w duży obraz, który ktoś zawiesił nad tapczanem. Malowidło przedstawiało las zasypany śniegiem.

Spojrzała odruchowo na zegarek. Rozmowa trwała już dwadzieścia minut i do niczego nie prowadziła. Odpowiedzi były krótkie i niekonkretne.

– Nie utrzymywałam kontaktów z Grzegorzem – bąknęła w końcu siostra Kramerskiego. – Od jakiegoś czasu praktycznie żadnych.

– Dlaczego? – Katia zerknęła uważnie na drobną, zasępioną czterdziestolatkę. Dostrzegłszy na jej twarzy żółtawy ślad na policzku, przechyliła lekko głowę i zmarszczyła brwi.

Czyżby szanowny mążuś? – pomyślała.

Kobieta przechwyciła spojrzenie policjantki i odruchowo złapała się za twarz, jakby nagle zabolął ją ząb.

Katia wbiła wzrok w blat stołu.

– Rozumiem, że nie chce pani źle mówić o bracie – odezwała się. – To zrozumiałe, ale naprawdę potrzebujemy jak najwięcej informacji, żeby zbudować wiarygodny portret pani brata.

Na dźwięk słowa „brat” kobieta drgnęła, a potem z trudem przełknęła ślinę.

– Musimy go poznać, żeby zapobiec kolejnym zbrodniom. Proszę nam pomóc.

Przeciągłe westchnienie przeszło w jęk, ale potem wybrzmiało w obiecujące „Dobrze”.

Posterunkowa kiwnęła głową i uniosła się lekko na krześle.

– Dlaczego nie utrzymywała z nim pani kontaktu? – zapytała.

– Bo go nie lubię – padła szybka i szorstka odpowiedź. Siostra Kramerskiego spojrziała w bok, jakby chciała uciec przed wzrokiem policjantki i mruknęła: – I nigdy go nie lubiłam.

– Uhm. A dlaczego?

– Dlaczego? – Kobieta powtórzyła pytanie i skrzywiła się. – Bo to był krętacz – dodała zirytowana i zadygotała. – Od zawsze. Od dzieciaka. – Jej twarz pokryła się rumieńcami. – Ciągłe ściemniał, kłamał, żeby wyciągnąć od nas pieniądze. – Głos nabierał na ostrości. – Był przy tym kłótlivy. Zawsze musiał postawić na swoim. Gdy ktoś mu powiedział nie, wściekał się. Czasami dochodziło do tego, że rzucał się z łapami na ludzi. Świrus jeden.

– Używał w stosunku do pani przemocy?

– Nie. Ale wiem, że bił swoją poprzednią żonę.

– Coś jeszcze?

– Któregoś razu pobił się z moim mężem.

– Dlaczego?

– Nie pamiętam już, o co poszło. Najkrócej mówiąc, mąż powiedział wkurzony Grzegorzowi, żeby przestał kłamać i oddał w końcu dług. No i ten nie wytrzymał, wystartował do niego. Sąsiedzi musieli ich rozdzielać. Potem się śmiertelnie obraził, a pieniędzy oczywiście nie oddał, no bo jak?

Zapadła cisza.

– Zawsze był niewinny – warknęła nagle siostra Kramerskiego, przyprowadzając Katię o gęsią skórkę. – Racja zawsze była po jego stronie. Świętoszek pierdolony. A wie pani, co było najgorsze? – zapytała, uśmiechając się złośliwie.

– Co takiego?

– Nigdy nie było wiadomo, kiedy się wkurzy. Zawsze odnosiłam wrażenie, że to tykająca bomba. Ktoś kiedyś powiedział, że jak chcesz naprawdę poznać człowieka, zrób raz coś wbrew jego woli. W przypadku Grzegorza to się doskonale sprawdzało. W takich momentach wychodziło z niego zwierzę.

XXX

Gdy w końcu krzyknęła, zamknął oczy i odetchnął z ulgą. Pchnął ją na łóżko, a ona poleciała bezwładnie na kolorowe poduszki. Spojrzał na jej wielkie pośladki, starł pot z czoła i podrapał się po podbrzuszu.

– Jesteś mistrzem, Grzesiu – mruknęła.

Uśmiechnął się i ułożył obok niej. Zaczął całować łydki, a potem uda. *Kawał cudownego mięsa* – pomyślał, czując, że ogarnia go fala ciepła.

Boże, jak on lubił jej ciało! Dojrzałe, miękkie, bujne.

– Przy takiej kobiecie, każdy jest mistrzem – odparł zmysłowym głosem, wiedząc, że takie komplementy sprawiają, że Mirka jest w siódmym niebie.

– Czarus – stwierdziła.

– Żaden czaruś, kochanie – oznajmił. – Jestem po prostu szczery. Mówię, co czuję.

Położył głowę na jej pupie.

– Uwielbiam cię – dodał.

Pogłaskała go po głowie.

– Że też natrafiliśmy na siebie – szepnęła.

Zamilkli na chwilę.

– Pamiętasz nasze pierwsze spotkanie? – zapytała.

Pocałował ją w słoń od potu skórę pośladków.

– Pewnie. To było jakiś miesiąc temu, w twoim banku – odpowiedział. – Stałem przy okienku, ty przechodziłaś obok. Szybkim, dostojnym krokiem.

Zerknąłem na ciebie. Pomyślałem o twoich pięknych nogach, o pięknej kobiecie. Miałaś w ręku plik dokumentów. Gdy mnie minęłaś, wypadła ci jakaś koperta. Nie zorientowałaś się, dalej szłaś prosto przed siebie. Więc ją podniosłem i pobiegłem za tobą.

– Tak było. – Mirka odwróciła się na plecy. – Powiedziałeś, że masz dla mnie list od tajemniczego wielbiciela. Chciałam cię ofuknąć, że mi zawracasz głowę jakimiś głupimi żarcikami, ale uśmiechnąłeś się do mnie tak uwodzicielsko, że poczułam wielką ochotę na seks z tobą.

– Zaproponowałem ci kawę wieczorem.

– A ja się zgodziłam.

Zamilkli. Złapała go obiema rękami za głowę i przysunęła do swego podbrzusza. Polizał ją parę razy. Jęknęła. Gdy przestał, odetchnęła głęboko.

– Po kawie poszliśmy do mnie na drinka – mówiąc to, złapała go za penisa.

– Na miejscu zaczęliśmy się całować, zdjąłem ci bluzkę, potem biustonosz i zobaczyłem najpiękniejszy obraz świata...

– Uhm...

– I tak to się zaczęło – dodał, po czym wszedł w nią powoli, rozkoszując się każdym pokonywanym centymetrem.



Omiótł wzrokiem Plac Wielkopolski i po chwili wypatrzył taksówkę, brązowego dużego fiata.

Jego kierowca, młody mężczyzna z kocią bródką, ubrany w ortalionową kurtkę, stał oparty o drzwi i palił papierosa.

Kramerski podszedł i zagadnął o kurs do Zielonej Góry. Po krótkiej, konkretnej wymianie zdań doszli do porozumienia.

– Wsiadaj pan.

Uśmiechnął się promiennie. *Dobra moja* – pomyślał i wpakował się do środka, położył obok torbę, rozsiadł wygodnie, rozpiął kurtkę.

– Czekaj nas nieźle przejażdżka – stwierdził taksówkarz, cmoknął ustami, po czym zapalił silnik i ruszył z piskiem z miejsca. – Jakby nie patrzeć to ponad sto pięćdziesiąt kilometrów – dodał i spojrzął w tylne lusterko, a kiedy zanotował brak odzewu ze strony nowego klienta, wzruszył ramionami, zamilkł i włączył radio. Po paru sekundach znalazł stację z muzyką. Właśnie rozbrzmiewała solówka „The Final Countdown” Europe.

Kiedy wjeżdżali na rondo przy placu Cyryla Ratajskiego, Kramerski spojrzął za okno. Był ciekaw, czy na posterunku stoją już stare kurwy, z których usług czasem korzystał. Dostrzegł tylko Grubą Ankę – miała na sobie strasznie krótką i obcisłą czerwoną spódniczkę. Pomachał jej ręką, ale go nie zauważyła.

Zrobiło mu się ciepło. Zdjął kurtkę.

Zamknął oczy i zaczął przypominać sobie pikantne chwile z Halinką. Kiedy uzmysłowił sobie, że za jakieś dwie, trzy godziny stanie w progu jej przytulnego mieszkanka, a potem ściągnie jej biustonosz i weźmie w dłonie duże, apetyczne piersi, poczuł intensywne rozanielenie. Po chwili ogarnęła go senność i odpłynął na dobre w krainę seksualnych fantazji.

Gdy się obudził, dojeżdżali do Grodziska.

W radiu Whitney Houston swoim drżącym głosem śpiewała słynną piosenkę o miłości. Znał dobrze tę trasę. Gdzieś tu w okolicy jest parking leśny, a obok niego hotel, do którego zabrał kiedyś znajomą policjantkę z Buku.

Przyłożył głowę do zimnej szyby. Kiedy poczuł ciśnienie w pęcherzu, dostrzegł tablicę informującą o turystycznym postoju.

– Zatrzyma się pan na tym parkingu – rzucił. – Muszę się odpryskać.

Młody taksówkarz pokiwał głową. Zmienił bieg na luz, włączył kierunkowskaz i zatrzymał samochód pod wielką brzozą. Odwrócił się w stronę Kramerskiego, który właśnie zapinał kurtkę.

– Zanim pan wyjdzie, proszę o zaliczkę. – powiedział przyjaźnie, ale stanowczo.

– A to dlaczego? – skrzywił się Kramerski.

– Przezorny zawsze ubezpieczony. Rozumie pan?

– No właśnie nie bardzo. Jeszcze nie skończyliśmy kursu. – Wbił wzrok w taksówkarza. *Co za gnojek* – pomyślał, czując narastającą irytację.

– Miałem już takich klientów, którzy niby szli zrobić siku, a tak naprawdę uciekali w pizdu. – Usłyszał.

Zaraz mu chyba jebnę!

– Nie mam zamiaru uciekać – odburknął. – Odleję się, wracam i jedziemy dalej do Zielonej Góry. Przy sobie mam połowę kwoty, drugą muszę odebrać od

szefa.

– Że co?

– Głuchy pan jest? Mówię, że się odleję, grzecznie wrócę na miejsce i pojedziemy dalej. Wszystko ureguluję. Nie męcz pan buły.

Wysiadł z auta, trzasnął drzwiami i ruszył przed siebie, jednocześnie wyęzając słuch i modląc się w duchu, żeby chłopak odpuścił.

Ale ten najwyraźniej nie miał zamiaru. Zgasił silnik i również wysiadł.

– Wracaj pan!

Skurwiel spierdoli mi całą akcję – przestraszył się Kramerski.

– Zaraz! Leję przecież!

– Nie ze mną te numery!

Staął przy rozłożystej wierzbie, rozpiął rozporek i sięgnął po penisa.

Westchnął, kiedy usłyszał zbliżające się kroki. W chwili gdy miał oddać mocz, poczuł, że taksówkarz chwytą go za lewą rękę i mówi podniesionym, ostrym głosem:

– Wracaj do samochodu, bo cię zawiozę na policję i będziesz miał problemy.

W tamtym tygodniu miałem taki sam przypadek. Tym razem się nie dam, nie ma głupich.

Kramerski odepchnął gwałtownie rękę mężczyzny, odwrócił się błyskawicznie w jego kierunku i z całej siły uderzył go pięścią w twarz.

– Tu chuju! – ryknął. – Łapska przy sobie!

XXXI

Kowalski wstał z fotela i spojrzał na swoją rozmówczynię, która najwyraźniej odetchnęła z ulgą, widząc, że wizyta policjanta dobiega końca.

Nic dziwnego, gdybym miał brata-zabójcę, też bym tak reagował. To musi być coś okropnego.

– Dziękuję za poświęcony mi czas – odezwał się. Chciał zadać jeszcze jedno ważne pytanie, ale zapomniał jakie. Cholera.

Schował notes do wewnętrznej kieszeni i skierował się w stronę korytarza. Siostra Kramerskiego w milczeniu podążała za nim.

O co mi chodziło?

Nerwowo przetrząsał pamięć.

A, już mam!

Podszedł do drzwi i obrócił się w stronę siostry Kramerskiego.

Była całkiem ładną kobietą o inteligentnym wyrazie twarzy. Na oko trzydzieści pięć lat. Ciemne, krótkie włosy, szczupła, niewysoka.

Spojrzał jej prosto w oczy

– Jeszcze jedno – powiedział i uzmysłowił sobie, że porucznik Colombo często tak robił. Zbliżał się do drzwi, żegnał i w ostatniej chwili zadawał podchwytliwe pytanie. No ale porucznik miał to doskonale wyćwiczone, a u niego to był efekt dziurawej pamięci.

– Tak?

– Czy Grzegorz miał jakieś miejsce, które lubił szczególnie?

– Nie rozumiem.

– Chodzi mi o coś w rodzaju schronienia, oazy. Nie wiem, jakiś domek, jakieś mieszkanie. Miejsce, gdzie mógł uciec i zaszyć się – choćby na parę dni.

– Nic takiego nie kojarzę.

– Jakiś zaufany przyjaciel, który udzieliłby mu noclegu? – podsunął Kowalski.

– On nie miał przyjaciół.

Policjant zasepił się.

– No tak – mruknął. – A przyjaciółka, kochanka?

Kobieta pokręciła przecząco głową. Całe jej ciało mówiło: „Idź już sobie i nigdy nie wracaj”.

– Nikt nie przychodzi mi do głowy.

– Absolutnie nikt?

– Absolutnie, proszę pana.

Sierżant rozłożył bezradnie ręce, nacisnął klamkę i wyszedł.

piątek, 16 października 1992

XXXII

Kramerski zaczął uciekać w stronę drzew, które stanowiły przedsionek lasu.

Wszystko na nic – pomyślał, z trudem łapiąc powietrze. *Wszystko na nic.*

Gdy po paru sekundach obejrzał się, zobaczył biegnącego za sobą taksówkarza. Młody mężczyzna był wściekły.

– Stój, kutafonie! – wrzasnął. – Słyszysz? Stój!

Wtedy poczuł, że cudza wściekłość wyzwala jego własną.

Ja ci pokażę, gnojku!

Nienawidził, gdy ktoś stawiał mu opór. Gdy ktoś sprzeciwiał się jego woli.

Wtedy podjął decyzję. Nie będzie uciekał, to bez sensu. Trzeba chuja uciszyć!

Zatrzymał się nagle, a potem rzucił na zaskoczonego kierowcę. Wyprowadził pierwszy cios. Jeden, drugi, trzeci.

– Przestań! – jęknął taksówkarz.

Kramerski zamarł, zmarszczył brwi i uderzył go czołem w czoło.

Nie przestanę – pomyślał mściwie i ruszył do ataku. Bił na oślep, bezładnie, coraz gwałtowniej, oddając się czystej furii.

Nie przestanę, kurwa! – krzyczał w myślach. *Zajebię cię, chuju. Popamiętasz mnie!*

Poczuł ból w prawej ręce, ale i satysfakcję, wręcz przyjemność, która przypominała mu o niedawnych zajściach z kobietami.

Te ich zdziwione twarze, krzyki, niezdarne próby obrony. Same sobie winne.

Głupie suki.

Gdy taksówkarz upadł, zaczął go kopać. Parę razy w brzuch, w klatkę, głowę.

W końcu przestał i rozejrzał się wokół.

Nie dostrzegł żadnych intruzów. Na zanurzonej w mroku szosie było pusto. Ale przecież w każdej chwili może pojawić się jakieś auto i – co gorsza – zaparkować gdzieś tutaj.

Ciężko dysząc, zastanawiał się, co dalej. Zagryzł wargi i nachylił się nad taksówkarzem: ciężko oddychał, charczał. Z jego ust sączyła się krew.

– Co teraz? – mruknął.

Nagle od strony lasu usłyszał jakieś odgłosy. To były ludzkie nawoływania i szczekanie psów. Mniej więcej sto metrów dalej. Ktoś się zbliżał?

Poczuł strach.

Co robić?

Podszedł do samochodu, usiadł za kierownicą i spojrzał na stacyjkę. Dostrzegł tkwiące w niej kluczyki. Uśmiechnął się. Zapalił silnik, podjechał do miejsca, w którym leżał taksówkarz, wysiadł i ciężko sapiąc, umieścił go na miejscu pasażera. Wrócił na miejsce, chwycił kierownicę i na chwilę zastygł w bezruchu.

Potem zerknął na swoje ręce – trzęsły się.

Wytrzeł spocone czoło i wtedy usłyszał odgłos nadjeżdżającego samochodu. Serce mu załomotało. A kiedy się zorientował, że to policyjny polonez, zaczęło walić jak oszałałe.

– Tylko nie to, tylko nie to! – mamrotał błagalnie.

Auto lekko zwolniło, Kramerski wstrzymał oddech i kątem oka obserwował niebieski pojazd. Poczuł na sobie cudzy wzrok. Wówczas uśmiechnął się i spojrzał na dwójkę policjantów, którzy wpatrywali się w taksówkę. Kiwnął im głową, a ci odwzajemnili gest i odjechali.

Z wielką ulgą wypuścił powietrze, cały czas obserwując znikający samochód.

Kiedy rozplynał się w ciemnościach, Kramerski sięgnął po papierosy i zapalił jednego. Powoli się zaciągał i powoli wypuszczał dym. Sprawiało mu to wielką przyjemność.

Co za ulga!

Kiedy skończył, otworzył drzwi i wyrzucił peta.

Spojrzał na taksówkarza, który oddychał z wyraźnym trudem.

Co z nim zrobić? – pomyślał i mimowolnie przypomniał sobie moment, w którym dobijał francuskim kluczem charczącą Honię.

Wzdrygnął się.

Wyrzucić przed jakimś szpitalem? Ale gdzie? W Grodzisku jakiś powinien

być. Nie, to zbyt ryzykowne. Facet dojdzie do siebie, wszystko wyśpiewa i będę miał przechłapanie.

Co robić?

Gorączkowe rozmyślania przerwało mu nagle osunięcie się taksówkarza na jego stronę. Niemal podskoczył ze strachu, a potem odepchnął ze złością bezwładne ciało, które uderzyło o drzwi.

– Kurwa! – syknął, widząc krwawe plamy na swojej kurtce i spodniach. – Kurwa!

Spojrzał na szosę. Żadnego ruchu.

Leśna sceneria oświetlona skąpym światłem przydrożnych lamp wzbudziła w nim niepokój. Drzewa i krzaki rzucały cienie, które sugestywnie oddziaływały na jego wyobraźnię. Znowu wysiadł z samochodu, obszedł go, wyciągnął z trudem nieprzytomnego taksówkarza i resztką sił wrzucił go na tylne siedzenie.

Zapalił silnik i włączył radio. Właśnie nadawano wiadomości.

Wjechał na szosę, przygazował ostro i pomknął przed siebie.

Sięgnął do odbiornika, żeby znaleźć stację z muzyką, gdy dotarło do niego znaczenie komunikatu podanego przez spikerkę:

– Krwawy Playboy, zabójca trzech kobiet z Poznania i okolic, cały czas pozostaje na wolności. Rzecznik policji uspokaja i jednocześnie zapewnia, że już niebawem sprawca zostanie schwytany. Według niego to kwestia paru dni. Za chwilę w naszym studiu pojawi się podinspektor Andrzej Buryła, naczelnik Wydziału Kryminalnego. Tymczasem zapraszam do wysłuchania informacji ze świata sportu.

Kramerski otworzył szerzej oczy.

Zanim zrozumiał, że jest ścigany, poczuł najpierw potężne zdziwienie. Do tej pory przez myśl mu nie przeszło, że ktoś zajmuje się kobietami, które zabił. Było, minęło. Wkurwiły go, więc je zamknął. O co im chodzi? Nie mają ważniejszych rzeczy do roboty? To były tylko jakieś głupie dziwki.

Zaklął pod nosem i zaczął coraz szybciej oddychać. Zerknął w lusterko: jego twarz pokryła się czerwonymi rumieńcami. Na plecach poczuł krople potu.

– Zabójca trzech kobiet! – Usłyszał w głowie. – Zabójca trzech kobiet!

To był dla niego szok. Nigdy tak o sobie nie myślał. Zabójca? On? Zaczęło dochodzić do niego, że cały jego dotychczasowy świat właśnie wywraca się do góry nogami. Że już nie może wrócić do domu, do Ireny. Że znalazł się w pułapce! Że musi gdzieś uciec, skryć się i coś wykombinować.

Ale co? Czy w ogóle można coś sensownego wymyślić?

Zacisnął dłonie na kierownicy. Przypomniała mu się przejmująca scena z jakiegoś filmu, w którym policjanci gonili mężczyznę po ulicach amerykańskiego miasta. Facet był przerażony, miał obłęd w oczach. W końcu upadł, a tamci do niego dobiegli, skuli w kajdanki i wrzucili do samochodu, wykrzykując przy tym

obraźliwe słowa.

Czy jest jeszcze kara śmierci? – zapytał nagle sam siebie.

Spuścił wzrok i zaszczołał. Z oczu popłynęły mu łzy.

Podniósł rękę, żeby je przetrzeć i wtedy usłyszał jakiś przeraźliwy dźwięk. Spojrzał przerażony na szosę, szarpnął kierownicą, zjechał na pobocze i nadepnął pedał hamulca.

XXXIII

– Ten człowiek nie podobał mi się od samego początku! – oznajmiła teściowa Kramerskiego, elegancko ubrana siedemdziesięciolatka.

Założyła nogę na nogę, wyduła wargi i rozłożyła ręce.

Trochę nabzdyczona – stwierdził w myślach Ostrowski.

– Dlaczego? – zapytał, przyglądając się imponującej biżuterii, którą była obwieszona. Klipsy, łańcuszki, pierścionki. Bransolety.

– Był zbyt młody. Robił na mnie wrażenie szczypiorka.

– Szczypiorka?

– Nie zna pan tego określenia? – Podniosła brwi tak wymownie, że sierżant niemal uniósł ręce w górę.

– Nie – burknął. – Co ono oznacza?

Zmierzyła go wzrokiem i wycodziła:

– Chłoptasia. Chudego, wysokiego, wyglądającego niezbyt poważnie mężczyznę.

– Rozumiem.

– Za ładny był...

– Aha.

Ostrowski pokiwał głową, zastanawiając się w duchu, dlaczego Kramerski nie zamordował swojej teściowej. To zabójstwo można by było akurat zrozumieć. Ta pretensja w głosie, te wystudiowanej gesty... Brrr!

– Poza tym szybko wywnioskowałam, proszę pana – ciągnęła dalej,

wydobywając z siebie coraz wyższe tony – że on stale zmienia pracę, że pieniądze się go nie trzyma. Krótko mówiąc, to nie był odpowiedni kandydata na męża dla mojej córki. Kobiety zaradnej, poważnej, no i wychowującej dziecko.

Amen – pomyślał policjant i stwierdził, że czas już zakończyć tę konwersację.

– No tak. – Dopił kawę i wstał.

– Poza tym – zaskrzeczała jeszcze, również podnosząc się z krzesła – dziwił mnie strasznie ten pośpiech. Ledwie się poznali, a ten już chciał się żenić. Dlaczego? Po co?

Wbiła w niego wzrok. Ostrowski spojrzał na nią z zaciekawionym.

– Zapytała go pani o to?

– Tak.

– I co odpowiedział?

Zaśmiała się.

– Że wynajmuje pokój na stacji i że to wychodzi zbyt drogo. Prawdę mówiąc, oburzyła mnie ta odpowiedź. W efekcie próbowałam wyperswadować Irenie ślub i w ogóle ten kuriozalny związek, ale nie dało się. Mówiła, że jest dobry dla Karolka. Rzeczywiście, był dobry. Odpuściłam. A nie powinnam! – Kobieta podniosła głos i poruszyła wymownie brwiami. Wypuściła głośno powietrze. – Co za wstyd – jęknęła i złapała się za głowę. – Co za wstyd! Bandzior w rodzinie.

XXXIV

To był tir, któremu niemal wjechał pod rozpędzone koła. Na szczęście miał dobry refleks. Uspokoił oddech, wbił bieg i znowu wjechał na szosę. Po paru minutach wolnej jazdy uświadomił sobie, że jego ręce cały czas drżą. Postanowił zatrzymać się, żeby zapalić, odetchnąć i zastanowić, co robić dalej.

Zatrzymał się na najbliższym postoju i zaparkował przy blaszanej budzie z napisem „wojskowa grochówka”.

Poczuł ssanie w żołądku.

Zjadłbym jakąś golonkę. Albo kaszanke.

Sięgnął po paczkę papierosów. Zirytowany stwierdził, że został mu tylko jeden. Włożył go do ust, a opakowanie zmiażdżył i rzucił na tylne siedzenie. Nie mógł znaleźć zapalniczki, choć przetrząsnął wszystkie kieszenie. Syknął ze złością.

Zawsze jest jakiś problem – pomyślał. Rozejrzał się po wnętrzu samochodu. Przy skrzyni biegów leżała paczka zapalek. Potrząsnął nią, zagrzechotała. Zapalił papierosa, zaciągnął się z lubością, oparł o nagłówek i wypuścił powietrze. Zamknął oczy.

Już prawie się uspokoił, gdy nieoczekiwanie przypomniał sobie głos spikerki: „Zabójca trzech kobiet”.

Zadygotał. I zaraz potem zaciągnął się tak mocno, że aż zakaszłał.

Kiedy wypalił do końca, wdusił peta w denko popielniczki. Ścisnął dłonią policzek i zaczął niespokojnie błędzić wzrokiem w powietrzu. W końcu zatrzymał się na kieszeni prawych drzwi, z których wystawało coś kolorowego. To była

fotografia. Podniósł ją. Przedstawiała molo, na którym taksówkarz stał w towarzystwie małego chłopczyka i młodej, ładnej kobiety. Cała trójka wpatrywała się w obiektyw i jednocześnie lizała lody.

Znieruchomiał na chwilę, kontemplując wakacyjny widoczek.

Gdy usłyszał z tyłu charczenie, odłożył zdjęcie na siedzenie pasażera, przekręcił kluczyki w stacyjce i ruszył przed siebie.

XXXV

– Czasami do nas przyjeżdżał na kawę – mówiła Zofia Kramerska do podinspektora Ramberta, który osobiście pofatygował się do Hańczy – Dwa razy w miesiącu.

– O czym rozmawialiście?

– O pierdołach. Opowiadałam mu plotki ze wsi, bo bardzo je lubił. Szczególnie na temat tego, kto z kim. Rozumie pan? Tutaj zawsze coś się dzieje. Ostatnio na przykład odwołano nam księdza ze względu na podejrzenia o romans z jedną z parafianek. Licealistką, zaznaczam!

– Rozumiem. A on o czym mówił?

– Hm... Prawdę mówiąc, niewiele mówił. Coś o pracy, czasami o Karolku. O samochodach. Ale tak naprawdę to głównie nas podpytywał.

Rambert zamyślił się.

– Czy syn miał w zwyczaju gdzieś wyjeżdżać?

– Gdzie niby?

– No właśnie pytam. Czy miał jakieś ulubione miejsce, gdzie lubił pojechać odpocząć?

Cisza.

– Nic mi nie przychodzi do głowy. Poza Zieloną Górą.

Policjant spojrział zaintrygowany na starą kobietę ubraną w niebieski nylonowy fartuch. Miała siwe, tłuste włosy i mocno zaniedbane dłonie. Pachniała dziwnie, ale nie potrafił tego wrażenia doprecyzować.

– Zieloną Górą? – podłapał.
– Często wspominał to miasto. Był czas, kiedy twierdził, że się tam przeprowadzi.
– Dlaczego?
– Miał tam kuzynkę, Halinę, którą bardzo lubił. Raz na jakiś czas jeździł do niej.
– A kiedy przestał twierdzić, że się tam przeprowadzi?
– Po ślubie.
– Zna pani jej adres? Tej Haliny?
– Nie, ale na pewno będzie na kopertach.
– Jakich kopertach?
– Gdy Grzesio mieszkał z nami, korespondował z nią listownie. Gdy się wyprowadził, wyniosłam jej listy na strych. Do dzisiaj tam leżą w kartonie.
– Przyniesie pani?
Kramerska spojrzał nieufnie na oficera.
– A muszę?
Uśmiechnął się.
– Grzecznie proszę. Ale w istocie, musi pani.
Westchnęła.
– No dobrze, już idę.
Na korytarzu rozległy się jakieś kroki. Do kuchni wszedł stary, nieogolony mężczyzna.
– Dobry.
Rambert wstał i podał mu dłoń.
– Podinspektor...
Mężczyzna machnął ręką.
– Wiem, wiem. Słyszałem. Szukacie Grzecha.
– Zgadza się.
Kramerska wstała z krzesła
– Pójdę po te listy.
– Nie wierzę – mruknął Kramerski. – Nie wierzę, że on jest winny. To dobry chłopak, choć kurwiarz niemożliwy. Nie wiem, po kim.
Nachylił się w stronę Ramberta, owiewając go wonią nieprzetrawionej wódki.
– Żona wspomniała Halinkę.
– Uhm.
– On ją ruchał.
– Słucham?
– Ruchał ją. W sensie pierdolił. Kiedyś, bardzo dawno temu, podejrziałem ich w stodole. Robiła mu loda, świntucha – dodał, po czym wyciągnął z kieszeni

spodni pomiętą paczkę papierosów.

– Wakacje to były. Kupa czasu temu. Dziesięć lat minęło.

Zamilkł na chwilę.

– Ja myślę, że on się w niej podkochiwał – odezwał się, szukając po kieszeniach zapalek. – Bo po chuja on jeździł do tej Zielonej Góry? Zwiedzać miasto? No panie, bez jaj. Poużywać sobie ze starszą kobitą.

Zarechotał, wyciągnął zapalniczki i zapalił papierosa.

– W tym wieku starsza baba to super pomysł – oznajmił, wypuściwszy z ust kłęby gryzącego dymu. – Wie pan, o co chodzi?

Rambert zamyślił się.

Uśmiechnął się.

– Gdzie on jest, panie Zdzisławie? – zapytał.

– Nie wiem. Ale wiem, że to dobry chłopak. Zawsze był posłuszny. Nie sprawiał większych kłopotów. Może dlatego, że byłem ostry jako ojciec? Dbąłem szczególnie o to, żeby pracował. Bo praca to bardzo ważna rzecz.

– *Pracujesz?*

– *Tak – odpowiadał Grzesiek. – Pracuję tu i tu.*

– *Jeśli to prawda – mówiłem – to wszystko jest na dobrej drodze.*

XXXVI

Minął Grodzisk, skręcił na północ i skierował się w stronę Buku. Coś go ciągnęło do rodzinnych terenów.

Prowadził samochód aleją porośniętą z obu stron drzewami i zastanawiał się, co powinien zrobić po zabiciu taksówkarza i zakopaniu jego ciała. Ale z chaotycznej gonitwy myśli nic konkretnego nie wynikało.

Gdy usłyszał dzingiel lokalnych wiadomości, gwałtownie zmienił stację. Nie chciał o niczym wiedzieć. Żadnego gadania, żadnych informacji!

Wreszcie natrafił na jakąś nieznaną sobie piosenkę, pogłośnił, odetchnął nieznacznie i zaczął fantazjować o seksie z Haliną.

Wyobrażał sobie, że wchodzi do jej mieszkania, a ona, ubrana w przezroczysty, króciutki szlafroczek i pończochy, bierze go za rękę, wprowadza do pokoju, sadza na tym cudownie miękkim, wielkim fotelu, staje przed nim, zrzuca jedwabne wdzianko i zagryza uwodzicielsko wargi. Jest tylko w biustonoszu, który eksponuje jej obfity biust, i w majtkach z fikuśną wstążeczką na przodzie. Daje mu znak, żeby się rozebrał. Potem – już nagiego – lekko popycha z powrotem na fotel, powoli rozpina biustonosz, jeszcze wolniej ściąga majtki i jednocześnie przypatruje się jego sztywniejącemu członkowi.

Kramerski jęknął do tych lubieżnych, plastycznych myśli, które dużo zawdzięczały nałogowemu oglądaniu filmów pornograficznych, i dotknął nabrzmiałego krocza. Najchętniej zatrzymałby się gdzieś na uboczu i ulżył sobie.

Nagle z naprzeciwka nadjechał samochód i oślepił go na moment długimi

światłami. Erotyczne obrazy uleciały gwałtownie.

Zmrużył oczy i z uwagą patrzył na przewijającą się pod kołami taksówki szosę. Po chwili zobaczył tablicę z napisem „Buk”. Zwolnił trochę i wjechał w opustoszałe, dobrze znane mu miasteczko. Dojechał do ryneczku, pokręcił się w jego okolicy, potem zatrzymał obok przystanku autobusowego. Wsiadł i oddał mocz pod wielkim platanem, zerkając na rozgwieżdżone niebo.

Gdzieś w oddali pohukiwała sowa. Charakterystyczny odgłos ptaka przypomniał mu epizod z dzieciństwa, który miał miejsce w lesie nieopodal Dusznik.

W czasie spaceru znalazł w krzakach jeżyn na wpół przytomną płomykówkę. Był zachwycony, że może zobaczyć coś, co do tej pory pozostawało w ukryciu. Poczł się niemal jak myśliwy, który upolował dorodnego dzika. Schował ją do plecaka, zawiózł do domu i umieścił w szopie we wgłębieniu pomiędzy snopkami. Nazajutrz obudziło go okropne warczenie podwórkowych psów. Tknięty niepokojem wybiegł na zewnątrz i zajrzał do szopy. Przy drzwiach leżały rozszarpane zwłoki ptaka. Psy krążyły jak oszalałe po obejściu z zakrwawionymi pyskami. Zaintrygowało go to wydarzenie. *Też chciałbym coś ukatrupić* – pomyślał wtedy i poczuł gęsią skórkę.

Kramerski strząsnął ostatnie krople moczu, zapiął rozporek, wrócił do samochodu i ruszył w kierunku Dusznik.

Wiedział już, gdzie to zrobi i gdzie ukryje zwłoki.

piątek/sobota, 16/17 października 1992

XXXVII

Gdy jechał drogą gruntową, zaczął padać deszcz.

Akurat teraz? – pomyślał zirytowany i włączył wycieraczki, które zapiszczały nieprzyjemnie.

Zatrzymał się na chwilę. *To musi być gdzieś tutaj* – szepnął i rozejrzał się wokoło. Szukał strzelistej sosny, górującej nad resztą drzew. Tuż przy niej znajdował się zjazd w głąb lasu.

Włączył długie światła i zmrużył oczy.

Jest. Z przyzwyczajenia włączył kierunkowskaz, przejechał dwadzieścia metrów i skręcił w lewo. Po parunastu sekundach jazdy zatrzymał samochód obok paśnika. Zgasił silnik, ale zostawił włączone światła. Wysiadł z samochodu. Deszcz padał coraz intensywniej, a na ziemi zaczęły się tworzyć kałuże.

Rozejrzał się wokoło, przypominając sobie szczegóły terenu. W pobliżu powinny być stawy, w których kiedyś łowił ryby, karasie i okonie.

Wciągnął powietrze do płuc i poczuł zapach świerków. Uwielbiał go.

Potem otworzył tylne drzwi.

Chwycił nieprzytomnego mężczyznę pod ramiona i wyciągnął z samochodu. Ten drgnął i głośno zabelkotał. Kramerski odskoczył przestraszony, a ciało upadło na ziemię.

Serce mu przyspieszyło, a wyobraźnia podsunęła scenkę, w której taksówkarz nagle wstaje i rzuca się do ataku.

Zaklął. Podbiegł do bagażnika, otworzył drzwi, omiół wzrokiem zagracone

wnętrze i sięgnął po młotek.

Podszedł do taksówkarza, który jakby się przebudził i wykonywał nieskoordynowane ruchy, przydeptał mu plecy i zaczął z całej siły uderzać go po głowie.

Zapomniał się w tym.

Po kilkunastu ciosach przestał. Otarł ręką czoło. *Nie trzeba było pyskować, gnojku!*

Stał nad zwłokami i ciężko oddychał. Po twarzy spływały nieprzyjemne strugi deszczu. Przeszedł go dreszcz zimna. Gdy uspokoił oddech, rzucił młotek za siebie. Przeszukał ubranie taksówkarza, wyjął z wewnętrznej kieszeni portfel i szybko sprawdził gotówkę.

– Spora sumka – ucieszył się.

Pieniądze schował do kieszeni spodni, a portfel rzucił na siedzenie pasażera. *Wyrzucę później* – pomyślał.

Ponownie podszedł do bagażnika. Tym razem wyjął z niego małą okrągłą latarkę, którą włożył do ust. Złapał trupa za nogi i zaciągnął go do lasu. Po parunastu sekundach zatrzymał się.

– Ale to jest ciężkie – sapnął. – Ja cię pieprzę!

Był wykończony. Chciałby już rzucić się na wyro, zasnąć i zapomnieć o wszystkim.

Zapalił latarkę i rozejrzał się po okolicy. Dwadzieścia metrów dalej dostrzegł powalone, uschnięte drzewo. Zaczął iść w tym kierunku, wlekąc za sobą coraz cięższe ciało. Po paru metrach zadyszał się mocno. W pewnym momencie nadepnął na jakąś gałąź, zachwiał się i upadł na wilgotną ziemię.

– Kurwa! – syknął.

Podniósł się szybko, wytarł i resztką sił dotarł na miejsce martwego taksówkarza. Przykrył go gałązkami, które znalazł w pobliżu, i wrócił do samochodu.

Usiadł za kierownicą. Po chwili uprzytomnił sobie, że słyszy głośnie uderzenia deszczu o dach. Odruchowo sięgnął po papierosy do wewnętrznej kieszeni. Była pusta. Wtedy przypomniał sobie, że przecież już dawno wypalił ostatniego papierosa.

Zezłościł się.

– Muszę zapalić, bo inaczej zwariuję! – warknął.

Ten kutas miał ćmiki – pomyślał i wyszedł pośpiesznie z samochodu. Ruszył w stronę drzewa, przy którym zostawił taksówkarza.

Po drodze wdepnął w kałużę i poczuł w stopach przenikliwe, ohydne zimno. Z trudem powstrzymał się od krzyku.

Doszedł na miejsce, zaczął nerwowo przeszukiwać ubranie trupa. Gdy już stracił nadzieję, znalazł wymięte, lekko zwilgotniałe pudełko. Schował je do

kieszeni i pobiegł do auta.

Wyciągnął papierosa, sięgnął po zapałki i już po chwili się zaciągnął. Mocno, łapczywie. Zamknął oczy, próbując jak najintensywniej zakosztować tej spokojnej chwili.

Dopalił, otworzył drzwi i wyrzucił żarzący się niedopałek na ziemię. Deszcz nie ustawał. W pewnym momencie błysnęło, a potem rozległo się uderzenie błyskawicy.

– To jest chyba jakiś żart – jęknął Kramerski.

Pokręcił z niedowierzaniem głową, przekręcił kluczyki w stacyjce i ruszył w stronę ubitej drogi, prowadzącej do wsi, a potem do szosy.

Jadąc, czuł, że grunt jest niebezpiecznie grząski. Musiał mocno trzymać kierownicę, żeby nie stracić panowania nad autem.

Po kilkunastu sekundach ociężałej jazdy dostał się wreszcie na upragnioną drogę.

Włączył długie światła i zaniepokojony stwierdził, że droga jest w fatalnym stanie. Kałuże, błoto, koleiny. W dodatku miał pod górkę.

Wtedy przypomniał sobie Honię, tę hałaśliwą, rozpustną babę o wielkich cyckach, a potem moment, w którym wjechał w kałużę i zalał świecę. O kurwości!

Nadepnął pedał gazu – fiat zawarczał i rzucił się przed siebie. Kramerski skrzywił się, modląc się duchu, żeby taksówka wtoczyła się na wzniesienie.

– No dalej, jedź! – krzyknął. – Jedź, do chuja!

Nagle gdzieś pod sobą usłyszał chlupot wody. Zacisnął ręce na kierownicy, która drgnęła, przygryzł język i przygazował parę razy. Koła zabuksowały, przygotowując go o dreszcze, ale parę sekund później wjechały na twardy grunt. Jakimś cudem samochód wtoczył się pod górkę.

Udało się! Kramerski odetchnął z ulgą. Ale gdy podniósł wzrok, natychmiast zauważył przed sobą złowrogo wyglądające bajorko. Gwałtownie skręcił kierownicą w prawą stronę i w efekcie znalazł się na skraju zaoranego pola.

Coś zadudniło pod kołami.

– Co jest? – warknął, kiedy samochodem porządnie zatelepało, a on sam podskoczył na siedzeniu.

Przestraszył się i zahamował. Samochód wpadł w poślizg, obrócił się o dziewięćdziesiąt stopni i stanął. Silnik zgasł.

Kramerski zaśmiał się histerycznie.

Przekręcił kluczyk w stacyjce, silnik zaskoczył.

– Dobra – mruknął, po czym wcisnął sprzęgło, wbił jedynekę, przydepnął gaz, puścił sprzęgło. Koła zaczęły się obracać, ale auto stało w miejscu.

Powtórzył. Nic. Zabuksował się.

Uderzył rękoma o kierownicę.

– Kurwa, kurwa, kurwa!

Wbił jedynkę, wcisnął gaz. Silnik zaryczał, koła załomotały i nic. Drżącą ręką wbił dwójkę. Może z tego biegu? Nic. To samo. Buksowanie.

Wyłączył silnik.

– Pierdolony świat – szepnął.

Głośno oddychając, położył ręce na kierownicy, oparł się o zagłówek i zamknął oczy. Wtedy doszedł go odgłos deszczu, który metodycznie uderzał o dach.

Zastygł w tej pozycji na parę sekund. Potem otworzył oczy, przekręcił kluczyk w stacyjce i – odrzucił ręce jak oparzony.

Coś przeraźliwie piknęło. Spojrzał na deskę rozdzielczą i dostrzegł pomarańczową lampkę, która oznaczała uruchomienie rezerwowego paliwa.

Tym razem powstrzymał się od wybuchu złości. Przygryzł język, pokiwał głową, zgasił silnik i wysiadł z samochodu.

Zrobił parę kroków po błotnistym polu, wszedł na drogę i spojrzał przed siebie. W oddali majaczyło kilka gospodarstw. W jednym z nich paliło się światło.

To dom Michalaka – przypomniał sobie. Facet ma ciągnik, poproszę go o pomoc.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła północ.

Gdy był w połowie drogi, rozszczękały się psy. Nocne, leśne echo potęgowało te złowrogie dźwięki.



Furtka skrzypnęła, a psy, zamknięte w kojcu, zaczęły ujadać, a potem gryźć się między sobą.

– Ocipiały chyba – szepnął, wsłuchując się w ich zażartą walkę.

Spojrzał na okno, z którego sączyło się słabe światło. Ktoś uchylił na

moment firankę.

Kramerski podszedł do drzwi i zapukał.

W odpowiedzi na ganku zapaliła się lampa. Usłyszał szuranie i szcęk przekręcanego klucza.

W progu stanął starszy mężczyzna w grubym, starym szlafroku. Z kieszeni wystawała złożona gazeta. W prawej ręce trzymał okulary.

– O co chodzi? – mruknął, wbijając w wzrok w nieoczekiwanego gościa.

Kramerski uśmiechnął się.

– Dobry wieczór, panie Michalak – powiedział – Znamy się przecież. Grzesiek jestem, mieszkałem kiedyś w Hańczy. Byliśmy parę razy z moim ojcem i panem na rybach na stawach.

Gospodarz podrapał się po nosie.

– Twój stary to Zdzichu Kramerski?

– No tak.

Michalak uśmiechnął się szeroko, ukazując zepsute uzębienie.

– Stary pijak – zarechotał i dodał: – Ale swój chłop.

Zamilkł i znowu się podrapał po nosie.

– Coś mnie swędzi kinol... Poznając cię, chłopie! Kopę lat, co nie?

– Ano kopę.

– No fajno, ale co cię przyгнаło tu w nocy? – Mężczyzna spojrział na zegarek. – Już po północy jest.

– Samochód mi ugrzązł na polu.

– Gdzie?

– Niedaleko, jakieś sto metrów.

– Ożeż w mordę! – Michalak potarł zaczerwienione oczy. – Ale co cię, kurwa, nosi o tej porze po lasach?

– Wracalem z roboty z Buku – odpowiedział Kramerski i dodał: – Myślałem, że wyciągnie mnie pan traktorem z tego jebanego błota.

Gospodarz rozłożył ręce.

– Nie pomogę ci, niestety. Traktor mi się zjechał. Czekam już tydzień, aż majster w końcu się zlituje i przyjedzie go naprawić.

Kramerski westchnął ciężko i spojrział na swoje ubłocone buty.

– Ale idź do Gienka. On też ma traktor.

– Gdzie mieszka?

– Pójdiesz dalej prosto, miniesz kapliczkę i jakieś sto metrów dalej zobaczysz jednopiętrowy, nieotynkowany, czerwony dom. To tam.

– No dobrze – odparł Kramerski i uśmiechnął się nieswojo. – To dziękuję. Dobrej nocy.

– Powodzenia, chłopie.



Zapukał.

Cisza. Wytężył słuch. Nic. Absolutna cisza. Jeszcze raz. Żadnej reakcji.

No cóż, całe gospodarstwo pogrążone było w ciemnościach. *Pewnie wszyscy już śpią jak zabici* – pomyślał.

Uderzył lekko butem o schody, żeby strącić trochę błota. Skarpetki miał całkowicie przemoczone.

Psy nie szczekają – uprzytomnił sobie i poczuł straszną senność. Ziewnął przeciągle. Wyciągnął przed siebie rękę. *Przestało padać.*

Zapukał jeszcze raz i ruszył w stronę drogi, którą przyszedł. Gdy zrobił parę kroków, ktoś zawołał za nim. Obrócił się gwałtownie. Na ganku stała jakaś postać, chyba kobieta. Cofnął się.

– Co pan ludzi budzisz po nocy? – zapytała, marszcząc brwi.

Kramerski spojrział na nią z zaciekawionym wyrazem twarzy. Miała mniej więcej czterdzieści parę lat, krótkie rude włosy i pulchną, bardzo sympatyczną twarz. Dorównywała mu wzrostem. Pod dresową bluzą dostrzegł zarys apetycznych piersi.

Zerknął na jej masywne nogi – opięte obcisłymi legginsami. Mimowolnie wyobraził sobie, jak kładzie się na niej, a ona ściska go z całej siły tymi fantastycznymi udziskami.

Uśmiechnął się, czując, że penis mu sztywnieje.

– Dobry wieczór – powiedział. – Słyszałem, że macie traktor.

– No mamy.

– Samochód mi ugrzązł z błocie – wyjaśnił, starając się, żeby jego głos wybrzmiał odpowiednio sympatycznie. – Nie mogę ruszyć z miejsca. Potrzebuję pomocy.

– Gieniu już śpi – oznajmiła sucho. – Popił sobie dzisiaj ostro i jest trup.

Niech pan idzie do Michalaka.

– No właśnie on mnie odesłał do pana Gienka. – Wyszczерzył zęby.

Kobieta rozłożyła bezradnie ręce. Najwyraźniej jego czar nie działał na nią. Był rozczarowany tym faktem.

– Nie da rady, kochany.

Mogłaby przynajmniej zaprosić na kawę – pomyślał, z trudem powstrzymując złość.

– I nic się nie da zrobić?

– Nic.

– Rozumiem – westchnął. – No nic. Pójdę szukać dalej.

– Dobranoc panu.

A gdyby tak się wepchnąć i...? – przeszło mu przez głowę. *Nie, nie, baba rabanu narobi, Michalak pokoiarzy fakty i będę miał kłopoty. Zresztą, już je mam.*

Pokiwał głową, uśmiechnął się jeszcze raz i odszedł.

– Kurwa mać – mruknął.

Usłyszał zamknięcie drzwi i zgrzyt przekręcanego klucza.

Gdy przechodził obok szopy, zobaczył kilka desek opartych o ścianę. Przystanął i pomyślał chwilę. Przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

– Może się uda – szepnął, chwycił deski i pomaszerował z powrotem do samochodu.



Otworzył bagażnik i wyciągnął podnośnik. Ustawił go odpowiednio przy samochodzie i zaczął kręcić korbką. Gdy samochód uniósł się do góry, podłożył pod przednie koła deski. Pokręcił sprawnie korbką i opuścił samochód.

Teraz powinno się udać.

Schował podnośnik, gwizdząc „Rififi”.

Potem odkręcił tabliczkę z napisem „Taxi” oraz metalową szynę, do której była przymocowana, i schował to w dziupli starej wierzby stojącej tuż przy drodze.

Przystanął w rozkroku i raz jeszcze spojrzął na samochód. Z zażenowaniem stwierdził, że cała robota poszła na nic: przecież na drzwiach pozostały napisy.

Ja jednak jestem głupi.

Usiadł za kierownicą i zapalił silnik. Gdy zapiszczał czujnik rezerwy, serce mu załomotało. Wbił jedynekę, puścił sprzęgło, przymrużył oczy i nacisnął pedał gazu.

Pod kołami coś zabulgotało, ale samochód ruszył.

– Jest! – krzyknął. – Jest!

Wrzucił dwójkę, przygazował ostro i wyjechał na drogę. Samochód zatelepał się, Kramerski podskoczył na fotelu, niemal dotykając głową sufitu.

– Dobra nasza – mruknął.

Włączył światła i skierował się w stronę szosy.

Postanowił przenocować w motelu położonym parę kilometrów za Pniewami.



Podinspektor Rambert ściągnął okulary, potarł zaczerwienione oczy i wypuścił głośno powietrze.

Spojrzał na zegarek: była druga w nocy. Znowu nie mógł spać, więc pracował bez umiaru – nie znał innego sposobu na bezsenność.

Na biurku miał rozłożone listy Haliny do Grzegorza. Na dobrą sprawę nic z nich nie wynikało. Dziewczyna była inteligentna, lubiła pisać o swojej codzienności, czasami rzuciła jakimś seksualnym podtekstem. Żadnych miłosnych

zakłęb, żadnych planów wspólnego życia. Ostatni został napisany i wysłany jakieś osiem lat temu.

– Hm – mruknął. – A co było potem?

Zapisał adres w notesie i postanowił, że jutro zadzwoni do Burego. Trzeba sprawdzić, czy na dworcu kolejowym ktoś widział człowieka podobnego do Kramerskiego. Nie był przekonany do tego tropu, ale trzeba go podjąć, skoro nie mieli nic lepszego.

Ciekawe, czy klient zdaje sobie sprawę, że jest poszukiwany? Z takimi nigdy nie wiadomo.

Wyszedł z gabinetu, wyciągnął z kieszeni szlafroka garść solonych orzeszków, wsypał je do ust, pogryzł z rozkoszą i skierował się do salonu.

Postanowił obejrzeć na wideo „Powiększenie” Antonioniego.

Stanął przed półką, na której ustawił swoje ulubione filmy. Sięgnął po odpowiednią kasetę, umieścił ją w odtwarzaczu, włączył telewizor i usiadł w fotelu.

Wycelował pilot i rozparł się wygodnie. Gdy przyglądał się energicznym ruchom Davida Hemmingsa, przyszła mu nagle do głowy niepokojąca myśl.

Przecież Kramerski może zabić Halinę!

Sprzeciwi się jego woli, w efekcie wywoła w nim wściekłość i tym samym ściągnie na siebie wyrok śmierci.

Trzeba ją ratować!

W pierwszym odruchu chciał wstać i podejść do telefonu, ale zaraz uzmysłowił sobie, że jest późno w nocy i normalni ludzie, także policjanci, śpią o tej porze. Wypuścił powietrze i skupił się na obrazie frapującego reżysera.

Hemmings właśnie wyginał się z aparatem fotograficznym nad półnagim ciałem Veruschki.

sobota, 17 października 1992

XXXVIII

W nocy miał koszmary.

Przewracał się z boku na bok, wzdychał głośno, pierdział, kładł się na brzuchu, na plecach, wstawał, otwierał okno, zamykał je, szedł do łazienki, wracał, zasypiał, a potem budził się zlany potem. I tak w kółko. W końcu, mniej więcej o szóstej rano, udało mu się uśpić świadomość na kilka godzin. Sen był twardy, choć niezbyt przyjemny.

Przed południem otworzył oczy, czując jakiś podskórny niepokój. Coś mu się przyśniło. Ale co?

Leżał na łóżku, wpatrując się w popękany sufit, ze środka którego zwisał dziwny czerwony żyrandol.

Honia, przyśniła mu się Honia. Przyśnił mu się dzień, w którym ją zabił.

Gdy sobie to uprzytomnił, ujrzał jej twarz, rozognioną, podnieconą. Jej usta, które zagryzała, gdy zbliżał się do niej nagi. Jej błyszczące oczy, którymi zachłannie obserwowała jego pęczniejącego penisa.

Honia!

Westchnął i sięgnął po papierosy, które sprzedał mu facet z recepcji, gdy całkowicie wyczerpany nocnymi zajściami zameldował się w motelu.

Wspomnienie erotycznych rozkoszy odpędziło złe uczucia. Rozluźnił się.

Dlaczego w ogóle ją zabiłem? – zastanowił się, ulegając prostej, niewinnej ciekawości, niemającej nic wspólnego z wyrzutami sumienia. Te dwa namiętne miesiące, w czasie których spotykali się dość często, zazwyczaj w jakimś

ustronnym miejscu, nie zapowiadały takiego finału.

Honia była świetna. Apetyczna, zawsze gotowa na seks, pozbawiona hamulców, pozwalająca na wszystko, co sobie wymarzył. Lubiła eksperymentować. Zboczula jedna.

Dlaczego ją wtedy zabił? Przecież to była koniec końców świetna randka! Miał chyba ze cztery wytryski. Ona zresztą też parę razy doszła.

O właśnie, Honia w przeciwieństwie od innych znanych mu kobiet szybko dochodziła. Za to też ją lubił.

Fajnie dochodziła. Na kilkadziesiąt sekund przed orgazmem sztywniała, co było dla niego sygnałem, żeby przypuścić ostateczny szturm, potem rozpoczynała prawdziwy koncert składający się z jęków, krzyków, czasami nawet przekleństw.

Po wszystkim zamykała na chwilę oczy. „Uwielbiam to” – szeptała, kładła głowę na jego piersi i zapadała w krótką drzemkę.

Kramerski ześlizgnął się wzrokiem na bordowe firanki, przez które przedzierało się intensywne październikowe słońce.

Pociągnął ostatni raz papierosa, wypuścił dym i odłożył niedopałek do popielniczki z grubej, szarej kory.

Dlaczego ją zabił? Dlaczego tak mocno się wtedy na nią wkurwił?

Ściągnął usta i podłożył ręce pod głowę. Przymknął oczy, żeby przypomnieć sobie kilka szczegółów. Wsiadli do samochodu, pojechali do restauracji w Podrzewiu, zamówili obiad na jego koszt, wypili kawę i udali się do Stramnicy. Znał pod lasem fajne miejsce, gdzie czasem przywoził znajome i zabawiał się z nimi na kocyku.

Zamyślił się.

Kiedyś nawet stracił robotę z powodu igraszek w tamtym dyskretnym zakątku. Pracował wtedy jako kierowca w firmie meblarskiej. Wracał z jakiegoś kursu z koleżanką do Poznania. W okolicach Bytnia poczuł intensywną ochotę na seks. Dziewczyna wyraziła zgodę na przerwę w podróży. Zjechał więc z trasy i zawiózł ją na ulubione ruchowisko, zamiast wrócić jak najszybciej do firmy. Szef się wściekł, bo pilnie potrzebował samochodu, i zrobił im awanturę. Skruszona dziewczyna przyznała się do wszystkiego swojej przełożonej, no i w konsekwencji zwolnili – jego. Tylko jego. Głupia cipa.

– To nie pierwszy raz, Kramerski – krzyczał szef, łysy, chciwy kutas. – Zamiast pracować, to się obijasz po kątach! Myślisz, że nie wiem? Wypierdalaj mi z oczu! Zwalniam cię, niezdyscyplinowany chujku!

Przygryzł mocno wargi i sapnął. Zapamiętał dokładnie jego słowa. Co do jednego. Chciał nawet kiedyś zacząć się na niego i spuścić mu wpierdol, ale ostatecznie odpuścił. Szkoda czasu i nerwów na takich złamasów.

Miał pecha do pracodawców. Zresztą – nie lubił robić. Praca nie jest dla takich ludzi jak on. Życie to jest coś, co należy przeżyć. „Przechujać” – jak

mówił znajomy paser, największy dziwkarz w Poznaniu. Dlatego trzeba by poszukać sobie nowej żony, bogatej, szczodrej i tolerancyjnej. Irena jest, owszem, zaradna, ale jednak nie aż tak, jak mogłaby być.

Mirka – muszę to przemyśleć.

Ziewnął, usiadł na łóżku i podrapał się po głowie. Rozejrzał się po obskurnym pokoju. *Szkoda, że nie ma tu telewizora.*

Spojrzał na zegarek wiszący nad drzwiami. Jedenasta trzydzieści.

Na parapecie wypatrzył radio. Wstał i włączył je. Ktoś ustawił poznańskie częstotliwości.

Usłyszał charakterystyczny dzingiel, po którym rozpoczęły się lokalne wiadomości. Zastrzygł uszami, kiedy usłyszał wzmiankę o Krwawym Playboyu. Według spikerki policja była na tropie „szczególnie niebezpiecznego gwałciciela i zabójcy”. Na końcu komunikatu usłyszał głos oficera, który oznajmił pewnym głosem:

– Mogę panią i szanownych słuchaczy zapewnić: już wkrótce złapiemy tego klienta. To kwestia czasu.

– Złapaliście trop?

– Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

– Znacie nazwisko zabójcy?

Podinspektor Buryła zawahał się.

– Nie – odpowiedział.

– A kiedy je poznacie?

– Tak jak powiedziałem: już wkrótce.

– Pieprzysz, chłopie – mruknął Kramerski, ale poczuł niepokój. Zastanowiło go to zawahanie gliniarza.

A może ściemnia? – przeszło mu przez myśl. *A może...* – W tym momencie usłyszał ciche pukanie. *Kogo tam niesie?*

Otworzył drzwi. W progu zobaczył recepcjonistę, łysego, wąsatego człowieczka, ubranego w wymięty garnitur. Na widok Kramerskiego uklonił się, uśmiechnął oblesnie i szepnął:

– Panie kierowniku, pytał pan wczoraj o dziewczynki. Jest teraz dostępna jedna. Andżela, taka fajna dziewczucha, z dużym cyckiem. Chce pan? Niedrogo, z rabacikiem dla nowych gości – dodał z błyskiem w oku.

Kramerski spojrzał odruchowo na zegarek i zmarszczył czoło. Z jednej strony chciał się skupić i wymyślić plan działania, ale z drugiej poczuł ochotę na jakąś apetyczną kobietę. Doba bez seksu to dla niego stanowczo za dużo.

– Ile ma lat? – zapytał.

Recepcjonista nachylił się do niego i mruknął:

– Trzydzieści, ale wygląda na dwadzieścia. Niedawno straciła dziewictwo.

– Chciałbym czterdziestkę.

– Prawdę mówiąc, Andżela ma czterdzieści dwa lata – padła błyskawiczna odpowiedź.

– To poproszę.

– Świetnie. Za piętnaście minut nasza bogini zapuka do pana drzwi.

Kramerski zamknął drzwi. Stał przed lustrem i zlustrował się dokładnie.

Przystojny, uśmiechnięty mężczyzna ze sztywniejącym fiutem w gaciach – podsumował w myślach swoje odbicie.

Zaśmiał się, ściągnął podkoszulek, klepnął się po płaskim brzuchu i poszedł do łazienki wziąć szybki prysznic.

Poużywam sobie jak człowiek! – postanowił w duchu. *Potem pomyślę co dalej.*

XXXIX

Poprawił dłonią włosy, odebrał resztę i uśmiechnął się do recepcjonisty. Potem zanucił „Białego misia”, opuścił motel, wszedł do samochodu i ruszył w kierunku Poznania.

Był w dobrym humorze. Wyspał się, słońce przyjemnie przygrzewało, a Andżela okazała się sympatyczną, bardzo namiętną dziewczyną. Fajnie go zagadywała, kiedy ją brał. Wulgarnie, obrazowo. Jakby była profesjonalną aktorką porno. Prawdziwy talent!

Cudowna – rozmarzył się. Umie zaspokoić człowieka. Wpadnę tu jeszcze – pomyślał, wspominając kołyszące się piersi i pełne usta pracowitej kurewki.

Zaczął przypominać sobie, które ze znanych mu dziewczyn i kobiet zachowywały się w ten sposób podczas seksu. Które z nich wygadywały z taką werwą sprośne, podniecające głupoty. Hm, wcale nie było ich tak dużo. Większość pieprzyła się w milczeniu, ograniczając się do pojękiwania, sapania, kwilenia.

W pewnym momencie pamięć podsunęła mu obraz rozognionej i rozneglizowanej Honi.

A tak – przyznał w duchu. Ona miała najlepszą gadkę. Andżela spada na drugie miejsce. Honia, że też tak się skończyło. Trochę szkoda. Dobrze jest mieć pod ręką taką przyjaciółkę.

Gdy minął Pniewy, rozkoszne obrazy rozproszyły się i Kramerski wrócił do rzeczywistości, która po wczorajszych wydarzeniach z taksówkarzem ostro zakręciła.

Spochmurniał, obserwując bure pola ciągnące się po obu stronach szosy. Pobieżna analiza sytuacji sprawiła mu przykrość. Zaczęło do niego dochodzić, że jego leniwy, bezpieczny i nastawiony na przyjemności tryb życia został zagrożony.

Ścigała go policja.

– Co robić? – mruknął i stwierdził, że musi jak najszybciej wymyślić plan.

Poczuł głód, gdy dostrzegł białą tablicę z napisem „Podrzewie”. Postanowił wstąpić do swojej ulubionej „Karczmy” i zjeść obiad.

Gdy po prawej stronie zobaczył parterowy budynek ozdobiony szeregiem drewnianych łuków, włączył kierunkowskaz i wjechał na parking.



Wymyślił trzy rzeczy podczas krojenia schabowego.

Po pierwsze skombinuje trochę pieniędzy. W tym celu odwiedzi Elę i Mirkę. Obie są bogate, więc powinien się nieźle obłowić. Po drugie ukradnie jakiś przypadkowy samochód, którym pojedzie do Zielonej Góry, do Haliny. Tam odpocznie parę dni w ramionach ukochanej, a potem ruszy w Bieszczady. Trzeci punkt dotyczył bowiem zaszycia się na jakimś totalnym zadupiu. Ktoś mu kiedyś opowiadał, że ci, którzy przed czymś uciekają, policją albo gangsterami, próbują szczęścia właśnie tam. Zadekuje się więc w Bieszczadach, przeczeka tam parę miesięcy i potem zobaczy, co dalej.

Podniósł wzrok znad talerza i spojrzał na kelnerkę, niewysoką, tłuścawą dziewczynę, która obsługiwała jakąś starszą parę. Z niewidocznych głośników popłynęła „Jolka” Budki Suflera.

Obejrzał dokładnie grube uda kobiety, dotknął językiem górnej wargi, wbił widelec w ostatni kawałek kotleta, nabrał trochę chrzanu i zaczął gryźć.

Potańczyłbym sobie z jakąś lalą – przeszło mu przez głowę.

Pikantny dodatek sprawił, że zakręciło mu się w nosie. Przełknął mięso i kichnął, czym przyciągnął wzrok kelnerki. Uśmiechnął się do niej promiennie. Odwzajemniła uśmiech. Pokazał ręką, że chce zapłacić i sięgnął po szklankę z wodą.

W tle Andrzejczak śpiewał o zakonnicach, które „plażą szły”.

Gdy dziewczyna podeszła do jego stolika, odezwał się:

– Zastanawiam się, jak taka piękna kobieta może mieć na imię.

Zaśmiała się.

– No i jak mam na imię? – zapytała zaczepnie.

Zmarszczył brwi, złożył dłonie w trójkąt i spojrzał na nią.

– Kasia, Dorota albo Iza – odparł, próbując oszacować wielkość jej biustu ukrytego pod białą obcisłą koszulą.

Znowu się zaśmiała.

Chyba de.

– Dorota. Skąd pan wiedział?

– Jaki pan? Grzegorz. Grzesiek jestem!

Wyszczrzył zęby i wyciągnął rękę w jej stronę. Uścisnęli sobie dłonie.

Miła łapka – oszacował bezgłośnie. I do tego czerwone paznokietki. Jezu, jak ja uwielbiam czerwone paznokietki!

– Skąd wiedziałeś?

– Takie rzeczy się czuje. Podasz mi jeszcze kawy, Dorotko? Będę pił i patrzył na ciebie. Może się zakocham?

– Wariat – mruknęła rozbawiona i poszła zaparzyć mu kawę.



Gdy wyjeżdżał z Podrzewia, zerknął na przystanek autobusowy. Na ławce

siedziała jakaś kobieta, na oko czterdziestoparoletnia.

Niby starawa, ale jednak jeszcze całkiem do rzeczy. Z łóżka by nie wygnął.

Zwolnił i wjechał do zatoczki. Zatrzymał się i otworzył okno.

– Podwieźć gdzieś panią? Jadę na Poznań – zapytał najuprzejmiej jak potrafił.

Miała krótkie jasne włosy, szczupłą twarz, a na oczach okulary przeciwsłoneczne. Przyjrzała mu się uważnie, zerkając na zegarek.

– Chętnie – odpowiedziała.

Gdy wstała, zobaczył, że jest bardzo wysoką kobietą o długich, zgrabnych nogach. Miała na sobie ramoneskę, dżinsowe spodnie i czerwone szpilki. Wyszczерzył zęby i otworzył drzwi. Wzięła torbę i wsiadła do samochodu. Gdy zamknęła drzwi, zapytał:

– Dokąd panią podwieźć?

– Do Dusznik, kochany.

– Co rozkaz to rozkaz – mruknął, wrzucił kierunkowskaz, wjechał na szosę i ruszył przed siebie. – A dlaczego tam? – zagadnął.

– A dlaczego pan taki ciekawski?

– A tak już mam.

– Rozumiem. Na komisariat.

Zmarszczył brwi i spojrzał na nią zdziwiony.

Kurwa, tego się nie spodziewałem!

– Na komisariat? Jak to?

– Do męża.

– Do męża?

– Uhm.

– Jest pani żoną policjanta?

– Nie spodziewał się pan tego? – Roześmiała się.

– No nie – mruknął, próbując ukryć zaniepokojenie.

Coś takiego tylko mi może się przydarzyć – pomyślał.

– Zawiedziony?

– Nie, dlaczego? – Wzruszył ramionami.

– No właśnie nie wiem. – Wbiła w niego wzrok. – Spochmurniał pan nagle.

Zacisnął rękę na dźwigni hamulca.

Rzeczywiście, był zawiedziony, ale po co to drąży?

– To dlatego, że taka piękna kobieta jest czyjąś żoną – rzucił, próbując ukryć irytację. – To zawsze smuci człowieka.

Zerknął na nią i uśmiechnął się promiennie.

Niech sobie nie myśli, że będzie rozpaczał. Takich jak ona może mieć na pęczki.

– Czaruś – mruknęła i spojrzała w lusterko.

– Do usług – odparł i obrażony zamilkł na dobre.



Z bijącym sercem zatrzymał się przed budynkiem komisariatu.

– Voilà! – Ukłonił się. – Jesteśmy na miejscu.

– Bardzo pan uprzejmy – odpowiedziała kobieta, otwierając drzwi.

Wysiadła, obciągnęła kurtkę i podeszła do jego okna. Uchylił je.

Czego ona jeszcze chce?

– Zapamiętałam numer rejestracyjny. – Uśmiechnęła się, pokazując zadbane zęby. – Poproszę męża, żeby przekazał chłopcom z drogówki, że jest pan pod ochroną.

W pierwszej chwili zamurowało go, ale mimo to udało mu się uśmiechnąć.

– Dziękuję.

– Miłej niedzieli – rzuciła i odeszła, kręcąc kształtną pupą.

Odprowadził ją wzrokiem. Wypuścił powietrze i otarł spocone czoło. Gdy dotknął dźwigni skrzyni biegów, zobaczył, że drzwi od komisariatu otwierają się, a w progu staje umundurowany mężczyzna.

Kobieta pocałowała go, a potem odwróciła się, wskazując w jego stronę.

Tego już było za wiele!

Wbił jedynekę, potem dwójkę i pomknął przed siebie.

sobota/niedziela, 17/18 października 1992

XL

Zatrzymał się przed klatką schodową.

To musi być tu – pomyślał, rozglądając się po bezludnej, cichej okolicy. W oddali było słycać szum nielicznych samochodów.

Spojrzał na tarczę zegarka. Minęła pierwsza w nocy. Powąchał bukiet czerwonekrwistych róż, który kupił po drodze, tuż przy wjeździe do Poznania. *Ela powinna już być w domu* – pomyślał i jednocześnie poczuł, że serce zaczyna mu nieco szybciej bić.

Otworzył drzwi, przekroczył próg i poszukał wzrokiem włącznika światła. Pstryknął, ale bez żadnego efektu. Zapalił zapalniczkę i ruszył przed siebie, ostrożnie stawiając kroki.

Bał się – musiał to przyznać sam przed sobą. Bał się, bo jeszcze nigdy nie robił tego z zimną krwią.

Do tej pory zabijał pod wpływem nagłego impulsu, złości, wkurwienia. Do tej pory to mu się po prostu przydarzało i zarazem zaskakiwało go.

Teraz szedł zdobyć pieniądze oraz kosztowności i liczył się z tym, że będzie musiał ją... unieszkodliwić.

Wreszcie stanął na odpowiednim piętrze.

W uszach zaczęło mu pisać. Przystanął na chwilę, łapiąc się poręczy. Wziął głęboki oddech i powoli wypuścił powietrze.

Odszukał włącznik. Tym razem zadziałał.

Podszedł do drzwi oznaczonych ósemką, poprawił włosy, uśmiechnął się,

zapukał parę razy i zrobił krok do tyłu, chowając kwiaty za siebie.

Cisza.

Mam nadzieję, że nie sprowadziła do siebie żadnego absztyfikanta – pomyślał zaniepokojony.

Zapukał jeszcze raz i po chwili usłyszał kroki. Zadrżał, a potem poczuł ukłucie niespodziewanej myśli. A jeśli w domu jest mąż? A jeśli dzisiaj wyjątkowo ma wolne i właśnie leży w łóżku ze swoją niewierną żoną?

Nie, to niemożliwe! Przecież Ela umówiła się z nim na dzisiaj, sugerując, że będzie mógł zostać u niej na noc. No tak, ale nie odezwał się do niej, nie potwierdził, nie pojawił się w Polonezie, więc w gruncie rzeczy wszystko było możliwe. Może ze złości na niego poderwała jakiegoś przystojnego cwaniaka i teraz zabawia się z nim w najlepsze?

Kramerski skrzywił się i jednocześnie usłyszał zgrzyt przekręcanego klucza.

W progu stanęła Ela. Zaspana, zdziwiona i cudownie pachnąca. Miała na sobie lawendowy szlafrok, który podkreślił apetyczną linię biustu. Spojrzał na jej białe stopy ozdobione czerwonymi paznokciami.

Uśmiechnął się najszerzej jak potrafił i wyciągnął przed siebie kwiaty.

– Dobry wieczór, kochanie – przywitał się przeproszającym tonem. – Strasznie cię przeproszam, że nawaliłem, ale miałem poważną stłuczkę na trasie i nie mogłem przybyć na czas.

Wbiła w niego wzrok. Na jej twarzy dostrzegł zaskoczenie połączone z irytacją. Zignorowała róże.

Będzie ciężko – pomyślał, przypominając sobie, co oznacza wkurzyć kobietę.

– Wybaczysz mi, ślicznotko? – zapytał.

Ela zmarszczyła brwi, odgarnęła z czoła potargane włosy i skrzyżowała ręce na piersiach.

– Co ty tu robisz o tej porze? – odezwała się wreszcie. – Oszalałeś?

– Przecież byliśmy umówieni na dzisiaj – odpowiedział, robiąc zaskoczoną minę.

– Na wczoraj. I to w hotelu, w barze. Nie w środku nocy.

– Wpuścisz mnie, kochanie?

– Nie.

Westchnął.

– Proszę. Stęskniłem się za tobą. Pędziłem jak szalony, żeby być z tobą, ale wpadłem w poślizg i... Cholera, uwierz mi, Eluś!

Zerknęła na sąsiednie drzwi, wypuściła głośno powietrze i mruknęła:

– Wejdz. Ale tylko na chwilę – dodała.

– Okej – mruknął. – Ty tu rządzisz.

Ponownie wyciągnął kwiaty w jej stronę, ale ona tylko uśmiechnęła się gorzko.

– Nie chcę tych badyli – oznajmiła wojowniczo.

Weszła do środka. Zamknął ostrożnie drzwi i posłusznie ruszył za nią, wdychając jej seksowny zapach. Chciał ją objąć w pasie, dotknąć bujnych piersi, wtulić się w długie, gęste, kasztanowe włosy, ale jakimś cudem udało mu się opanować.

Poczekaj, chłopie! – skarcił się w myślach. *Może uda się jeszcze dzisiaj zamoczyć, ale trzeba to inaczej rozegrać. Cierpliwości.*

Przechodząc przez korytarz, Ela zerknęła na zamknięte drzwi do sypialni, zawahała się na moment, ale on nie zwrócił na to uwagi. Był za bardzo podekscytowany faktem, że sytuacja może rozwinąć się w najprzeróżniejszych kierunkach.

Weszli do salonu.

– Napijesz się czegoś? – zapytała szorstko.

– A masz coś mocniejszego?

– Myślałam o kawie albo herbacie.

– Nie ma szansy na kapkę alkoholu?

– Nie ma.

– No dobrze. – Uśmiechnął się, chociaż zaczynał powoli tracić cierpliwość. –

W takim razie proszę o kawę.

Ile można się dąsać? Dałaby już spokój z tą dziecinadą.

– Jesteś sama? – zagadnął, siadając na czarnej skórzanej sofie.

Kiwnęła głową, odwracając wzrok.

– To cudownie.

– Nie licz na nic.

– Stęskniłem się za tobą, kochanie.

– A ja nie.

Zacisnęła mocniej pasek od szlafroka i ruszyła w stronę kuchni. Kramerski spojrzał na jej kształtne łydki i dobrze umięśnione uda. Apetyczny widok przyprawił go o gęsią skórę. Rozbudzona wyobraźnia podsunęła mu kilka obrazów nagiej i dyszącej Eli.

Muszę ją ugłaskać. Muszę!

Postępujące zdenerwowanie wzmagало podniecenie. Czuł, że robi się sztywny. Podrapał się po kroczu, a potem rozejrzał wokoło, próbując namierzyć miejsce, gdzie mogłaby leżeć biżuteria i gotówka.

Obiecował sobie obfite łupy po eleganckim mieszkanku pana doktora i jego małżonki.

Potem jeszcze odwiedzę Mirkę – przypomniał sobie kolejny punkt planu działania. Wezmę co trzeba i puszczę się w długą. Wszyscy będą mogli mi naskoczyć. Na czele z policją.

XLI

Sen urwał się nagle. Zbyt nagle.

Kamila otworzyła oczy. *Gdzie ja jestem?*

Po chwili skupienia, w czasie której odtworzyła przebieg ostatnich wydarzeń, przypomniała sobie, że po imprezie w hotelowej restauracji pojechała z Elą do jej mieszkania. Po drodze kupiły butelkę wina, pogadały chwilę i zasnęły, już lekko podchmielone.

Usiadła na łóżku. Złapała się za skronie, gdy poczuła zawroty głowy. Westchnęła.

Z wnętrza mieszkania dobiegły ją podniesione głosy. Chyba z kuchni. Spojrzała na drzwi, przez które przebijało światło.

Ktoś przyszedł? O tej porze?

Zagryzła usta i natężyła słuch.

– Potrzebuję tych pieniędzy. – To był męski, stanowczy głos.

Cisza.

– Dlaczego nie chcesz mi pomóc? Kurwa mać! Dlaczego?

Kamila drgnęła przestraszona.

Co się tam dzieje? Kto to jest?

Podeszła do drzwi, cały czas nasłuchując.

– Nie tym tonem – odezwała się Ela. – Nie tym tonem!

– Myślałem, że się kochamy!

– Grzegorz, czy ty jesteś normalny?! – Kamila zamarła, usłyszawszy nagły

wybuch przyjaciółki.

Grzegorz? To jest ten Grzegorz?

– O co ci chodzi?!

– Poznaliśmy się ledwie tydzień temu, a ty wyskakujesz z miłością, ślubem.

To... To jest... – Ela się zawahała – chore – wykrztusiła w końcu.

Cisza.

– Pieprzyliśmy się, było fajnie, ale to tylko pieprzenie. Jesteśmy dorosłymi ludźmi, a nie romantycznymi nastolatkami. – Znowu zapadła cisza. – Wpadasz do mnie w środku nocy i wydierasz się, jakbyś był tu panem i władcą. To też jest chore.

Mężczyzna nie odpowiedział.

– To już dwie sprawy. Trzecia jest taka, że krzykiem chcesz mnie zachęcić do pożyczania ci pieniędzy. Po czwarte, przemyślałam wszystko i nie ufam ci. Dlatego skoro już wypiełeś kawę, proszę, żebyś natychmiast opuścił moje mieszkanie.

Cisza.

Kamila przyłożyła głowę do drzwi, słysząc coraz szybsze bicie swego serca. Spokojny ton i klarowność wyводу upewniły ją, że przyjaciółka jest naprawdę przerażona. Tak logicznie trzeźwa była tylko w wyjątkowo stresujących okolicznościach.

Może wyjdę? – pomyślała i położyła rękę na klamce. Może wtedy uda się szybciej spławić dziada?

Chciała już nacisnąć klamkę, gdy raptownie odskoczyła do tyłu, przerażona odgłosem uderzenia.

Boże, co to za cymbał?! Co robić?

– Ty głupia pizdo! – rozległ się krzyk i zaraz potem Kamila usłyszała kolejne okropne uderzenie, które przeszło nocną ciszę. – Ty pierdolnięta cipo!



Gdy Grzegorz po raz trzeci uderzył z całej siły pięścią w stół, zadrżała i zamknęła oczy.

– Ty głupia pizdo! Ty pierdolnięta cipo! – Ten okropny wrzask sprawił, że na sekundę wróciła do swojego dzieciństwa, kiedy podobne sceny urządzał jej pijany ojciec. Też tak krzyczał, wyzywając się bez umiaru na rozszlochanej matce. Najczęściej w sobotnie wieczory, kiedy powoli szykowałą się do snu.

Otworzyła oczy i zobaczyła purpurową twarz mężczyzny, którego jeszcze parę dni temu uważała za najśladszego przystojniaka na świecie.

A jednak miały rację, gdy wczoraj ustaliły z Kamilą, że trzeba zakończyć tę znajomość. W ostatecznym rozrachunku facet prezentował się dość podejrzanie.

– Ty głupia szmato!

W tym momencie przypomniwała sobie dzisiejszy komunikat radiowy o Krwawym Playboyu, który podobno grasował w wielkopolskich lasach. Zignorowała go. Co ją obchodzi jakiś wariat? Jakies morderstwa? Co to może mieć z nią wspólnego? Ale teraz, stojąc przed wściekłym Grzegorzem, któremu puszczały hamulce, połączyła fakty. Las, ciemna cera, uroda, uwodzicielski uśmiech.

Chryste, czy to on?

Zrobiła krok do tyłu. On zrobił dwa do przodu.

– Gdzie trzymacie pieniądze? – warknął.

Oparła się o blat stołu. Kątem oka dostrzegła stojak na noże.

– Proszę cię, żebyś natychmiast wyszedł – odezwała się łamiącym głosem.

Kramerski zarechotał w odpowiedzi.

– Zaraz zadzwonię na policję – rzuciła.

Pokiwał gwałtownie głową.

– Zawsze grozicie policją, głupie cipy?! – zadrwił i wyszczerzył zęby. – Zawsze?!

Zawsze? Czyli to jednak on?

Zdrętwiała ze strachu, uprzytamniając sobie coś, co zakrawało na czyste szaleństwo: romansowała z seryjnym zabójcą.

Nie, to jakiś nonsens! To się nie dzieje naprawdę. Zaraz się obudzę z tego koszmaru!

– Gadaj, gdzie trzymasz biżuterię i forszę! – warknął i zacisnął pięści. – Bo cię zajebię! – syknął po chwili.

Zrobił jeszcze jeden krok w jej stronę, a ona wtedy raz jeszcze zobaczyła zamazany obraz pijanego na umór ojca i przypomniała sobie smak rozpaczliwej połączonej z wściekłością.

O nie! Nie jest potulną krową, którą można rznąć, a potem zarznąć! Owszem, wtedy musiała potulnie przeczekiwać piekielne awantury, ale teraz... Teraz będzie inaczej!

Sięgnęła po nóż – i w tej samej chwili poczuła uderzenie w policzek.

Upadła, wywracając stojak i rozsypując z łoskotem noże na podłogę.



Gdy Ela upadła, usłyszał skrzypnięcie drzwi i zaraz potem krzyk.

Odwrócił się gwałtownie i otworzył szeroko oczy.

Co jest, kurwa?!

W jego stronę podbiegła kobieta z butelką w dłoni. Zamachnęła się i uderzyła go w głowę. Zachwiał się i oparł o framugę drzwi. Pociemniało mu w oczach.

Dotknął obolałego czoła.

Kurwości!

Skrzywił się i spojrzał oszołomiony na rozjuszoną postać, który wrzasnęła:

– Wypierdalaj stąd, kutasie! Wypierdalaj!

– Co ty wyrabiasz, idiotko? – warknął i ruszył w jej kierunku. – Kim ty jesteś?

Kobieta uderzyła o ścianę butelką, która z przeraźliwym brzękiem rozsypała się na kawałki, raniąc jej palce. Zagryzła usta i wysunęła w jego stronę ostro zakończoną szyjkę.

Dyszała jak zwierzę, będąc bladą jak śmierć.

Co tu się, do cholery, wyrabia? – pomyślał zirytowany. *Co to za jędrza?*

Nagle zrozumiał, że musi uciekać. Zrobił dwa kroki do przodu i upadł po kolejnym ciosie.

Co jest?!

– Pomocy, ludzie, pomocy! – Nieznajoma otworzyła drzwi wejściowe i zaczęła wrzeszczeć.

Odwrócił głowę i zobaczył nad sobą Elę.

Zakrwawioną, przerażoną i wściekłą. Drżała, trzymając w obu rękach tłuczek do mięsa.

Nigdy nie widział czegoś takiego. *Śmiać się czy płakać?*

Sarknął gniewnie.

– Wynoś się stąd natychmiast – syknęła. – Słyszysz? Wypierdalaj, gnido!

Szkoda, że nie mogę zostać i pokazać, kto tu rządzi.

Zerwał się na nogi, wybiegł z kuchni i przeszedł pospiesznie przedpokój. Zerknął na nieznajomą, która wyszła z mieszkania i zapaliła światło na korytarzu. Przekroczył próg. Wbiła w niego wzrok, zrobiła parę kroków do tyłu, zachowując bezpieczny dystans. Drżące, poplamione krwią dłonie zaciskała na szyjce butelki.

Zajebałbym babsztyla, pomyślał, a ona jakby to usłyszała, bo krzyknęła:

– Pomocy, policja! Ludzie, pomocy!

Zagryzł usta i rzucił:

– Zamknij się.

Na końcu korytarza ktoś otworzył drzwi. Kramerski zobaczył w progu opasłego staruszka, za plecami którego stanął wysoki nastolatek.

– Co tu się dzieje, do cholery?

– Policja! Dzwońcie po policję, do kurwy nędzy!

W tym samym momencie otworzyły się kolejne drzwi.

Spierdalam – pomyślał przestraszony i rzucił się na schody, pozostawiając za sobą coraz bardziej niespokojny gwar.

Z kolejnych mieszkań zaczęły wyłaniać się zaspiane twarze. Wpadł w panikę.

Kurwa! To nie tak miało być!

– Co się dzieje? Co się stało?

– Ktoś napadł na panią Elę!

– Dzwonić po policję!

- Morderca! Jezu Chryste!
- Pani Ela nie żyje! Boże święty!
- Niech ktoś za nim biegnie!!!



– Niech ktoś za nim biegnie!!!

Gdy usłyszał te słowa, zdrętwiał.

Serce zabiło jak oszalałe! Wybiegł z klatki i spojrzał za siebie. Nikt go nie ścigał. Przynajmniej na razie.

Zacisnął szczęki i szybkim krokiem ruszył wzdłuż bloku. Podszedł do samochodu, który zaparkował w pobliżu, zapalił silnik i odjechał.

Pojadę do Mirki – pomyślał, zmieniając drżącymi rękami bieg.



Kamila weszła do mieszkania i zamknęła za sobą drzwi, z trudem pozbywając się rozemocjonowanych sąsiadów. Wszyscy chcieli pomóc, wesprzeć radą. Pewnie też po prostu obejrzeć miejsce brutalnego napadu.

Położyła szyjkę od butelki na komodzie w przedpokoju i weszła do kuchni.

Ela, potargana i zakrwawiona, siedziała na krześle przy stole. Jej ciałem wstrząsały spazmy płaczu.

Podeszła do niej, przytuliła i poczuła, że z jej oczu również płyną łzy.

Pocałowała przyjaciółkę w czoło

– Kochanie – szepnęła. – Najważniejsze, że się nie dałyśmy kutasowi. Jesteśmy silne i wszyscy się o tym dowiedzieli.

– Żyjemy i to się liczy – dodała i poczuła, że Ela przywarła do niej jeszcze mocniej.

W tej pozycji spędziły kilka minut, być może najdłuższych w ich życiu.

Potem usłyszały syreny policyjne i pukanie do drzwi.

CZĘŚĆ

TRZECIA

niedziela, 18 października 1992

XLII

– Co mamy? – zapytał podinspektor Rambert, oparłszy łokcie o blat biurka.

Przygryzł kciuk i spojrzał na swoich współpracowników, którzy pięć minut temu zebrali się w jego gabinecie, żeby szybko uzgodnić plan dalszego działania w obliczu nieoczekiwanego przełomu w śledztwie.

Jakieś osiem godzin temu na Osiedle Zygmunta Starego wezwano policję. Okazało się, że w jednym z mieszkań doszło do napadu na dwie kobiety. Efekt przesłuchania zelektryzował funkcjonariuszy: sprawcą był najprawdopodobniej poszukiwany Grzegorz Kramerski.

Natychmiast powiadomiono szefostwo Komendy Wojewódzkiej, która bezpardonowo wyciągnęła z ciepłych łóżek część swoich ludzi, przede wszystkim przedstawicieli Wydziału Kryminalnego, i zaordynowała wnikliwe poszukiwania wszelkich możliwych śladów obecności przestępcy. Uruchomiono drogówkę, która wypuściła patrole na miejskie i podmiejskie drogi. Do firmy ściągnięto nawet kilka sekretarek. A gdy komendant, zwany przez podwładnych Bossem, wypił trzecią czarną kawę, zlecił stworzenie najbardziej aktualnego portretu pamięciowego i wysłanie go do wszelkich możliwych mediów.

Zapowiadała się więc przeraźliwie pracowita niedziela, napędzana sporą dawką adrenaliny i kofeiny.

Na dwunastą zaplanowano konferencję prasową. Do tego czasu trzeba było zrobić jak najwięcej, żeby można było się pochwalić czymś konkretnym przed spragnionymi krwistych informacji dziennikarzami. Wszakże naczelnicy,

powiadomieni przez swoje zaufane źródła, powoli wynurzali się ze swoich przytulnych mieszkań, ostrząc sobie apetyty na soczyste materiały. Na ulicę Kochanowskiego zmierzał już zaspany i lekko skacowany redaktor Henryk „Misio” Misiński.

– Co mamy? – powtórzył Rambert, który tej nocy nie zmrużył w ogóle oczu. Gdy dyżurny zadzwonił na jego domowy numer, właśnie przewracał jedną z ostatnich stron „Szpiega doskonałego”. Prawdę mówiąc, ucieszył się, gdy pojawił się pretekst, żeby wyjść jak najszybciej z domu.

Pierwszy zareagował Miszczu.

– W piątek wieczorem na placu Wielkopolskim jakiś klient wziął taksówkę i zamówił kurs do Zielonej Góry – oznajmił, przejeżdżając dłonią po potarganych włosach. – Po kierowcy słuch zaginął. Nigdzie nie można go znaleźć. To był porządny chłopak, więc raczej nie mógł nigdzie prysnąć. Jego żona jest pewna, że coś mu się przytrafiło.

Rambert pokiwał głową.

– Co go wiąże z Kramerskim?

– Podobieństwo fizyczne. Ciemna cera, podobny wzrost.

– No i ta Zielona Góra – dodał Ostrowski. – Z przesłuchań rodziny wyszło, że jeśli miałby gdzieś uciec, to właśnie tam, do swojej kuzynki. To nasz jedyny ślad. Może trochę naciągany, ale innego nie mamy.

– Jest jeszcze coś – dodał Miszczu.

– Co takiego?

– W sobotę Kramerski był w Dusznikach. Zaginioną taksówką.

Wszyscy spojrzeli na brzuchatego operacyjniaka.

– Jak to?

– Najśmieszniejsze jest to, że zabrał w Podrzewiu żonę jednego z policjantów z Dusznik.

Buryła zarechotał.

– Już mi się gościu podoba – mruknął.

Podkomisarz spojrział na niego i wyszczerzył zęby.

– Cwany gapa.

– Wyjaśnij – rzucił Rambert, który ściągnął okulary i przetarł oczy. Całonocne czytanie mistrza powieści szpiegowskiej dawało o sobie znać. Zaczął odczuwać nieprzyjemne szczypanie.

– Nie ma co wyjaśniać. Zatrzymał się na przystanku, zaproponował podwózkę. A kiedy dowiedział się, że babka chce się dostać na komisariat, stracił rezon. Był jednak dzielny i dojechał pod sam budynek.

– Ryzykancik – zauważył Ostrowski i spojrział zawiadaczko na Katię.

– Dżentelmen – skwitowała.

Sierzant i posterunkowa obdarzyli się uśmiechami.

– Dżentelmen-gwałciciel – cmoknął Mischcu i dodał: – Gdy zobaczył jej męża, ruszył z piskiem opon i tyle. Traf chciał, że zapamiętali numer rejestracyjny.

– I co?

– To ta sama taksówka. Jedynie ściągnął oznaczenie z dachu.

– Po co?

– *I have no idea.* – Mischcu rozłożył ręce i spojrzał na swojego zwierzchnika, Buryłę, który wstał z krzesła, zapiał guzik niebieskiej marynarki, podszedł do drzwi, otworzył je, wychylił głowę i odezwał się ciepłym głosem:

– Pani Kasiu, kawkę proszę.

– Co się mogło stać z taksówkarzem? – zapytała Katia. – Zabił go? – Zerknęła na podkomisarza, który wzruszył ramionami.

– Pewnie tak.

– To chyba pierwszy mężczyzna na jego koncie – drażyła dalej temat policjantka. – Może to oznacza, że klient wszedł w jakąś krytyczną fazę. Eskaluje?

Zapadła cisza. O parapet zastukały krople deszczu.

Buryła odpiął guzik marynarki, usiadł na miejsce, po czym zerknął na Ramberta.

– Wychodzi na to, że gość ruszył do Zielonej Góry. Po drodze coś się wydarzyło, może rzeczywiście doszło do bójki i ostatecznie do zabójstwa, i dlatego postanowił – tu podinspektor podniósł palec w górę, przygryzając jednocześnie usta – albo został zmuszony do powrotu. Przekimał gdzieś. Nie wiemy jednak gdzie. W Poznaniu? Czy pod Poznaniem? Pewnie pod Poznaniem. Prawdopodobnie nie u rodziny, nasi ludzie to sprawdzili. Może u jakiejś *lady*, skoro on taki playboy? Może w jakimś motelu, może u kumpla? No ale on podobno nie ma żadnych kumpli. Załóżmy, że pod Poznaniem. Potem pojechał do Poznania.

– Po co? – zapytał Rambert

– Mogę się wtrącić? – zagadnął Kowalski.

– Dawaj, chłopie – odpowiedział naczelnik kryminalnego i spojrzał na drzwi, oblizując niecierpliwie usta.

– Przesłuchiwałem te dwie babki z Zygmunta Starego. On przyjechał tam, żeby zabrać pieniądze i kosztowności. Był bardzo zdeterminowany. Pani Ela wyczuła w nim jakiś pośpiech, dziwną nerwowość.

– Czyli zbiera kasę – stwierdził Mischcu. – I chce gdzieś spierdolić.

– Nie za szybki ten wniosek? – Ostrowski spojrzał na podinspektora Ramberta, który nagle przypomniał mu majora Wołczyka, przełożonego porucznika Borewicza z „07 zgłoś się”. Może ze względu na stateczność, ostrożność w trakcie dyskusji? Bo w każdym innym wymiarze obaj mężczyźni byli bardzo różni, zaczynając od urody i sposobu ubierania się.

– Co myślicie? Jakoś to wszystko dziwnie mi brzmi i wygląda. Jakbym oglądał film klasy be albo nawet ce.

– Bo klient jest dziwny. – Mischu wydał usta. – To jakiś cymbał, tyle że zabójca. Stąd to wrażenie.

Katia pokiwała głową.

– Gość się miota. Działa gwałtownie, pod wpływem impulsów.

Wymianę myśli przerwało nagłe otwarcie drzwi.

Do gabinetu weszła sekretarka, pięćdziesięcioletnia uśmiechnięta kobieta z widowiskową trwałą na głowie.

– Dzień dobry.

Postawiła przed Buryłą kawę, prześlizgnęła się wzrokiem po twarzach całej grupy i zapytała:

– Czy ktoś jeszcze ma ochotę?

Nikt nie miał ochoty, więc pani Kasia wyszła zwiewnym krokiem. Korytarzowe plotki głosiły, że od paru tygodni chodziła na zajęcia z gimnastyki, która ostatnio zrobiła się bardzo modna za sprawą Marioli Bojarskiej i jej bestsellerowej kasety VHS.

Gdy zamknęła za sobą drzwi, Mischu powrócił do urwanego wątku:

– Proponuję wyjść z takiego założenia. Że zbiera pieniądze na ucieczkę.

– Ale czy ostatecznie coś ukradł?

– Nie, udało się im go przepłoszyć – rzucił Kowalski.

– Przepłoszyć? – wtrącił się Ostrowski. – Podobno jedna z nich zaszła go od tyłu i pizgnęła czymś twardym w głowę. Dlatego musiał spieprzać ile sił w nogach przed obudzonymi sąsiadami.

Bury wypił parę łyków kawy i zachichotał.

– Ta historia coraz bardziej mi się podoba – oznajmił, po czym dodał: – Dużo zwrotów akcji. Misio będzie miał fajne materiały.

– Już widzę te nagłówki! – Ostrowski roześmiał się. – „Zabójca podejżdza pod komisariat”, „Seryjny morderca raniony w głowę przez odważną poznaniankę”, „Szaleńczy rajd do Zielonej Góry”.

– Dziękuję, Ostry – przerwał mu zniecierpliwiony Rambert, który znowu ściągnął okulary, żeby przetrzeć zaczerwienione oczy. – Podsumujmy: jesteśmy zatem skłonni przypuszczać, że Kramerski mimo wszystko będzie próbował dotrzeć do Zielonej Góry?

Wszyscy spojrzeli po sobie i pokiwali głowami. Raczej tak.

– Zgadzam się z Mischem, że facet nie należy do najbystrzejszych – rzucił Kowalski. – Proponuję założyć, że będzie się tam jednak kierował. Nie ma że boli, trzeba sprawdzić tę opcję.

Buryła pokiwał głową.

– Tak jest, trzeba wysłać tam parę osób, ale jednocześnie sprawdzić dokładnie rodzinne tereny naszego leśnego dziadka. Prędzej czy później pojawią się jakieś tropy, które nas odpowiednio ukierunkują. – Dopił kawę i odłożył

filiżankę na talerzyk. – Klucz do sukcesu do solidna praca operacyjna. – Uśmiechnął się promiennie.

Za oknem zerwał się wiatr i poruszył niedomknięte okna.

Rambert wstał i zamknął je.

– W takim razie będziemy kończyć – oznajmił, spoglądając na zebranych. – Kontynuujemy działania. A wy, chłopaki – wskazał Kowalskiego i Miszcza – weźmiecie jeszcze dwie osoby i pojedziecie zaraz do Zielonej Góry.

Policjanci kiwnęli głowami.

– Zadzwoń i dam im znać, że wejdziemy na ich teren.

Otworzyły się drzwi. W progu stanęła pani Kasia z posępną miną.

– Panie naczelniku – zwróciła się do Ramberta, ściskając w ręku paczkę chusteczek higienicznych. – Przepraszam, ale mam smutną wiadomość.

– Co się stało?

– Rozmawiałam przed chwilą z żoną Henia Kalupy.

– Tak?

Cisza.

– Tak?

Sekretarka pociągnęła nosem i odezwała się drżącym głosem:

– Henio... Henio umarł... Wczoraj wieczorem.

Policjanci wbili w nią wzrok i zamilkli gwałtownie, z trudem trawiąc informację. Za dużo doznań jak na niedzielne przedpołudnie. Co? Jak to? To chyba żart? Henio? Nasz Kalupuś, który na imprezach z wielką werwą wyśpiewywał jarmarczne piosenki, a na korytarzach opowiadał cudowne anegdoty? Ten stary wiarus, legendarny dochodzeniowiec, od którego zawodu uczyły się kolejne pokolenia milicjantów i policjantów?

Deszcz zaatakował z impetem parapet i okno, wprawiając wszystkich w dziwny nastrój. Wszyscy odnieśli wrażenie, że czas zwolnił na chwilę, żeby mogli przypomnieć sobie sympatyczną twarz komisarza. Każdy z nich inną, być może tylko sobie znaną. I usłyszeć jego charakterystyczny, niski głos. „Kruca fiks” – tak często zaczynał, zabierając głos w dyskusji. „Kruca fiks, tak sobie myślę, coś nam umyka”.

– Co za niedziela – mruknął Ostrowski, wzdychając głęboko.

– Kiedy pogrzeb? – zapytał Rambert.

– Prawdopodobnie w środę.

Pani Kasia poruszyła ramionami, wyciągnęła chusteczkę, przetarła oczy i wyszła z gabinetu.

Kowalski spojrzał na ciemnozielony fotel ustawiony w rogu pomieszczenia, tuż przy ławie, na którym od wielu lat siadywał Henio w czasie odpraw czy mniej zobowiązujących nasiadówek.

Rozkładał wtedy na blacie tytoń, bibułkę i przygryzając język

w charakterystyczny sposób, poźółkłymi palcami skręcał papierosy.

Zawsze uwalil sobie przy tym sweter – przypomniał sobie sierżant.

Ciszę przerwał Rambert, który pstryknął parę razy długopisem i mruknął:

– No nic. Smuć się będziemy na stypie. A teraz wracamy do roboty.

Spojrzał na policjantów, którzy zerwali się z krzeseł i w milczeniu zaczęli wychodzić na korytarz, a potem zerknął na Buryłę.

– Możesz zostać na słówko?

XLIII

Naczelnik kryminalnego kiwnął głową.

Zapiął guzik marynarki, wyciągnął z wewnętrznej kieszeni paczkę cameli, zerwał folię i otworzył.

– Co jest, Dżery? Znowu nie zmrużyłeś dzisiaj oka.

Rambert skrzywił się. Nie lubił, gdy nawiązywano do jego prywatnych spraw.

– Gdzie Harry?

– Pracuje.

– Nad czym?

– Puściliśmy go w miasto, żeby powęszył w sprawie zniknięcia dziennikarza.

– Dlaczego nic nie powiedziałeś?

Buryła przygryzł wargi i zerknął na szefa dochodzeniowców, który ściągnął brwi.

– Zabierałem się za to – odparł i wysunął papierosa z charakterystycznego opakowania. – Przepraszam. Za dużo spraw na głowie.

– Myślałem, że pomoże przy tej sprawie.

– Jeden z uchoi podrzucił mu jakiś trop, więc kazałem to sprawdzić. Za zgodą Bossa. Wygląda interesująco.

Zamilkli. Drzwi się zatrzasnęły.

– Damy sobie radę bez Harry’ego. Przecież to jakaś dziecinada, zabawa w chowanego. – Buryła powąchał papierosa, po czym dodał pojednawczo: –

Chłopcy zaraz go dorwą. To kwestia czasu. A priorytetem staje się ten nieszczęsny pismak, który przecież jest elementem większej i ważniejszej układanki.

Rambert przygryzł usta.

– Panujesz nad Harrym? – zapytał.

– Tak.

– Ostatnio też tak mówiłeś.

Buryła westchnął.

– Czepiasz się. To był wypadek przy pracy. Rozmawiałem z nim niedawno.

– Kiedy?

– W czwartek.

– Jest niedziela.

– A jutro będzie poniedziałek i dowiemy się, co wyniuchał. Zaufaj Harry'emu, podwyższa nam statystyki.

– Wykorzystujesz go.

– W złośliwym celu. – Buryła włożył papierosa do ust i sięgnął do kieszeni po zapalniczkę. Zapalił ją i zgasił.

Rambert spojrział na efektowny gadżet firmy Zippo.

– Henia mi szkoda – mruknął, zmieniając temat. – Myślałem, że się wylize.

– Też tak myślałem. – Westchnienie. – Po przekroczeniu czterdziestki takie informacje coraz bardziej mnie stresują. Parę dni temu obudziłem się w środku nocy przerażony, że umrę na raka. A wczoraj okazało się, że teściowa ma guzka na piersi...

Oficerowie wzdrygnęli się jak na komendę.

– Gdy się o tym dowiedziałem, ciśnienie mi skoczyło. Tak jakby ktoś strzelił mi nad uchem, dając jednocześnie znak, że następny wyceluje we mnie.



– Może zjemy razem obiad? – zagadnął Ostrowski Katię, gdy zrównali się na korytarzu. – Zgłodniałem.

Posterunkowa uśmiechnęła się.

– Chętnie.

– W ramach zacieśniania stosunków operacyjno-dochodzeniowych.

– Zgłaszam gotowość.

– No chyba że ktoś na ciebie czeka z obiadem w domu – dodał sierżant, nieśmiało przydając swojemu przypuszczeniu intonację pytającą.

– Pytasz mnie, czy mam chłopaka?

– Poniekąd. A właściwie bynajmniej.

– Mam puste mieszkanie z pustą lodówką.

– Czyli moje zaproszenie ma sens?

– Całkiem sporo sensu.

– To dobrze. Bo mam straszną ochotę na solidnego katolickiego schabowego i niemniej katolicką surówkę z kapusty kiszzonej.

– Myślałam, że będziesz miał ochotę na coś bardziej diabelskiego – rzuciła policjantka, wpatrując się w pentagram na czarnej bluzie Ostrowskiego.

– Dzisiaj będę unikał diabła.

– Dlaczego?

– Trzeba zadbać o duszę Henia. O jej bezpieczny wylot w zaświaty.

– Pomodlisz się za niego?

– Na pewno zapalę w myślach świeczkę.



– Strzała, Bury!

– Strzała, Misio!

Przyjaciele uścisnęli sobie dłonie, po czym usiedli w niebieskich fotelach ustawionych przy ławie.

Podinspektor spojrział na dziennikarza, który w swojej gazecie obstawiał od ponad trzydziestu lat działkę kryminalną.

Był to wysoki, tęgi mężczyzna, o kudłatej głowie, krzaczastych brwiach i naczynekowej cerze. Miał na sobie popielatą kurtkę, ciemną koszulę, szare spodnie w kant i czarne, lekko podniszczone lakierki.

Przy nogach postawił torbę skórzaną, którą zawsze zabierał na codzienny obchód po poznańskich komisariatach i komendach. Według legendy miejskiej zaczynał go od wizyty w areszcie śledczym, gdzie wychylał w towarzystwie zaprzyjaźnionego naczelnika pięćdziesiątkę dobrze zmrożonej wódeczki i zapisywał co ciekawsze nowości. Potem szedł na Komisariat Stare Miasto położony przy Alei Marcinkowskiego. Tam kontynuował zbieranie informacji, popijając koniaczek z tamtejszym szefem dochodzeniówki. Po paru takich przystankach chwiejnie zachodził do redakcji, gdzie wystukiwał na maszynie do pisania komunikaty, notki oraz artykuły, i potem znowu ruszał na miasto. Swoją dziennikarską odyseję kończył zazwyczaj przed północą w Merkurym, gdzie dobijał się kuflem piwa stawianym mu przez pewnego emerytowanego oficera kontrwywiadu.

– Zapalisz?

– Pytasz, jak wiesz.

Bury zarechotał i podsunął Misiowi paczkę cameli. Ten wyciągnął jednego papierosa i powąchał.

– Wielbłądka masz, to lubię.

Oficer wydobyl zapalniczkę z kieszeni i przypalił dziennikarzowi. Ten zassał powietrze, opadł na fotel i z rozkoszą wypuścił kłęb dymu, który przybrał kształt kółeczka.

– A napoisz spragnionego?

– Misio, my tego już nie praktykujemy. Za to można wylecieć z roboty.

– No żeż kurwa jego mać! Jeśli przełom polityczny ma się objawiać tym, że policja przestaje mnie częstować alkoholem, to ja mówię: *veto, non possumus!* Czyżby demokracja oznaczała antyalkoholową dyktaturę?

Bury zaśmiał się i rozłożył ręce.

– Demokracja to snickersy, džinsy i coca-cola – rzucił.

– Moja demokracja ma więcej procentów. Ponawiam pytanie, panie naczelniku. Napoisz spragnionego?

Westchnienie.

– Napoję.

Miso uśmiechnął się krzywo i zawołał tonem cierpliwego belfra:

– *Of course you do!*

Oficer podszedł do szafki, gdzie składował imieninowe butelki, i sięgnął po szklaneczkę, do której nalał trochę chivasa.

– Smacznego – rzucił, stawiając szkło na ławie.

– Bóg zapłać – odpowiedział dziennikarz, po czym zaciągnął się, oparł papierosa o popielniczkę i jednym haustem wypił whisky.

– Od razu lepiej – westchnął.

Sięgnął po torbę, wyjął z niej wielki zeszyt w twardej okładce i położył go sobie na kolanach. Dokończył camela, chwycił długopis, zastukał nim parę razy i zagadnął:

– Cóż żeście upolowali, chłopaki? Na czym stoimy w sprawie Krwawego Playboya?

Bury cmoknął, zatarł ręce i pokrótce przedstawił stan śledztwa, który Misio skrupulatnie zanotował.

– Jak będziesz wychodził – dodał na koniec – to wstąpimy po portret pamięciowy, który puścicie w gazecie, okej?

– Co ma nie być okej, chłopie? Jest bardzo okej!

– Mam tytuł.

– Tytuł czego?

– Twojego tekstu o Kramerskim.

– Jaki?

– „Ścigany”.

– Niezły. Ale nie doskonały. Brakuje w nim emocji.

– „Wściekle ścigany”?

Dziennikarz zaśmiał się głośno.

– Bury, zajmij się swoją robotą, ja zajmę się swoją.

– No dobrze, nie będę się wtrącał – odparł nieco urażony naczelnik. – Ale przyznasz, że dobrze opowiadam w radiu?

– Opowiadasz smacznie, Bury.

Podinspektor uśmiechnął się, spojrział na pustą szklaneczkę i zapytał:

– Napijesz się jeszcze?

– No pytasz, jak wiesz.

Bury nalał, a Misio wypił i syknął:

– Kurewsko dobre.

– A tak przy okazji...

– No?

– Henio Kalupa umarł.

– Jaja sobie robisz!

– Nie robię.

– Kiedy?

– Podobno wczoraj wieczorem.

Dziennikarz westchnął. Podrapał się po policzku i wyciągnął pustą szklankę w stronę naczelnika.

– Kurewska niedziela – mruknął. – Nalej jeszcze jednego na drogę.

– A gdzie idziesz?

– W tej sytuacji do knajpy. Opłakać Henia. Dzisiaj już się przecież nic ciekawego nie wydarzy.

– No ja liczę, że się wydarzy. Że złapiemy klienta i zamkniemy ten świrnięty temat.

Dziennikarz zignorował słowa podinspektora.

– Henio – westchnął. – Gdy ostatni raz rozmawialiśmy, czyli jakiś miesiąc temu, obiecał mi, że przy najbliższej okazji opowie o swoich najciekawszych sprawach. „To będzie prawdziwa spowiedź gliniarza, Misio”, tak powiedział.

Pokiwał głową.

– No i niestety spowiedzi nie będzie.

Oficer nagle spoważniał.

– Miejmy nadzieję, że mimo to grzechy mu zostaną odpuszczone.

Cisza.

– Masz coś konkretnego na myśli?

– Nic.

Misio zmarszczył brwi i zanotował coś w zeszycie.



Miszczu położył nogi na biurku, chwycił za telefon i wykręcił numer. Odczekał chwilę, po czym uśmiechnął się i powiedział:

– Cześć, kochanie. Co robicie?

Słuchając odpowiedzi, kiwał głową i drapał się po wąsach.

– Dziewczynki odrobiły lekcje? Tak? No to idźcie do tego zoo. Pozdrówcie ode mnie Kingę i powiedzcie jej, że jest moją ulubioną słońcą na świecie.

Urwał.

– Nie, nie mogę do was dołączyć. – Westchnął. – No daj spokój. Taka praca. Muszę jechać do Zielonej Góry. Nie, nic poważnego. Proste, ale konieczne czynności. – Podkomisarz zamilkł, przewrócił oczami, chwycił długopis i zaczął nim kręcić. – Nie, nie przewracam oczami. Naprawdę. Przyszły weekend będę miał wolny, więc odbijemy sobie wszystko. Tak. Obiecuję. Buziaki, uściskaj dziewczynki.

Przerwał połączenie, umieścił słuchawkę między policzkiem a barkiem, wyciągnął z wewnętrznej kieszeni notes, przekartkował i wykręcił numer.

– Cześć, Ania. Bardzo cię przepraszam, ale dzisiaj nie mogę. Wskoczyło mi coś pilnego w firmie. No też żałuję, ale nic nie zrobię. Siła wyższa. – Uśmiechnął się. – Aż się zarumieniłem. – Zarechotał. – No uspokój się, niewiasto. Zadzwoń w tygodniu. Umówimy się, obiecuję.

Odłożył słuchawkę i westchnął. Machinalnie dotknął obrączki ślubnej i przekręcił ją parę razy. Spojrzał na nią i momentalnie spowaźniał.

Ściągnął nogi z biurka, wstał, chwycił kurtkę i ruszył w stronę drzwi. Zatrzymał się na chwilę, jakby coś przyszło mu do głowy, cmoknął językiem i nacisnął kłamkę.

XLIV

– Dobrze znasz Harry’ego? – zapytała Katia chwilę po tym, gdy odstawili talerze po pomidorówce.

Ostrowski uśmiechnął się.

– Nie wiem, czy ktoś z nas może powiedzieć, że zna Harry’ego – odpowiedział, wzruszając ramionami.

– No tak, zapomniałam. – Odwzajemniła uśmiech. – To nasz poznański Brudny Harry. Albo Cobra.

– Wiem, że to brzmi grafomańsko, ale...

– No brzmi.

– Szczerłość zawsze mile widziana.

– Do usług.

– To klasyczny samotny wilk.

– Nic tylko wzdychać, dziewczęta. – Posterunkowa wyszczerzyła zęby.

– Ktoś tu ma cięty języczek.

– Nie języczek, a język.

Sierzant uniósł prawą rękę i podrapał się po nadgarstku. Nie bardzo wiedział, co powiedzieć. Czasami jej riposty wydawały się całkowicie zbędne, a nawet niekiedy napastliwie, wręcz agresywne.

O co jej chodzi? – zastanawiał się wówczas. *Co ona odreagowuje?*

– Poddaję się – mruknął i rozejrzał się po sali, pogwizdując jakąś melodyjkę.

Katia zerknęła na pieszczochę z potrójnym rzędem świeków, a potem na

jego twarz.

Chyba się lekko zirytował. Jestem głupia.

– Zdażyłam się zorientować, że wszyscy w firmie są nim zafascynowani – zagadnęła ciepłej. – No i każdy ma w zanadru jakąś anegdotkę albo historyjkę na jego temat.

Sierżant ściągnął usta i pokiwał głową.

– Ty też?

– Pewnie.

– To opowiedz jakąś.

– Teraz?

– A dlaczego nie?

– Musiałbym się napić czegoś mocniejszego. Takie opowieści wymagają dobrego podkładu.

– Dzisiaj w ramach wyjątku opowiedz do kotletów, które właśnie zmierzają w naszą stronę.

Katia wyprostowała się, kładąc ręce na kolanach, i po chwili do ich stolika podeszła młoda kelnerka z drugim daniem. Życzyła im smacznego i oddaliła się.

Spojrzeni na swoje talerze, na których kucharz umieścił wielkie kotlety, tłuczone kartofle z zasmażką oraz kapustę kiszoną.

– Tradycji stało się zadość – mruknął Ostrowski.

– Katolickiej – dodała Katia.

– Tak jest... Znajomy ksiądz powiedział mi kiedyś na weselu takie coś: „W każdym polskim domu powinien być obraz Najświętszej Pani, armia kieliszków do wódki, no i mięcho na obiad, w tym schaboszczak w niedzielę”. Facet był wtedy na lekkim gazie, więc jego słowa odbieram jako szczerze.

– Amen.

Chwycili sztućce i zaczęli jeść. W tym czasie raz jeszcze podeszła do nich kelnerka i postawiła obok talerzy dwie szklanki kompotu z rabarbaru.

– Dziękować – odezwał się Ostry, a kiedy dziewczyna oddaliła się, spojrzał na Katię i rzucił: – Oto jest polski obiad.

– W pełnej krasie.

Sierżant wziął kolejnego kęsa, pogryzł, popił i odezwał się:

– A czego z naszej cudownej kuchni nie lubisz najbardziej?

Zastanowiła się.

– Trudne pytanie, bo nie cierpię wielu rzeczy.

– Rozumiem.

– Nóżek w galarecie i salcesonu.

– A ja... A czego ja właściwie nie lubię? Ach, buraczków!

Zaśmiali się.

– Wróćmy do tematu. Miałeś coś mi opowiedzieć o Harrym.

Sierżant dokończył jeść, dopił kompot, wytarł serwetką usta i zmarszczył brwi.

– No dobrze – powiedział, dotykając językiem zębów. – Zastanawiał się przez chwilę. – Harry zna doskonale miasto – oznajmił. – To mi natychmiast przychodzi do głowy. Jest w nim zanurzony po uszy.

Katia kiwnęła głową.

– Pamiętam, jak kiedyś mieliśmy odprawę. Chodziło o serię gwałtów w Poznaniu. Kowalski przedstawił szczegóły. Cechą charakterystyczną sprawcy było to, że w trakcie przestępstwa, a także przed i po, nic nie mówił. Ani słówka. Tylko jakieś mamrotanie i pojękiwania. Harry tylko wysłuchał tego, podrapał się po głowie i zaciągnął ćmikiem.

– *Niemota, powiadasz, chłopie?*

– *No chyba tak, Harry – odpowiedział Kowal.*

– *Poczekajcie – rzucił, wyciągnął notes, przekartkował go, zamknął z trzaskiem, spojrzał na nas i powiedział: – Antoni Piętara. Jadę do klienta, poczekajcie godzinę.*

– No i co? – zapytał Katia zaintrygowana.

Ostrowski wydał usta.

– No i po godzinie przyjechał z klientem w kajdankach. Zrobiono okazania i potwierdziło się, że to właściwy gość.

– Niezłe.

– Najlepszy przewodnik po mieście.

Nagle w rogu sali ktoś krzyknął:

– Ta golonka jest niedogotowana, złodzieje!

Odwrócili się w stronę staruszka, który ze złością uderzył pięścią w stół.

– Zabierać ją stąd i oddawać pieniądze, złodzieje!

Sierżant zerknął na Katię:

– Czas już na nas.

– Najwyraźniej. Podrzucisz mnie do domu? Jestem padnięta, muszę się zdrzemnąć.

– Jasne.

Wstali od stolika i zaczęli zakładać kurtki.

– Jeszcze co do Harry’ego... – zagadnął Ostrowski.

– Tak?

– On mi bardziej przypomina Mela Gibsona z „Zabójczej broni” niż Clinta Eastwooda.

– Dlaczego?

– Bo ten drugi jest za bardzo opanowany. Nasz Harry to wariat ze skłonnościami samobójczymi. Według mnie źle skończy.

– Nie oglądałam.

– Obejrzyj sobie. I od razu skapujesz, o co mi chodzi. Bury traktuje Harry'ego jak *lethal weapon*.

– Słuchaj, a jak naprawdę nazywa się Harry?

Dokładnie w momencie, w którym wybrzmiało pytanie, rozwścieczony staruszek chwycił talerz, cisnął nim o ścianę i ryknął:

– Zaraz zadzwonię po policję, oszuci i złodzieje!

Ostrowski spojrzał na Katię i rzucił, chichocząc:

– Uciekamy!

XLV

Katia zamknęła drzwi od mieszkania, odłożyła plecak na krzesło w korytarzu i weszła do kuchni.

Umyła ręce, postawiła czajnik na kuchence, wsypała kawy do kubka i stanęła przy oknie. Przez chwilę przyglądała się opustoszałemu placowi zabaw. Najwidoczniej kiepska pogoda wypędziła dzieci do domów.

Spojrzała na piaskownicę, która zazwyczaj była oblegana przez maluchy i ich rodziców. Też nikogo. Wzrokiem ześlizgnęła się na ławkę ustawioną obok klatki.

Parę dni temu zaobserwowała przypadkowo scenkę, która zapadła jej w pamięć. Późnym popołudniem usiadła tam jakaś obca kobieta – na oko trzydzieści parę lat, dresy, brzydka cera, potargane i tłuste włosy – z kilkuletnią córką. Gdy dziewczynka odchodziła na chwilę, matka sięgała do postawionej obok dużej torby, wyciągała z niej puszkę piwa, wypijała ukradkiem, chowała i wycierała twarz, rozglądając się nerwowo na boki.

Katia wpatrywała się w nią jak zahipnotyzowana i jednocześnie czuła narastający smutek. Gdy odeszły, długo jeszcze wbijała wzrok w ławkę.

Sama nie wiedziała dlaczego.

A może wiedziała?

Zaczęła głęboko oddychać. Zamknęła na chwilę oczy. Westchnęła, ściągnęła skarpetki, które położyła na parapecie, i podeszła do kuchenki.

Rozległ się gwizd. Katia zalała kawę i usiadła przy stole.

Jestem zmęczona. Szkoda, że jutro poniedziałek – pomyślała, wpatrując się w parę unoszącą się nad kubkiem.

Gdy go podniosła, zadzwonił telefon. Drgnęła.

Matka, to na pewno matka! – syknęła w myślach. *Nie odbiorę, nie mam na to siły.*

Podniosła kubek i upiła parę łyków kawy.

W tym czasie telefon umilkł. Odetchnęła z ulgą. Wstała i zgasiła światło. Wystarczało jej tylko to z zewnątrz.

Oparła się o ścianę i położyła jedną nogę na drugim krześle.

Pójdę się wykapać.

Wtedy znowu zadzwonił telefon.

Nie ma mowy, nie odbiorę, nie ma mnie dzisiaj dla nikogo!

Zamknęła oczy.

A może to Ostrowski?

Uśmiechnęła się mimowolnie, przypominając sobie dzisiejszy wspólny obiad. Gdzieś w tyle głowy usłyszała jego przyjemny głos.

Kiedy więc telefon zadzwonił po raz trzeci, dźwignęła się i wyszła na korytarz, żeby podnieść słuchawkę.

Zrobiwszy to, usłyszała jakiś obcy kobiecy głos:

– Dobry wieczór, czy rozmawiam z Katią Domagałą?

Zagryzła usta.

Kto to? Czego chce?

– Tak, przy telefonie. – Zirytowała się.

– Cześć, mówi Ula Bader. – Chrząknięcie. – Aspirant Bader z komisariatu w Buku. Sekcja kryminalna.

Katia przygryzła wargi. Nieznajoma zamilkła i westchnęła głośno.

– Przepraszam, że dzwonię. Właściwie nie wiem, po co, ale... Od paru dni zastanawiam się, czy to zrobić, czy odpuścić. To pewnie nie ma sensu, ale...

Katia potrząsnęła głową zdziwiona.

– O co chodzi?

– Dowiedziałam się zupełnie przypadkowo od pani wujka, że należy pani do grupy rozpracowującej sprawę tego zabójcy kobiet... Kremarskiego?

– Kramerskiego

– Właśnie, Kramerskiego. – Westchnienie. – Nie wiem, jak to powiedzieć.

Jak to...

– Najprościej.

Nerwowy śmiech.

– To akurat łatwo powiedzieć.

– Przepraszam – mruknęła Katia, siadając na podłodze.

O co chodzi?

– Nie, nie, to ja motam! – zawołała Bader, po czym wypuściła głośno powietrze. – O Boże... – dodała szeptem. – Przepraszam.

– Ma pani jakieś istotne informacje?

Cisza.

Może to jakaś wariatka? – pomyślała Katia i poczuła nagle ochotę na gorącą kąpiel.

– Ula jestem – wypaliła nieznajoma policjantka.

Co ona tak krąży?

– Ula, masz jakieś informacje?

– Tak.

Katia zdrętwiała.

– Mów – rzuciła ostro i podniosła się z podłogi.

Policjantka nabrała powietrza i powiedziała nerwowym głosem:

– Słuchaj, Katia. Połączyłam fakty i stwierdziłam, że...

– Że?

– Że spotykałam się z Kramerskim.

– Co?!

– No właśnie! Jak to brzmi, nie?

– Spotykałaś się z Kramerskim?

– Przez miesiąc, w czasie wakacji. W sensie... No wiesz, pieprzyłam się z nim. Serio.

Cisza. Chwilę później płacz w słuchawce.

– Ula, jesteś tam? – zapytała po paru sekundach.

– Jestem.

– Wiem, że czujesz się chujowo.

– No, to jest bardzo właściwe słowo. W sensie metaforycznym i dosłownym.

Kiedy się zorientowałam, myślałam, że oszaleję. Kurwa mać. Pieprzyłam się z seryjnym zabójcą.

Płacz.

– Jestem rozwalona. Totalnie.

– Rozumiem.

– To jakiś horror. Dzisiaj miałam senne koszmary, o mało mi nie pękło serce z przerażenia. Gdy się obudziłam, myślałam, że jestem martwa, zgwałcona i uduszona przez tego pojeba.

Katia zadrżała, wsłuchując się w histeryczny głos policjantki.

To ona, ta policjantka z Buku, o której mówiła Basia, pierwsza żona Kramerskiego.

Poczuła przyspieszone bicie serca.

Może coś wie, może wskaże jakiś trop?

– Nie wiedziałam, jak i komu o tym powiedzieć – szlochała Ula. – W końcu

postanowiłam do ciebie zadzwonić i...

– Dobrze zrobiłaś.

– Możemy się spotkać. Mogę do ciebie przyjechać?

– Pewnie.

– Nie mogę usiedzieć w domu. Prawdę mówiąc, nie wiem, co ze sobą zrobić.

Raz czuję wstyd, raz wściekłość. Potem wpadam w panikę, potem chce mi się płakać. No po prostu kocioł.

– Uła, przyjedź do mnie. Zapisz sobie adres.

– Okej. Będę za jakieś dwie godziny.

XLVI

– Uważaj! – krzyknął Kowalski. – Hamuj! – ryknął i trącił Mischza w ramię. Ten drgnął i gwałtownie wdepnął hamulec.

Policyjny polonez gwałtownie zatrzymał się tuż przed pasami dla pieszych, na które przed chwilą weszła grupa roześmianych nastolatek.

Dziewczyny zamarły w bezruchu i jak zahipnotyzowane wpatrywały się w niebieski samochód, który o mały włos ich nie staranował.

Podkomisarz poczuł zimne ukłucie w sercu i ścisnął mocniej kierownicę. Był wściekły. Na siebie. Tak się rozkojarzyć. Tak się...

Wypuścił powietrze, otworzył boczną szybę, wychylił głowę i rzucił:

– Przepraszam...

Chciał jeszcze coś dodać, ale zrezygnował.

– Przepraszam – dodał tylko, po czym podniósł ręce, zagryzając usta.

Dziewczyny spojrzały po sobie, pokręciły głowami i w milczeniu zeszły na chodnik. Oficer wbił jedynekę i powoli ruszył dalej.

– Kurwa, chłopie! – odezwał się z tylnego siedzenia jeden z operacyjniaków. – Co ty odpierdalasz? Sekunda później i zabiłbyś te siksy.

– Ale byłyby jaja – dodał drugi, kiwając z niedowierzaniem głową.

– Młodzież milczy – warknął Mischzu i posępnym wzrokiem patrzył przed siebie. Puścił nogę z gazu. – Lepiej zajrzyjcie na plan miasta – dodał. – I patrzcie, czy dobrze jadę.

Jeżu, milimetry, pomyślał Kowalski, wycierając dłonią spocone czoło.

Zerknął na kolegę.

– Nad czym tak się zamyśliłeś, człowieku? – zapytał, marszcząc brwi.

– Nad niczym.

– Może ja poprowadzę?

– W drodze powrotnej – odpowiedział Miszczu, odchylił lekko głowę i zagadnął:

– Dobrze jadę?

– Dobrze. Zaraz musisz skręcić w prawo. Zbliżamy się do celu.



Gdy wjechali na teren blokowiska, zza zakrętu wyłoniła się karetka. Miszczu zdjął nogę z gazu i ustąpił miejsca na wąskiej asfaltowej alejce. Po chwili usłyszeli charakterystyczny sygnał, który wywołał w nich lekki niepokój.

Przejechawszy kilkadziesiąt metrów, policjanci dostrzegli kolorowe światła, które efektownie rozświetlały pograżającą się w mroku okolicę.

– Co to za dyskoteka? – mruknął Miszczu

Podjechali bliżej. Przed najbliższym blokiem stał radiowóz. Wokół niego zebrała się spora grupka gapiów.

Miszczu wjechał na wolne miejsce parkingowe i zgasił silnik. Odpiął pas, przygryzł język i przymrużył oczy.

– Co jest grane? – szepnął, wbijając wzrok w otwartą na oścież klatkę.

– Chłopaki – zagadnął jeden z młodych operacyjnych.

– Co?

– Wiecie, o czym myślę?

– Nie wiemy.

– A jeśli on nas ubiegł?

– Że niby kto?
– Kramerski. Osiedle się zgadza, blok chyba też...
– Nie kracz, kurwa! – zirytował się Miszczu. A potem cmoknął językiem i zerknął na Kowalskiego. Ten odwzajemnił spojrzenie i wzruszył ramionami.
– Wszystko jest możliwe – powiedział cicho.
– Chodźmy sprawdzić, co się tam dzieje.
Wysiedli z samochodu i ruszyli w stronę zbiegowiska.
– Pod którym numerem mieszka ta cała Halina Milewicz?
W momencie, w którym padło pytanie podkomisarza, z klatki schodowej wyłonił się mężczyzna w towarzystwie dwóch umundurowanych funkcjonariuszy. Miał kajdanki na nadgarstkach.
Poznańscy policjanci wbili w niego wzrok.
Szczupła, szczurza twarz, wąsaty, ubrany w kurtkę typu moro i znoszone dresowe spodnie. Na nogach laczki. Z całą pewnością to nie był Kramerski.
Na podwórku podniósł się szum.
– To Mietek zajebał żonę! – krzyknął ktoś. Miszczu spojrzał na swoich towarzyszy i prychnął:
– Czyżby zabójstwo po polsku?
– Albo przynajmniej usiłowanie.
– Czyli też po polsku.
– No tak, nam nic nigdy nie wychodzi.



Kowalski wpatrywał się w Halinę Milewicz, dobiegającą czterdziestki rudowłosą kobietę, która przypominała gwiazdy muzyki pop z lat osiemdziesiątych. Długie kręcone włosy przepasane kolorową opaską. Bluzka

w panterkę, niebieskie legginsy i czerwone getry.

Na co dzień pracowała w sklepie z odzieżą, w weekendy śpiewała w zespole, który obsługiwał wesela. Podwójna rozwódka. Właśnie lizała rany po nieudanym i bardzo wyczerpującym małżeństwie.

Na jej ładnej twarzy zmęczenie rysowało się cieniami pod oczami i paroma zmarszczkami na czole.

Policjanci czuli od niej zapach alkoholu.

Wielce rozrywkowa panna – pomyślał Mischu, kiedy usiedli w kuchni i zaczęli rozmowę o Kramerskim.

Kiedy podkomisarz kątem oka analizował jej powabne kształty i sporządził w myślach profil seksuologiczny, Kowalski, raz po raz zerkając na notesu, próbował zweryfikować sensowność ich założenia.

Była zdumiona przyczyną ich obecności.

– Grzesiu? – zapytała, kładąc nogę na nogę i opierając się plecami o ścianę – U mnie? Do mnie? Dlaczego?

Pod bluzką zarysował się kształt dużych piersi. Mischu przygryzł usta i pomyślał sobie, że ich klient miał mnóstwo szczęścia. Taka babeczka wprowadziła go, czternastoletniego, w świat seksu – niewiarygodne. Po prostu bajka, marzenie każdego szczeniaka, który zaczyna odczuwać przemożne pragnienie spółkowania i z wypiekami na twarzy przegląda w kiblu wymiętolone świerszczyki.

Kiedy sierżant wspomniał, że wiedzą o ich wakacyjnym romansie, kobieta zaczerwieniła się i szepnęła:

– Owszem, to prawda. – Zamilkła, sięgnęła po papierosy, zapaliła i poszukała wzrokiem popielniczki. – Przeżywałam wtedy trudny okres, chciałam o czymś zapomnieć, więc... Był śliczny, miłutki. Ja wtedy dużo popijałam, byłam w rozrywkowym nastroju... – Zaciągnęła się. – Potem to uciełam, wysyłaliśmy sobie listy i pocztówki, a potem i to się skończyło.

– Był kiedyś u pani? – zapytał Kowalski.

– Parę razy – odpowiedziała, przysuwając do siebie kryształową popielniczkę.

– I co?

– Zasugerowałam mu, że nie przenocuję go, bo jestem z kimś.

– Jak zareagował?

– Bardzo się zdziwił, zasmucił i nawet chyba troszkę zdenerwował.

– Zdenerwował?

Milewicz zdusiła niedopałek i spojrzała na Mischu, który uśmiechnął się do niej.

– No zaczerwienił, sapnął parę razy. – Zamyśliła się. – Pamiętam, że mnie trochę przestraszył.

– Przestraszył? Dlaczego?

– Krzyknął, że chciał się ze mną ożenić. Mówił, że mnie kocha, że jestem dla niego najważniejszą kobietą. Przestraszyłam się, że zwariował na moim punkcie i zacznie robić problemy... Niestety mam szczęście do takich facetów – powiedziała i westchnęła.

– Jak to się skończyło?

– Okłamałam Grzesia, że zaraz przyjdzie mój znajomy policjant i w ten sposób udało mi się go pozbyć. Dał mi buziaka, zrobił minę zbitego psiaka i sobie poszedł.

– Kiedy to było?

– Rok temu, może dwa?

– A kiedy ostatni raz się widzieliście?

– No właśnie wtedy.

– Potem nie było żadnego kontaktu?

– Był. Ale telefoniczny. Dzwonił zawsze na moje imieniny i na święta.

– Wracał do ślubu?

– Żartobliwie. Na koniec rozmowy zawsze mi mówił, że mnie kocha i że mam to jeszcze raz przemyśleć.

Milewicz wzruszyła ramionami, wyciągnęła spod bluzki jakiś łańcuszek i zaczęła się nim bawić. Policjanci przyglądali się w milczeniu jej ruchom.

Uśmiechnęła się do nich.

– Muszę się napić – oznajmiła. – A może nawet upić. W końcu niecodziennie się dowiaduję, że byłam w łóżku z przyszłym mordercą. Dołączycie, panowie?

Kowalski pokręcił odmownie głową, a Miszczu poczuł podniecenie. Połączenie alkoholu z ładną, apetyczną kobietą kojarzyło się jednoznacznie. Wyszczrzył zęby, podrapał się po wąsach i powiedział:

– Może innym razem.

Spojrzała na niego z zaciekawieniem.

– Może, kto wie – mruknęła i wyszła z kuchni.

Po plecach podkomisarza przebiegły ciarki.

XLVII

Katia spojrzała na Ulę, dwudziestosiedmioletnią szczupłą blondynkę, ubraną w szary, znoszony dres, która wytarła zaczerwienione oczy i pociągnęła nosem.

Wysłuchawszy jej przerywanej licznymi pauzami opowieści o romansie z gwałcicielem i przyszłym zabójcą, zasępiła się na moment.

Co za historia... – pomyślała, przypominając sobie jednocześnie zapłakane twarze żon Kramerskiego.

Gdzieś w tyle głowy wybrzmiewały fragmenty ich zeznań, z których wyłaniała się postać rozjuszonego samca o sadystycznych skłonnościach.

Nie wiedziała, jak zareagować. Nie umiała skomentować słów Uli, które skutecznie przygwoździły ją do fotela. Tkwiała w bezruchu jak zahipnotyzowana. Czowała, że trzeba jakoś ją wesprzeć, pocieszyć, ale nie przychodziło jej do głowy nic sensownego i specjalnie empatycznego. Niestety.

Nic poza: „Bardzo mi przykro, stara”, „Ja pierdolę, to przechodzi ludzkie pojęcie” albo: „Ciesz się, że przeżyłaś, różnie to przecież mogło być”.

Bo co można powiedzieć przerażonej dziewczynie, która dowiaduje się, że jej były kochanek, czarujący, ognisty i szarmancki mężczyzna, to niebezpieczny psychol, wściekle zwierzę?

Pojeb, który z jakichś niewyjaśnionych powodów ją oszczędził?

No właśnie? Dlaczego jej nie skrzywdził?

Dlaczego jej nie pobił, zgwałcił, zabił?

Te pytanie przeniosły ją myślami do kilku nasiadówek z Ostrowskim

i Kowalskim, w czasie których zastanawiali się, dlaczego Kramerski zaczął zabijać, dlaczego zaczął akurat od Marzeny. Jaki czynnik to spowodował?

Zerknęła raz jeszcze na sympatyczną policjantkę, która z jakiegoś powodu przypadła do gustu Kramerskiemu.

Nie być zabitą. Ocaleć, przeżyć letnią przygodę z drapieżnikiem.

Ciekawe, co ja bym zrobiła na jej miejscu? – zapytała samą siebie i zadrżała.

Pewnie przez tydzień nie wychodziłabym spod prysznica. Z maniackim uporem szorowałbym ciało, żeby pozbyć się ostatniego atomu pozostawionego przez tego skurwysyna.

Ale pewnie to nie wszystko. Czułabym wściekłość, bezsilność. Wstyd.

Może wstyd przede wszystkim?

Wstyd, że dawałam dobrowolnie, a nawet ochoczo dupy komuś takiemu. Że pieprzyłam się z bydlęciem. Że się wypinałam przed nim, że mu obciągałam.

Albo wpadłabym w depresję, zaczęła pić, potem ciąć i ostatecznie wyłudowałabym w jakimś psychiatryku.

Jak z czegoś takiego się zwierzyć? Do czegoś takiego przyznać?

Katia spojrzała raz jeszcze na Ulę, która sięgnęła po kubek wystygłej już kawy.

Była pod wrażeniem faktu, że się pozbierała, zadzwoniła i przyznała do romansu. Dzielna laska.

Chrząknęła, zmieniła pozycję na fotelu, po czym zagadnęła, wracając do roli policjantki na służbie:

– Przepraszam, że pytam, ale to może być ważne.

Owszem, z czysto ludzkiego punktu widzenia, powinna do niej podejść i ją przytulić, szepnąć: „Będzie dobrze”, ale nagle poczuła przemożną potrzebę podrażnienia jednej sprawy. Na szczęście Ula była na to przygotowana.

– Pytaj – odpowiedziała, prostując się w jednej chwili. – Właściwie to powinnaś mnie przesłuchać. W razie czego.

– Gdzie się spotykaliście?

– Różnie. Czasami w kawiarni w Buku, czasami umawialiśmy się na spacer po lesie. W Pniewach byliśmy parę razy nad jeziorem. Raz wpadliśmy do Sierakowa.

– To wszystko?

Ula odłożyła kubek, zmrużyła brwi.

– Raczej tak.

– Nie miał jakiegoś specjalnego miejsca? Jakiegoś domku, chatki, jakiejś garsoniery?

– Hm...

– Tak?

– Myślisz o jakimś miejscu, w którym mógłby się ukryć?

– Na przykład.
– No ale mówiłaś, że klient spierniczył do Zielonej Góry.
– Tego nie wiemy. To jedyny trop, który się pojawił...Równie dobrze mógł się gdzieś zaszyć. Gdzieś na swoim terenie. Gdzieś w pobliżu.

Katia wzruszyła ramionami.

– Wiesz, jak to działa. Trzeba pomyśleć o każdej ewentualności.

– No tak, masz rację.

Katia wstała, wyszła na korytarz, w którym zostawiła swój plecak, wróciła do pokoju, wyjęła z wnętrza plecaka notes i z powrotem usiadła w fotelu.

– Zrobić ci jeszcze czegoś do picia? – zapytała.

– Nie, dzięki. Wiesz, jak tak sobie zaczęłam odtwarzać nasze spotkania, to...

– To?

– To przypomniałam sobie, że skurwiel zabrał mnie parę razy do Witkowic.

– Do Witkowic?

– Tak, to taka wioseczka, ze trzydzieści kilometrów od Poznania.

– Gdzie leży?

– Pomiędzy Kaźmierzem a Jeziolem Bytyńskim.

Katia zmarszczyła brwi.

– A dlaczego akurat tam cię zabierał?

– Bo Kramerski miał tam jakiegoś kumpla. Dawał mu na flachę, ten wychodził na parę godzin, a myśmy wtedy...

Ula westchnęła i spojrzała na swoje stopy ubrane w białe skarpetki.

– Rozumiesz?

– Rozumiem.

– Wydawali się dobrze zakumplowani. Kramerski parę razy wspominał, że jak ma wszystkiego dość, to wpada do Zezowatego i tam sobie odpoczywa od świata.

– Do Zezowatego?

– No, taką miał ksywę ten kumpel. Takie pijaczysko po pięćdziesiątce. Strasznie zapuszczone, ale sympatyczne.

Katia pokiwała głową, podniosła plecak, zajrzała do środka, wyciągnęła z niego koszulkę, do której przyczepiły się kajdanki, pogrzebała chwilę i w końcu wydobyła mapę Wielkopolski.

Rozwinęła ją i przez chwilę studiowała.

– Ale u ciebie zimno – mruknęła Ula, ziewając i jednocześnie klepiąc się po ramionach.

– Muszę odpowietrzyć kaloryfery, ale nie mam kiedy się tym zająć – odparła Katia i zamknęła mapę. – Słuchaj, ja tam pojedę i się rozejrzę.

– Gdzie?

– No do tych Witkowic.

– Kiedy?
– Teraz.
– Pogięło cię, dziewczyno? O tej porze? Przecież zaraz będzie ciemno. Już właściwie jest ciemno.

Katia spojrzała na zegar ścienny. Kwadrans po dziewiętnastej.

– Spokojnie. To ma być taka niedziela wycieczka. Rozejrzę się tylko.

– Czym tam pojedziesz? Przecież nie masz samochodu.

– Jeszcze nie wiem.

Policjantki spojrzały na siebie.

– Ale nie będę cię namawiać. Rozumiem, że nie chcesz odświeżać złych wspomnień.

Ula wypuściła powoli powietrze i szepnęła.

– Wspomnienia są świetne, i to jest najgorsze. Dopiero teraz te obrazy zaczynają się przepoczwarzać jak w horrorze. Najpierw widzę nagiego przystojniaka, który wie, jak mi zrobić dobrze, a dopiero potem dociera do mnie, że to...

Cisza.

– Kapuję, o co chodzi.

– Jadę z tobą.

– Co? – Katia zmarszczyła brwi.

– Jadę z tobą.

– Daj spokój, nie powinnaś. Zadzwoń po kogoś.

– Nie odgrywaj mi tu sceny z amerykańskiego filmu – mruknęła jasnowłosa policjantka i wyszczerzyła zęby. – „Ty zostajesz, ja pójdę sam”, „Nie. Idę z tobą”, „Nie pozwolę na to. Zostajesz”.

Śmiech.

Ula podeszła do Katii i przytuliła się do niej. Po chwili poklepała ją po plecach, odsunęła się i powiedziała twardo:

– Nie pozwolę, żeby ten chuj mnie obezwładniał czy paraliżował. Jadę z tobą. Rozejrzemy się, a potem spokojnie wrócimy do domów.

XLVIII

Kramerski energicznie wybijał rytm przeboju o kierownicę i próbował wtórować wokalistom:

– Daj mi tę noc / tę jedną noc! / Daj mi tę noc / tę jedną noc! – Refren przypomniał mu najlepsze dancingi, w czasie których skutecznie podrywał podpite imprezowiczki.

Zerknął w tylne lusterko i wyszczerzył do siebie zęby.

Był w dobrym humorze. Wizyta u Mirki okazała się strzałem w dziesiątkę. Wyspał się, najadł, poużywał, jednym słowem – odstresował. No i w efekcie wyciszył nieprzyjemną świadomość, że jest poszukiwany przez policję.

Szkoda, że już nigdy więcej nie będzie mógł się z nią spotkać.

Mirka. Niegrzeczna pani dyrektor. Cudowna kochanka!

Piosenka naprowadziła jego myśli na ulubioną poznańską restaurację, Adrię. Miejsce z niepowtarzalnym klimatem, jakich było w Poznaniu coraz mniej. Eleganckie, z klasą, choć pachnące ostrym seksem...

Bywał tam od czasu do czasu. Po każdej imprezie wychodził z jakąś rozochoconą babką, często mężatką.

Właśnie! – zastanowił się. Jaki jest mój typ kobiety? Jakie najbardziej mnie kręca? Ale tak naprawdę. Po czterdziestce? Te pulchniejsze, z dużym cyckiem. Rozwódki, te nie mają żadnych oporów, przed niczym.

Zarechotał, znowu zabębnił w kierownicę i zaśpiewał razem z muzykami:

– Tak niewiele trzeba nam / żeby bawić się do łez / Kolorowe oczy ścian /

reflektorów deszcz / Zapomnijmy jeszcze raz / o tym, że nam było źle / na to przecież przyjdzie czas / kiedy wstanie dzień // Daj mi tę noc / tę jedną noc! / Daj mi tę noc / tę jedną noc![6]

– Daj mi tę noc – zanucił.

To była dziwna noc, stwierdził w duchu, jak w amerykańskim filmie. Najpierw nieszczęsna akcja u Elki, a potem pełny relaks u Mirki. Seks, sen, seks i jeszcze raz seks.

Dobrze, że uwierzyła w moją bajeczkę. Kłamstwo to jednak klucz do sukcesu.

Przez głowę przepłynęły mu obrazy minionej nocy. Zaczęli w łazience. Gdy siedział w wannie, zmywając z siebie brud i złe wspomnienia ostatnich kilkudziesięciu godzin, nagle otworzyły się drzwi, a w progu stanęła Mirka. Ubrana tylko w czarne pończochy.

Jej oczy błyszczały, policzki były zarumienione. Wiedział dlaczego. Lubiała na niego patrzeć, gdy jego skóra błyszczała od wody.

– Wstań, Grzesiu – powiedziała. – Umyję cię.

Więc wstał, czując, że krew w żyłach zaczyna szybciej płynąć.

Westchnął. Mirka całkowicie zatracala się w pieszczotach. Była nienasycona, łapczywa. No nic, szkoda będzie tej znajomości.

Spojrzał na zegarek. Prawie dwadzieścia po dziewiętnastej.

Podrapał się po policzku.

Muszę się ogolić. Jak dobrze pójdzie, za jakieś dwie godziny powinienem znaleźć się w Zielonej Górze.

Było mu trochę głupio, że na koniec zabrał Mirce pieniądze i biżuterię, ale niestety, musiał to zrobić. Siła wyższa. Poza tym jest bogata, więc przeboleje jakoś stratę.

Ciekawe, czy zadzwoniła na policję, by zgłosić kradzież?

Spojrzał na szosę pogrążoną w mroku. Właśnie wjechał do Gaju Wielkiego. Zwolnił. Zagryzł usta, kiedy mijał sklep.

Gdzieś w tyle głowy zamajaczył mu obraz roznegliżowanej Honi.

A potem scena, w której miażdży jej krtań.

Wzdrygnął się.

Opuściwszy wieś, przycisnął lekko pedał gazu. Ujechał ze dwieście metrów, gdy dostrzegł, że nadjeżdżający z naprzeciwka samochód błysnął światłem.

Zmarszczył brwi.

– O co, kurwa, chodzi? – mruknął.

Nagle doszło go, że to mogło być ostrzeżenie przed drogówką albo jakimś policyjnym patrolem.

– Kurwa! – syknął, czując nieprzyjemny przyływ gorąca.

Przez jego ciało przebiegł dreszcz.

A może to na mnie czekają? Co robić?

Zwolnił.

Gdzie stoją? Za skrzyżowaniem? Na wysokości Młodaska?

Kolejny samochód mrugnął długimi światłami.

To musi być policja!

Znowu pech! Za jakie grzechy? O co chodzi? Przecież to jakaś paranoja!
Dlaczego oni w końcu się nie odczepią?!

Wyteżył wzrok i w świetle samochodów oraz przydrożnych lamp ujrzał policjanta unoszącego dłoń z czerwonym lizakiem. Jadący przed nim mercedes przejechał skrzyżowanie, zwolnił i zaczął mrugać prawym kierunkowskazem.

Kramerski wpadł w popłoch – tego było już za wiele! – i nacisnął hamulec. Opony zapisały, przyprawiając go niemal o zawał serca. Skręcił gwałtownie w prawo i wjechał w Kaźmierską, wąską i dziurawą szosę, po bokach której rosły drzewa.

Przyspieszył i zaczął się zastawiać, co dalej. Strach mieszał się z wściekłością. A wściekłość z bezsilnością.

Uderzył parę razy o kierownicę. Najchętniej zatrzymałby auto i skopał komuś dupsko. Albo ryj.

Kurwa, kto to widział mieć takiego pecha?!

Zerknął we wsteczne lusterko. Ktoś za nim jechał! Policja? Trudno ocenić. Może już namierzili taksówkę, którą ukradł, i dobrze wiedzą, czym się porusza?

To był błąd, że nie wymienił jej na coś innego. Jeszcze wpadnie przez tego głupiego gruchota.

Dlaczego jej nie zmienił? Dlaczego jest taki głupi? Dlaczego nigdy nie pomyśli, zanim coś zrobi? Może naprawdę ma obniżoną inteligencję?

Zaśmiał się nerwowo, przypominając sobie sugestie szkolnego pedagoga.

Kurwa mać!

Próbował skupić myśli, ale buzujące w nim emocje nie pozwalały na to. Wrzasnął z całej siły, a potem zaczął głęboko i powoli oddychać. W ten sposób po jakimś czasie zdołał się trochę uspokoić.

Jeszcze raz spojrzął w lusterko i jęknął. W oddali dostrzegł jakieś auto.

Wysunął język i lekko go przygryzł. Zgasił światła i skręcił w drogę gruntową. Po ujechaniu krótkiego odcinka wjechał do lasu i zatrzymał samochód.

Przekręcił kluczyk w stacyjce, a silnik zamilkł. Sięgnął po torbę i wysiadł. Rozejrzał się dookoła.

Wiatr owiał jego rozgrzaną twarz – przyjemne uczucie.

Spojrzał w górę, niebo było rozgwieżdżone. Wśród świetlnych punkcików dostrzegł charakterystyczne „W” Kasjopei.

Nagle przypomniał sobie lekcje przyrody, na których nauczyciel uczył ich rozróżniać gwiazdy.

„Jesienne niebo należy do grupy Perseusza” – usłyszał charakterystyczny

zachrypnięty głos sprzed wielu lat.

To były piękne czasy – przeszło mu przez głowę. Zadrżał – znał dobrze tę okolicę. Tutaj chodziło się kiedyś na grzyby, a szosą, z której przed chwilą zjechał, jeździło do Kaźmierza na zakupy, czasami do kościoła.

Ruszył w stronę Witkowic, małej wioseczki, w której mieszkał Zezowaty. Pijaczysko jakich mało, ale facet miał tę zaletę, że mieszkał sam i zawsze można było go odwiedzić. Z wódką albo dziewczyną. Gdy dało mu się na pół litra, wychodził z domu na parę godzin, mruczając zazwyczaj pod nosem: „A ruchaj sobie na zdrowie”. Warunki były, owszem, średnie, ale jednak były.

Zaraz, zaraz, czy nie przywiózł tam kiedyś tej fajniutkiej policjantki z Buku? Jak ona miała na imię? Nie pamiętał. Za dużo kobiet przewinęło się przez jego ręce...

Uśmiechnął się do siebie, ale chwilę później mina mu zrzędła.

Fala wspomnień uprzytomniła mu nieoczekiwanie, że ucieczka w Bieszczady jest beznadziejnym pomysłem. Więcej – że jego sytuacja jest po prostu beznadziejna!

Dopiero teraz dotarło do niego, że ucieczka z rodzinnych terenów byłaby czymś strasznym! Jak pójście na wygnanie, jak lot na inną planetę.

Co on tam mógłby ugrać? Z kim? Musiałby zacząć wszystko od nowa.

Jestem w ciemnej dupie – pomyślał. *W bardzo ciemnej i bardzo głębokiej dupie.*

Spojrzał na zegarek. Powoli zbliżała się dwudziesta.

[6] Fragment utworu „Daj mi tę noc” zespołu Bolter.

XLIX

Podinspektor drgnął, podniósł głowę znad maszynopisu i sięgnął po słuchawkę telefonu, który zaskoczył go w bardzo emocjonującym momencie opowieści. Zabójca właśnie dokonywał masakry w jednym z podpoznańskich gospodarstw. Przy pomocy siekiery.

– Bury – mruknął i wyprostował się nagle. – Nawijaj – rzucił ostro. Zmarszczył brwi, odsunął maszynopis i po chwili zapytał: – Kiedy? – Pokiwał głową. – Rozumiem. Gdzie? – Wbił wzrok w paznokcie. – Czyli nasz chujek dopiero opuścił Poznań? – upewnił się. Zamilkł, po czym zagadnął: – I co teraz zamierzacie? – Przygryzł usta. – Bardzo dobrze – stwierdził i dodał: – A zawiadomiliście chłopaków, którzy pojechali do Zielonej Góry? – No dobra, działajcie dalej.

Podrapał się po grdyce i odłożył słuchawkę. Usiadł wygodniej w skórzanym fotelu, który dostał dwa lata temu od teściów na urodziny.

Kolejna naiwna – pomyślał, ale natychmiast przypomniał sobie skrzywioną minę żony, która nienawidziła takich komentarzy, i zreflektował się. *Ale w sumie dlaczego naiwna? Skąd miała wiedzieć, że młody przystojny facet to niebezpieczny przestępca?*

Spojrzał na zegar wiszący naprzeciwko stylowego biurka. Była za dziesięć dwudziesta.

Z salonu dobiegły do telewizyjnej odgłosy. Chyba zaczęły się wiadomości sportowe.

Sięgnął po maszynopis, przeczytał parę akapitów, w których zakrwawiony i obśliniony szaleniec opuszczał pospiesznie miejsce zbrodni, i znowu go odsunął.

Nie mógł się skupić na lekturze.

Próbował sobie wyobrazić panią dyrektor banku, która romansowała z Kramerskim.

Swoją drogą, niezły był z niego zawodnik. Skuteczność na rynku seksualnym niemal stuprocentowa. Co on miał takiego w sobie, że tak przyciągał te baby? Gadkę, oczy, mięśnie, zapach? Pani prokurator, profesor, policjantka. Gdzie tkwi cholerny haczyk? Może feromony? Na pewno feromony! Bo co innego?

Buryła przypomniał sobie notatkę służbową, w której jeden z jego ludzi zapisał słowa nauczyciela Kramerskiego: „To był chłopiec zamknięty w sobie, stroniący od społecznych kontaktów, indywidualista”.

Jak to połączyć w sensowną całość?

Znowu spojrzął na zegar.

Gdzie on jest? Gdzie on w tym momencie zapierdala? Czy na pewno do Zielonej Góry? A jeśli nie?

– Gdzie jedziesz, cwaniaku? – mruknął, rozparł się w fotelu i omiół wzrokiem swój domowy gabinet.

Feromony – pomyślał i przypomniał sobie Harry’ego. Zadzwoń do gnoja. Może tym razem mnie zaskoczy i będzie w domu?

Sięgnął po telefon i wykręcił numer. Długi, przerywany, jednostajny dźwięk. Cmoknął z niechęcią. Skasował połączenie i wykręcił raz jeszcze. To samo.

Odłożył słuchawkę, odpiął jeden guzik koszuli, sięgnął po maszynopis, przeczytał fragment, w którym oficer dyżurny przyjmuje zgłoszenie o wymordowaniu rodziny, odłożył go i zamknął oczy.

Powrócił myślami do przedpołudniowej odprawy. Do tego jej momentu, w którym weszła pani Kasia i poinformowała ich o śmierci Henia.

– Henio – szepnął i poczuł smutek.

Tego się nie spodziewał. Ile on miał lat? Pięćdziesiąt parę. Góra sześćdziesiąt.

Westchnął. Przypomniał sobie jakąś popijawę, w czasie której grupka oficerów na wyścigi opowiadała najbardziej efektowne zatrzymania zbójów.

Uśmiechnął się. Ten swoisty pojedynek na opowieści niemal skończył się kłótnią. Ktoś się zaśmiał złośliwie, ktoś odpyskował, ktoś zaklął, ktoś wstał wkurwiony i łypnął złowrogo – na szczęście Henio walnął pięścią w stół i wzniosł toast za nowe porządki w Polsce. A gdy wszyscy opróżnili kielicha, oznajmił z pasją, że wzrastająca agresywność przestępców to efekt amerykańskich filmów.

– *Chłopy! Przypomnijcie sobie lata siedemdziesiąte i osiemdziesiąte. Szedłeś po klienta i on ci grzecznie wystawiał łapki do zaobrączkowania. Nikt nawet nie pomyślał, żeby stawić opór, uciekać czy, nie дай Boże, machać giwerą! A dzisiaj?*

Ulice San Francisco, do cholery, w centrum Poznania! To Hollywood pokazało bandziorom, że jest taka możliwość. Że można powiedzieć policjantom „Fuck off” i zacząć walić do nich jak do kaczek.

Henio przerwał i kazał rozlać następną kolejkę. Gdy wypili, podniósł palec w górę, spojrział na nich i mruknął:

– Pamiętacie zatrzymanie Kolanowskiego? Operacyjni spokojnie weszli na teren zakładu. Przedstawili się, zaobrączkowali koleżkę, który nawet nie fuknął, usadzili w samochodzie i zawieźli na komendę. Można było na spokojnie? Można. A czy teraz można? Nie, nie można. Kultura już nie ta. Przez amerykańskie filmy właśnie!

– Andrzej! – Podinspektor otworzył oczy.

– Chodź na kolację! – zawołała małżonka.

No miał rację ten Henio, ale czym byłoby nasze życie bez amerykańskich filmów?

– Andrzej!

Bury dźwignął się, wsunął stopy w kapcie i ruszył w stronę drzwi, zastanawiając się, co dobrego czeka go w kuchni.

L

Gdy minęły Gaj Wielki, Katia spojrzała na Ulę.

– Mogę cię o coś zapytać?

– Wal.

– To intymne pytanie.

– Lubię takie.

Roześmiały się.

– Chodzi o Kramerskiego.

– Wal – powtórzyła, choć mniej pewnie.

– Podobno facet był krótkodystansowcem.

– No i?

– Nie przeszkadzało ci to?

– Nie, szybko dochodzę.

– Szczęściara.

– To prawda. Większość moich koleżanek ma z tym problem.

Ula mruknęła coś pod nosem i uderzyła zniecierpliwiona o kierownicę.

– Co on się tak wlecze? – syknęła, po czym włączyła kierunkowskaz i gwałtownie przyspieszyła. Wróciwszy na swój pas, zerknęła w tylne lusterko, a potem spojrzała na Katię.

– Poza tym gość szybko odzyskiwał siły. Mógł raz za razem. Był niezmordowany.

– No chyba że.

– Zaspokoiliam twoj ciekawo?

miech.

– Tak.

– To zamknijmy ju temat Kramerskiego.

– Jasne.

– Ale proponuj kontynuowa temat seksu. Jak u ciebie te sprawy wygldaj?

Ula zagryla wargi i wbila wzrok w Kati, ktra zagwizdala i spojrzla w sufit auta.

– No dalej, stara. Opowiedz co o sobie. Masz faceta?



Samochd zjecha ze wirowej drogi i zatrzyma si pod samotnie stojcym drzewem.

Ula zgasila silnik, spojrzla na zegarek. Byla dwudziesta.

– To gdzie tutaj – mrukla.

Policjantki wysiady z samochodu i rozejrzay si po kiepsko owietlonej okolicy, ktra sprawiaa wraenie pospnej wizytwki minionej epoki. Miejsce w sam raz na jaki dokument interwencyjny. Kilkanacie zaniedbanych domw, smrd krowiego ajna i przewleke poszczekiwanie psw.

– Romantyczny zaktek – skwitowala Katia, po czym zapila kurtk pod szyj.

Zacza wiac przenikliwy wiatr. Ula wzruszyla ramionami.

– Latem wida tu przede wszystkim pikne pola i aki – odparla. – Troch dalej jest jezioro.

Zrobiy kilka krokw.

– Tam chodziłam opalać się z nim... nago.

Po tych słowach zapadła cisza.

Zrównały się z ceglanym domem, na dachu którego dumnie prężył się talerz anteny satelitarnej. Na furtce dostrzegły tabliczkę z napisem „Sołtys”. Do płotu podbiegł czarny pies, zaszczekał parę razy i zniknął.

Gdy przeszły kilkanaście metrów, zanurzyły się w ciemnościach. Gdzieś w oddali majaczyły jasne punkciki domostw. Nagle drogę przebiegł im kot – Katia poczuła lekki niepokój.

– Jesteś pewna, że dobrze idziemy? – zapytała.

W świetle dnia pomysł przyjechania tutaj wydawał się całkiem niewinny. Ot, niedzielna przejażdżka. Ale teraz jawił się cokolwiek ryzykownie. Nie miały broni i radiotelefonu.

– Tak. Pamiętam dobrze, że to było na uboczu.

Na uboczu – powtórzyła w myślach Katia. Wzięła głęboki oddech. *Ciemno, głucho, bezludnie* – przeszło jej przez myśl. Powinna o wszystkim zameldować Buremu. Albo zabrać ze sobą Ostrego. Byłoby rażniej. A przede wszystkim bezpieczniej.

Jeśli jakimś cudem Kramerski zboczył z trasy i postanowił zaszyć się u starego kumpla? No nie, bez przesady. Ze słów Uli wynika, że bywali tutaj jakieś dwa lata temu. Stare dzieje.

– Jeśli wyteżysz wzrok, zobaczysz chałupę Zezowatego.

Rzeczywiście. Gdy przymrużyła lekko oczy, dostrzegła kontur domu ze spadzistym dachem. Ciszę zakłócił nagle warkot samochodu, a potem ostry zryw i chrzęst żwiru.

Gdzieś nieopodal zawył pies. Przerażliwie, niczym wilk.

Kobiety odwróciły się gwałtownie.



– Co za pajac? – mruknął Kramerski, kiedy usłyszał charakterystyczny warkot.

W pierwszej chwili pomyślał, że to policja, ale zaraz potem zobaczył sylwetkę malucha, więc tylko wzruszył ramionami i szedł dalej.

Pewnie jakieś gnojki z nudów objeżdżają okoliczne wioski.

Minął drzewa i znalazł się na skrzyżowaniu drogi i ścieżki prowadzącej nad jezioro.

Splunął z niechęcią pod nogi. Półgodzinny spacer zmęczył go i zirytował. Marzył o gorącej kąpieli, ciepłym łóżku i namiętnej dziewczynie. Tymczasem czekała go samotna noc w twardym wyrze ustawionym w kącie zatęchłej meliny.

Kopnął kamień, który stoczył się z drogi.

Ale dobre i to. Gdyby nie został ostrzeżony przed patrolem, mógłby zostać zatrzymany, rozpoznany i przewieziony na komendę. Wtedy wszystko by się skończyło. Na amen.

Aż się wzdrygnął.

Siedział kiedyś w pierdlu za kradzieże, więc wiedział, jak smakuje wolność. To był zaledwie miesiąc, a przecież długo potem to odchorowywał. Niemal wpadł w depresję

Gdyby został skazany za zabójstwo... Lepiej nie mówić.

Znowu splunął.

Omiótł wzrokiem dobrze znaną okolicę, próbując uspokoić myśli.

Prześpi się u Zezowatego, a potem wsiądzie w autobus i ruszy do Zielonej Góry. Tam odpocznie i przemyśli wszystko raz jeszcze.

Bieszczady coraz mniej mu pasowały. W ogóle plan jakiegokolwiek ucieczki przestał mu pasować.

Tu jest jego rewir. Koniec, kropka!

Westchnął i ruszył przed siebie.

Będę musiał znaleźć jakiś sposób na dobry kamuflaż – pomyślał i zaczął przypominać sobie amerykańskie filmy, których bohaterowie skutecznie zmienili tożsamość.



- Co się stało?
- Nic. Potknęłam się.
- Noga cała?
- Tak.
- Szczęście nam sprzyja.

Ula przystanęła i spojrzała niepewnie na Katię.

- Nie idźmy tam.

Katia podniosła brwi.

- Dlaczego?
- Mam złe przeczucia. A jeśli on tam jest?

– To byłby jakiś niesamowity zbieg okoliczności. Nie ma tak dobrze. Według naszych ludzi klient powinien być w Zielonej Górze. Może nawet został już zatrzymany. I właśnie wraca w kajdankach.

Westchnienie.

– Ula, rozejrzymy się tylko i wrócimy. Nie pękaj. To tylko niedzielna wycieczka dwóch nadgorliwych policjantek.

Kobiety uśmiechnęły się do siebie i wznowiły marsz.



Kramerski zatrzymał się. *Muszę zapalić.*

Położył torbę na spróchniałym przewalonym drzewie. Wyciągnął papierosy, zapalił jednego i mocno się zaciągnął. Spojrzał na niebo – gwiazdy zniknęły za chmurami.

Z oddali dobiegła go zduszona wiązka przekleństw, poprzedzona brzękiem tłuczonego szkła.

Impreza trwa!

Zaczęło wiać i zrobiło mu się zimno. Dopalił papierosa, wdeptał niedopałek w ziemię, chwycił torbę i skierował się w stronę obejścia Zezowatego.

– Ciekawe, czy jest w domu? – mruknął pod nosem.

Idąc energicznym krokiem, zastanawiał się, kiedy był tutaj ostatni raz.

Zdaje się, że zabrał wtedy ze sobą tę policjantkę z Buku, całkiem fajną, ognistą dziewczynę o wielkich bordowych sutkach.

Ale jak ona miała na imię? Ania, Iwona? Nie, jakoś inaczej. Może Ala?



Policjantki stanęły przed pogrążonym w ciemnościach domem.

– A gdzie jest jakiś pies?

– Może wyprzedził swojego pana i zdechł na marskość wątroby? – rzuciła nerwowo Ula, która czuła się coraz mniej komfortowo.

Wycieczka śladami byłego kochanka i jednocześnie aktualnego ściganego zaczęła ją drażnić. A teraz, w tych ciemnościach, w tej dziurze zabitej dechami, nawet niepokoić. Wspomnienie nocnego koszmaru, w którym została zgwałcona i zabitego przez Kramerskiego, zaczęło się znowu uwyrażniać.

To był głupi pomysł – stwierdziła w duchu. *Cholera, nie, to był fatalny pomysł.*

Spojrzała na Katię. *Wczuła się w rolę* – pomyślała, widząc jej skupioną minę.

– Pukamy? – szepnęła.

Katia pokręciła przecząco głową.

– Obejdźmy rudere.

– Ale po co? – Cisza. – W robocie jesteś? – W głosie Uli wybrzmiała pretensja. – To miała być wycieczka! – szepnęła niemal histerycznie.

– Chodźmy. Nie marudź.

– Nie marudzę.

Katia roześmiała się.

– Czemu się śmiejesz? Mnie nie jest do śmiechu!

– Przepraszam.

– Za pięć minut spieprzamy.

– Dobrze.

– Zanim osiwieję.

Katia wyszczerzyła zęby i mruknęła:

– Myślę, że uda się zdążyć.



Kramerski zapukał do drzwi. Odczekał chwilę, po czym zawołał:

– Zezowaty! Otwórz!

Nacisnął dzwonek, ale nie usłyszał żadnego dźwięku. *No tak, tu niewiele rzeczy działa* – pomyślał i grzotnął parę razy pięścią.

– To ja, Grzechu! Wpuść mnie, chłopie – dodał.

Może śpi? Albo polazł do sąsiadów? A może to jemu zbita się butelka, kiedy maszerował do domu, żeby schlać się na noc?

Zachichotał i położył torbę na schodach. Wzniósł rękę, żeby ostatni raz zapukać, gdy nagle usłyszał jakieś dźwięki dobiegające z tyłu domu. Jakiś szelest? Skrzypnięcie? Ki chuj?

Zszedł ze schodów i zrobił parę kroków w głąb podwórka. Przystanął i spróbował przebić się wzrokiem przez ciemności nadgryzane przez światło sąsiednich domostw, ale niczego nie dojrzał.

Ciemno jak w dupie u murzyna.

– Zezowaty? – odezwał się. – To ty? Jesteś tam?

Cisza.

Pewnie kot. Albo lis.

Wrócił na ganek i nacisnął klamkę.



Gdy wyszły ze stodoły, do której przywiodły ich ciche popiskiwania młodziutkich kotów, usłyszały wołanie z przodu domu.

– To ty? Jesteś tam?

Ula instynktownie złapała Katię za ramię.

Ja pieprzę – zaklęła w myślach. *Co ja tu robię?*

Zastygły w bezruchu i zaczęły nasłuchiwać.

– To pewnie Zezowaty.

– Pewnie tak.

A jeśli nie? – pomyślała Ula i wzdrygnęła się.

Cisza. Do ich uszu dochodziło tylko stłumione ujadanie psów i warkot przejeżdżającego samochodu.

– Będziemy tak stać i strzyc uszami? – zapytała złośliwie Ula.

– Ktoś tu chyba stracił humor.

– Żebyś wiedziała... Katia, idziemy do niego czy nie? Jeśli nie, to wróćmy do samochodu i spadajmy, okej? Bo zaraz zejdę na zawał.

– Okej, jeszcze chwila.

Ula spojrzała podejrzliwie na koleżankę.

O co jej chodzi? Zachowuje się jak... jak policjantka na służbie. A może ona ma nadzieję, że jakimś cudem zjawi się tu Kramerski? Boże, to jest jakiś horror!



Nacisnął klamkę i pchnął drzwi, które zaskrzypiały tak przeraźliwie, że aż go przeszły ciarki.

– Jezu – wymamrotał i przestąpił próg. Wymacał włącznik i zapalił światło, po czym rozejrzał się po zagraconym i wydzielającym dziwną woń pomieszczeniu.

Brązowy piec kaflowy, telewizor, na nim ustawiony odtwarzacz VHS, na parapecie rząd butelek po jabolach, na środku ława, obok tapczan.

Ale pierdolnik. Przynajmniej nocleg za darmo – pocieszał się.

Zerknął w stronę otwartych drzwi.

– Chłopie, jesteś tu? – zawołał.

Cmoknął, odłożył torbę i usiadł na tapczanie. Oparł się wygodnie i wypuścił powietrze.

Właśnie tego potrzebował – usiąść na dupie, przymknąć oczy i odpłynąć.

Przesiedział chwilę w tej pozycji, ciężko oddychając. Potem spojrzał ponownie na ławę. Na rozłożonej „Gazecie Poznańskiej” leżała kiełbasa, pół bochna chleba, smalec i brudny nóż. Tuż obok kilka kaset wideo.

Urwał kawałek kiełbasy i zaczął gryźć.

Poszukał wzrokiem czegoś bezalkoholowego do picia, ale nie znalazł.

Przeżuwając powoli gumiate mięso, sięgnął po kasety i odczytał tytuły zapisane niebieskim flamastrem na białych naklejkach: „Ninoczka”, „Głębokie gardło”, „Lody na patyku”, „Fantastyczna orgia”.

Wyszczrzył zęby i pogłaskał się po kroczu. *W sam raz na podwieczorek* – stwierdził w myślach, zamknął oczy i zaczął sobie przypominać łóżkowe zabawy z Mirką. *Przydałby się mały wytrysk* – rozmarzył się.



– Zobacz! – szepnęła Ula, kiedy obeszły dom i skierowały się w stronę ganku. – Ktoś zapalił światło.

Katia podeszła do okna i zajrzała ostrożnie do wnętrza.

– Co widzisz?

– Jakiegoś faceta siedzącego na tapczanie z zamkniętymi oczami.

– To pewnie Zezowaty.

– No nie wiem. Ten jest młody i całkiem przystojny.

– Pokaż.

Zamieniły się miejscami.

Ula wbiła wzrok w mężczyznę i zamarła. Katia w tym czasie spojrzała w stronę wsi. Gdy po paru sekundach przeniosła wzrok na koleżankę, zmarszczyła brwi.

– Co się stało? – W jej oczach dostrzegła przerażenie. – Ej, co się stało?

– To on.

– Kto?

– No... Kramerski.

Katia spojrzała z niedowierzaniem na Ulę, czując, że podnosi się jej ciśnienie.

Odruchowo sięgnęła po broń, ale natychmiast przypomniała sobie, że przecież są tu całkowicie po cywilnemu.

– O kurwa – mruknęła. Na jej plecach pojawiły się krople zimnego potu. *Dlaczego nie zabrałyśmy ze sobą Ostrego?* – jęknęła w duchu.



Gdy przypomniał sobie swój ostatni wytrysk, jakim obdarowała go na pożegnanie Mirka, Kramerski otworzył oczy i spojrzał w okno.

Chyba coś zauważył.

Podniósł się leniwie z tapczanu, dopiął rozporek i zrobił parę kroków.

– Kto tam? – krzyknął. *Może to Zezowaty? Albo jakaś znajoma pijaczyna się przypałała w gości?*

Podszedł do ściany i nacisnął włącznik, który rozświetlił ganek. Otworzył drzwi i stanął w progu.

– Chłopie, to ty? – zawołał.

Cisza. Zszedł ze schodów.

Może mi się tylko wydawało?

Nagle w oddali, od strony wsi, dostrzegł ruch. Wyteżył wzrok. To była jakaś postać, która szła bardzo chwiejnym krokiem.

Znajoma sylwetka z butelką w dłoni.

Zezowaty, najebany jak meserszmit!

Kramerski pokręcił głową i usiadł na schodach. Z rozbawieniem śledził krętą ścieżkę starego kompana.

Ciekawe, czy się wyrżnie na mordę?

Pocieszny widok wprowadził go w dobry humor.

Zaczął pogwizdywać. Wszedłszy w muzyczny nastrój, przypomniał sobie pijacką piosenkę, którą ojciec lubił nucić na rodzinnych imprezach.

Jak to szło?

– W niedzielę rano dość czasu miałem, piękną dziewczynę więc zapoznałem – zaśpiewał pod nosem. – Z początku miała minę surową, lecz ja jej na to i to i owo, i to i tam, daję wam słowo, przyjemność mam.

Zarechotał, gdy zobaczył, że Zezowaty upadł. Spróbował przypomnieć sobie kolejną zwrotkę.

Zmarszczył brwi i zaczął recytować tekst, który bardzo lubił ze względu na jego seksualny podtekst:

– Gdy moja luba do łódki wsiadła, ruszyłem z wiosła, ona wypadła. Do góry nogi, do dołu głowa, a ja ujrzałem i to i owo, i to i tam, daję wam słowo, przyjemność mam.



Policjantki przywarły do ściany domu. Ledwo zdążyły uciec przed Kramerskim, który nagle wyszedł z domu.

Czyżby je zobaczył w oknie? Nie, chyba nie.

Oby nie.

Katia, opanowawszy niespokojny oddech, spojrzała na Ulę. W jej oczach dostrzegła przerażenie.

– Spokojnie – szepnęła, kładąc rękę na jej ramieniu. – Tylko spokojnie. Musimy zadziałać – dodała.

– Musimy?

– Musimy – syknęła Katia. – Inaczej koleś spierdoli i... – Zamilkła. Przypomniała sobie Agnieszkę, która posępnym głosem zacytowała w czasie przesłuchania swojego oprawcę: „Przecież lubisz na ostro. Wszystkie lubicie”.

Zagotowało się w niej. *Zobaczmy, czy ty lubisz na ostro.*

– Katia, nie damy rady! – warknęła półgłosem Ula i zacisnęła zęby.

W jej oczach malowało się przerażenie.

– Przecież to jest, kurwa, zabójca – szepnęła. – Furiat!

– Damy radę.

– Pierdolisz.

– Musimy dać. Przecież nie puścimy go wolno. Jak ty sobie to wyobrażasz?

Że teraz wsiądziemy do samochodu i uciekniemy? Jak jakieś grzeczne harcerki?

– Przede wszystkim nie wyobrażam sobie, że same go zatrzymamy. On nas zajebie.

Katia westchnęła.

– Poczekaj.

Zrobiła kilka kroków wzdłuż ściany. Czuła strach, ale i adrenalinę – widok przerażonej Uli podziała na nią motywująco.

Damy radę – pomyślała, próbując wprawić się w bojowy nastrój. I pokażemy chujowi, kto tu rządzi.

Wychyliła się ostrożnie. Kramerski wstał ze schodów. Przygryzła wargi, zastanawiając się gorączkowo, jak bezpiecznie obezwładnić klienta. Wróciła do Uli i szepnęła:

– Weźmiemy go z dwóch stron.

Zdjęła plecak i wyciągnęła z niego kajdanki.

– Dam ci znak i zaczniesz krzyczeć – odezwała się, wkładając je sobie za pas. – Policja, na głębę, nie ruszaj się, bo strzelam, takie rzeczy. Ja go zajdę od tyłu. Gdy upadnie, trzeba będzie mu spuścić ostry wpierdol, a potem szybko założyć kajdanki. Wtedy już będzie nasz.

Ula wbiła wzrok w ziemię i pokręciła głową.

– Weźmiemy go z zaskoczenia – rzuciła Katia, starając się, żeby jej głos zabrzmiał pewnie. Ucisnęła mocno koleżankę. – Weź głęboki oddech i skup się.

Po tych słowach zniknęła w ciemnościach.



– Co za jęłop – mruknął, kiedy zobaczył, że Zezowaty zgiął się w pół i zaczął spazmatycznie wymiotować. – Wciągnę jebańca do chaty – postanowił –

bo inaczej zaśnie w rzygowinach. – Włożył ręce do kieszeni i podszedł do pijaczyny. – Cześć, chłopie – mruknął, próbując zignorować odór wymiocin i nieprzetrawionego alkoholu.

Zezowaty wybełkotał coś niewyraźnie, podniósł zamglony wzrok, zachwiał się, po czym padł na ziemię. Kramerski westchnął, nachylił się i chwycił mężczyznę pod ramionami. Szarpnął i jednocześnie stęknął.

– Ożeż w mordę.

Nabrał powietrza, podniósł bezwładne ciało i pociągnął je w stronę domu. Pijackie rżenie przypomniało mu piątkową noc, kiedy w leśnych ciemnościach włókł trupa taksówkarza.

Zadrzał.

Przymknął oczy, próbując odpędzić nieprzyjemne migawki, gdy nagle usłyszał okropny wrzask:

– Policja! Na glebę! Na glebę, bo strzelam!

Kompletnie zaskoczony puścił Zezowatego i spojrzał przed siebie, zastygając w bezruchu.

W jego stronę biegła jakaś rozwścieczona kobieta. Zmarszczył brwi i odruchowo zrobił krok do tyłu.

Wygląda znajomo. Co to za pizdolina?

Wtedy przypomniał sobie imię policjantki z Buku – Ula.



Katia policzyła do trzech i machnęła ręką. Nocną ciszę przerwał wtedy przeraźliwy wrzask Uli:

– Policja! Na glebę! Na glebę, bo strzelam!

Tak jest! Do ataku, Domagała!

W tym momencie Katia wystartowała w kierunku Kramerskiego.

Rzuciła się na niego z impetem, wbijając mu kolano w plecy i jednocześnie uderzając przedramieniem w kark.

Mężczyzna jęknął i upadł na brzuch. Szarpnął się gwałtownie, gdy ścisnęła mu krtań.

– Nie ruszaj się, chuju! – ryknęła mu do ucha, a on w odpowiedzi wierzgnął nogami i zacharczał. – Nie ruszaj się, bo zajebię!

Ula stanęła nad nimi niezdecydowana, ale gdy zobaczyła, że Kramerski zdołał zmienić pozycję i przygnieść plecami koleżankę, zrobiła zamach i kopnęła w podbrzusze. Raz i drugi.

Mężczyzna wrzasnął przeraźliwie.

Katia wykorzystała moment, kiedy opór przeciwnika zelżał, i przewróciła go ponownie na brzuch.

On jest za silny, zabije nas! – pomyślała Ula, ale mimo to zwała mu się na nogi.

Wtedy poczuła ból – przygryzła sobie język.



Kiedy dostał w podbrzusze, odpłynął na chwilę. Ale zaraz potem zaczął analizować sytuację.

Brak męskich głosów. Nikt nie odbezpieczył broni, nikt nie strzelał.

To baby, dwie cholerne baby. Same. Bez wsparcia.

Są nieuzbrojone – pomyślał, próbując jednocześnie zmienić położenie twarzy. Wypluł ziemię z ust i skrzywił się.

Zamknął oczy. Drgnął, gdy niespodziewanie został przewrócony na brzuch.

Głupie pizdy – warknął w duchu. *Zaraz je zajebię. Zaraz je zapierdołę,*

głupie kurwy.

Świadomość, że został powalony przez kobiety, zaczęła przepęłniać go wściekłością.

Zacisnął szczęki i nagle poczuł, że ktoś wykręca mu prawą rękę.

Co jest?

Trzask kajdanek i bolesny ucisk dłoni.

O kurwości! Nie daruję!



Gdy Ula skoczyła na Kramerskiego, Katia chwyciła kajdanki, wygięła mu prawą rękę i sprawnie zatrzasnęła obręcz na nadgarstku.

A teraz druga łapa – pomyślała, uzmysławiając sobie, że to jest niemal nie do wykonania. *Kurwa, jak to zrobić? To jest jak ujeżdżanie wściekłego byka.*

Klient znowu wierzgnął nogami i zrzucił z siebie Ulę, która poleciała na ziemię.

Wtedy Katia błyskawicznie przywarła do pleców Kramerskiego, puściła jego rękę i wbiła mu kciuk w lewe oko. Stara sztuczka, którą kiedyś pokazał jej instruktor na kursie samoobrony.

Mężczyzna zawył przeraźliwie. Gdy to usłyszała, poczuła gęsią skórę. Przymknęła na moment powieki i docisnęła jeszcze mocniej kciuk, aż poczuła na nim wilgoć

Łzy, krew?

Jego ból ją podniecił. Wrzasnął. Ona też.

Boli cię? To masz jeszcze!

Miała wrażenie, że zaraz cała jej dłoń wedrze się w głąb twarzy tego skurwysyna.

Kramerski złapał się lewą dłonią za oko. Ona wtedy oderwała się od niego, wygięła ponownie prawą rękę, to samo zrobiła z lewą i błyskawicznie zatrzasnęła drugą obręcz kajdanek.

Jest! Jest!

– Leż, ścierwo, mówię! – ryknęła. – Leż!

Wypuściła powietrze, wyprostowała się i wytarła pot z czoła

– Jesteś zatrzymany – oznajmiła zachrypniętym głosem. – Zaraz zostaniesz przewieziony na komendę – dodała.



Wstała i w triumfalnym geście postawiła glana na jego głowie.

Niech poczuje się szmatą – warknęła w duchu.

Ciężko dysząc, spojrzała na Ulę, która jak zahipnotyzowana wpatrywała się w leżącego mężczyznę.

– Na tyłach domu jest siekiera – rzuciła, próbując nabrać powietrza. – Oparta o ścianę. Przynies ją, a potem biegnij do domu sołtysa, który mijaliśmy, i zawiadom policję. Szybko.

W oczach koleżanki dostrzegła przerażenie. W odpowiedzi wyszczerzyła zęby.

– Niezły początek przyjaźni, co?

Ula kiwnęła głową i ruszyła po siekierę, mając mętlik w głowie.



Odwaga zaczęła ustępować strachowi, dlatego chwyciła siekiere i przystawiła jej brudne, zardzewiałe ostrze do twarzy Kramerskiego.

– Rusz się, a rozwalę ci mordę – syknęła i spojrzała na zegarek. Za pięć wpół do dwudziestej pierwszej.

Za dwie minuty Ula dojdzie do najbliższego domu, a za cztery dodzwoni się na policję. Najbliższy komisariat mieści się w Kaźmierzu – to jakieś dwa kilometry stąd. Posiłki powinny dotrzeć na miejsce w ciągu dwudziestu minut.

Usiadła brutalnie na plecach Kramerskiego. Jęknął.

– Poleżakujesz sobie trochę – oznajmiła sucho, próbując poskromić wyobraźnię, która zaczęła w jej głowie wyświetlać nieszczęśliwe wersje dalszych wydarzeń.

W oddali zawył pies, potem kolejny i jeszcze jeden. Wsłuchując się w te posępne odgłosy, przypomniała sobie miejsce zabójstwa Honi.

A potem jej martwe ciało otoczone przez grupę policjantów.



Podawała adres, odłożyła słuchawkę i schowała twarz w dłoniach. Z jej oczu zaczęły płynąć łzy.

Rozszlochała się.

Mimo zamkniętych powiek cały czas widziała uśmiechniętą twarz Kramerskiego. Kramerskiego sprzed dwóch lat, kiedy pochylał się nad nią i powoli zanurzał się w jej nagim, opalonym ciele. Na jednej z plażyczek Jeziora Bytyńskiego.

Chciała wymazać to wspomnienie, zniszczyć, rozerwać na strzępy i wyrzucić daleko poza siebie, ale nie była w stanie.

Coraz wyraźniej słyszała jego głos, coraz mocniej czuła jego napierające ciało i zbliżający się orgazm.

Pieprzył ją seryjny zabójca. Pieprzyła seryjnego zabójcę.

– Proszę pani, proszę pani.

Ula otworzyła oczy i ujrzała paroletnią dziewczynkę, która stała w progu, trzymając w ręczce wielkiego pluszowego misia.

– Dlaczego pani płacze?

Obok dziecka przystanąła jej ciężarna matka, na oko trzydziestolatka.

– Myszko, idź do łazienki, umyj ząbki – poprosiła kobieta. Gdy dziewczynka odeszła, zagadnęła policjantkę: – Słyszałam, co pani mówiła przez telefon. – Zawahała się. – To straszne.

Ula otarła łzy.

– On tam ciągle jest?

Policjantka kiwnęła głową i wstała.

– Proszę się nie obawiać – odparła. – Sytuacja jest pod kontrolą. Facet leży na ziemi skuty kajdankami. Już nikomu nie zrobi krzywdy.

Pożegnała się i wyszła na zewnątrz. Uderzył ją powiew wiatru i pierwsze krople deszczu.

Wracając do Katii, czuła, jak zapętała się w niej jedno, dramatyczne pytanie: „Dlaczego mnie nie zabił?”.



Przygnieciony do chłodnej, mokrej ziemi przez wściekłą policjantkę, która położyła tuż przy jego policzku ostrze siekiery, mógł tylko bezsilnie dyszeć i zastanawiać się, co się właściwie stało.

Co poszło nie tak, jak go znaleźli? A właściwie znalazły. Głupie suki.

Spróbował się szarpnąć, ale wtedy znowu usłyszał krzyk i poczuł okropny ból w oku.

Nie uwolni się, nie da rady. Westchnął.

To Ula – przeszło mu przez głowę. To ona zawiadomiła policję, to ona wskazała im miejsce wakacyjnych spotkań. To przez nią...

Nagle poczuł gwałtowny powiew wiatru. Rozpadało się. Wsłuchując się w odgłosy coraz ostrzejszego deszczu, uzmysłowił sobie, że nadszedł koniec.

Zacisnął pięści i opadł twarzą na ziemię.

Po czole ściekały mu strumienie zimnej wody.

LI

Przystojny brunet w stylowych okularach przeciwsłonecznych opuścił broń i schował ją za paskiem. Nieznacznie poruszył zapalką, która tkwiła w lewym kąciku ust. Rozłożył ręce.

– *I can't do that* – mruknął do piekłącego się mężczyzny, a usłyszawszy wściekłe „*Why?*”, odpowiedział spokojnym, lekko zblazowany głosem: – Ja nie gadam z psycholami, tylko ich usuwam.

– Nie jestem psycholem, tylko bohaterem. Patrzysz na myśliwego. Jestem bohaterem nowego świata.

Sylvester Stallone pokręcił głową. W jego okularach odbijało się wnętrze sklepu.

– Jesteś zarazą – mruknął. – A ja lekarstwem.

Na ekranie błysnęło ostrze noża, który policjant wyciągnął przed chwilą spod kurtki.

– Giń! – krzyknął przestępca i podniósł strzelbę.

Marion Cobretti był jednak szybszy. Rzucił nożem. Celnie. Zawołał: „*Drop it!*” – i wystrzelił kilka razy.

„Bohater nowego świata” upadł na dymiącą lodówkę. Cobra zakręcił efektownie pistoletem i schował go za pas. Kamera zrobiła zbliżenie na białą rękojesc z wizerunkiem czerwonoookiego węża.

Stallone podszedł do martwego mężczyzny, wyjął z jego dłoni bombę, potem z własnych ust zapalkę, nachylił się nad zalęknioną dziewczyną i szepnął: „*Come*

on”.

Wtedy nastąpiło cięcie do sceny przed sklepem.

Ostrowski sięgnął po butelkę coli zmrożonej specjalnie na ten seans, wziął łyka i zamarł na dźwięk telefonu.

– Tylko nie to, tylko nie teraz! – syknął. Wstał z fotela i wyszedł na korytarz.

– Słucham – rzucił do słuchawki i po chwili zrobił wielkie oczy.

– O dżizas!

Odłożył słuchawkę i powiedział do siebie, naśladowując aksamitny głos amerykańskiego aktora:

– *I'm on my way.*



Podkomisarz odłożył maszynopis i sięgnął po słuchawkę.

– Buryła, słucham.

Dzwonił oficer dyżurny, żeby przekazać informacje o zatrzymaniu Kramerskiego. Usłyszawszy tę znakomitą wieść, naczelnik poczuł mrowienie na skórze.

Yes, yes, yes!

Z trudem zapanował nad sobą i nie zwerbalizował swoich radosnych odczuć. Ściągnął usta w dzióbek i oznajmił sucho:

– Zaraz jadę do firmy, dzięki – rzucił i się rozłączył.

– Cudownie – szepnął.

Wzrok ześlizgnął mu się mimowolnie w stronę barku, gdzie trzymał drogie trunki, jakie przywoziła mu regularnie żona z wyjazdów służbowych.

Później! – skarcił się. *A jednak Katia była strzałem w dziesiątkę. Furia.*

Pierwszy raz zwrócił na nią uwagę na strzelnicy, na której pojawił się

przypadkowo jakieś pół roku temu. Potem zobaczył jej zdjęcie w branżowym piśmie: stała ubrana w kimono. Zdaje się, że zdobyła dobre miejsce na jakimś turnieju. Zaintrygowany zaczął podpytywać kolegów i koleżanki z Komisariatu Grunwald. Większość z nich chwaliło ją za upór, sprawność fizyczną i umiejętność dogadywania się ze świadkami. Niektórzy kręcili głowami, mówiąc, że jest zbyt harda. „Trochę taki Serpico w spódnicy” – sarkali. „Może źle skończyć”. Ale to go nie zraziło, postanowił ściągnąć ją do swojego wydziału. Żona upewniła go w tym wyborze słowami: „Z wizerunkowego punktu widzenia to doskonale posunięcie”.

Buryła zatarł ręce, sięgnął po słuchawkę i wykręcił numer.



Redaktor Misiński uderzał energicznie o klawisze maszyny do pisania.

Gdy doszedł do końca linijki, przesunął wałek na lewą stronę, wydobywając ze swojej ukochanej eriki charakterystyczny dźwięk, po czym znów ruszył do pisarskiego ataku. Zatrzymał się w połowie zdania i westchnął.

Oparł głowę o zagłówek obrotowego krzesła, sięgnął po dymiącego papierosa i zaciągnął się mocno. Zakaszłał, odczuwając swoistą przyjemność. Lubił to drapanie w gardle.

Odłożył spopielonego papierosa, chwycił butelkę wódki i napełnił szklankę do połowy. Wziął duży łyk i syknął, czując ogień w przełyku. To też sobie bardzo cenił.

Spojrzał na urobek i skrzywił się.

– Co to, kurwa, jest? – mruknął. – Co to za głodne kawałki?

Zamknął oczy i schował twarz w dłoniach. *Ja nie umiem pisać kryminałów – jęknął w duchu. Zamiast budować zwartą dynamiczną akcję, wchodzę w jakieś pieprzone dygresje i w efekcie wychodzą mi poematy o chlaniu i dymaniu.*

– Jestem beznadziejny – szepnął i jednym haustem opróżnił szklanę. Wstał i zaczął krążyć po pokoju jak aktor po scenie. – Co to jest, ja się pytam? – krzyknął, podnosząc ręce. – Dlaczego nie potrafię skonstruować porządnej narracji, dlaczego zawsze ulegam swojemu pijackiemu gadulstwu?

Ściągnął buty, podszedł do sofy, z której gwałtownie zrzucił stos książek Alistaira MacLeana, i położył się na niej.

– Policjant powinien działać, a nie snuć jakieś pretensjonalne monologi o przepastnych głębiach ludzkiej duszy – rzucił w stronę sufitu. – Zabójca powinien zabijać, a nie sporządzać kabotyńskie spisy swoich byłych kochanek.

Zamknął oczy i zaczął szlochać.

– Jestem grafomanem – powiedział. – Nic z tego nie będzie. Do końca swoich dni będę szarym dziennikarzyną, który potrafi produkować tylko jakieś nędzne artykułiki do nędznej szmaty dla plebsu.

Zerwał się z sofy, podszedł do biurka i znowu nalał sobie gorzały. Gdy zbliżył ją do ust, rozległ się telefon.

Drgnął.

Nabrał powietrza, wypuścił, odłożył szklanę, wytarł oczy i sięgnął po słuchawkę.

– Misiński – odezwał i po chwili usłyszał głos zaprzyjaźnionego podinspektora. Zrobił wielkie oczy.

– Ożeż w mordę... – szepnął i usiadł na krześle. Słuchając najnowszych wieści, gładził klawiaturę swojej czarno-białej eriki. Gdy odłożył słuchawkę, wykręcił kartkę z fragmentem prozy kryminalnej i wkręcił czystą.

Odchylił się, wyciągnął ręce przed siebie, zastygł w bezruchu i nagle grzmotnął w klawisze.



Podinspektor Rambert smutnym wzrokiem wpatrywał się w fotografię przedstawiającą postać szczupłej trzydziestoparoletniej kobiety wpatrzonej gdzieś w bok.

Przygryzł usta i wypuścił powoli powietrze. Zawsze gdy spoglądał na jej portret, ostatni przed śmiercią, czuł ucisk w gardle. I zawsze zadawał sobie to pytanie: „Dlaczego?”.

„Dlaczego akurat ty?”

Westchnął, po czym schował zdjęcie do szuflady. Ściągnął okulary i przetarł szkła. Gdy nałożył je z powrotem na nos, rozległo się pukanie.

– Proszę.

W progu stanął umundurowany młody mężczyzna.

– Panie naczelniku, Kramerskiego zatrzymano.

Oficer zerwał się z krzesła.

– Co? Kiedy?! Gdzie?!

– Niedawno, w Witkowicach.

– W Witkowicach?

– To taka wiocha przy Jeziorze Bytyńskim.

Rambert zmarszczył brwi.

– A kto go zatrzymał?

– Posterunkowa Domagała.

Oficer ściągnął twarz i pokiwał głową z szacunkiem. *Punkt dla ciebie, Bury* – pomyślał. *Miałeś nosa do tej dziewczyny.*

– Świetnie – powiedział. – Jak przyjadą z klientem, mają go do mnie przyprowadzić. Będę go słuchał jako pierwszy. Ostrowski będzie protokołował – dodał po chwili. – Przynieście jakąś maszynę do pisania, bo moja się zepsuła.

Gdy dyżurny opuścił jego gabinet, podszedł do szafy, wyciągnął z niej teczkę, usiadł przy biurku i zaczął rozmyślać, jak zacznie przesłuchanie.



Miszczu zerknął na budzik ustawiony na wiszącej półce – parę minut temu minęła dwudziesta druga. *Trzeba będzie się zbierać. Nic tu po nas.*

Za piętnaście minut powinni przyjść młodzi, którzy w ramach zadania mieli zrobić rozpytanie wśród mieszkańców blokowiska. Może ktoś widział naszego klienta, zna go albo coś kojarzy.

Ziewnął, zasłaniając sobie usta, potem spojrzął na Kowalskiego, który przeżuwał kolejny kawałek makowca i jednocześnie przeglądał kartki pocztowe wysłane do Milewicz przez Kramerskiego. Ciekawe, co ten pojeb jej wypisywał.

Widok ciasta przypomniał mu, że od paru godzin nie miał nic w ustach. Przełknął ślinę i wyobraził sobie, że oto kładzie na talerzu gorącego, dobrze przyrumienionego kurczaka z różną, podwija rękawy i zabiera się za jedzenie. Zaburczało mu w brzuchu.

Przeniósł wzrok na Halinę, która siedziała osowiała na wersalce i wpatrywała się nieobecny wzrokiem w wyłączony telewizor.

Musi mieć niezłą zagwozdkę.

Przez chwilę kontemplował jej masywne uda, zastanawiając się, jak prezentowałyby się nago. W końcu wstał i zapytał, czy może zatelefonować na komendę.

– Tak, bardzo proszę – ocknęła się Milewicz i podeszła do barku, z którego wyciągnęła butelkę wódki.

Miszczu chwycił słuchawkę, wykręcił numer i zaczął z kimś rozmawiać.

W pewnym momencie zrobił wielki oczy i krzyknął:

– Co? Kiedy?!

Kowalski spojrzął zaintrygowany na kolegę i odłożył pocztówki na stół, natomiast była narzeczona zabójcy napelniła piędziesiątkę, wypila jednym haustem i powoli wypuściła powietrze. W jej oczach pojawiły się łzy.

Gdy podkomisarz rzucił zaafetowany do sierżanta, że Kramerski został

zatrzymany, rozplakała się i schowała w łazience.

– Kto go zatrzymał?

– Katia!

– Pierdolisz!?

poniedziałek, 20 października 1992

LII

Ciemność coraz natarczywiej zaczęła kleić się do jej zmęczonych oczu.

Gdy lunął deszcz, w oddali błysnęło, a potem rozległo się uderzenia pioruna. Kolejnym grzmotom towarzyszyło przejmujące wycie psów.

Katia zadrżała, czując, że narastający strach zaczyna ją paraliżować.

Gdzie ona jest? – myślała gorączkowo. – Gdzie jest Ula, gdzie jest wsparcie? Gdzie jest, kurwa, ktokolwiek?

Nagle Kramerski szarpnął się, strącając ją ze swoich pleców. Upadła w kałużę i krzyknęła przerażona.

Zabójca dźwignął się, gwałtownym ruchem pozbył się kajdanek i stanął nad policjantką.

– Coś ty myślała, pizdo niemyta? – warknął i położył nogę na jej brzuchu. – Pytam się! Coś ty myślała? Że wygrasz ze mną? Ze mną?!

Wykrzywił twarz, która teraz była twarzą jej znienawidzonego wujka, i nadepnął, sprawiając jej okropny ból.

To już koniec, on mnie zaraz zabije – jęknęła w duchu i zobaczyła, że wujek chwyta się za klamrę pasa i rozpina go sprawnym ruchem. Gdy usłyszała charakterystyczne brzęknięcie metalu, zamknęła oczy.

– Zanim cię zajebię – syknął – sprawdzę, jaka jesteś w środku.

Gdy rozpiął rozporek i zsunął majtki, Katia wrzasnęła z całej siły – otworzyła oczy i wyskoczyła z łóżka, zatrzymując się w progu drzwi.

– O Boże – szepnęła. – Co za sen.

Wyszła na korytarz, ściągnęła z siebie przepoconą koszulkę, oparła się o ścianę i próbowała uspokoić oddech.

Potem położyła się na dywanie i zaczęła szlochać. Wkrótce szloch zamienił się w spazmatyczny płacz.

LIII

Ostrowski spojrział na Kramerskiego, który na jego polecenie zaczął przed chwilą opowiadać o okolicznościach zabójstwa Marzeny Matysiak.

W popołudniowym świetle, wyspany i odświeżony po emocjonującym wieczorze, podczas którego został zatrzymany, a także wyczerpującej nocy, podczas której przyznał się do zarzucanych mu czynów, prezentował się zaskakująco dobrze.

Facet rzeczywiście jest przystojny – pomyślał i przez chwilę wpatrywał się w jego zabandażowane oko. *Auć. Ta dziewczyna to bestia, prawdziwa „zabójcza broń”* – stwierdził w duchu.

Po raz pierwszy zaczął się zastanawiać, jaka jest w łóżku, jaki to typ, co lubi.

Miał z tym pewien problem. Owszem, Katia strasznie mu się podobała, od jakiegoś czasu nosił się z myślą, żeby spróbować ją poderwać, ale nie potrafił jej sobie wyobrazić w łóżku. Co więcej, obawiał się, że ona jest niepodrywalna, że kompletnie nie interesują jej sprawy damsko-męskie.

Kramerski spojrział na niego, jakby chciał się przekonać, że jest słuchany. Sierżant dał znak, żeby kontynuował, z trudem wyciszając myśli o Katii.

– Zatrzymałem wóz, wyłączyłem silnik, zaciągnąłem ręczny i spojrzałem na nią. Na jej cudowne dołeczki na policzkach. Przygryzła wargę, tak jak to robią laski na teledyskach, bardzo zmysłowo, a potem uśmiechnęła się. Seksownie. Bardzo seksownie. Pamiętam, że miała jebitnie czerwoną szminkę. Podnieciłem się. Ale tak strasznie, że natychmiast poczułem, że mi stanął. Pochyliłem się w jej

stronę, położyłem rękę na udzie. Wtedy poczułem perfumy. – Zabójca zamilkł i wciągnął powietrze. Tak jakby chciał przypomnieć sobie ich zapach. – *My Melody Dreams*. Na sto procent. Są ostatnio bardzo modne wśród dziewczyn. Zakręciło mi się od nich w głowie. Pocałowałem ją, a ona odwzajemniła pocałunek.

– Odwzajemniła?

– Jak najbardziej, panie komisarzu.

– Nie jestem komisarzem.

– Ach, przepraszam... A kim pan jest?

– Sierżantem.

– Zapamiętam.

– Kontynuuj, Kramerski.

– Zaczęliśmy się ostro całować. Z języczkiem. Była w tym świetna. Cicha woda. Niby niewinna, grzeczna dziewczynka, ale tak naprawdę to gorąca sztuka. – Znowu zamilkł. – W którymś momencie włożyłem jej rękę pod spódnicę. Chciałem odchylić majtki, żeby dotknąć jej cipki. Ale odepchnęła mi rękę. Zdziwiłem się. Powiedziała, że za krótko się znamy. Ale jakoś tak cicho, słabo, więc napierałem dalej. Odepchnęła mnie. Warknęła, żebym przestał. Zrobiła to tak stanowczo, że odpuściłem temat. Podniosłem ręce do góry, uśmiechnąłem się i powiedziałem: „Okej, myślałem, że chcesz”. Ale prawdę mówiąc, nie było okej. Wkurwiłem się. Bo jak to? Umawia się ze mną, ubiera w seksi ciuszki, usta smaruje czerwoną szminką, jedzie ze mną do lasu, liże się jak suka i nagle mówi do mnie: „Przestań”? Najpierw mnie podnieca, szczuje wręcz, a potem odpycha?!

Kramerski rozłożył ręce i spojrzał wyczekująco na policjanta.

Ostrowski milczał nieporuszony.

Przestępca westchnął.

– Pomyślałem sobie, że może tak ma? – ciągnął dalej niezrażony. – Że najpierw stawia opór, a potem zamienia się w dziką bestię.

Poprawiła kieckę. Spojrzała w lusterko, wyciągnęła szminkę i pomalowała na nowo usta.

– *Masz papierosy? – zapytała. – Zapaliłabym.*

– *Pewnie – odpowiedziałem, czując, że mój kutas cały czas stoi wyprostowany.*

Westchnąłem i zobaczyłem kątem oka, że ona się uśmiecha.

Pogrywa sobie ze mną, pomyślałem. Ale nic, wyjąłem z wewnętrznej kieszeni marynarki paczkę marlboro, poczęstowałem ją.

– Uchyliłem drzwi, zapaliliśmy i zaczęliśmy rozmawiać.

– O czym? – zapytał Ostrowski.

– O jakichś pierdołach. Trwało to parę minut. I proszę słuchać, co było dalej. Ona w pewnym momencie spogląda na mnie i znowu zagryza wargi.

- *Fajny jesteś.*
- *To dlaczego się wzbraniasz? – pytam, irytując się.*
- *A co ty taki szybki jesteś?*
- *Jak to szybki?*
- *Na pierwszej randce już byś chciał?*
- *No a dlaczego nie? – mówię. – Pewnie, że tak.*
- *Nie jestem taka.*

– Tak powiedziała: „Nie jestem taka”. Myślę sobie, że niby jaka, że siedzi ze mną, migdali się, uśmiecha. Że niby co to ma znaczyć? Jak nie jest taka, to po chuj my tam siedzimy, dlaczego nie każe się odwieźć do domu? Myślę, że ściemnia, że po prostu lubi przeciągać. Może czuje się bardziej dowartościowana, kiedy widzi, jak facet się na nią napala?

- *Co teraz?*
- *Muszę siusiu – powiedziała.*

Wysiadła z samochodu i poszła w krzaki, kręcąc przy tym swoją kształtną dupą.

Ja też wysiadłem.

Oparłem się o drzwi od strony kierowcy i zapaliłem sobie drugiego papierosa.

Patrzyłem na pole i zastanawiałem się: „Da czy nie da? A jak nie da, do której dziewczyny można by się odezwać na małe co nieco?”

Musiałem sobie ulżyć, musiałem z kimś pójść do łóżka.

– *Zacząłem sobie wyobrażać, że jakaś fajna dziewczyna robi mi – zawahał się – dobrze ustami. Marzena wróciła i stanęła obok mnie. Przytuliła się i znowu poczułem zapach jej perfum.*

- *Grzesiu, ty masz wzwód – szepnęła.*
- *Dziwisz się? – spytałem i zacząłem ją całować.*

Nie stawiała oporu.

Obróciłem ją tyłem do siebie, zacząłem gadać jej do ucha różne świństwka. Ale gdy sięgnąłem znowu pod spódnicę, odepchnęła mnie i zaczęła wrzeszczeć jak pojebana.

Gdy już się uspokoiła, warknęła:

- *Mówiłam, kurwa, że dzisiaj nie! Nienormalny jesteś czy co?*

Kramerski urwał.

Zagryzł wargi i spojrzał na dłonie, które oparł na kolanach. Potem przeniósł wzrok na żyrandol i podrapał się po jabłku Adama.

Coś tak nagle zamilkł, cwaniaczku? – pomyślał Ostrowski i zerknął na magnetofon, który rejestrował wyjaśnienia przestępcy. Według sierżanta wyjaśnienia były przynajmniej trochę ubarwione, żeby jakąś cząstkę winy przenieść na ofiarę.

Policjant skrzywił się, patrząc na protokół przesłuchania, który będzie musiał jeszcze dzisiaj wypełnić. Wyjął z kubka długopis, przekreślił na karcie dokumentu „MO” i wpisał obok „Policja”.

– No i co było dalej? – zapytał, spoglądając na Kramerskiego.

Przesłuchiwany wypuścił powietrze i się zaczerwienił.

– I wtedy coś mnie trafiło – odparł niepewnym głosem, o ton ciszej. – Nie wiem co. Po prostu poczułem wściekłość, wpadłem w furję. Sięgnąłem po klucz francuski, który leżał z tyłu na podłodze. I...

Westchnienie.

– I?

– Uderzyłem ją. Raz, drugi, może trzeci. Nie pamiętam, ile razy.

Cisza.

– Co dalej?

– Co dalej? Zrobiła wielkie oczy i przewróciła się.

Cisza. Sierżant poruszył dłonią, Kramerski podrapał się po głowie.

– Wsiadłem do samochodu – dodał. – Zapaliłem kolejnego papierosa.

– Zaraz po zabójstwie?

– Tak.

Ostrowski zrobił dzióbek.

– Musiałem się... musiałem się uspokoić – wyjaśnił przestępca.

– No tak... Dusiłś ją?

– Nie.

– Na pewno?

– Na pewno.

– To ciekawe.

– Dlaczego?

– Bo na szyi znaleziono ślady duszenia.

– Nie przypominam sobie tego.

– Nie przypominasz?

– No nie.

Ostrowski kiwnął głową i zamyślił się. Mimowolnie zaczął sobie wyobrażać Katię, która rzuca się na zabójcę, wbija mu kciuk w oko, obrączkuje i siada na plecach.

Filmowa scena – stwierdził w duchu. „Revenge” – taki powinien nosić tytuł film, którego scena kulminacyjna nawiązywałaby do zatrzymania tego chuja.

– No dobra, Kramerski, zapaliłeś trzeciego papierosa. I co dalej?

– Pamiętam, że na pole wyszły sarny. Spora gromadka. To mi przypomniało dzieciństwo, wtedy często chodziłem na spacer z lornetką, żeby podglądać dzikie zwierzęta. Zamyśliłem się. Po paru minutach wysiadłem z auta. Spojrzałem na Marzenę. Nie ruszała się. Sprawdziłem oddech. Nic. Zdjąłem z palców pierścionki.

Potem zaniósłem ją w krzaki, obok rowu. Przykryłem jakimś trawskiem i wróciłem do samochodu.

– A co z kluczem francuskim?

– Nie pamiętam. Pamiętam tylko, że po wszystkim zapaliłem.

– Znowu?

Kramerski zaśmiał się.

– No znowu. – Rozłożył ręce. – Moja żona goni mnie za te papierosy, ale nie jestem w stanie ich rzucić. To mnie uspokaja. Relaksuje. Więc palę poza domem, jak najwięcej.

– Boisz się swojej żony?

Śmiech.

– No, wolę jej nie wkurwiać. Wie pan, jak to jest z żonami. Lepiej z nimi nie zadzierać.

– No tak... Pijesz?

– Niespecjalnie. Głowa mnie boli po alkoholu.

– Rozumiem. Co było dalej?

– Potem zajrzałem do torebki. Niezły burdel. Wyciągnąłem z niej portfel, sprawdziłem, czy są jakieś pieniądze. Były, niedużo, ale jednak, więc się ucieszyłem, bo mi zawsze brakuje pieniędzy. Nie wiem, jak to się dzieje. Irena mówi, że jestem rozrzutny. Pewnie ma rację. – Wzruszył ramionami i dodał: – Ale nie umiem z tym nic zrobić. Po prostu pieniądze się mnie nie trzymają.

– Okej, jedź dalej.

– Dalej? Co było dalej? Aha, zapaliłem samochód i ruszyłem do rodziców.

– Do rodziców. Po co?

– Żeby doprowadzić się do ładu. Lubię do nich czasem wpaść. Wziąłem prysznic, zjadłem obiad, wypilem kawę i pojechałem do Poznania. A dokładniej do baru Malta, gdzie pracuje Irena. Poczekałem, aż skończy swoją zmianę i razem wróciliśmy do domu, czyli do Puszczykowa.

– Grzeczny mąż z ciebie? – rzucił ironicznie Ostrowski.

Kramerski wzruszył ramionami.

– Można tak powiedzieć.

– Podobno bywasz o nią zazdrosny? – Sierżant spojrzał na przesłuchiwanego, który nagle spoważniał. – O poprzednią zresztą też.

– Zna pan przecież kobiety. Z nimi trzeba ostro, bo inaczej... Inaczej będą się kurwić.

– Z tego, co ustaliliśmy, to ty zadawałeś się z kurwami.

– To co innego, panie sierżancie.

Ty jebana mendo – pomyślał Ostrowski, krzywiąc się z odrazą.

Drzwi się otworzyły, a Ostrowski i Kramerski spojrzeli na mężczyznę, który wszedł do pokoju, przerywając zaczęty właśnie wątek zabójstwa Honi.

To był podinspektor Rambert. W ręku trzymał dymiący kubek. Upił łyk i rzucił:

– Nie przeszkadzajcie sobie, chłopaki. Chciałem tylko posłuchać.

Sierżant wciągnął zapach kawy, który właśnie doszedł do jego nozdrzy, i kiwnął na przesłuchiwanego.

– No więc zatrzymałem samochód przy lesie. Wziąłem kocyk, złapałem Honię za rękę i ruszyłem z nią w stronę gruszy. – Kramerski spojrzął na Ostrowskiego i podniósł palec. – Zaznaczam – powiedział z naciskiem – że jej do niczego nie zmuszałem. Sama chciała. Mówiła, że uwielbia się pieprzyć pod gołym niebem. – Zamilkł, a po chwili kontynuował: – Boże, jaka ona była podniecona! Czy pan wie, że Honia na nasze spotkanie nie założyła biustonosza? Tak, tak. Szliśmy w stronę tej gruszy, a ona zaczęła rozpinać koszulę. Kiedy zobaczyłem jej wielkie białe cycki, pociemniało mi w oczach. – Urwał i się zadumał. Posmutniał. – Żałuję, że ją zabiłem – mruknął. – Polubiłem ją. Rzadko się zdarza taka równa kobitka.

Westchnął, a Ostrowski zmarszczył czoło.

Czyżby ten koleś odczuwał empatię? – zdziwił się. *A może to jego penis zatęsknił za świetną kochanką?*

– Mów dalej, chłopie.

– Tak jest. Rozłożyłem koc i zaczęliśmy się... Jak to ująć, żeby nie przeklinać przy... – zawiesił na chwilę głos, po czym dodał niepewnie: – Przy starszyźnie?

Rambert skrzywił się.

– I zaczęliście uprawiać seks – rzucił zniecierpliwiony Ostrowski

– O właśnie. Zaczęliśmy uprawiać seks.

– Czy coś się wtedy wydarzyło?

– Nie.

– Coś poszło nie tak?

– Nie. To było świetne ruchanko... Przepraszam, świetny seks. Honia była cudowna. Po wszystkim zwinąłem koc. Złapaliśmy się za ręce i wróciliśmy do samochodu. Zapaliliśmy, pogadaliśmy. Po paru minutach włączyłem silniki i ruszyłem.

Ostrowski przygryzł wargi i zerknął na Dżerego, który stał oparty o parapet.

– Po jakichś stu metrach natrafiłem na duże bajoro – ciągnął dalej Kramerski. – Przejechałem je i po chwili zgasł mi silnik. Próbowałem go uruchomić i nic. Przekręciłem parę razy kluczyk i nic. Zirykowałem się. Robiło się już późno i bałem się, że nie przyjadę na czas po małżonkę. Musiałbym się tłumaczyć, kręcić, a ona zawsze czuje, kiedy mijam się z prawdą. Wtedy milknie i mamy ciche dni... Coś okropnego...

Mężczyzna westchnął i dotknął zranionego oka. Zagryzł usta.

– Wysiadłem – podjął wątek – podniosłem maskę i zacząłem grzebać w samochodzie, ale nic z tego nie wynikało. Zresztą, co miało wynikać, skoro się na tym nie znam? W pewnym momencie z samochodu wyszła Honia. Zupełnie niepotrzebnie. Zupełnie. Gdyby nie wyszła, gdyby grzecznie siedziała na swoim miejscu, wszystko mogłoby się inaczej potoczyć. Nie doszłoby do tragedii.

Kramerski napił się kawy.

– Podeszła do mnie, objęła od tyłu – mówiąc to, zmrużył lekko oczy, jakby chciał dokładniej przyjrzeć się tamtej scenie. – A potem... Potem sięgnęła do rozporka. Rozpięła go, zsunęła spodnie, wyjęła kutasa z majtek i zaczęła go tarmosić. Ręką, najpierw ręką. Podnieciłem się, ale i wkurwiłem jeszcze bardziej.

– Dlaczego? – zapytał Ostrowski.

– No bo tak. Samochód się zjechał, i to w lesie. Musiałem pędzić do żony. Deszcz znowu zaczął padać. No i do tego wszystkiego nagrzana Honia, która nie umie się zatrzymać. Myślałem, że się wścieknę.

– *Późno już, musimy wracać.*

– *Grzesiu, chcę się z tobą pieprzyć.*

– *Tutaj? – pytam bezradnie.*

– *Na trasie są różne motele, możemy zatrzymać się w jednym z nich. Zadzwoń do domu i powiem mężowi, że przenocuję u rodziców.*

– *Muszę wracać do domu.*

– I co ona na to? – zapytał Ostrowski.

– Zaśmiała się i znowu ukucnęła. Wzięła ku... Przepraszam, penis do ust i zaczęła go ssać.

– *Przestań – warknąłem i złapałem ją za głowę. – Muszę wracać, bo inaczej moja żona się wścieknie – dodałem. – Nie lubi, jak się spóźniam.*

Zamarła i spojrzała na mnie z dołu.

– *Ty masz żonę?* – zapytała.

– Kiedy usłyszałem to pytanie, zrozumiałem, że będą kłopoty. Gdyby pan zobaczył jej minę.

Kramerski machnął ręką.

– Niepotrzebnie wspominałem o żonie. To był błąd... I przyczyna nieszczęścia. Gdybym powiedział coś innego, mogłaby odpuścić. Umówilibyśmy się na kolejną randkę i tyle. A tak to...

– Do rzeczy, Kramerski.

– Gdzie ja byłem? Ach, żona.

– *Ty masz żonę?* – zapytała oburzona.

– *No mam – postanowiłem rznąć głupa. – Nie mówiłem ci?* – zapytałem, wzruszając ramionami.

– *Nie, kurwa. – krzyknęła – Nie mówiłeś!*

Zrobiła się cała czerwona na gębie.

– *Musiałem zapomnieć.*

– *Zapomnieć?!*

– *Nie pytałaś, więc...*

– *Ty fiucie!* – wydarła się. – *Ty jebany chuju!*

Kramerski spojrzał na policjanta i pokiwał głową.

– Wpadła w histerię, panie sierżancie. Z oczy popłynęły jej łzy. Krzyczała, że myślała, że to wszystko na poważnie, że rzuci męża i weźmie ze mną ślub. I wtedy poczułem ból w penisie.

Zamilkł i odruchowo dotknął krocza.

– Ugryzła mnie! – jęknął, po czym dodał z wściekłością: – Normalnie ugryzła mnie w chuja!

Auc – syknął w myślach Ostrowski i zerknął na Dżerego, który wybałuszył ze zdumienia oczy.

– Zagotowało się we mnie – kontynuował Kramerski. – Gdy podniosła się z kucków, uderzyłem ją mocno kantem dłoni w szyję. Nieświadomie, automatycznie. Po prostu moja dłoń sama zadziałała.

Ostrowski kiwnął głową.

Normalnie kabaret – stwierdził w duchu.

– *Zademonstruj* – mruknął.

– Ale co?

– No przecież nie ugryzienie – prychnął sierżant. – W jaki sposób ją jebnąłeś, zademonstruj.

Kramerski pokazał rozwiniętą prawą dłoń, potem dotknął jej prawej krawędzi i na koniec przyłożył do krtani.

– Uderzyłem ją raz – odezwał się. – Upadła, chyba na wznak. Pamiętam, że chwilę potem ostro lunęło. Spojrzałem na nią. Odwróciłem się i zacząłem iść w stronę wsi, żeby znaleźć kogoś, kto pomógłby mi naprawić albo przynajmniej odholować samochód.

– A co z Honią?

– Nic. Leżała sobie.

– Leżała sobie?

– No tak. Myślałem, że po chwili oprzytomnieje i zaraz wstanie. Uszedłem ze sto metrów i zawróciłem. Podszedłem do niej. Leżała bez ruchu. Nachyliłem się i z przerażeniem stwierdziłem, że nie oddycha. Wpadłem w panikę. Zacząłem trząść się, dygotać. Nie wiedziałem, co robić. W końcu wziąłem z samochodu coś żelaznego. Jakiś klucz albo korbę i zacząłem uderzać w głowę.

– Ile razy?

– Nie pamiętam. Parę razy. Pięć, sześć. Potem przeniósłem ją w zarośla. Zabrałem jej portfel, ściągnąłem z palców pierścionki. No i zamaskowałem, żeby szybko jej nie znaleziono. Usiadłem w samochodzie, zapaliłem, odsapnąłem, i ruszyłem w stronę wioski.

Ostrowski spojrzał na Dżerego, który drapał się po brodzie i patrzył na przesłuchiwanego mężczyznę.

– Dlaczego ją zabiłeś?

– Nie wiem do końca. – Kramerski pokiwał głową.

– To była reakcja na ból?

– Nie. Chyba nie. Wkurwiłem się na nią i na sytuację.

– Rozumiem.

– Przestraszyłem się, że Honia tak tego nie zostawi. Że odwiedzi moją żonę i wszystko jej powie. No a po tym, jak ją jebnąłem w krtani, bałem się, że zawiadomi policję. Dlatego. Chyba. Tak myślę. – Kramerski westchnął. – Żałuję, że tak się stało. Lubiłem ją.

Milczenie.

– Po prostu czasami coś mnie trafia i tracę panowanie nad sobą. To jest, kurwa, silniejsze ode mnie, panie sierżancie.

– Rozumiem.

– No właśnie nie wiem, czy pan sierżant rozumie. Ja nie jestem mordercą. Z jakiegoś powodu wpadam w szal i...

Cisza.

– Wie to moja żona, dlatego zaprowadziła mnie do lekarza.
– Z tego, co wiemy, szybko zrezygnowałeś.
– To był błąd. To był wielki błąd. – Kramerski złapał się za policzek i zamarł w bezruchu.

Rambert zdjął kubek z parapetu, machnął ręką do podwładnego i wyszedł z pokoju.

Ostrowski spojrział na drzwi i przypomniał sobie moment, w którym jego szef przystąpił do przesłuchania. Skutecznego przesłuchania.

Jak to było, jak zaczął?

Założył okulary, zrobił niezwykle poważną minę i beznamiętnym głosem postawił mu zarzuty i zaraz potem zaprezentował roztrzęsionemu przestępcy niezbite dowody na jego zbrodnię.

– To tyle w temacie – mruknął, po czym dodał równie spokojnie: – Jutro zrobimy okazania ze zgwałconymi przez ciebie kobietami, przyjdą też twoje dwie małżonki, a na koniec pojawi się prokurator, który najchętniej skazałby cię na karę śmierci. Owszem, kary śmierci już nie ma, ale jeśli nie potraktujesz nas poważnie, czyli nie przyznasz się do wszystkiego, to twoja sytuacja będzie równie opłakana. A może nawet gorsza.

Rambert zamilkł. Zdjął okulary, przetarł szkła, ponownie je nałożył i wbił wzrok w Kramerskiego.

LV

Klient się rozgadał, więc Dżery postanowił, żeby kuć żelazo, póki gorące.

– Zrobimy przesłuchanie na życiorys – oznajmił, zdjął okulary, przetaił, nałożył z powrotem i serdecznym uśmiechem dał do zrozumienia, że audycja jest skończona.

Tak więc Kowal przejął zabójcę od Ostrowskiego i uzbrojony w kawę, pączki i solidną dawkę adrenaliny wziął się do roboty.

Podczas odpowiedzi na pierwsze pytania nie mógł się odpowiednio skupić. Cały czas jego wzrok ześlizgiwał się na opatrzone oko.

Jezu Chryste, ta dziewczyna to bestia. Istna furia.

Gdy Kramerski podejrzliwie zmarszczył brwi, zaczerwienił się, chwycił długopis i zerknął na protokół.

– Początkowo nie miałem trudności z nauką – mówił morderca. – Kłopoty zaczęły się w czwartej klasie. Któregoś razu grałem z kolegami w nogę. Pamiętam to jak dziś. Biegłem na bramkę, przewróciłem się i wtedy ktoś mnie kopnął w głowę. Straciłem przytomność. Obudziłem się w szpitalu.

– Jakie było rozpoznanie?

– Wstrząśnienie mózgu i pęknięcie czaszki.

– Długo leżałeś w szpitalu?

– Jakies dwa tygodnie.

– Rozumiem, że to był moment przełomowy w twoim życiu?

Przesłuchiwany spojrział na sierżanta niepewnym wzrokiem.

– To znaczy?

Ten przełknął pączka, popił kawą i wyjaśnił:

– Pytam, czy po tym kopnięciu zaczęły się twoje kłopoty.

– Kapuję.

Mężczyźni uśmiechnęli się do siebie.

– No tak. – Kramerski pokiwał głową. – Od tego wypadku zaczęły się moje kłopoty. Bardzo często bolała mnie głowa. Nie mogłem się na niczym skupić. Wszystko mnie irytowało. Nachodziły mnie smutne myśli. No i z nauką miałem straszne kłopoty. Nie szło mi to zupełnie. Powtarzałem czwartą klasę, potem piątą, aż w końcu rzuciłem tę przebrzydłą budę, która... – Urwał, skrzywił się i spojrzał w bok.

Być może wrócił pamięcią do tamtych chwil, kiedy jego biografia zaczęła obierać niebezpieczny kierunek – pomyślał Kowalski. Spojrzał na protokół, a potem przeniósł wzrok na Kramerskiego.

– Dlaczego rzuciłeś szkołę? – zapytał.

– No mówię przecież. Nie szło mi. Ciągle dostawałem dwóje, nauczyciele się ze mnie śmiali. Zacząłem pracować w gospodarstwie rodziców.



– Wolę z budyniem – odezwał się Kramerski, przeżuwając resztkę pączka i równocześnie wycierając w spodnie dłonie pobrudzone lukrem. – Ale dziękuję, był dobry – dodał, uśmiechając się promiennie.

– Najlepsze pączki robiła moja świętej pamięci babcia – oznajmił Kowalski z błyskiem w oku. – Do środka wrzucała odrobinę czekolady.

– Serio?

– Naprawdę. Genialny smak!

– Moja babcia robiła świetny żółty ser. Taki smażony. Wie pan sierżant, o jaki chodzi?

– Kojarzę – potwierdził policjant, oblizał palce i zmieniając ton głosu na bardziej oschły, powiedział: – No dobra, chłopie. Jedziemy dalej... Na czym to stanęliśmy?

Zabójca spoważniał i zaczął się zastanawiać.

– No... Mówiliśmy o tym, że rzuciłem szkołę i zacząłem pomagać rodzicom w gospodarstwie. Ale to też w końcu mi obrzydło.

– O właśnie. Powiedz coś więcej. Dlaczego ci obrzydło?

– Prawdę powiedziawszy, to obrzydło mi życie z rodziną, życie na wsi...

– Dlaczego?

Kramerski westchnął, złożył dłonie i przyłożył je do ust.

– Tam ciągle brakowało jedzenia. Ciągle trzeba było coś robić na polu, w gospodarstwie, nawet w sobotę. Poza tym te kłótnie, awantury...

– Awantury?

– Ojciec, jak się napił, a pił cały czas, to krzyczał na nas, bywało, że brał rzemyk ze stodoły i lał nas po plecach. Pojebus normalnie. Pierdolony sadysta. – Cisza. – Pamiętam, jak kiedyś uderzył matkę... Pięścią w brzuch. Gdy upadła, doprawił jej z buta, a potem wyrzucił z domu i zatrzaskał za nią drzwi na wszystkie spusty. Wrzeszczał, że może to nauczy ją rozumu. Potem usiadł przy stole, włączył telewizor i popijał sobie wódkę.

Kramerski zamilkł i zaczął szybciej oddychać. Gdy się uspokoił, dokończył wątek:

– Myśmy wtedy z siostrami zniknęli mu z oczu i schowaliśmy się w spiżarni na parę godzin. Gdy zasnął, przemknęliśmy cichutko korytarzem do swojego pokoju.

– A co z matką?

– Spędziła noc w oborze. Na sianie, z kurami i krowami. – Znow cisza. – Dzień po moich osiemnastych urodzinach ojciec wywołał kolejną awanturę. Przy kolacji. W pewnym momencie powiedziałem do niego, by się uspokoił. Pamiętam to do dzisiaj.

– *Ojca chcesz pouczać? – warknął. – Nie uczyli cię na religii, że ojciec jest święty?!*

– *Ty jesteś święty? – Zaśmiałem się. – Ty jesteś, kurwa, mistrzem pijaków – dodałem.*

Wydarł się na mnie i zamachnął. Byłem szybszy, przyblokowałem mu rękę i wykurwiłem z całej siły w policzek. Upadł. Przy pomocy matki wstał i wyszedł do pokoju. Coś tam mamrotał pod nosem.

– Od tego czasu był mniej wrywny do awantur. Ale ja już wiedziałem, że trzeba stamtąd spadać. Dzięki znajomym dostałem pracę w Poznaniu w zakładach

Cegielskiego i zamieszkałem w hotelu robotniczym.

– Jak ci było w Poznaniu?

Kramerski się uśmiechnął.

– Świetnie. Życie w mieście to super sprawa. Sklepy, ludzie, kobiety, knajpy, koledzy. Ciągłe coś się działo. Fajnie było. Przygodowo.

– A jak później ułożyły ci się relacje z ojcem?

– Parę miesięcy po wyprowadzce przyjechałem do nich na obiad. Matka długo mnie namawiała przez telefon. Było w porządku. Tamta sprawa rozeszła się po kościach. Ale jak wracałem do Poznania, przysięgłem sobie, że już nigdy nie wrócę na wieś. Za nic w świecie.



Kowalski zmarszczył brwi i spojrzał na klamrę pasa. Odsunął ją i stwierdził, że odpadł mu guzik od rozparka.

Zarumieniony spojrzał na przesłuchiwanego, ale ten nic nie zauważył, tylko wciąż patrzył nieobecny wzrokiem na okno.

Muszę jednak ograniczyć te pączki – stwierdził w myślach policjant, przyglądając się swojemu wydatnemu brzuchowi. Wciągnął go na chwilę, żeby poprawić koszulę. Westchnął i zerknął do zeszytu, w którym miał zanotowane najważniejsze tematy przesłuchania.

– Byłeś w wojsku? – zapytał.

Kramerski odwrócił głowę w stronę sierżanta.

– Nie byłem.

– Dlaczego?

– Komisja lekarska stwierdziła, że nie nadaję się do czynnej służby, więc przeniesiono mnie do rezerwy.

– Ucieszyłeś się z tego powodu?

Zabójca wzruszył ramionami.

– I tak, i nie.

– Co to znaczy?

– Ucieszyłem się, bo wojsko to jest dryl, a ja nienawidzę działać według rozkazów. A nie ucieszyłem się, bo większość chłopaków była w wojsku i się tym chwaliła. Wie pan sierżant, czego to oni nie zrobili, nie przeżyli. Cwaniaki. – W ostatnim słowie wybrzmiała złość połączona z pogardą. Kowalski skinął głową.

– Czułeś się wykluczony? – zagadnął.

– Że co?

– Czy czułeś się gorszy od rówieśników z tego powodu?

– Że nie byłem w wojsku?

– Uhm.

Kramerski zasępił się.

– No chyba tak. Fajnie jest mieć to w papierach. A poza tym... Poza tym trzeba przyznać, że kobiety podnieca mundur.

– Podobno podszywałeś się pod oficera.

– Czasami.

– Dlaczego?

– Bo to działa na baby. Mówi pan jednej z drugą, że jest porucznikiem, a im się robi mokro w majtkach. Tak to działa.



Kramerski sprawnie przemierzał swoją biografię. Gdy doszedł do pierwszego i wciąż prawnie niezakończonego małżeństwa, sierżant zarządził krótką przerwę.

Zapalili po papierosie, zamówili kolejną kawę, przewietrzyli pokój, pogadali chwilę o ostatnich meczach Kolejorza, po czym wrócili do meritum.

– Po pewnym czasie zorientowałem się, że widok kobiet strasznie mnie podnieca – oznajmił morderca. – Gdy spotkałem jakąś, nieważne gdzie, czy w kościele, czy w sklepie, czy w pracy, robiłem wszystko, żeby pójść z nią do łóżka. – Uśmiechnął się, spojrzął na Kowalskiego i powiedział z dumą: – Dziennie musiałem mieć pięć stosunków.

Sierżant pokiwał głową.

– I miałeś? – zapytał.

– Czasami tak, czasami nie. Gdy się nie udało żadnej poderwać, to sprawę załatwiałem ręką.

– No tak.

– Był taki okres, kiedy spotykałem się dziesięcioma kobietami naraz. Serio.

– A policzyłeś kiedyś, ile ich razem wszystkich było? Od początku, od pierwszego razu?

– Tak. Całkiem niedawno.

– I?

– Wyszło mi coś około pięciuset.

– Nieźle – bąknął Kowalski.

Ciekawe, ile ja miałem? – zastanowił się w duchu. *Pewnie z dziesięć razy mniej.*

– Dziękuję... – Kramerski uśmiechnął się i przejechał dłonią po włosach jak filmowy podrywacz. – Podobam się babkom, więc raczej nie mam większych kłopotów, żeby je namówić na seks – oznajmił, po czym dodał, przybierając poważną minę: – Niektóre same mi proponują.

– Co to były za kobiety?

– Różne, przeróżne. Młode, trzydziestolatki, dojrzałe. Zameżne, wdowy, panny. Czasami kurwy. Niektórym płaciłem, niektóre płaciły mnie. – Kramerski nachylił się do przodu i wyznał z dumą: – Raz udało mi się poderwać panią profesor z uniwersytetu. – Pokiwał głową. – Co to była za klacz! Któregoś razu myślałem, że mi urwie fujarę! – dodał i zarechotał.

Kowalski skrzywił się.

– Masz jakiś swój typ?

– Swój typ? – powtórzył przesłuchiwany. Po krótkim zastanowieniu odpowiedział: – Honia to był mój typ.

To dlaczego ją zabiłeś? – pomyślał sierżant.

– Ale to zrozumiałem dopiero po.... Po wypadku... Po tym tragicznym zdarzeniu pod lasem...

Milczenie. Morderca spochmurniał. *Ciekawe dlaczego?* – zastanowił się Kowalski. *Wyrzuty sumienia? Żal? Sentyment do dobrej kochanki?*

– Możesz opisać ten typ? – zapytał.

– Pomiędzy czterdziestką a pięćdziesiątką, to najlepszy wiek. Kobiety wtedy wiedzą, czego chcą, nie wstydzą się, lubią eksperymentować... Co jeszcze? Bujny biust, duże uda. Namiętna, głośna. Chociaż...

– Tak?

– Nie... Nie wiem, czy to na temat. Ale lubiłem, jak kobieta najpierw stawia mi opór, który muszę przezwyciężyć. Jakoś mnie to zawsze podniecało. Dlatego na kurwy szedłem w ostateczności.

– Jak myślisz, skąd to upodobanie do przemocy?

– Nie mam pojęcia.

– Nic ci nie przychodzi do głowy?

– Nie.

Cisza.

Policjant spojrział na przesłuchiwanego, którego wzrok zatrzymał się na paczce papierosów.

– Zapalisz?

– Chętnie.

Zapalili i zaciągnęli się. Kowalski strzepnął popiół do popielniczki i zagadnął:

– A pamiętasz, kiedy pierwszy raz użyłeś przemocy wobec kobiety?

– Hm...

– Zastanów się.

– Chyba pamiętam.

– Opowiedz.

– Miałem wtedy jakieś czternaście lat. W szkole pojawiła się nowa nauczycielka. Młoda, ładna. Któregoś razu poprosiła mnie, żebym przyszedł do niej do domu i pomógł jej skopać ogródek albo coś w ten deseń. Po pracy poczęstowała mnie zimną oranżadą. Siedzieliśmy na werandzie, ona się pochyliła i zobaczyłem jej nagie cycki. Były duże, białe. Przyłapała mnie na tym spojrzeniu. Uśmiechnęła się. Poczujęm, że sztywnieję. Podeszedłem do niej, uklękłem i zacząłem całować jej uda – była ubrana w krótkie spodenki. Początkowo się wzbraniała, odpychała mnie, ale nie dałem się odtrącić. Wyharczałem podniecony, by się zamknęła, potem zsunąłem jej te spodenki, następnie majtki i... – Kramerski urwał. Był cały purpurowy na twarzy. Wypuścił powietrze i dokończył: – ...zacząłem ją całować. W końcu przestała stawiać opór i zaczęła pojękiwać.

– Okej, wystarczy – rzucił Kowalski, czując, że robi mu się gorąco.

To byłby niezły materiał na jakiś thriller erotyczny – pomyślał. „Nagi instynkt” po polsku.

– Ale znowuż przez inną nauczycielką rzuciłem budę.

– Mówiłeś, że rzuciłeś, bo ci nie szła nauka.

– Generalnie mi nie szło. – Kramerski wzruszył ramionami.
– Opowiedz, jak było z tą nauczycielką.
– To była piąta klasa. Lekcja matematyki. Zostałem wezwany do tablicy. Musiałem rozwiązać jakieś zadanie. Nie potrafiłem. Coś tam zacząłem mazać kredą.

– *Co ty, chłopie, za bzdury wypisujesz? Zmaż natychmiast te absurdy!*
No to zmazałem. A ona wtedy zaczęła ze mnie dowcipkować. Klasa rechotała jak głupia. To się wkurzyłem i rzuciłem kredą o ścianę.

– *Co ty sobie myślisz, gówniarzu?! – wrzasnęła.*

– *Gówno sobie myślę – odpowiedziałem i wróciłem na miejsce.*

Nagle kazała mi wstać i iść do dyrektora.

– *Nigdzie nie pójdę! – wrzasnąłem. – Mam to w dupie!*

Ona zrobiła się cała czerwona na twarzy, chwyciła cyrkiel, taki wielki, którym czasami biła nas po łapach za brak zadań domowych, podeszła do mnie i się zamachnęła.

Chwyciłem ją za łokieć i odepchnąłem. Zachwiała się i upadła. Cała klasa była w szoku. Spojrzałem na te głupie zdziwione mordy i krzyknąłem:

– *Jebcie się!*

– Wyszedłem w pizdu. I nigdy już tam nie wróciłem. Stwierdziłem, że to nie dla mnie.

Kowalski ściągnął usta.

– Ile miałeś wtedy lat?

– Siedemnaście.

– Miałeś siedemnaście lat, będąc w piątej klasie?

– Dokładnie.

– Przezimowało się parę latek.

Kowalski pokiwał głową i zupełnie nieoczekiwanie przypomniał sobie Dziarego. Osiemnastoletniego chłopaka z fryzurą à la Rod Stewart, który pewnego razu wszedł do sali chemicznej w asyście zakłopotanej dyrektorki i hardo spojrział na nich, uczennice i uczniów ósmej be. „To wasz nowy kolega” – usłyszeli i zrobili wielkie oczy, nie przeczuwając nawet, jakich spektakularnych scen będą odtąd świadkami niemal każdego dnia.

Sierżant uśmiechnął się sam do siebie.

Któregoś dnia Dziary – ku rozbawieniu młodzieży i oburzeniu kadry nauczycielskiej – przyszedł do szkoły w stroju pletwonurka.

Ciekawe, co się z nim dzieje?

– A pan sierżant to pewnie po studiach? – zagadnął Kramerski.

Policjant kiwnął głową.

– A po jakich?

– Prawniczych.

– Też fajnie.



– Kobiety to jedno wielkie nieszczęście, panie sierżancie – powiedział nagle Kramerski bardzo poważnym głosem. Wzniósł palec w górę i pokiwał głową, jakby chciał nadać swojej myśli szczególną oprawę.

– Co masz na myśli? – zapytał Kowalski, trochę zaciekawiony, trochę rozbawiony.

– To one sprawiają, że mężczyzna głupieje. Jestem tego dowodem.

– Hm...

– Baby potrafią doprowadzić nas do rozpacz.

– Myślisz o jakimś konkretnym wydarzeniu?

– Poznałem kiedyś taką jedną. Krystyna jej było na imię. Mieszkała w Grodzisku. Poznałem ją na jakiejś dyskoteci. Zaczęliśmy się spotykać. Zakochałem się w niej. Ona też była mną zainteresowana. Ale gdy dowiedziała się, że mam żonę i dziecko, zerwała ze mną. Powiedziała, że tak nie wolno robić, że to jest niemoralne. Próbowałem ją przekonać, że nic nie czuję do Basi i że się z nią rozwiodę, ale była nieugięta. Pogoniła mnie. Mocno to przeżyłem. Chodziłem nieprzytomny przez kilka dni. Postanowiłem popełnić samobójstwo. Zażyłem dwa opakowania relanium...

Ten to jest gawędziarz – pomyślał Kowalski i zapytał:

– I co?

– I nic. – Kramerski rozłożył ręce i cmoknął przy tym. – Nic. Poza lekkim oszołomieniem. Na szczęście szybko przeszła mi ta rozpacz. Ale co się nacierpiałem, to się nacierpiałem. Przez te, za przeproszeniem, pizdy.

– Miałeś tylko jedną próbę samobójczą?

– Ze dwie jeszcze. Raz się ciąłem, raz się nałykałem jakichś prochów. Ale przeżyłem. Jak widać.

Śmiech.

Czyżby nerwowo?

Wszystko wskazuje na to, że klient jest strasznie zakompleksiony – stwierdził w duchu sierżant.



Drzwi się otworzyły, a w progu stanął Ostrowski.

– Strzała – mruknął i rozejrzał się po pokoju, jakby czegoś szukał.

– Widziałeś gdzie moją reklamówkę z kasetami? – zapytał po chwili.

– Nie – odpowiedział Kowalski, wstając z krzesła. – Posiedź chwilę z naszym gościem, a ja skoczę do łazienki – rzucił.

– *Take your time*, chłopie.

Sierżant wyszedł z pokoju i ruszył wzdłuż korytarza oświetlonego nieprzyjemnymi jarzeniówkami. Gdy siedział na klozecie, zastanawiał się, ile miał kobiet w swoim życiu.

Liczba, którą podał Kramerski, była dla niego zdumiewająca.

Pięćset kobiet.

Życie seksualne zaczął w wieku czternastu lat, teraz ma jakieś dwadzieścia siedem. A więc już trzynaście wiosen działa na tej niwie. Obliczając średnią, można powiedzieć, że rocznie ma trzydzieści osiem kobiet, co daje miesięcznie nieco ponad trzy kobiety.

– W mordę – szepnął Kowalski, myjąc ręce. – Zaiste, wynik porażający.

To stwierdziwszy, wyszedł na korytarz.

No chyba że kłamie, pieprzony mitoman – pomyślał, otwierając drzwi

pokoju. *Na pewno kłamie, no bo jak to? Taki wynik jest niemożliwy. Nie wierzę.*

Podał rękę Ostrowskiemu, który właśnie zabierał się do wyjścia, usiadł na krześle i zagadnął szorstko:

– Kramerski, mówiłeś coś o depresji. Rozwiń wątek.

– Byłem kiedyś na jakichś badaniach i lekarz stwierdził u mnie depresję. Zdziwiło mnie to trochę, odpyskowałem mu nawet, ale jak potem zastanowiłem się nad tym, to stwierdziłem, że coś w tym jest.

– Naprawdę?

– No tak. Często nachodzi mnie chandra, staję się małomówny, nic mi się nie chce. Mam niespokojne sny. Albo w ogóle nie mogę zasnąć... Pamiętam...

– Tak?

– Pamiętam, że kiedyś poszedłem na Most Królowej Jadwigi, żeby skoczyć i ze sobą skończyć.

– I?

– I w ostatnich chwili mi się odwidziało.

Kowalski zagryzł usta.

– Nie kłamiesz? – zapytał, robiąc groźną minę.

– Absolutnie! Panie sierżancie! – Kramerski dotknął dłonią piersi na wysokości serca.

– Pięćset kobiet to też prawda?

– Najprawdziwsza!

Sierżant skrzywił się i pokiwał głową.



Otworzył szufladkę, z której wyciągnął dowód osobisty. Otworzył na odpowiedniej stronie, położył na blacie i przysunął w stronę Kramerskiego.

– Co to jest? – mruknął.

– Ale co?

Policjant położył palec na kategorii „stan cywilny”.

– To.

Przestępca zerknął na wskazany punkt i zmrużył oczy.

– Ach, to. Rzeczywiście, sfalszowałem wpis w dowodzie osobistym.

Z „żonatego” zmieniłem na „kawalera”.

– Dlaczego?

– Z powodu Ireny.

– To znaczy?

– Powiedziała, że jeśli się z nią nie ożenię, to zerwie ze mną.

– Ona mówi, że to ty nalegałeś na ślub.

– Musiało się jej coś pomieszać. Pamiętam jak dzisiaj jej słowa: „Albo ślub, albo się rozchodzimy”. Przestraszyłem się, nie chciałem jej stracić. Więc któregoś razu wziąłem żyłkę i... i poprawiłem, co trzeba. Potem zacząłem załatwiać formalności w urzędach.

– Falszowałeś inne dokumenty?

– Zda... Zdarzało się...

– Jakie?

– Na przykład prawo jazdy.

– Opowiedz.

– Któregoś razu w autobusie znalazłem torbę zostawioną przez pasażera.

Otworzyłem ją i zobaczyłem, że znajdują się w niej dokumenty, między innymi prawo jazdy. Zabrałem je. A potem, już w domu, wieczorem, rozciąłem swoje i to znalezione na pół. Z mojego wykorzystałem stronę z nazwiskiem, a z tamtego stronę z uprawnieniami na samochody ciężarowe. Obie karty sklepiłem taśmą w taki sposób, że sprawiały wrażenie całości.

– Spryciarz z ciebie, Kramerski.

– Ano. Mówią, że jestem obrotny, że wszystko potrafię załatwić.

– I do tego skromniutki.



Czas kończyć na dzisiaj – pomyślał Kowalski i spojrzął na zegarek. Kwadrans po dwudziestej.

Westchnął i potarł zmęczony oczy.

– A wie pan, jaki jest mój rekord, jeśli chodzi o liczbę numerków z jedną kobitką? – zagadnął Kramerski.

– Nie mam pojęcia – odparł Kowalski, odczuwając lekką irytację.

– Proszę strzelać.

Policjant się zaśmiał i zapytał:

– „Wielką grę” prowadzisz, chłopie?

– No ile?

– No nie wiem. Cztery, może pięć?

Kramerski uśmiechnął się, wyprostował i wycedził:

– Czter-na-ście. – Widząc, że jego rozmówca zrobił wielkie oczy, zapewnił:
– Naprawdę, nie bajeruję.

– Pierdolisz! – jęknął Kowalski.

– Pod Bogiem, panie sierżancie! – zaperzył się przesłuchiwany. – Pracowałem wtedy... Już nawet nie pamiętam. Siedziałem sobie na dyżurze w centrali jakiegoś przedsiębiorstwa. Malwina miała na imię, telefonistka. Nieszczęśliwa mężatka. Siedzieliśmy sobie, gadaliśmy. Miała fajną miniówkę. Położyłem ręką na jej kolanie... i tak się zaczęło.

Kramerski zamilkł i rozmarzył się.

– Malwina – szepnął. – Ciekawe, co u niej słychać.

Kowalski spojrzął na magnetofon, po czym wyprostował się i rzucił krótko:

– Koniec przesłuchania.

Jebany kłamca – pomyślał i obdarzył swojego rozmówcę podejrzliwym spojrzeniem. *Za dobry masz humorek, gnoju.*

– Jak tam twoje oko? – zapytał po krótkim namyśle i uśmiechnął się

promiennie. A gdy spostrzegł, że zabójcy momentalnie zrzęda mina, dodał:

– Mam nadzieję, że wybaczysz naszej koleżance. Nie było innego sposobu, żeby cię unieszkodliwić. Byłeś bardzo niegrzeczny.

Kramerski skrzywił się i wbił wzrok w swoje buty.

LVI

Podinspektor Buryła zaparkował samochód pod blokiem, wysłuchał do końca wiadomości, które zostały zakończone krótką rozmową z nim na temat „mistrzowsko poprowadzonego śledztwa” w sprawie Krwawego Playboya, i wysiadł.

Zrobił parę kroków, przystanął i rozejrzał się dookoła – osiedle Czecha.

Czy to nie tutaj mieszkał pener o ksywie „Opiekacz” – zastanowił się.

Wyciągnął z wewnętrznej kieszeni prochowca papierosa oraz benzynową zapalniczkę. Powąchał ją. Uwielbiał ten zapach.

Zapalił.

Facet wchodził do mieszkań ulokowanych w kamienicach, sadzał staruszki na rozgrzanych piecach i dzięki temu błyskawicznie wydobywał od nich informacje o skrytkach na pieniądze i kosztowności.

Z pracy operacyjnej wynikało, że klient pracuje jako kotłowy w jakiejś podpoznańskiej fabryce.

Pojechali na miejsce we trzech. Weszli do hali, a tam na szczycie smolistej hałdy stał pogromca staruszek. Zobaczywszy ich, chwycił łopatę, zaczął nią machać, jednocześnie wykrzykując jakieś groźby. Jakby się naoglądał filmów z Bruceem Lee. Matoł.

Podeszli do podnóża, spojrzeli na niego i zaczęli się śmiać. Wtedy on zwątpił, odrzucił łopatę, zszedł i grzecznie dał się zaobrączkować.

Bury się zaśmiał.

Mało filmowa realizacja – pomyślał. Chociaż nie, jakby ją umieścić w jakiejś komedii z Leslie Nielsenem w roli głównej, mogłaby fajnie zadziałać.

Wypalił do końca papierosa, zerknął na budkę telefoniczną, w której jakiś facet żwawo wymachiwał rękoma, podszedł do klatki schodowej i ruszył po schodach.

Gdy stanął przed drzwiami Harry'ego, usłyszał jakieś krzyki. To z mieszkania naprzeciwko. Ktoś wrzasnął, coś upadło.

Odwrócił się, marszcząc brwi. Zastygł w bezruchu i zaczął nasłuchiwać, ale hałas się nie powtórzył.

Odczekał chwilę, wzruszył ramionami i zapukał w drzwi Harry'ego.

Brak reakcji. Zadzwoił. Cisza.

Odczekał kilkanaście sekund, potem nacisnął klamkę. Drzwi się otworzyły. Wszedł.

Spojrzał odruchowo na zegarek. Kwadrans po dwudziestej pierwszej.

W mieszkaniu paliły się światła.

– Harry? – zapytał, wbijając wzrok w kurtkę, która leżała na podłodze w korytarzu.

Zrobił parę kroków do przodu, wszedł do dużego pokoju i poczuł, że robi mu się gorąco.

Na stole dostrzegł zakrwawiony papier toaletowy, wodę utlenioną i opakowanie po plastrze.

Z bijącym sercem sprawdził wszystkie pomieszczenia. Wszędzie panował burdel, ale to było normalne dla Harry'ego, który własne mieszkanie traktował jak noclegownię, przytułek, zło konieczne. Obca mu była potrzeba dbania o domowe ognisko.

– Gdzie on jest? – mruknął Bury. – Dlaczego drzwi są otwarte?

Poszedł do kuchni, nalał sobie wody i napił się.

Spojrzał na kalendarz. Widząc, że pochodzi z 1991 roku, pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Co za facet – westchnął. Odłożył szklanekę i zerknął na gazetę. Piątkowa.

Wrócił na korytarz, podszedł do telefonu, wykręcił numer i mruknął:

– Buryła. Sprowadźcie mi do mieszkania Harry'ego kogoś z techniki. Szybko.

Odłożył słuchawkę i spojrzał w lustro.

Z uwagą przyglądał się swojej twarzy ozdobionej wąsikiem. Uśmiechnął się. Ale po chwili zrobił poważną minę. Ostatnio małżonka poinformowała go, że wąsy przestały być modne. „Zgól je, bo to już obciach” – zakomenderowała, sprawiając mu tym samym wielką przykrość. Uwielbiał wąsy, swoje i kolegów. I aktorów, którymi się ukradkiem inspirował. Według niego wąsy nadawały charakteru męskiej twarzy, wysyłały w świat komunikat: oto widzicie prawdziwego samca.

– Pieprzę to – mruknął. – Będę nosił wasy.

Gdy to oznajmił, rozległo się pukanie do drzwi. Otworzył je i w progu zobaczył sześćioletnią dziewczynkę z warkoczykami i w dużych okularach. Miała oczy wilgotne od łez.

– Czy jest pan Tomek? – zapytała strapiona jego widokiem.

– Pan Tomek? – zdezorientowany powtórzył pytanie. – Jaki pan Tomek?

– No, ten co tu mieszka. Komisarz.

Buryła podrapał się po głowie.

– Harry? – mruknął i przypomniał sobie, że przecież Harry rzeczywiście ma na imię Tomek. – Nie ma. Gdzieś zniknął. Niestety – powiedział zasepiony, po czym ukucnął i pogłaskał dziewczynkę po głowie.

– Masz do niego jakąś sprawę?

– Bo mamusia znowu dostała ataku i teraz leży na podłodze. Pan Tomek zawsze mi pomaga w takich chwilach.

Spojrzeli na siebie.

– Spróbuję zastąpić pana Tomka – szepnął policjant. – Prowadź.

Wziął ją za rękę i wyszli na korytarz.

CIĄG DALSZY NASTĄPI

Od autora

Nie ma co ukrywać: „Furia” to powieść, która powstała dzięki kapitalnym znajomościom.

Waldemar Ciszak – parę lat temu wprowadził mnie w świat poznańskiej policji, czego materialnym dowodem są nasze dwie wspólne książki kryminalne, „Martwe ciała” i „Mężczyzna w białych butach”. Ukłony, przyjacielu!

Miłosław Czarnecki – regularnie pija ze mną kawę, podrzuca ważne lektury i zdradza tajniki pracy dochodzeniowców.

Marek Bronicki – oficer, który zatrzymał seryjnego zabójcę, Tadeusza Kwaśniaka. Zawsze służy radą, rozmową i kontaktami. Mam nadzieję, że w końcu dokończy i wyda swoją powieść.

Rita Larek – moja żona, menadżerka i pierwsza czytelniczka. Gorące uściski, kochanie!

Sebastian Buttny – reżyser, autor frapującego filmu „Heavy Mental”, który udzielił mi kilku bezcennych lekcji ze scenopisarstwa.

Dziękuję Wam!

Przy okazji chciałbym pozdrowić oficera, który prowadził sprawę Grzegorza T., stanowiącą kanwę niniejszej powieści. Żałuję, że nie udało nam się spotkać. Może kiedyś?

Wyrazy sympatii przesyłam pracownikom i pracownikom Czytelni akt Sądu Okręgowego w Poznaniu. Twórzycie miłą i profesjonalną atmosferę.

Natomiast przeprosiny należą się bez wątpienia Jerzemu Jakubowskiemu, na którego koledzy z komendy mówili „Dżery”. Przepraszam, że ukradłem Ci

pseudonim i obdarzyłem nim fikcyjną postać. :)

